ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NAKŁAD 12 400 CENA 14,70 ZŁ (w tym VAT 5%) NR 8 (199) SIERPIEŃ 2015

Stalag IID

Stargard/Pommern

Cmentarz radzieckich jeńców wojennych – poszukiwany

www.odkrywca.pl

INDEKS 37010X ISSN 1505-6104

9 771505 610056 08

Viking
NAJWIĘKSZY WYBÓR
WYKRYWACZY METALI W POLSCE OD 1998!
GARRETT METAL DETECTORS www.garrett.com
Ace 150
Ace 250
Euro Ace
AT Pro
AT Gold
GTI 2500
Infinium LS
Sea Hunter Mark II
ATX
white's
Coinmaster
Coinmaster Pro
Coinmaster GT
NOWOŚĆ Treasure Master
NOWOŚĆ Treasure Pro
MX5
Matrix M6
MXT Tracker
MXT Pro
Spectra VX3
Spectra V3i
BeachHunter
TM 808
FISHER RESEARCH LABS
Detecting & Underground Locating Equipment
F5
NOWOŚĆ F11
NOWOŚĆ F22
NOWOŚĆ F44
F19
F70
F75
F75 LTD
Pro-Tech
Pro-Arc
CZ 21
1280-X Aquanaut
MINELAB
X-Terra 305
X-Terra 505
X-Terra 705
Safari
E-Trac
CTX 3030
GPZ 7000
SDC 2300
Excalibur II
NOWOŚĆ GO-FIND20
NOWOŚĆ GO-FIND40
NOWOŚĆ GO-FIND60
XP METAL DETECTORS
ADX150
Adventis 2
GMaxx II
Gold Maxx
Deus
Nokta DETECTION TECHNOLOGIES
VELOX One
FORS CoRe
GROUND EFX
NOWOŚĆ MX100E
NOWOŚĆ MX200E
NOWOŚĆ MX300
NOWOŚĆ MX400
podwodny
wodoszczelny do 3m
odporny na warunki atmosferyczne
do poszukiwania złota
ul.Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.pl
www.viking.waw.pl
sklep stacjonarny, sprzedaż wysyłkowa i ratalna

SIERPIEŃ 2015

POSZUKIWANIA

3 Poszukiwań... magia i czar(y)
Prawo do skarbów... (cz. 2)
Piotr Maszkowski

7 Z wykrywaczem metali w świat Olendrów
Las podzieliliśmy na trzy główne gospodarstwa widoczne na skaningu laserowym. Dystans z wykrywaczem od jednego olenderskiego domu do następnego – 40 minut! Tak, wyspa nie jest mała. Przeciwnie. Ziemia na początku milczy. Chodzimy więc zdziwieni, nadal w ciszy, odnajdując jedynie pojedyncze przedmioty, aż nagle... zaczyna się sygnałowe eldorado.
Robert Wit Wyrostkiewicz

12 Zaginiony cmentarz radzieckich jeńców wojennych – poszukiwany...
Stalag IID Stargard/Pommern
Jarosław Tomczak

20 Zapomniana rezydencja Kocha
Stanisław G. powiedział, że przed nadejściem wojsk radzieckich wywoził ogromne ilości starannie opakowanych skrzyń do Krasnego i innych miejscowości wskazywanych przez gestapo, które konwojowało transporty. Koch w trakcie pobytu w polskim więzieniu grał kartą Bursztynowej Komnaty w stawce o swe życie, chociaż o jej losach nic nie wiedział. To powojenna legenda dopisała rozdział o zachłannym gauleiterze w dzień i w nocy interesującym się komnatą...
Leszek Adamczewski

25 Zapomniany zabytek lwóweckiego penitencjaryzmu
Z dziejów dolnośląskiego więziennictwa (cz. 1)
Szymon Wrzesiński

KULISY HISTORII

29 Basen nad Bobrem wylęgarnią szczurów!
Niezwykłe historie z powojennej prasy (cz. 1)
Szymon Wrzesiński

30 Mroczne tajemnice Inhalatorium Radonowego w Kowarach
Z dokumentów dotyczących uruchomienia Inhalatorium Radonowego w Kowarach wyłania się przerażający obraz... Czytając korespondencję wymienianą pomiędzy poszczególnymi instytucjami w pierwszych latach jego funkcjonowania, można stracić apetyt na eksplorację. Aż cierpnie skóra na myśl, jak to dyrekcja cieplickiego uzdrowiska rażąco narażała na poważne konsekwencje zarówno ekipy górnicze adaptujące byłą kopalnię uranu do nowych celów, jak i personel Inhalatorium.
Tomasz Rzeczycki

AKTUALNOŚCI/ WYDARZENIA

35 Rajd Szlakiem Fortyfikacji MRU Lubrza 2015
Krzysztof Rosiński

36 Metamorfozy Zamku Książ
Piotr Maszkowski

38 Operacja Południe – 15. odsłona
XV Międzynarodowy Zlot Pojazdów Militarnych
Izabela Kwiecińska

40 Teatr wielu aktorów...
VIII Zlot Grup Rekonstrukcyjnych i Historycznych Pojazdów Militarnych
Izabela Kwiecińska, Monika i Katarzyna Krzyżańskie

WĘDRÓWKI ODKRYWCÓW

44 Łza w oku historii, czyli Ratno Dolne
Dariusz Pietrucha

HISTORIA W ROCZNICACH

52 Niepotrzebni mogą odejść, czyli smutny los byłych sojuszników
Piotr Galik

FORTYFIKACJE

57 Fortyfikacje wyspy Vis (cz. 2)
Jerzy Sadowski

KOLEKCJONERSTWO

63 Guntō – dusza (dwudziestowiecznego) wojownika
Legendarna broń biała (cz. 4)
Piotr Galik

68 Niezbędniki US Army
Wojna od kuchni cz. 6
Tomasz Bienek

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

71 Nowości sierpnia w Księgarni Odkrywcy

Okładka:
Projekt graficzny Cezary Chmielewski
Zdjęcie: arch. Redakcji.

Wydawca
Instytut Badań Historycznych
i Krajoznawczych Sp. z o.o.
Prezes Zarządu: Magdalena Haber

Redakcja miesięcznika „Odkrywca"
ul. Kaszubska 4
50-214 Wrocław
Tel.: 71 329 71 85, 71 329 71 86
fax: 71 328 83 71
e-mail: redakcja@odkrywca.pl
www.odkrywca.pl
http://www.facebook.com/Odkrywca

Zespół redagujący

Redaktor Naczelna
Izabela Kwiecińska
e-mail: kwiecinska@odkrywca-online.pl
kwiecinska@odkrywca.pl
Piotr Maszkowski
e-mail: redakcja@odkrywca.pl

Dział Fortyfikacje
Jerzy Sadowski

Stali współpracownicy
Proteus, Leszek Adamczewski. Marek Dudziak, Piotr Galik, Dariusz Pietrucha, Janusz Skowroński, Tomasz Rzeczycki, Szymon Wrzesiński, Lech Zwirełło

Konsultanci
Andrzej Bossowski – Geologia.
Maksymilian Frąckowiak – Archeologia.
Piotr Galik – Historia wojskowości.
Maciej Kęszycki – Militaria i technika wojskowa.
Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik – Górnictwo Dolnego Śląska.
Aleksander Rostocki – Nieśmiertelniki.
Marek Sokołowski – Numizmatyka.

Dział Reklamy
Tel.: 71 329 71 71
e-mail: reklama@odkrywca.pl

Dział Graficzny i DTP
Cezary „Essperto" Chmielewski

Twórca i administrator strony
www.odkrywca.pl
Kazimierz Ruszel „Bocian"

Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca" (GEMO)
Łukasz Orlicki
e-mail: gemo@odkrywca.pl

Druk
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
ul. Podzwierzyniec 25
37-100 Łańcut

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji, skracania i opracowania redakcyjnego tekstów. Zastrzega także prawo przedruku nadesłanych tekstów i materiałów graficznych w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Wszelkie przedruki artykułów i kopiowanie materiałów graficznych – wyłącznie za zgodą redaktora naczelnego.

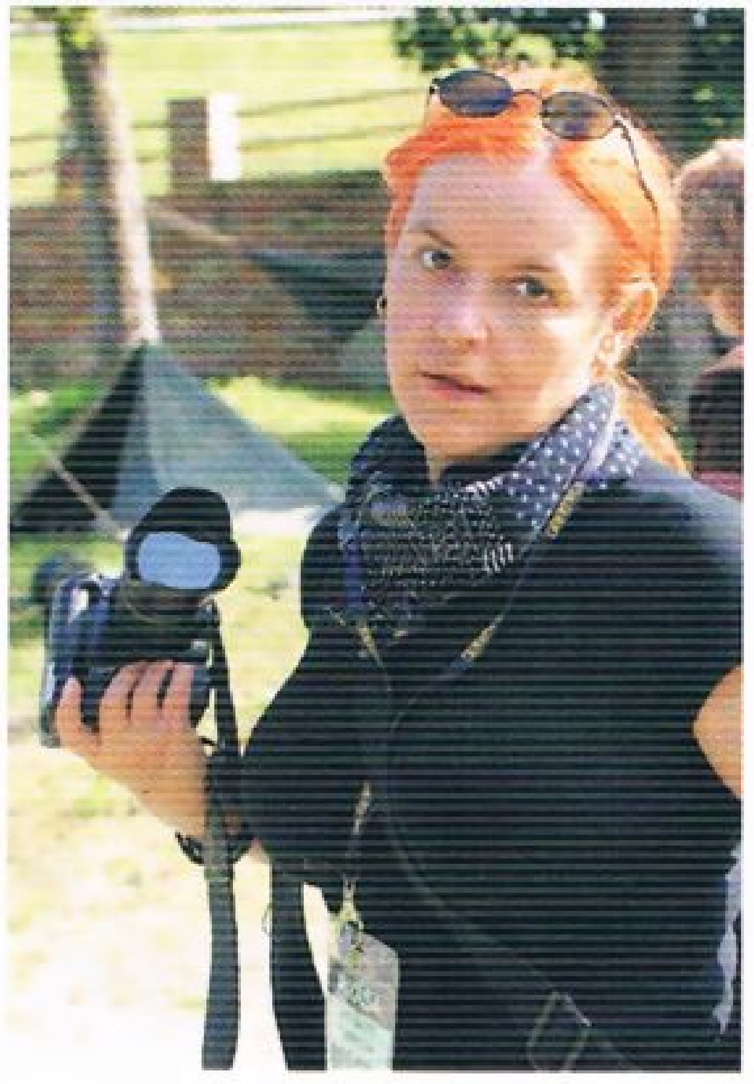

Drodzy Czytelnicy

Czy zastanawialiście się kiedykolwiek nad tym, czy ludzie wierzą w skarby? I czym właściwie są te skarby, w istnienie których mogliby wierzyć? Czy to jest w ogóle kwestia wiary czy raczej świadomego poznania, krytycznego rozumu oraz przypisania szczególnej wartości materialnej i emocjonalnej przedmiotom, które reprezentują sobą cechy kulturowej (i ekonomicznej) doniosłości. Pytanie o wiarę w istnienie skarbów (bo przecież o takiej wierze mówimy) nadaje się świetnie do wakacyjnych sond, jakimi raczą nas media w tzw. sezonie ogórkowym – gdzieś obok pytań o potwora z Loch Ness, „białą damę" z jakiegoś zamku, czy paskudę z Jeziora Zegrzyńskiego. Typowa wakacyjna wata, którą da się zamulić każdy – nawet ciekawy – temat. Tymczasem banalność tak stawianego pytania, doczekała się kategorycznej odpowiedzi.

„Nigdy nie dostrzegamy skarbów, które mamy tuż przed oczyma. A wiesz, dlaczego tak się dzieje? Bo ludzie nie wierzą w skarby". To cytat z mistrza aforystycznej literatury, brazylijskiego pisarza Paulo Coelho, który dla jednych jest mistrzem prozy psychologicznej, a dla innych królem kiczu i źródłem nieustających kpin i żartów. Tak czy owak, wydaje się, że na literaturze pisarz dorobił się niezłego skarbu, sądząc po ilości sprzedanych – również w Polsce, setkach tysięcy egzemplarzy kolejnych książek. O skarbie popularności jaką się cieszy, nawet nie ma co wspominać.

Felietonowy zabieg polemiki z cytatem sławnego Brazylijczyka byłby również banalny, gdyby nie dręczący mnie niepokój, że podobnie jak wiele innych jego myśli, również te, znajdą wyznawców w kraju nad Wisłą. Pora więc dać stanowczy odpór tezom mistrza i wyraźnie stwierdzić, że są ludzie, którzy wierzą w skarb, a już zwłaszcza te, które mają przed oczami. Słabo wierząc, że to wyznanie dotrze do dalekiej Brazylii, pragnę jednak poinformować, że w Polsce (która też ma swój pokaźny udział w skarbczyku pisarza) istnieje wielotysięczna grupa miłośników skarbów historii, która nie tylko zajmuje się ich odkrywaniem, eksploracją i dokumentowaniem, ale nawet wydaje czasopismo nadające skarbom rangę podtytułu. W wierze w wartość skarbu dziedzictwa historycznego grupa nie jest osamotniona – wspiera ją prawo i polityka. A skoro tak, to pora porzucić wakacyjny ton, pozostając wszakże w nadziei, że agencja literacka pisarza prześle tych kilka polemicznych uwag mistrzowi, lub chociaż, że jego polscy czytelnicy nie przyjmą bezkrytycznie tezy o rzekomym, powszechnym braku wiary w skarby.

Skarby bowiem istnieją, a nawet doczekały się własnej listy.

W końcu czerwca Sejm uchwalił ustawę zmieniającą dotychczasową ustawę o ochronie zabytków, która (obok szeregu innych regulacji) ustanawia stworzenie Listy Skarbów Dziedzictwa. Przesłanką do jej powołania był dotychczasowy brak specjalnych instrumentów ochrony najcenniejszych dóbr kultury w zakresie zabytków ruchomych znajdujących się w zbiorach publicznych i poza nimi. Lista ma pełnić rolę specjalnej kategorii wartościującej i symbolicznej dla zabytków ruchomych, podobnie jak ta, która dotyczy zabytków nieruchomych umieszczanych na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO czy Liście Pomników Historii. Potrzebę stworzenia systemu hierarchizowania tych zabytków od lat zgłaszały środowiska konserwatorów, historyków sztuki i muzealników. Lista będzie więc narzędziem ustanawiającym szczególną formę ochrony konserwatorskiej dla najcenniejszych ruchomych obiektów zabytkowych. Obiekty, które znajdą się na Liście Skarbów Dziedzictwa, objęte zostaną specjalnymi zasadami związanymi z ich przechowywaniem, eksponowaniem i transportem, a ewentualne prace konserwatorskie wymagać będą dochowania najwyższych standardów zawodowych.

Generalny Konserwator Zabytków, Piotr Żuchowski, stwierdził, że Lista ma dotyczyć arcydzieł, bądź obiektów, o szczególnym znaczeniu dla historii Polski takich jak Szczerbiec czyli miecz koronacyjny, Dzwon Zygmunta, wawelskie arrasy, czy gdański „Sąd Ostateczny" Hansa Memlinga lub krakowski ołtarz Wita Stwosza. Dotyczyć ma więc dzieł wyjątkowych. Minister Żuchowski mówi o kilkunastu obiektach, ale już pojawiają się głosy, słyszane również w trakcie debaty parlamentarnej, że za klika lat tych obiektów będzie kilkaset (wyobraźcie sobie, ile może pojawić się pomysłów poszerzenia Listy). Wówczas wystąpić może problem finansowy, związany z faktem, że minister kultury wpisując zabytek na Listę zobowiązuje się do zapewnienia środków na realizowanie zadań (np. konserwatorskich) poprzez udzielanie dotacji celowych. Czy wobec tego nie istnieje w przyszłości ryzyko, że kolejny minister w przypadku stwierdzenia braku środków na wykonanie określonych prac (z tymi przecież często jest krucho), będzie zmuszony do podjęcia decyzji o usunięciu zabytku z Listy?

Pojawiają się też wątpliwości dotyczące własności prywatnej – czy ewentualne zagrożenia dla zabytku ruchomego wpisanego na Listę, będącego w rękach prywatnego właściciela, skutkować mogą przejęciem obiektu przez państwo (w zakresie opieki jak rozumiem, a nie tytułu własności). A jest jeszcze zapis o możliwości czasowego zajęcia zabytku lub nakazania w trybie decyzji administracyjnej przeprowadzenia prac konserwatorskich i zapewnienia szczególnych warunków przechowywania. Tak długo jak Lista obejmuje, zgodnie ze słowami min. Żuchowskiego, kilkanaście najwybitniejszych obiektów, tak długo pytania wydają się być częścią hipotetycznych rozważań. Ale co w przypadku jej poszerzania się, do czego prawna możliwość wydaje się być otwarta…

Do tematu z pewnością wrócimy. Skarby dziedzictwa to coś, w co „Odkrywca" wierzy najbardziej!

Serdecznie zapraszam do lektury sierpniowego wydania naszego czasopisma!

Izabela Kwiecińska

Znajdź nas na:
http://www.facebook.com/Odkrywca

Prawo do skarbów cz. 2

Poszukiwań... magia i czar(y)

PIOTR MASZKOWSKI

Coś w tym jest, że skarb rzadko trafia w ręce tych, którzy go poszukują, wybierając sobie raczej przypadkowych znalazców. Zupełnie jakby kierowały nim jakieś magiczne siły... wymyka się w ostatniej chwili, gdy wydaje się, że jest na wyciągnięcie ręki. Obecnie potrafimy racjonalnie wyjaśnić taką sytuację, lecz przed wiekami jej przyczyn szukano w udziale sił nadprzyrodzonych. Aby je pokonać, niezbędna była magia...

Współczesne poszukiwania skarbów, o ile prowadzone są zgodnie z prawem, wymagają zaangażowania wielu metod, nauk i technik. Tego typu działania poprzedzone są kwerendą archiwalną, poszukiwaniem świadków i gromadzeniem ich relacji, analizą dokumentacji fotograficznej i kartograficznej oraz rozpoznaniem terenu. Po wytypowaniu właściwego miejsca następuje faza bezinwazyjna. Do jej realizacji stosuje się całe spektrum aparatury pomiarowej, od prostych wykrywaczy metali, poprzez zaawansowane techniki elektrooporowe, czy magnetyczne, przez wszelkiego rodzaju systemy GPR często hybrydowo łączące po kilka technologii, na skaningu laserowym i Lidarach kończąc. To współczesne magiczne różdżki.

Kiedy owa „magiczna" aparatura wykaże anomalię oznaczającą zaleganie w gruncie czegoś nienaturalnego, przedmiotu czy pustki, rozpoczyna się faza inwazyjna. Na tym etapie również dostępnych jest mnóstwo narzędzi, od tradycyjnych łopat, kilofów i wiader, przez koparki wszelkich rozmiarów i mocy, po wiertnice i wiertnie pozwalające drążyć otwory na znaczne głębokości. Wykorzystanie technik górniczych pozwala z kolei udrażniać zawalone sztolnie podziemnych kompleksów, czy starych kopalń. Wszystko zależy od skali, zasobności i możliwości poszukujących, jak i od rodzaju poszukiwanego obiektu. Niestety, te najbardziej spektakularne eksploracje kończą się przeważnie równie spektakularną klapą, choć oczywiście nie jest to regułą. O wiele częściej do odkrycia skarbu wystarczy prosty zestaw złożony z poszukiwacza, jego detektora metali i nieodłącznej saperki. Lecz jak praktyka wykazuje, w każdym przypadku nieodzowne jest po prostu... szczęście. I najczęściej chyba to właśnie ślepy los decyduje, do kogo ma się uśmiechnąć. Dlatego też największe sukcesy w tej dziedzinie odnoszą... rolnicy orzący pole, czy buszujący po lasach grzybiarze. Na głowę, w tej umownej i niepisanej „rywalizacji", biją ich jednak członkowie wszelakich ekip budowlanych i remontowych.

Czyżby rzeczywiście to skarb decydował, w czyje ręce ma trafić? Kiedyś tak uważano.

Dzisiaj jednak, z zasady, większość współczesnych eksploratorów nie przyzna się do wiary w magię, choć z pewnością niejeden by ją wykorzystał dla osiągnięcia konkretnych celów. Stąd też stosunkowo spora popularność technik radiestezyjnych, jakże często wspomagających współczesną technikę. Niepowodzenie w poszukiwaniach, po głębszych analizach, zrzucane jest raczej na karb braku szczęścia, tudzież pecha i pochodnych wszelkiego rodzaju splotu nieprzychylnych zdarzeń losowych. Po głębszym zastanowieniu wnioski nabierają jednak ponownie cech merytorycznych, związanych z popełnionymi błędami – w obliczeniach, braku precyzyjnych danych, czy też zawodnością ludzkiej pamięci.

Pomimo tego poszukiwanie skarbów i związane z nimi opowieści wciąż pełne są treści nieracjonalnych, trudnych do wyjaśnienia nawet w oparciu o dostępną dzisiaj wiedzę. Wiele osób zajmujących się tego typu działalnością przekonana jest o istnieniu nie do końca zidentyfikowanych sił, które strzegą dostępu do informacji o ukrytych depozytach i świadkach mogących je wskazać. Iluż z nich, w świetle mrożących krew w żyłach historii, zlikwidowano, i to długo po tym, jak zdecydowali się mówić. Co najmniej tyle samo jest przykładów tajemniczych ingerencji w trakcie przygotowań do akcji, bądź niewyjaśnionych sabotaży w czasie jej trwania. Nam co prawda nigdy takie przygody się nie przytrafiły, lecz nasłuchaliśmy się o nich wystarczająco wiele.

Weźmy np. strażników skarbów, których istnienia nie wykluczają czołowi popularyzatorzy historii. Pozostawieni po wojnie przez nazistów, dyskretnie wtopieni w otoczenie, strzec mieli miejscowych tajemnic Dolnego Śląska, Pomorza, czy Mazur. Ba, czynić to mają do dziś, skutecznie zniechęcając amatorów poszukiwań depozytów III Rzeszy. Zapewne obecnie to już ich potomkowie, którzy jakimś cudem wypełniają rozkazy sprzed 70-ciu laty. Choć są i tacy, którzy twierdzą, iż to wciąż ci sami ludzie poddani wówczas eksperymentalnym modyfikacjom genetycznym...

To element współczesnego folkloru eksploracyjnego i odwiecznych wierzeń w siły nadprzyrodzone, towarzyszące tej profesji od zarania.

Przytoczony przykład strażników skarbów, czy też jakże często pojawiająca się kwestia strzegących tajemnic służb specjalnych lub innych teorii z pogranicza spisku, to zaledwie teraźniejsza kontynuacja dawnych wierzeń i przesądów poszukiwaczy skarbów. One również generują wciąż nowe historie o ukrytych skarbach i kolejne roczniki poszukiwaczy pełnych wiary w ich odnalezienie. To także dzięki nim pojawiają się następne pokolenia ludzi, którzy gotowi są wskazać właściwe miejsce... Nigdy ich zresztą nie brakowało.

Magia w służbie eksploracji

W epoce nowożytnej, epoce wojen, reformacji i procesów czarownic, poszukiwacz skarbów narażony był na szereg niebezpieczeństw. Zarówno tych doczesnych, jak i spoza świata materialnego. Mógł w tym niespokojnym czasie stracić życie, lub zdrowie, na wiele sposobów, jednak wykonując swą profesję ryzykował o wiele bardziej niż przeciętny mieszkaniec ówczesnego świata. Poszukiwanie skarbów było obostrzone wieloma ograniczeniami i podobnie jak dziś, gdy prowadzone było nielegalnie, groziło licznymi sankcjami prawnymi. Jednak niezależnie od systemu karnego, owe sankcje nie były aż tak restrykcyjne jak w przypadku innych przewinień. W związku z tym, że proceder ten był w owym czasie uznawany za wymagający stosowania praktyk magicznych, posądzenie przy okazji o czary, było kwestią jedynie humoru sędziego. Udowodnienie zaś takowych występków, wyłącznie kwestią fantazji przesłuchującego kata i odporności na ból jego ofiary. To była jednak ostateczność, gdyż w większości przypad-

ków i tak uznawano delikwenta za oszusta niż skarbowego wiedźmina. Skąd to wiemy? Z niezliczonej ilości akt procesowych epoki, które dotyczyły w sporej mierze tego typu spraw.

Poszukiwanie skarbów było niebezpieczne również z innej przyczyny, gdyż rzeczywiście, według ówczesnych wierzeń i tradycji, wymagało wspomagania się magią. Miała ona chronić przed duchami strzegącymi skarbu, pomagać w komunikacji z nimi, ale przede wszystkim pomagać lokalizować skarb. Służyło

Karta z największej encyklopedii Oświecenia. Według niej zakaz uprawiania magii w największym stopniu kształtował prawo dotyczące poszukiwań skarbów.

temu szereg zaklęć, amuletów, różdżek i innych atrybutów, jakich potrzebowali skarbowi magowie.

Magia, to system wierzeń, praktyk i uproszczonych reguł – w odróżnieniu od religii nie wspieranych przez jakąkolwiek instytucję – stworzonych w celu ustanowienia kontaktu pomiędzy rzeczywistością, a sferą pozamaterialną i nadprzyrodzoną – światem duchów i innych sił tajemnych, wzywanych, by osiągnąć konkretny cel w realnym świecie. Jej wpływ i znaczenie systematycznie towarzyszyły ludzkości od starożytności, osiągając swoje apogeum w epoce nowożytnej. Choć czary były

Los, który groził nie tylko czarownicom, ale również magom od poszukiwań skarbów.

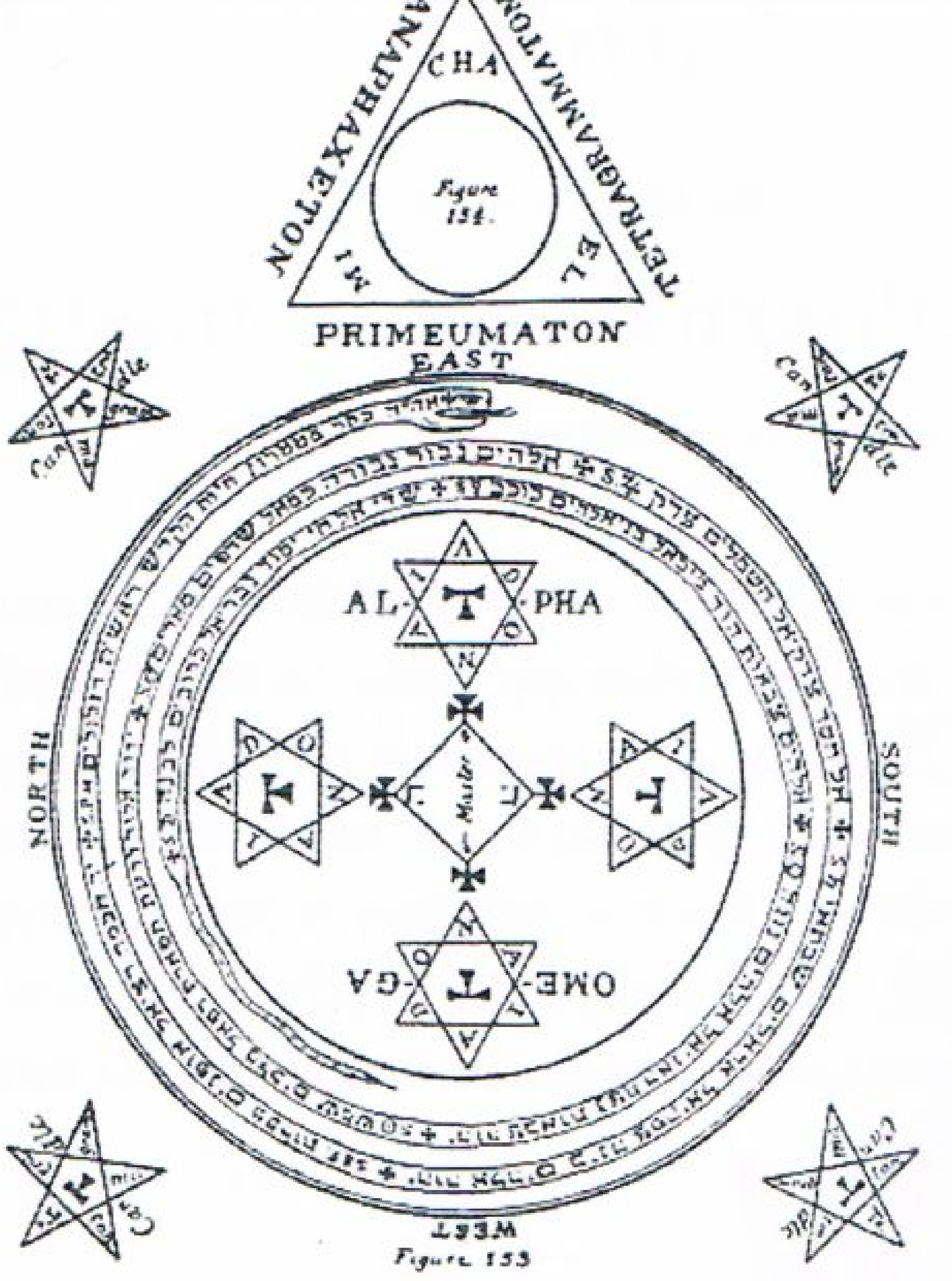

Jeden z magicznych symboli.

w systemach prawnych od zawsze zakazane, począwszy od końca średniowiecza zaczęły się zinstytucjonalizowane polowania na osoby uprawiające je, czy też wyłącznie o to podejrzewane. W efekcie na przestrzeni od XV do XVII wieku rozpoczął się najmroczniejszy okres prześladowań na tym tle. Wystarczyło bowiem posądzenie o kontakty z diabłem i innymi siłami nieczystymi, by najczęściej niewinni ludzie, po okrutnych, wypełnionych torturami procesach o czary, kończyli życie na stosie. Kres temu zjawisku przyniosła dopiero epoka Oświecenia.

W związku z tym, że świadome poszukiwanie skarbów uznawane było za działanie wymagające użycia czarów i praktyk magicznych, w wielu przypadkach osoby parające się tym zajęciem objęte były tymi samymi procedurami, co nieszczęsne czarownice. Dzięki zachowanym aktom procesowym z tego okresu, a także obowiązującym ówcześnie regulacjom prawnym, możliwe jest bliższe przyjrzenie się kwestii poszukiwań skarbów epoki nowożytnej. Warto podkreślić, że ani wcześniej, ani później tematyka ta nie miała tak obszernego pokrycia w źródłach jak wówczas.

Magia wykorzystywana przez poszukiwaczy skarbów uwzględniała wróżby, przepowiednie oraz zaklęcia ułatwiające namierzenie skrytek, jak również szereg magicznych rytuałów chroniących przed stojącymi na ich straży duchami a także… ludźmi chcącymi im przeszkodzić. Była jednak czymś więcej niż narzędziem. Była nieodłączną częścią ówczesnego europejskiego światopoglądu, ponieważ żadna ze sfer życia epoki nowożytnej, nie była od niej wolna. Poszukiwanie skarbów również.

W prawie

Z pierwszej części artykułu wiemy („Odkrywca" nr 7/2015), że poszukiwanie skarbów oraz kwestie prawa własności do nich, regulowane były już w czasach Imperium Rzymskiego. Niemal równolegle do funkcjonujących w tej kwestii przepisów, już w V wieku n.e. wschodniorzymski cesarz Zenon Izauryjczyk (474-491 r. n.e.) wprowadził zakaz używania podczas prowadzonych poszukiwań *„niezgodnych z prawem i podlegających karze obrzędów lub innych zakazanych prawem praktyk"*. Obostrzenie to znalazło się również w nieco późniejszym Kodeksie Justyniana z VI w. n.e. (cesarz bizantyński 527-565 r. n.e.), który, przypomnijmy, był jedną z trzech wielkich kompilacji przepisów prawa rzymskiego. Tym samym zapis ten w największym stopniu wpłynął na wszelkie próby uregulowania tego procederu aż do XIX stulecia. Wynikało to przede wszystkim z faktu, że choć poszukiwania skarbów nie zawsze były aktem wyjętym spod prawa, to służąca temu magia, w większości przypadków za takowy uchodziła.

Analogiczny pogląd odnaleźć można w największej, składającej się z 68 tomów encyklopedii epoki Oświecenia „Grosses volständiges Universal-Lexicon" Johanna Heinricha Zedlera (1731-1754). W jednej z definicji znalazło się wręcz

zdarzyło się...

24 VIII 1456 r.

559 lat temu zakończono druk Biblii – pierwszego wydawnictwa wykonanego za pomocą ruchomej czcionki metalowej. Dokonano tego w Moguncji w drukarni Johanna Gutenberga i bankiera Johanna Fusta. Tekst na stronach był podzielony na dwa łamy, a zastosowano do niego zaprojektowany przez Gutenberga krój gotycki. Z około 200 egzemplarzy Biblii do naszych czasów zachowało się 48; jedyny egzemplarz w Polsce ma Muzeum Diecezjalne w Pelplinie.

twierdzenie, iż zakaz uprawiania magii w najwyższym stopniu kształtował wszelkie ustalenia prawne dotyczące poszukiwań skarbów. Jeżeli bowiem udowodnione zostało poszukiwaczowi użycie praktyk magicznych, tracił on w najlepszym przypadku prawo do znaleziska. W najgorszym, po wcześniejszych torturach, nawet głowę. Pomiędzy tymi skrajnymi sankcjami zawierało się całe spektrum innych kar i grzywien, które jednak w obliczu tej najwyższej, wydają się zaledwie „pieszczotą". Wszystko zależało więc od klasyfikacji czynu oraz lokalnie obowiązującego prawa. Przyjrzyjmy się zatem, jak wyglądało to w różnych krajach Europy na przestrzeni interesującej nas epoki.

Niemcy

W świetle komunalnego prawa Norymbergii z 1479 roku znalazca mógł zatrzymać dla siebie część skarbu, jeżeli odnaleziony został przez przypadek, dzięki łutowi szczęścia, bez wykorzystania specjalistycznych narzędzi i magicznych obrzędów. Jeżeli zaś odkrycie zostało dokonane przy pomocy zakazanych praktyk, przepadało w całości na rzecz miejscowego systemu fiskalnego – więc w sumie nie najgorzej. Podobne regulacje zawarte były w innych XVI i XVII-wiecznych zapisach legislacyjnych, m.in. w jednym z najważniejszych niemieckich traktatów Laienspiegel spisanych w Augsburgu przez Ulricha Tanglera w 1509 roku, kodeksie prawnym miasta Worms z 1531 roku, czy też w austriackich i niemieckich regulacjach z 1620 i 1692 roku. Sytuację tę niewiele zmieniło Oświecenie, bowiem najistotniejsze zapisy prawa z XVIII wieku – bawarski Kodeks Maksymiliana, pruskie prawo krajowe (Allgemaines Landrecht), czy Austriacki Kodeks Terezjański – nadal uznawały praktyki magiczne podczas poszukiwań skarbów za bezprawne. Jednak pruskie prawo krajowe nie traktowało ich już jako czarów, ale podlegające karze oszustwo.

Wykorzystywanie magii podczas poszukiwań było zakazane, lecz jak widzimy, nie było zasadą utożsamianie tych praktyk z czarami. Dlatego też zarządzenia prawne dotyczące czarów, rzadko zawierały bezpośredni paragraf na temat poszukiwań skarbów. W Niemczech wyjątkiem było bawarskie prawo przeciw czarom i zabobonom z 1612 roku, skądinąd znane z barbarzyńskich kar, wg którego np. uznano jednoznacznie, że poszukiwacze skarbów nie zawierali paktu z diabłem. Bez wątpienia za to wykorzystywać mieli jednak zaklęcia i zabobony. Z jego zapisów wynika też, że nie byli traktowani jako uczniowie szatana, co wyraźnie odróżniało ich od czarownic. Dlatego też dla poszukiwaczy przewidywano stosunkowo łagodne kary – miesiąc więzienia, miesiąc ciężkich robót, zakucie w dyby lub postawienie pod pręgierzem, a w najlepszym wypadku zapłatę grzywny. Recydywiści, którzy jednak ośmielili się popełnić ponownie to samo wykroczenie, narażeni byli na te same kary, tylko dwukrotnie dłuższe. Dopiero potrójnych „przestępców" skazywano już na tortury, ponieważ ustawodawca wychodził z założenia, że jeżeli ktoś dokonuje, pomimo odbycia kar, tego samego czynu – z pewnością paktuje bezpośrednio z diabłem, bądź jest przez niego opętany.

Francja

O praktykach magicznych podczas poszukiwań wspomina wyraźnie prawo baliwatu (jednostka terytorialna we Francji) Księstwa Lorraine z 1594 roku, w skład którego wchodziły Nancy, Vosges i Allemagne na pograniczu niemiecko-francuskim. Jeżeli skarb był poszukiwany i został odnaleziony przy ich pomocy, w całości przypadał władzy sądowej. W takim wypadku o karze dla poszukiwacza decydował arbitralnie sędzia. Takie też rozwiązanie podzielała większość francuskich prawników, chodziło bowiem o to, by skarbowi magowie nie czerpali korzyści ze swych występków, a odnalezione przez nich skarby, trafiały do króla lub jego namiestnika.

Z kolei Ludwik XIV w edykcie z 1682 roku, w zasadzie znoszącym karę śmierci wobec stosujących praktyki magiczne, zmienił zasadniczo klasyfikacje tego typu czynów jako zabobon lub oszustwo. O ile więc ktoś przy okazji nie złamał prawa powszechnego, mógł liczyć na stosunkowo „łagodną" karę cielesną. Nawet jeżeli w tym przypadku rozporządzenie władcy nie odnosiło się bezpośrednio do poszukiwaczy skarbów, unikali oni wcześniejszego ryzyka oskarżenia o stosowanie magii i tym samym wszelkich „przyjemności" z tym związanych. Wciąż jednak wykorzystywane przez nich zaklęcia i modlitwy do świętych, mogły narazić ich na dotkliwe sankcje. Jakie? O tym miał decydować już osobiście Król Słońce.

Anglia

Angielskie ustawodawstwo jest jedynym przykładem zapisów legislacyjnych przeciwko czarom, które bezpośrednio łączyły je z poszukiwaniem skarbów. Witchcraft Acts z 1542 r. – podstawowe regulacje dotyczące tej problematyki, odróżniały się od podobnych aktów prawnych na kontynencie europejskim. Jak przekonują niektórzy histo-

REKLAMA

Jedna z kart niemieckiego traktatu Laienspiegel z 1509 r.

rycy, owa specyfika wynikała z charakterystycznego dla Anglii traktowania czarów – odwrotnie niż gdziekolwiek indziej uznawano tam magię za bardziej szkodliwą, niż podejrzenia o paktowanie z diabłem, które poza wyspami uznawano za bezwzględnie najgorszą zbrodnię. Dlatego też *„wróżbici i osoby nadużywające magii, które wbrew prawu wymyślają i używają zaklęć oraz inwokacji przywołując duchy dla własnej korzyści, świadomie starają się posiąść ich wiedzę odnośnie miejsc, gdzie skarby ze złota i srebra odnalezione być mogą, w ziemi zakopane lub innych miejscach sekretnych (...)"* oraz ci, *„(...) którzy by zabić bądź ranić innych używają czarów i guseł, zasługują na karę śmierci i konfiskatę mienia"*. Prawo to, wydane w czasach króla Henryka VIII, wymierzone było oczywiście przeciwko czarom i magii, przy okazji tylko obejmując poszukiwaczy skarbów. Wystarczyło to jednak, by narazić ich w praktyce na te same kary... co czarownice.

Niedługo później uznano owe przepisy za zbyt surowe i w związku z tym nie były one restrykcyjnie przestrzegane, zaś po śmierci władcy zostały zmienione. Królowa Elżbieta I powołała nowe prawo przeciwko magii, nieco łagodniejsze również w stosunku do poszukiwaczy. Ci, miast tracić głowy i majątek, mieli już „tylko" i wyłącznie zostać zakuci w dyby, wystawieni na widok publiczny, zmuszeni do wyznania swych win i wyrażenia skruchy. Jednak kolejna nowelizacja Witchcraft Acts z 1604 roku dla tych, którzy paktowali z diabłem lub demonami, a więc również i poszukiwaczy, ponownie przywracała najwyższy wymiar kary. Dopiero w 1736 roku, a więc już w epoce Oświecenia, prawo angielskie przestało traktować czary jako zbrodnię. Przepisy stanowiły, że ich wykorzystywanie w celu odzyskania skradzionych, lub zaginionych, przedmiotów, jest formą oszustwa, co pozwalało sądom nadal formułować stosowne akty oskarżenia.

Co ciekawe, ówczesne ustawodawstwo angielskie istotnie wpłynęło na reformy prawne przeprowadzane w XVIII-wiecznej Rosji. Pod jego wpływem jeden z wybitniejszych rosyjskich prawników tego okresu Siemion Jefimowicz Diesnicki, postulował m.in. zaprzestanie ścigania „koldowstwa" (ros. czarna magia). W rezultacie tych starań caryca Katarzyna Wielka wydała w 1782 roku edykt policyjny, który uznawał magię, zaklinanie i... uwaga – poszukiwanie skarbów, za formy oszustwa dokonywane najczęściej przez pospólstwo.

Podsumowanie

Jak zauważyliśmy, każdy kto aktywnie poszukiwał skarbów w epoce nowożytnej w Europie, stawał przed podwójnym dylematem. Mógł być z jednej strony oskarżony o kradzież lub oszustwo, zwłaszcza, gdy czynił to bez odpowiedniego pozwolenia na czyimś terenie i (lub) starał się zataić fakt odnalezienia skarbu. Z drugiej strony mógł zostać oskarżony o czary. Któregokolwiek zarzutu by nie postawiono, czyniło tę profesję niezwykle ryzykowną.

Dlatego też, co nie będzie zaskakujące, w każdym przypadku szczęśliwi znalazcy, tudzież łowcy, starali się udowodnić, że odnaleźli skarb przez przypadek. W większości zapewne mówili prawdę, co jednak nie miało większego znaczenia. Konfiskata cennego znaleziska na rzecz króla, państwa, księstwa, miejscowego arystokraty, czy władzy lokalnej, była zbyt silną pokusą. Środków ku temu było aż nadto.

Dlaczego akurat w epoce nowożytnej poszukiwanie skarbów stało się aż tak popularne?

Co ciekawe, w okresie tym nigdy raczej nie doszło do jakiegoś spektakularnego odkrycia, a wartość odnajdywanych przedmiotów, w świetle zachowanych źródeł, nie była zbyt wielka. Okazuje się jednak, że prawdopodobieństwo odkrycia skarbów, nigdy wcześniej nie było tak duże jak wówczas.

Historycy zwracają uwagę na dwa zasadnicze elementy, które wpływały na tę ocenę. Przede wszystkim intensyfikację i skalę prowadzonych wówczas wojen oraz Reformację. Pierwszy wygenerował proporcjonalnie masowe zjawisko zabezpieczania przez mieszkańców zagrożonych terenów wszystkiego, co w warunkach działań zbrojnych mogło zostać utracone. W Niemczech jest nawet specjalny termin określający ukryty depozyt ludności opuszczającej swoje miejsce zamieszkania na czas kryzysu: „Heloch", będący zlepkiem słów „Heimlich" (niem. skryty) i „Loch" (niem. dołek). Chętnych do odnalezienia owych „skrytych dołków" nigdy nie brakowało.

Drugi czynnik związany był z sekularyzacją zakonów i konfiskatą dóbr kościelnych. Powodował, że duchowieństwo na masową skalę miało ukrywać w pobliżu opuszczanych opactw czy klasztorów posiadane bogactwa. W jednym i drugim przypadku pojawiały się na ten temat informacje, najpierw w formie plotek, potem jako konkretne namiary, by wreszcie stawać się miejscowymi legendami. One zaś wpływały na masową wyobraźnię w największym chyba stopniu. Tym bardziej, że legendy wówczas miały o wiele większą siłę przekazu, niż obecnie. Jednak i dziś pasjonujemy się nimi w równym stopniu, choć pasja ta jest o wiele bardziej bezpieczna. Cdn.

ZDJĘCIA: WIKIMEDIA COMMONS

Poolenderskie zdziczałe sady, pola, lasy w wiecznie panującym tam półmroku są magiczne.

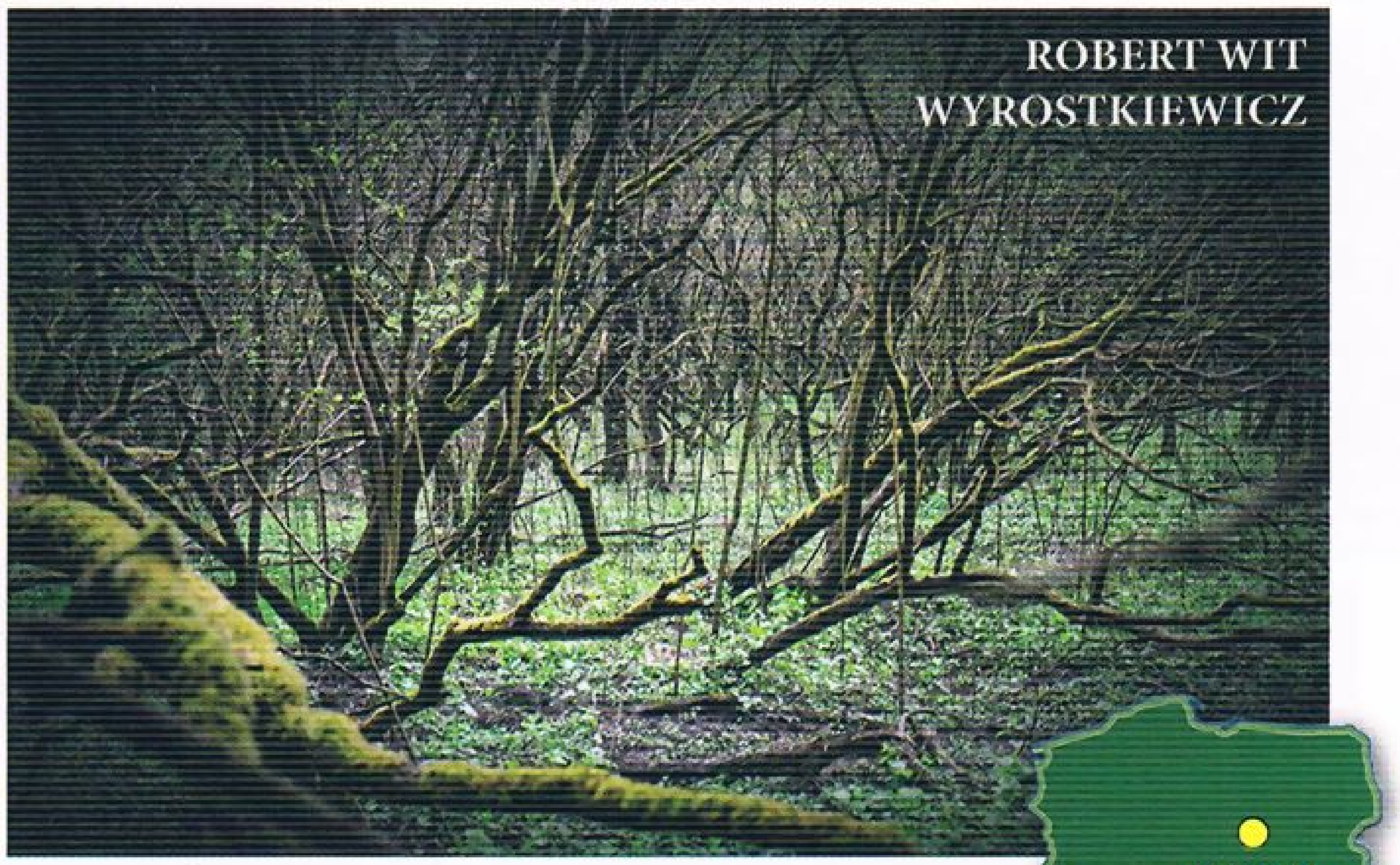

ROBERT WIT WYROSTKIEWICZ

Z wykrywaczem metali w świat Olendrów

„Działając z upoważnienia Mazowieckiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków udzielam Mazowieckiemu Stowarzyszeniu Historycznemu »Exploratorzy.pl« (…) pozwolenia na prowadzenie poszukiwań ukrytych lub porzuconych zabytków przy użyciu detektora metali – związanych z historią Kępy Wyszogrodzkiej, w tym: śladów osadnictwa olenderskiego (…) w obrębie Kępy Wyszogrodzkiej zlokalizowanej na rzece Wiśle w gminie Wyszogród” – brzmiała sentencja z 8 XII 2014 r. zawarta w decyzji WUOZ w Warszawie Delegatura w Płocku. Fakt, brzmi to nieco archaicznie, w dalszej części decyzji jeszcze bardziej, ale mniejsza o to… Legislację zostawiamy jednak na boku i avanti!

Ruszamy na Kępę Wyszogrodzką, wielohektarową wyspę wiślaną, miejsce wymarzone dla poszukiwaczy skarbów. Nasz obszar przyrodniczy objęty jest programem Natura 2000 i jest *de facto* rezerwatem czasów minionych, niemal dziewiczym, gdzie nie ma portu, nie ma ścieżek turystycznych, a jedynie zarośnięte drogi i dukty, które widziały ostatnich autochtonów kilkadziesiąt lat temu… Zdziczałe jabłonki dawno nie czuły dłoni ludzkich ściskających owoce. Skarlałe natki warzyw tylko przypominają czasy dawnej wegetacji i słynnego z upraw rolnych osadnictwa tradycyjnie wiązanego z Holendrami. W każdym razie, miejsce naszej eksploracji jest bez wątpienia magiczne. Kto wie, być może najpiękniejsze na całym Mazowszu… Drzewa jak poskręcane „baobaby”… no, pierwszy raz Mazovia widziała chyba tylu dorosłych chłopców podziwiających przyrodę. To o czymś świadczy!

Zaczynając wiślaną przygodę, nie wiedzieliśmy jeszcze, że wesprą nas poszukiwacze z Łodzi i dzięki nim weźmiemy udział w odkryciu nieznanego korytarza i zejdziemy zakamarki kościelnych krypt… Ale o tym później.

Papiery i pozwolenia, by wejść do raju

Każda eksploracja w miejscach wyjątkowych (m.in. szpitale psychiatryczne, rezerwaty, stanowiska archeologiczne – a wszędzie tam byliśmy) wymaga od poszukiwaczy krwawicy, cierpliwości i nade wszystko pokory. Tak, pokory! Wyszogród zaś zaczynał się z górki. Zostaliśmy zaproszeni do współpracy przez Zdzisława Leszczyńskiego, dyrektora Muzeum Wisły w Wyszogrodzie, które, w odróżnieniu od wielu samorządowych quasi muzeów, po pierwsze stawia na zabytki, a nie tylko plansze z historią, po drugie ukazuje region przez artefakty od pradziejów po II wojnę światową. Część zabytków przynieśli mieszkańcy. Inne ofiarowało Stowarzyszenie „Sakwa”. Większość stanowi spuściznę m.in. po pracach archeologicznych. Jednym słowem, panuje tam dobry klimat także dla pasjonatów historii takich jak my.

Wyszogród, to także osadnictwo olenderskie. Zwłaszcza na Kępie Wyszogrodzkiej. Ważny ośrodek osadniczy. – *Nie mamy stamtąd żadnej wiedzy z badań i żadnych zabytków* – powiedział nam dyrektor Leszczyński. – *Życzymy wam powodzenia* – powiedział nam burmistrz Wyszogrodu, Jan Boszko. Czego chcieć więcej? A więc krótka piłka. Rozpoczynamy procedurę, uzbrojeni w cierpliwość, i tłumaczymy w różnych urzędach, że jesteśmy niegroźni… Akcję na szczęście wspiera dyrektor Muzeum i burmistrz Wyszogrodu. Regionalny Zarząd Gospodarki Wodnej w Warszawie ostatecznie nie tylko wyraził zgodę na naszą inicjatywę, ale objął ją też patronatem honorowym.

Studiujemy mapy historyczne (dobrze widać zabudowania olenderskie zarówno na tzw. kongresówce, jak i na mapach WIG). Analizujemy zdjęcia ze skaningu laserowego LIDAR, gdzie widać nie tylko pozostałości po dawnych mieszkańcach wyspy, ale także detaliczne wyróżniki terenowe, jak ślady po orce. Ale przed nami nie zakończone kwestie administracyjne… Ustalamy więc właścicieli działek. Dr Maurycy Stanaszek z Państwowego Muzeum Archeologicz-

Łódź Straży Pożarnej zostawia Wyszogród z tyłu i „na raty” wiezie poszukiwaczy na wyspę.

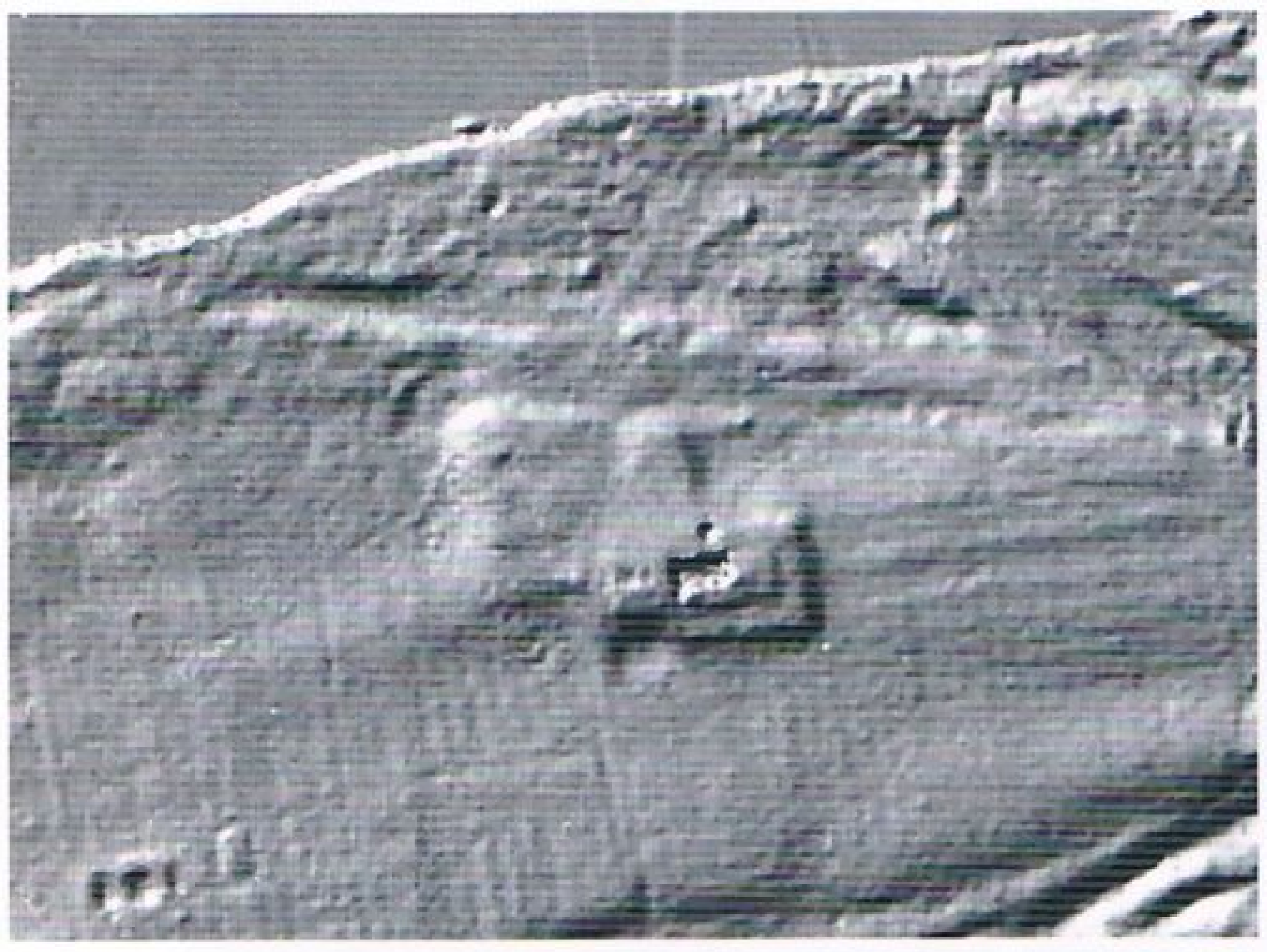

Dwie terpy i ślady osadnictwa na zdjęciach ze skaningu laserowego LIDAR.

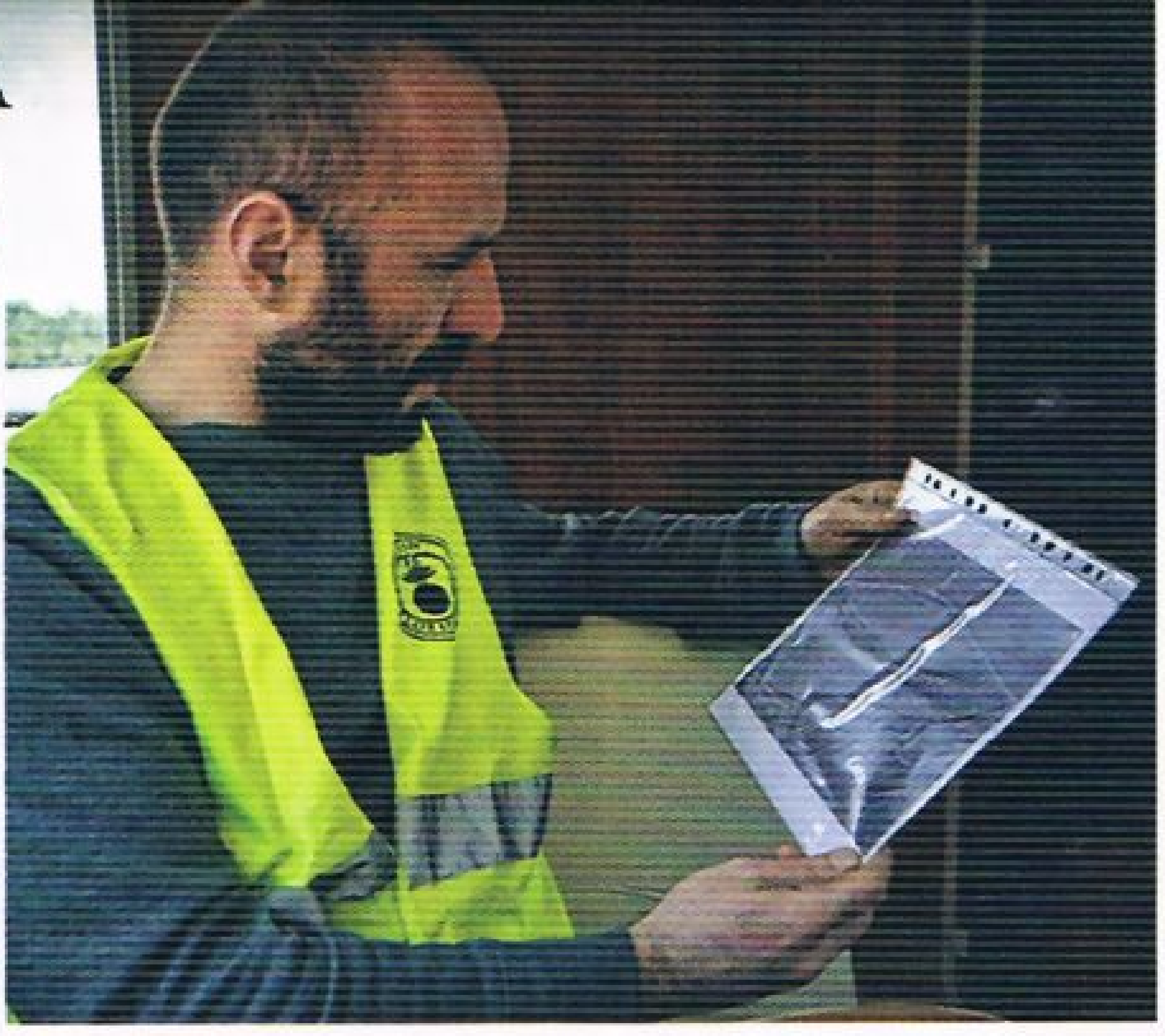

Robert Wit Wyrostkiewicz, prezes MSHE, w tramwaju wodnym studiuje mapę ze skaningu laserowego w drodze na wyspę.

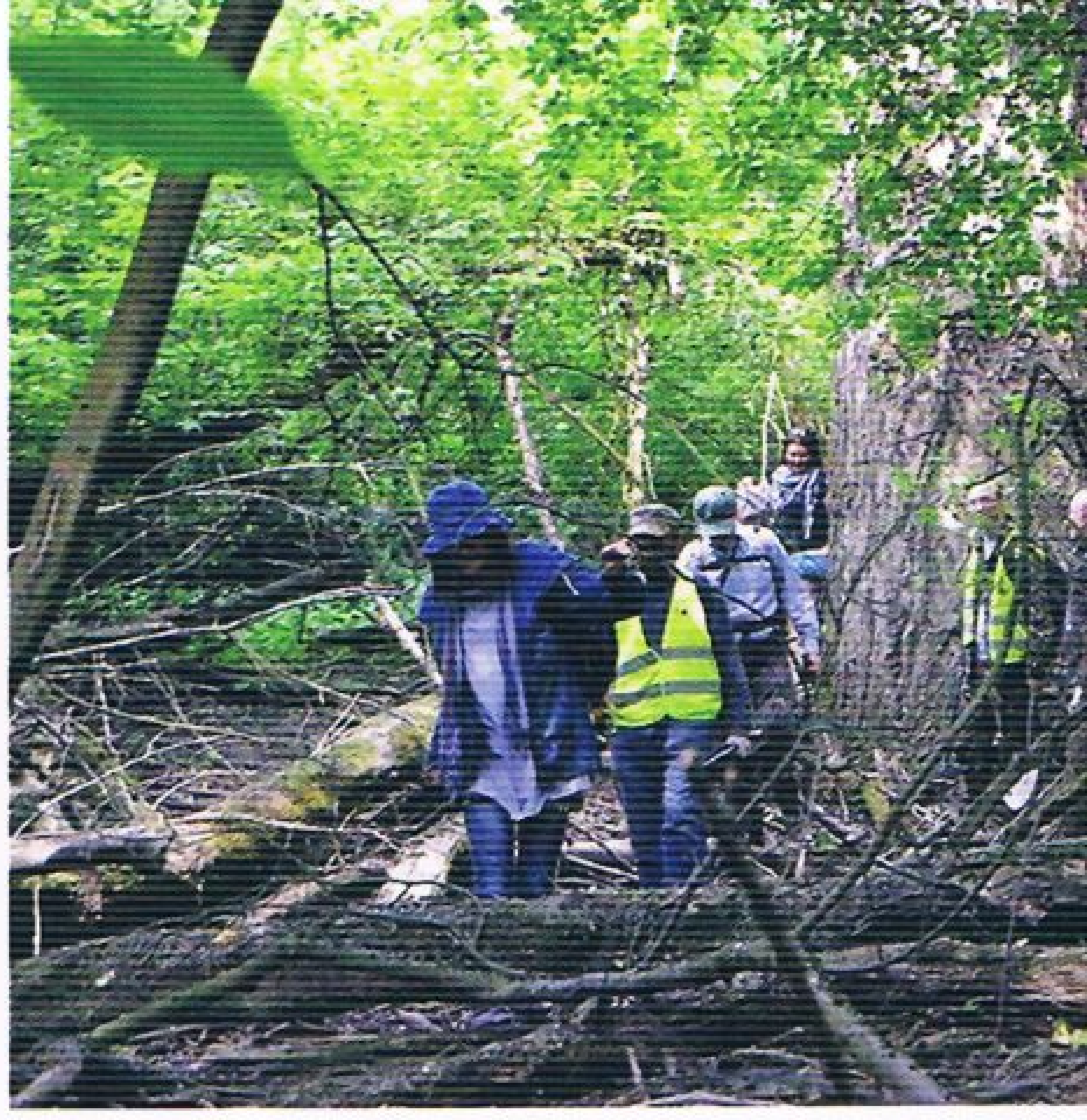

Po lądowaniu Anna Laskowska prowadzi desant poszukiwaczy na wyspę.

nego, który zajmuje się Olendrami na południowym Mazowszu, przekazuje nam podstawową wiedzę o osadnictwie. Witold Migal, archeolog, bierze na siebie odpowiedzialność za stronę badawczą akcji. Wspiera nas także na miejscu Joanna Borowska, również archeolog, a Ania Straszyńska ze Stowarzyszenia Kolekcjonerzy Czasu dba o dokumentację fotograficzną przedsięwzięcia. W kupie siła…

Ale na tym nie koniec operacji logistycznej. Straż Pożarna z Wyszogrodu oferuje nam transport na wyspę. Do dyspozycji gmina czarteruje nam także, dwukrotnie, tramwaj wodny. Szukamy dokumentów, rozmawiamy z mieszkańcami, zbieramy wiedzę „nieinwazyjnie". Wiemy już, że na wyspie mieszkali… Niemcy. Tak nazywano w Wyszogrodzie osadników z Kępy do II wojny światowej. W XIX wieku mówiono na nich dodatkowo „Berliniarze", bowiem zajmowali się transportem rzecznym. Głównym ich zajęciem była jednak uprawa ziemi.

Osadnictwo olenderskie

No właśnie. Holendrzy w Polsce? Jak najbardziej, i nie tylko Holendrzy. Co prawda nie słynęli wówczas z plantacji marihuany, ale ich potrawy z buraków (buraczane powidła! – przepis na końcu artykułu) podbijały serca całej środkowej Europy. Olendrzy (słowo obejmujące całe osadnictwo korzystające ze specyficznego prawodawstwa, nie tylko więc geograficzni Holendrzy) zajmowali się rolnictwem, w tym zwłaszcza sadownictwem, a także uprawą zbóż i hodowlą zwierząt oraz rzemiosłem, głównie tkactwem, ale i tak zawsze kojarzyli się z… burakami. A wszystko zaczęło się podobno na Żuławach już w XVI wieku.

Na Mazowsze pierwsi osadnicy docierali z Fryzji i Flandrii. Często na skutek prześladowań religijnych. Tworzyli solidarne, izolujące się od okolicznych mieszkańców, zamknięte wspólnoty, rządzące się surowymi zasadami opartymi na dosłownej interpretacji Biblii. Ciężką pracą przekształcali podmokłe nadrzeczne nieużytki w świetnie prosperujące gospodarstwa. Zamieniając ugory i bagna w przynoszące znaczny dochód rolnicze ziemie, byli tolerowani nie tylko na obszarze Żuław, ale i w głębi Polski. Zapraszali ich do swoich dóbr nawet biskupi, nie czyniąc problemu z odmienności religijnej osadników.

Olendrowie obrządku mennonickiego na dobre poczuli się jak u siebie po rozbiorach Polski, kiedy znaczna ich część zalazła się w zaborze pruskim, faworyzującym protestantyzm. Do tego w XIX wieku osadnictwo to (a okolice Wyszogrodu to fala przybyszów z końca XVIII i początku XIX wieku) przybywa z terenów Niemiec i posługuje się językiem dolnoniemieckim. Taką tożsamość zachowują do II wojny światowej. – *Jeszcze przed wybuchem wojny, w sierpniu 1939 r. pod Wyszogrodem odbył się zjazd NSDAP. Kilkadziesiąt osób wsiadło na łodzie na Kępie Wyszogrodzkiej, by wziąć w tym udział. Dla nich III Rzesza była bliższa niż Rzeczpospolita. W pełni kolaborowali z okupantem. Dla części zakończyło się to samosądem – wykonanym na nich wyrokiem. Gdzieś na wyspie są pochowani…* – opowiada nam mieszkaniec Wyszogrodu, a inni zdają się powielać tę samą historię, jak widać dobrze utrwaloną w ludzkiej pamięci. Wskazano nam nawet miejsce domostwa, gdzie roze-

W tych domach nawet w czasach II RP mówiło się po dolnoniemiecku. Dzisiaj pozostały gdzieniegdzie tylko fundamenty.

grała się pod koniec wojny scena grozy. Ludzie jednak chcą zostać anonimowi. Można to zrozumieć.

Tymczasem zebraliśmy już wiedzę o nietypowych gościach na polskich ziemiach.

Szacuje się, że do końca XIX wieku wzdłuż Wisły powstało ok. 1,5 tys. osad olenderskich. Przybysze osuszali podmokłe tereny, karczowali lasy, budowali kanały i zbiorniki retencyjne. Ziemia wybrana w trakcie robót melioracyjnych służyła do budowy wałów oraz nasypów, zwanych terpami, chroniących przed powodzią. Na wzgórzach wystawiano wysokie domy. Wyspa, rowy, sady, wały, pola, zagrody, studnie, terpy i ślady po domostwach. Długa działalność osadników z głębi Niemiec wycisnęła specyficzne piętno – pozostawili po sobie niezwykle atrakcyjny krajobraz kulturowy, nie znajdujący właściwie nigdzie analogii. Wysoki poziom organizacji i integracji przestrzennej – systemy ochrony przeciwpowodziowej, melioracji wodnych, osadnictwa, komunikacji i rozłogów pól... Do dziś możemy podziwiać kunszt pracy tutejszych „Niemców"; dostrzec stworzoną przez mennonitów kulturę o niezwykle surowych obyczajach i zasadach, gdzie „religią" była praca. To wszystko zastaliśmy na naszej wyspie. I jestem przekonany, że przygotowywana przez nas dokumentację będzie czymś istotnym,

Żarno i stalowe zabytki spod wschodniej terpy.

„OLGA FOTH HOHENBURG" – napis na odnalezionej tabliczce nieistniejącego już domostwa olenderskiego.

Podkowa, luśnia z wozu i narzędzia osadników.

W trakcie konserwacji na drugiej stronie tabliczki ukazały się napisy robocze wykonane ołówkiem: „Julius Foth Insel Hohenburg", czyli Juliusz Foth Wyspa Wyszogród.

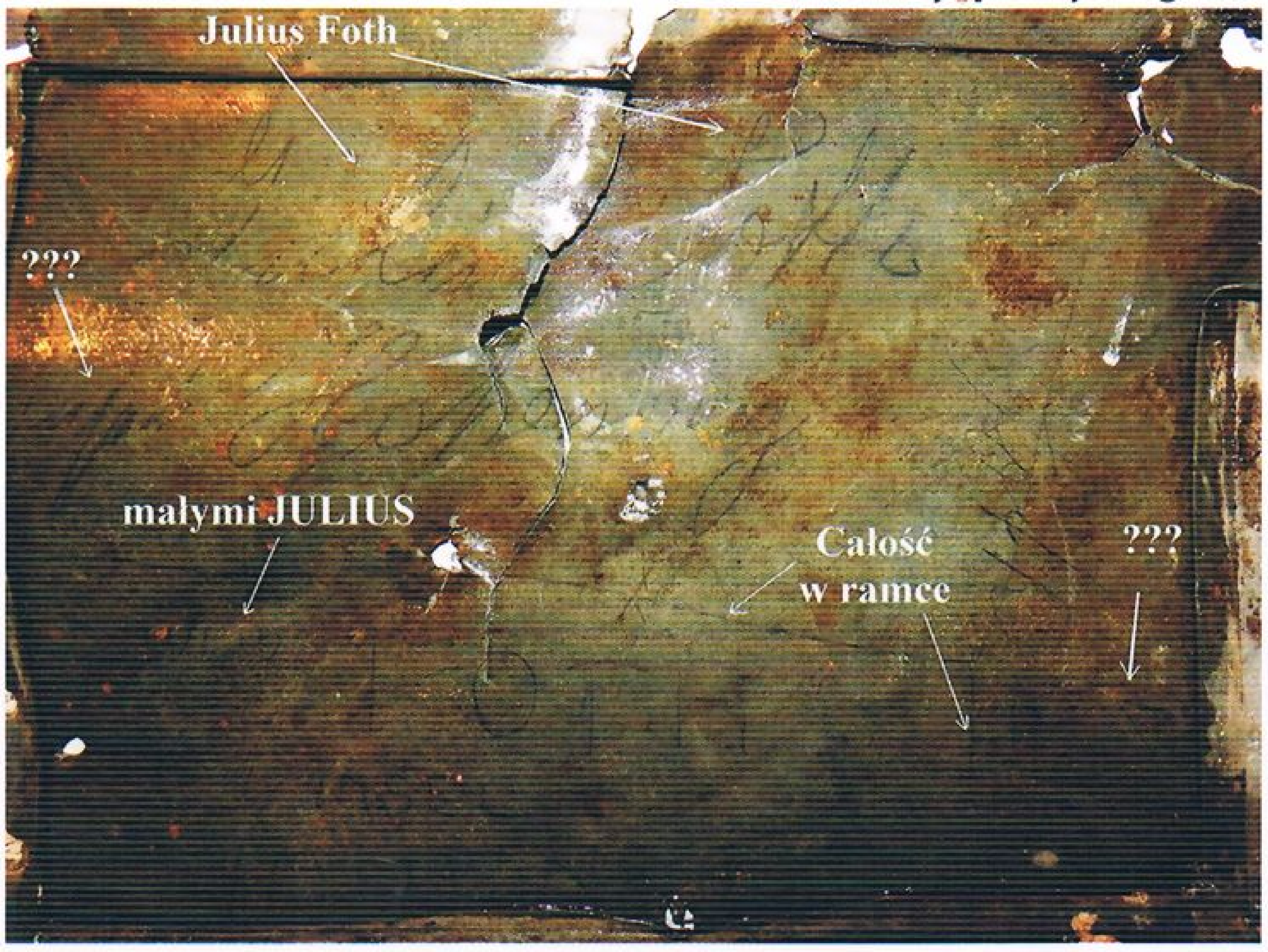

Jedna z dwóch zachowanych studni na wyspie. Podpisana: „T. Foth 1934". Pytanie brzmi: kim był T. Foth dla Olgi Foth z odnalezionej tabliczki?

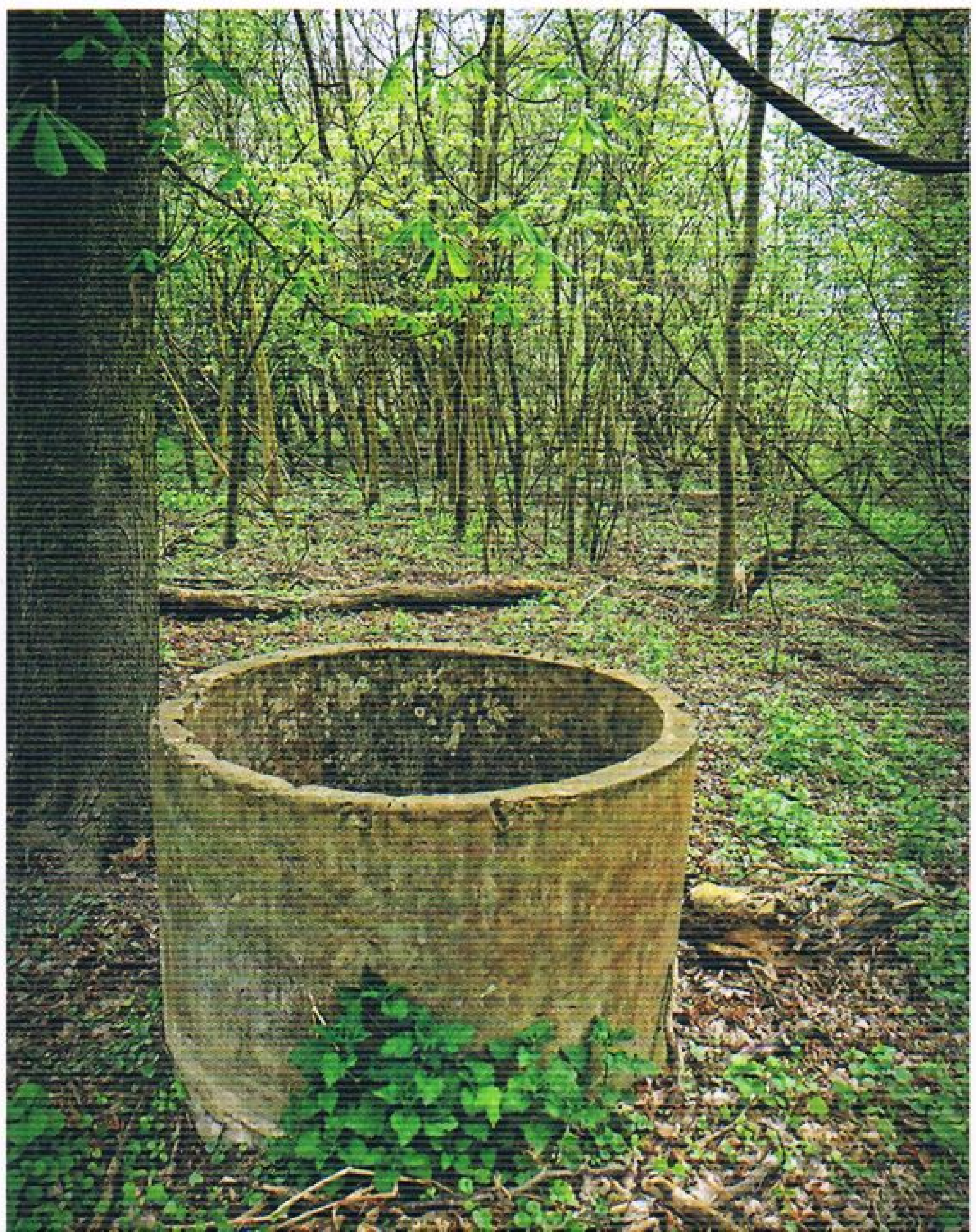

bowiem dotąd fragmentarycznie przebadano zwłaszcza pozostałości architektoniczne, do tego wyłącznie lądowe.

Akcję kończymy 31 grudnia 2015 roku, ale już teraz jest o czym mówić. Temat nieistniejących osad na wyspach rzecznych pozostaje w dużej mierze dziewiczy dla naukowców, a szkoda, bo historia mennonitów, którzy w Polsce znaleźli swoją drugą ojczyznę, jest osobliwością historyczno-krajoznawczą o znaczeniu wręcz europejskim.

Duże stalowe narzędzia, zwłaszcza rolnicze, to w pewnym sensie mennonicki różaniec codzienny...

Z detektorem przez tolkienowski las

Akcję prowadzi Przemek Korgul z MSHE oraz Witek Migal, archeolog z Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie – również członek naszego Stowarzyszenia. W poszukiwaniach, jak zwykle, wspierają nas niezawodni pasjonaci z Łodzi, zarówno ze Stowarzyszenia Eksploracyjno-Historycznego „Grupa Łódź", jak i najbardziej aktywnego w ostatnich dniach w Wyszogrodzie, Klubu Poszukiwawczo-Eksploracyjnego Eksplorer z Łodzi. Ci ostatni dali ognia... Ale o tym na deser.

Straż pożarna i tramwaj wodny transportują poszukiwaczy na brzeg. Nie ma tam drogi wodnej. Koryto rzeki meandruje. Ocieramy się o niewidoczne w wodzie konary przewróconych drzew. Wyskakujemy przy ostrej skarpie z wykrywaczami, saperkami, aparatami i... całym zestawem niezbędnym do dobrego wyszynku i wypitku. A co!? Nie jesteśmy przecież w pracy! To nasza pasja i czas odpoczynku, chociaż wyjątkowo aktywnego i pozytywnie męczącego (jakkolwiek brzmi to jak oksymoron...).

Butelki od XIX w. do wczesnego PRL można odnaleźć wokół domostw. Niestety, nie zlokalizowaliśmy wciąż głównego zasypiska śmieciowego... Tam musi się dziać!

Las podzieliliśmy na trzy główne gospodarstwa, widoczne na skaningu laserowym. Dystans z wykrywaczem od jednego olenderskiego domu do następnego – 40 minut! Tak, wyspa nie jest mała. Przeciwnie. I nie jest zaśmiecona (nie licząc plastikowych butelek i pływających śmieci, które gdzieniegdzie pozostawiła powódź, przynosząc je tu głównie z Warszawy). Na brzegu kilka rzadko odwiedzanych stanowisk wędkarzy i dosłownie kilka powędkarskich „pamiątek" w postaci puszek po alkoholu niskoprocentowym. Poza tym, cisza... Przez ponad 200 lat przez wyspę przewinęło się przynajmniej około tysiąca mieszkańców. To niedużo. Ziemia na początku milczy, także dlatego, że być może Wisła zalewając wyspę zostawiała zawsze nową warstwę mułu. Przynajmniej tak teoretyzujemy... Ta koncepcja pada pod argumentacją Witka Migala, który przekonuje nas, że gdyby tak było, LIDAR nie pokazałby śladów orki. Coś w tym jest. Chodzimy więc zdziwieni, nadal w ciszy, odnajdując jedynie pojedyncze przedmioty, nanosząc ich koordynaty GPS na mapkę, w którą wyposażony jest każdy z nas, aż nagle zaczyna się sygnałowe eldorado.

Terpy

Życie olenderskie toczyło się na wałach, drogach, sadach, polach, a zwłaszcza na usypanej postumentalnej górze (terpa); takim powiedzmy holenderskim grodzisku czy „mega" płaskim kurhanie, albo takiej piaskowej sypialni, gdzie osadnicy czuli się po prostu bezpieczni. Zawsze przecież zagrażała im życiodajna i śmiertelna zarazem woda.

Mosiężna klamerka kobieca – ozdoba dawnej mieszkanki wyspy.

Pojemniczek na „drobnicę" pt. miszmasz...

Żywioł, jakby nie patrzeć. Wśród terp, najlepiej zachowane miejsce osadnicze to wzgórze na środkowej części Kępy, gdzie po wojnie nadal mieszkali ludzie, aż do lat 70. XX wieku. Pozostały widoczne fundamenty przedwojennych budynków, piwnice, studnia. Z kolei na wschodniej stronie wyspy znajduje się drugi nasyp wśród zdziczałych sadów, w których wciąż kwitnące drzewka olenderskich jabłoni mogą być żyłą złota dla zakochanego w przywracaniu uprawy starych, historycznych odmian pomologa. Zarysy fundamentów zdradzają, gdzie stał budynek, a z obiektów częściowo naziemnych zachowała się tylko studnia z betonową cembrowiną. Na niej odkrywamy napis korelujący z innym zabytkiem... – *Pod domem odkryliśmy tabliczkę z nazwą Wyszogród, w języku niemieckim, oraz imieniem i nazwiskiem właściciela domostwa. Napis brzmi »OLGA FOTH HOHENBURG«. To rewelacyjne znalezisko. Wiemy już, kto dokładnie mieszkał na wyspie i gdzie szukać ewentualnych wspomnień z terpy wschodniej* (tej samej, gdzie Polacy mieli zlikwidować kolaborujących z hitlerowcami osadników – przyp. R.W.W.) – mówi Przemek Korgul, który podjął się opracowania zabytku. – *Dlaczego na tabliczce jest imię kobiety? Czyżby to była Olga Foth z domu Matis (urodzona w 1913 r.), której mąż zmarł młodo, w wieku 29 lat, co by tłumaczyło, dlaczego to właśnie jej imię znalazło się na tabliczce po śmierci męża?* – stawia pytania poszukiwacz. – *W trakcie konserwacji na drugiej stronie odkryliśmy napisy robocze, wykonane ołówkiem: »Julius Foth Insel Hohenburg«, czyli Juliusz Foth Wyspa Wyszogród. Odnajdujemy taką postać w internetowej bazie geneaologicznej – Julius Foth urodzony w 1860 r., który ożenił się w Wyszogrodzie w roku 1889 z Mathildą Drachenberg. Jedno pytanie rodzi kolejne, czy to Julius z odnalezionej tabliczki? Kim była dla niego Olga? Aby nie było zbyt prosto, na jedynej materialnej pozostałości po tym siedlisku, czyli cembrowinie studni, zachował się napis: »T. Foth 1934«. Teraz musimy spędzić niejedną godzinę w księgach ewidencyjnych w gminie i w różnych archiwach. Mamy też swój patent na identyfikację zabytków spersonalizowanych: portale społecznościowe i ich wyszukiwarki nazwisk i miejscowości. Przy szukaniu rodzin z nieśmiertelników wojennych, ta metoda świetnie się sprawdza* – dodaj Przemek.

Dwie terpy po domostwach to 90 proc. odnalezionych zabytków na wyspie. Życie toczyło się głównie tam, i to tutaj odnajdujemy wszystko, co służyło olendrom do codziennej pracy. A widać, że byli niemal samowystarczalni. Teren bez wątpienia nie był sterylizowany przez „konkurencję", a niektóre obiekty zalegające w ziemi, były olbrzymie, jak np. archaiczna kosiarka napędzana siłą końskich mięśni, wielki pług, kosa dwa razy większa od tych, które jeszcze gdzieniegdzie można spotkać na polskiej wsi, sierp, żarna, noże, brony, narzędzia do korowania drzew, stare nitowane koła od maszyn, części stalowe wozów (m.in. śliczna, ozdobna luśnia)... To wszystko nie kojarzy się zazwyczaj z „wykopkami", a tym razem było fenomenalnym odkryciem pokazującym, jak i czym radzili sobie tutejsi osadnicy, którzy słynęli z najbardziej wydajnego rolnictwa na całym Mazowszu! Oczywiście, były też monety (XIX i XX w.), galanteria, ozdoby ze strojów czy tak symboliczne na wyspie znaleziska jak typowy guzik Wehrmachtu – groszek, odnaleziony pod jednym z domostw, gdzie brak zupełnie śladów walki i chyba bardziej należy go wiązać z życiem codziennym tutejszych „Berliniarzy" nazywanych w Wyszogrodzie po prostu „Niemcami"...

Eksploratorzy z Łodzi dają popis

Podczas jednej z czerwcowych akcji ekipa z Łodzi z „Eksplorera" przyjechała do Wyszogrodu dzień wcześniej, kwaterując w Muzeum Wisły, korzystając z uprzejmości dyrektora placówki. Do rana mieli już dla nas cały plan działań. Wieczorem zintegrowali się z mieszkańcami tak bardzo, że ci pokazali im nie tylko, gdzie przed wojną stała synagoga (zresztą niemal po sąsiedzku z Muzeum), ale starsi Wyszogrodzianie wskazali palcem betonowy blok, pod którym rzekomo znajdować się miał tunel. Mieszkańcy zastrzegali, że potrzeba ciężkiego sprzętu, by blok ruszyć z miejsca, a lokalny Ursus poległ przy tym zadaniu. Nie wiadomo, jak chłopcy z Łodzi tego dokonali (podobno za sprawą dźwigni prostej), ale kiedy do nich dojechaliśmy, znanemu w środowisko detektorystów „Restyemu" wystawała już tylko głowa znad ziemi... Faktycznie. Ludzi warto słuchać.

Odkryty „tunel" rozchodzi się w cztery strony i jest prawdopodobnie kanałem ściekowym wykutym u wylotu w kamieniu, co raczej skłania do datowania obiektu, być może na XIX wiek. Tuż pod powierzchnią znalazły się śmieci z czasów PRL. Im głębiej, tym starsze. Aby wejść kanałem pod drogę, należałoby zrobić tam osobną inicjatywę, ale wydaje się, że temat badawczy jest bardzo ciekawy i przyszłościowy. A skoro koledzy z Łodzi czekając na nas i nudząc się odkryli kanały pod dawną synagogą, to na tym się nie mogło przecież skończyć. Udało im się przekonać proboszcza w Wyszogrodzie, by zezwolił wśliznąć się przez wyłom w murze piwnicznnym do zamkniętej od lat części krypt. Widok był do przewidzenia...

To jednak pozostawiam wyobraźni Czytelników „Odkrywcy", zachęcając Klub Poszukiwawczo-Eksploracyjny „Eksplorer" z Łodzi do sfinalizowania swoich odkryć. W każdym razie, dziękujemy kolegom po szpadlu za wsparcie! Nasze poszukiwania w Wyszogrodzie trwają. Powoli trzeba myśleć o dokumentacji... Tak rozumiemy odpowiedzialność za odkrywaną historię. Póki co, wyspa pozostaje nadal w dużej mierze tajemnicą. Do wielu jej zakamarków wciąż jeszcze nie zajrzeliśmy.

Buraczane powidła

Przepis „z dziada pradziada" na holenderskie powidła z buraków. Spisał Krystian Karbaszewski, prawnuczek Józefy Dębickiej, ur. w 1905 r., która żyjąc na styku z kulturą olenderską, przejęła m.in. ich dawną kuchnię i przekazała potomkom. Tradycja trwa więc do dzisiaj. Oto przepis zapamiętany przez panią Józefę na powidła z buraków cukrowych (zaczerpnięte z pracy szkolnej prawnuczka pani Dębickiej – Krystiana Karbaszewskiego):

Składniki:

100 kg buraków cukrowych,15 kg jabłek, 15 kg dyni.

Przygotowanie:

Obieramy i płuczemy buraki cukrowe, gotujemy aż do miękkości. Odlewamy wodę, buraki wrzucamy do drewnianego koryta i drobno siekamy. Po trzy miseczki posiekanych buraków wsypujemy w kawałki szarego płótna (zwanego płatami). Wkładamy do odpowiedniej prasy przyciskami ciężkimi talerzami. Kręcimy odpowiednią korba i wyciskamy sok. Sok buraczany wlewamy do miedzianego kotła, dokładamy również obrane jabłka i dynie i gotujemy ok. 4 godz. W ten sposób uzyskujemy buraczane powidła.

Robert Wit Wyrostkiewicz
Poszukiwacz, redaktor naczelny serwisu Archeolog.pl, dziennikarz, współzałożyciel Komitetu Zachowania Reduty Ordona, prezes Mazowieckiego Stowarzyszenia Historycznego „Exploratorzy.pl", uczestnik wielu badań archeologicznych i poszukiwawczych w Polsce i zagranicą. Darczyńca wielu muzeów państwowych i prywatnych.

Neuen Kriegsgefangenenfriedhof Stalag IID Stargard/Pommern

Zaginiony cmentarz radzieckich jeńców wojennych – poszukiwany…

JAROSŁAW TOMCZAK

Obóz jeniecki Stalag IID Stargard/Pommern był obozem wielonarodowym. Przebywali w nim jeńcy wojenni ze wszystkich prawie armii walczących przeciwko hitlerowskim Niemcom. Można by rzec, obóz jakich wiele na terenach ówczesnej III Rzeszy. Skrywa on jednak tajemnicę. Tajemnicę zaginionego cmentarza dla radzieckich jeńców wojennych – Neuen Kriegsgefangenenfriedhof.

Nikt do tej pory nie wiedział, że takowy cmentarz istniał, nie znano ani jego nazwy, ani lokalizacji. Wiedzieli o nim tylko ci, którzy na nim spoczęli… Zastrzeleni, pobici na śmierć, zmarli w męczarniach skrajnie wycieńczeni głodem. Zabili ich Niemcy, a swoi skazali, jednym rozkazem marszałka Siemiona Timoszenko, na zapomnienie. Pamięć o nich przepadła. Pozbawiono ich życia, honoru, a Ojczyzna się ich wyparła. Nie mają grobów z tabliczkami z imieniem i nazwiskiem – z tą najkrótszą opowieścią kim byli…

Uważam, że należy przywrócić pamięć o nich, przywrócić im tożsamość, zwrócić honor i pochować jak ludzi. Każdemu bowiem należy się godny pochówek. Śmierć jest wszędzie taka sama, krew ma ten sam kolor, a łzy matek mają taką samą wagę. Nie należy tego w żaden sposób dzielić. Takie jest moje zdanie, jako człowieka.

Swoje poszukiwania oparłem o bazę danych Międzynarodowego Stowarzyszenia Memoriał (OBD Memorial), archiwa, fragmenty w literaturze tematu dotyczące prób wskazania lokalizacji miejsc pochówków radzieckich jeńców wojennych. W latach 2009-2013 prowadziłem korespondencję z byłym radzieckim jeńcem Stalagu IID śp. Olegiem Maruta-Sukało Krasnopolskim (1914-2013). Jego relacje i wskazówki były dla mnie największą inspiracją i w znacznym stopniu przyczyniły się do ustalenia przeze mnie lokalizacji tego cmentarza. Dzięki jego relacjom, jako naocznego świadka, powstał opis traktowania radzieckich jeńców wojennych i warunków, w jakich przyszło im żyć i umierać w Stalagu IID. Tylko niewielki fragment tego jest zawarty w tym artykule.

Stalag IID – I wojna światowa

Obóz dla jeńców wojennych Kgf. Lager Stalag IID Stargard/Pomm. (Gefangenenlager Nr-17) zlokalizowany był na północnych obrzeżach miasta, przy Torfmoorweg (obecna ul. Reymonta). Obiekty obozu usytuowano bezpośrednio za terenem obecnego Międzynarodowego Cmentarza Wojennego (dalej MCW) przy ul. Reymonta. MCW był miejscem ostatniego spoczynku jeńców tego Stalagu – wielu narodowości, różnych armii walczących przeciwko kajzerowskim Niemcom – m.in. Rosjan, Serbów, Rumunów. Jeńcy rosyjscy stanowili większość pochowanych na tym cmentarzu, zwanym z tego powodu Russenfriedhof.

Stalag IID – II wojna światowa

Obóz jeniecki Stalag IID Stargard/Pomm. (Kriegsgefangenen Mannschaftsstammlager IID Stargard in Pommern) powstał na zachodnich obrzeżach miasta na przełomie sierpnia i września 1939 roku. Do 19 października 1939 r. funkcjonował jako obóz przejściowy pod nazwą „Dulag L" (Durchgangs Kriegsgefangenenlager L Stargard/Pomm.). Był on jednym z wielu obozów na terenie II Okręgu Wojskowego Wehrmachtu (dalej II OW). Dyslokowano go na wydzielonym obszarze przykoszarowego placu ćwiczeń (Exerzier Platz), położonym w zachodniej części miasta pomiędzy ul. Szczecińską (Stettinerstrasse) i Al. Żołnierza (Scharnhorststrasse). Przeznaczony był na potrzeby kampanii wojennej przeciwko Polsce.

W początkowym okresie jeńcy polscy zakwaterowani byli w dużych namiotach, a jedynymi obiektami murowanymi były: stołówka, lazaret, łaźnia i szalet. W następnych miesiącach wybudowano baraki drewniane, a w latach późniejszych (od 1940 r.) baraki murowane (ceglane). W 1939 r. utworzono w Stargardzie szpital dla jeńców wojennych, Kriegsgefangenen Lazarett II, znany też jako Reserve Lazarett II. Mieścił się on przy ul. Schröderstrasse (obecnie są to zabudowania Szkoły Podstawowej nr 3 oraz Gimnazjum nr 2. przy ul. B. Limanowskiego). Służbę wartowniczą obozu zabezpieczały pododdziały z 980. Batalionu Strzelców Krajowych (Landesschützen-Bataillon), który w różnych okresach uzupełniały w służbie 982. i 271. Bataliony Strzelców Krajowych.

Ocalałe baraki typ-2. Strefa dla radzieckich jeńców wojennych.

Jeńcy radzieccy

22 czerwca 1941 r. po napaści Niemiec hitlerowskich na Związek Radziecki, na tereny III Rzeszy masowo zaczęli napływać jeńcy z rozbitych jednostek Armii Czerwonej. Do Stalagu IID Stargard/Pomm. jeńcy radzieccy zaczęli przybywać dopiero wczesną jesienią 1941 r. Stalag IID przeznaczony był dla szeregowych i podoficerów, jednak przebywała tu zarówno kadra oficerska, jak i cywile. Nowo przybyłych zapoznawano z regulaminem obozowym. Podstawą była komenda „Achtung", na którą to, bez względu na porę dnia i nocy, jeniec był obowiązany natychmiast stanąć w pozycji na baczność. Za jej opieszałe wykonanie wszyscy dostawali kijami. Ostrzeżono jeńców, iż do opuszczających barak nocą wartownik strzela bez ostrzeżenia. Naruszenie zaciemnienia (verdunkelung) groziło natychmiastowym ostrzałem baraku z wież wartowniczych.

Po takim „powitaniu" jeńców zakwaterowano w drewnianych, stojących na półmetrowych podporach, barakach. Montowane były na miejscu z gotowych prefabrykatów. Wyposażenie baraku stanowiły drewniane, piętrowe prycze (kojki). Do spania służył papierowy materac wypełniony słomą lub ciętym papierem, a do ogrzewania, umieszczony centralnie żeliwny piecyk typu „koza". Wystroju dopełniał kubeł na nieczystości zwany „parasza". Latem w barakach było nieznośnie gorąco, zaś jesienią i zimą panował przenikliwy chłód. Zimą wydawano na barak po dwa wiadra brykietu na dobę. Niemcy dbali o higienę jeńców, więc „odwszawianie" było regularne. Jeńcy otrzymywali także mydło i pastę do zębów. Dbano o czystość baraków i latryn. Nawet za niewielki bałagan w latrynie lub łaźni można było być pobitym na śmierć.

Głód, choroby i „policja obozowa"

Największym problemem było jednak skrajnie niedostateczne wyżywienie. Nie dość, że racje były głodowe, to jeszcze jeńcy radzieccy byli okradani z żywności przez obozowe kanalie tzw. „policję obozową" – w żargonie obozowym nazywanych „policajami". Byli oni rekrutowani przeważnie spośród elementu kryminalnego, będącego w szeregach jeńców. „Policaj" dostawał opaskę na rękaw, do ręki dębową pałkę zwaną „dubinka" i prawie nieograniczoną władzę, stając się panem życia i śmierci swoich współtowarzyszy niedoli. Zmienili oni życie jeńców w piekło... Jak na ironię, jeńcy nienawidzili ich bardziej, niż Niemców. Według relacji byłego jeńca tego obozu, wojenwetwracza 3-ranga,[1] Olega Maruty Sukało-Krasnopolskiego, tak wyglądało okradanie jeńców z żywności przez „policajów": *„Pod nadzorem »policaja« dyżurny pobierał z obozowej kuchni »bałandę«[2] do pojemnika (baczok), który następnie dostarczano do baraku. Tam przejmował go starszy baraku. Pomimo tego, to »policaj« jako pierwszy, chochlą, wydobywał wszystko, co najlepsze: kartofle, marchewkę, kości. Zdobycz przelewał do pojemnika przeznaczonego dla niego i jego »świty«. Oprócz tego »policaje« zawsze odlewali kilka dużych kociołków (bajanów)[3] dla późniejszej ich wymiany na »pajkę«[4] chleba, papierosy, ubrania itp. Takim sposobem dla jeńców pozostawała »zupa«, w której poza wodą i brukwią nic już nie było"*. Ten „posiłek" uzupełniał jeden bochenek (buchanka) chleba na dzień, który przypadał na 10. ludzi, czyli 100 gram na człowieka! Jak stwierdził Oleg, pobyt w Stalagu IID to były dla niego *„najbardziej straszne miesiące podczas całej niewoli. Wszystkie myśli były skupione tylko na tym, jak zdobyć cokolwiek do jedzenia, czym można by było zapełnić wiecznie pusty żołądek. Uczucie głodu było największą psychiczną męczarnią dla jeńców"*.

Kociołek-bajan, przedmiot największego pożądania jeńców rosyjskich.

Skrajnie niedożywionych jeńców zmuszano jednocześnie do pracy ponad siły zarówno w obozie, jak i w podległych mu komandach zewnętrznych (Arbeitskommando – dalej Akdo). Skutkiem tego był lawinowy wzrost zachorowań, a tym samym, gwałtownie wzrosła śmiertelność. Jeńcy radzieccy przyjmowani na stan ewidencyjny Stalagu IID, w zdecydowanej większości w karcie personalnej (Personalkarte) posiadali wpis: gesund – zdrowy, 3-4 miesiące później umierali. Najczęstszymi przyczynami zgonów radzieckich jeńców były m.in.: ogólne wyniszczenie organizmu, nieżyt jelit, zapalenie płuc, gruźlica, dur plamisty (tyfus). Odnotowano także pojedyncze przypadki malarii. Jeńcy umierali cicho, nocą w barakach, w Reservelazarett II, w Lagerrevier i baraku 11B („kaput komando").[5] Po obozie snuły się cienie ludzi, ostatkiem sił ciągnący swoje nogi obute w „kołodki".[6] Szli na apel. Dla wielu z nich ostatni.

Śmierć zbierała swoje żniwo także z powodu nieludzkiego traktowania przez Niemców i samowoli „policajów", którzy z byle powodu

Los człowieka zapisany na kawałku aluminium: Grabow Paweł Emeljanowicz-D2, 12 XI 1941 r.

„dubinką" okładali swoich towarzyszy niedoli. Jeśli zdarzyło się pobicie jeńca ze skutkiem śmiertelnym, wpisywano w kartę: „przyczyna śmierci nieznana" (Todesursache unbekannt). Takich przypadków w 1941 r. było 76. Należy z całą stanowczością stwierdzić, iż okradanie, dręczenie i pobicia jeńców radzieckich przez „policajów" odbywały się za wiedzą i zgodą Niemców. Paradoksalnie, czasami większe szanse

Arbeitskommando (Akdo) Sophienhof – Oleg oznaczony czerwoną strzałką.

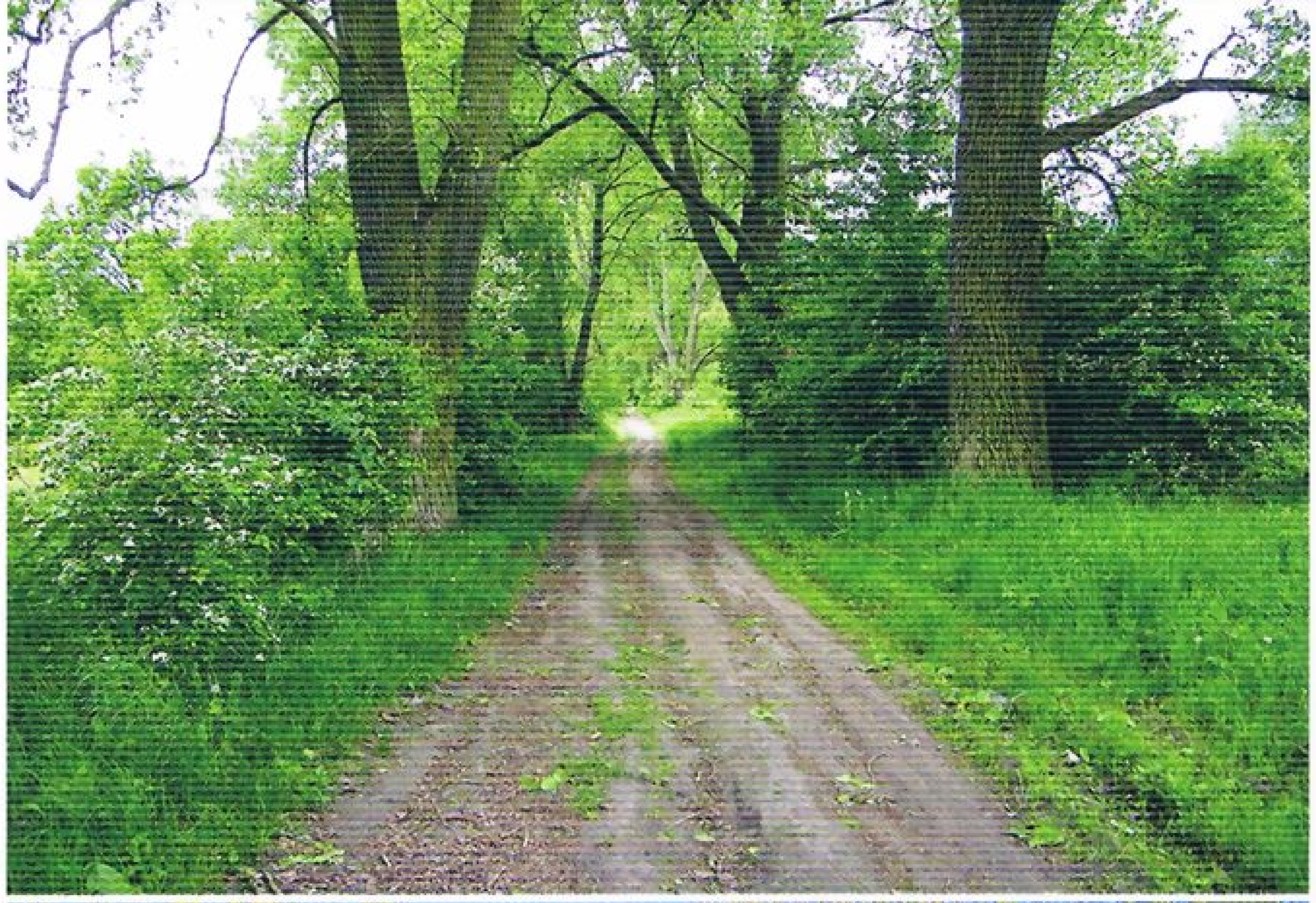

Droga z obozu na Nowy Cmentarz (Neuen Kgf.Friedhof).

przeżycia radzieckiemu jeńcowi wojennemu stwarzał pobyt w zewnętrznym Akdo. Szczególnie jeśli trafiło się na dobrego bauera i wachmana, bo i tacy się wśród Niemców zdarzali. Takie „szczęście" miał Oleg, gdy został przeniesiony do Akdo Sophienhof. Odżył i przeżył, a był już „dochodjagom"[7] w drodze do „kaput komando".

Nowy Cmentarz (Neuen Kriegsgefangenen-friedhof)

Szukając przyczyn tak dramatycznych warunków bytowych, można by wstępnie założyć, że komendantura obozu była nieprzygotowana na przyjęcie rosnącej z miesiąca na miesiąc liczby radzieckich jeńców. Faktycznie, mogło to powodować określone trudności logistyczne, jak się jednak okazuje, było to działanie zamierzone. Bowiem w pełni zdawano sobie sprawę z tego, iż skutkiem niedostatecznego wyżywienia, śmiertelność będzie wysoka. Tylko w jednym miesiącu pochowano na Russenfriedhof 120 (!) jeńców radzieckich, udokumentowanych przeze mnie z imienia i nazwiska (łącznie 139). W tej sytuacji oczywistym stało się, że stary Russenfriedhof nie pomieści zwłok tych, których z góry skazano na powolną śmierć. Szybko podjęto decyzję o założeniu nowego cmentarza.

Na przykoszarowym placu ćwiczeń wydzielono obszar w kształcie okręgu i powierzchni około 1ha. Na jego obwodzie posadzono 20 drzew, które wyznaczyły jego granice. Dojazd na Nowy Cmentarz zapewniła stara, utwardzona droga polna, prowadząca do położonej na zachodnim skraju placu ćwiczeń miejscowości Lipnik-Lindenberg. Nowy Cmentarz został centralnie posadowiony w przebiegu ww. drogi, przez co stałaby się ona drogą dojazdową tylko do niego. Wytyczono więc, po północnej stronie cmentarza, jej nowy przebieg, „spinając" drogę ze starym jej przebiegiem – za cmentarzem.

Nowy Cmentarz (Neuen Kgf. Friedhof) przeznaczony był na pochówki wyłącznie jeńców, jednak w wykazach pochowanych występują również osoby cywilne. Zmarli jeńcy pochodzili z różnych obozów II OW, lecz nie tylko. Wynikało to ze znacznej ilości komand zewnętrznych podległych Stalagowi IID, których składy osobowe uzupełniano jeńcami z innych obozów.

Według zachowanej dokumentacji, pierwszym pochowanym jeńcem na Nowym Cmentarzu był szer. Golicyn Ewstafij Andrejewicz, nr obozowy: 2373, zmarły 02.10.1941 r. Należy zaznaczyć, że jeszcze przez cały październik 1941 r. równolegle chowano zmarłych radzieckich jeńców wojennych na starym Russenfriedhof. Po tym okresie zdarzały się już sporadycz-

Obszar NeuenKgf.Friedhof. – wysokie drzewa, północny obwód.

nie przypadki pochówków na tymże cmentarzu.

Na Neuen Kgf. Friedhof pochówki odbywały się przez cały okres wojny. Oczywiście nie ma tu mowy o pogrzebach zgodnych z ceremoniałem wojskowym, jakie Niemcy zapewniali czasami zmarłym jeńcom z krajów zachodnich. Procedura „pogrzebowa" była w przypadku jeńców radzieckich maksymalnie uproszczona. Każdego ranka pod nadzorem wachmana specjalne komando, ciągnąc ze sobą, za dyszel, ciężki dwukonny wóz, dokonywało obchodu baraków, z których wynoszono zwłoki zmarłych nocą jeńców. Ciała układano przed barakiem, następnie wachman odłamywał część „birki",[8] po czym zwłoki układano na wóz, wywożąc je poza teren obozu. Zgodnie z dokumentacją obozową pomiędzy październikiem a grudniem 1941 r. zmarło 973 jeńców, czyli 324 osoby miesięcznie! W samym 1942 zmarło 1077 jeńców, co oznacza, że co miesiąc umierało ich 89. Nowy Cmentarz zapełniał się więc w szybkim tempie…

Od 1943 r. liczba zgonów zaczęła spadać i wynosiła odpowiednio: w tymże roku zmarło 492 jeńców, w tym 26 oficerów (41 osób miesięcznie), w kolejnym już „tylko" 129 jeńców (10 jeńców miesięcznie).[9] Ze względu na brak zachowanej dokumentacji nie jestem w stanie przytoczyć danych za rok 1945.

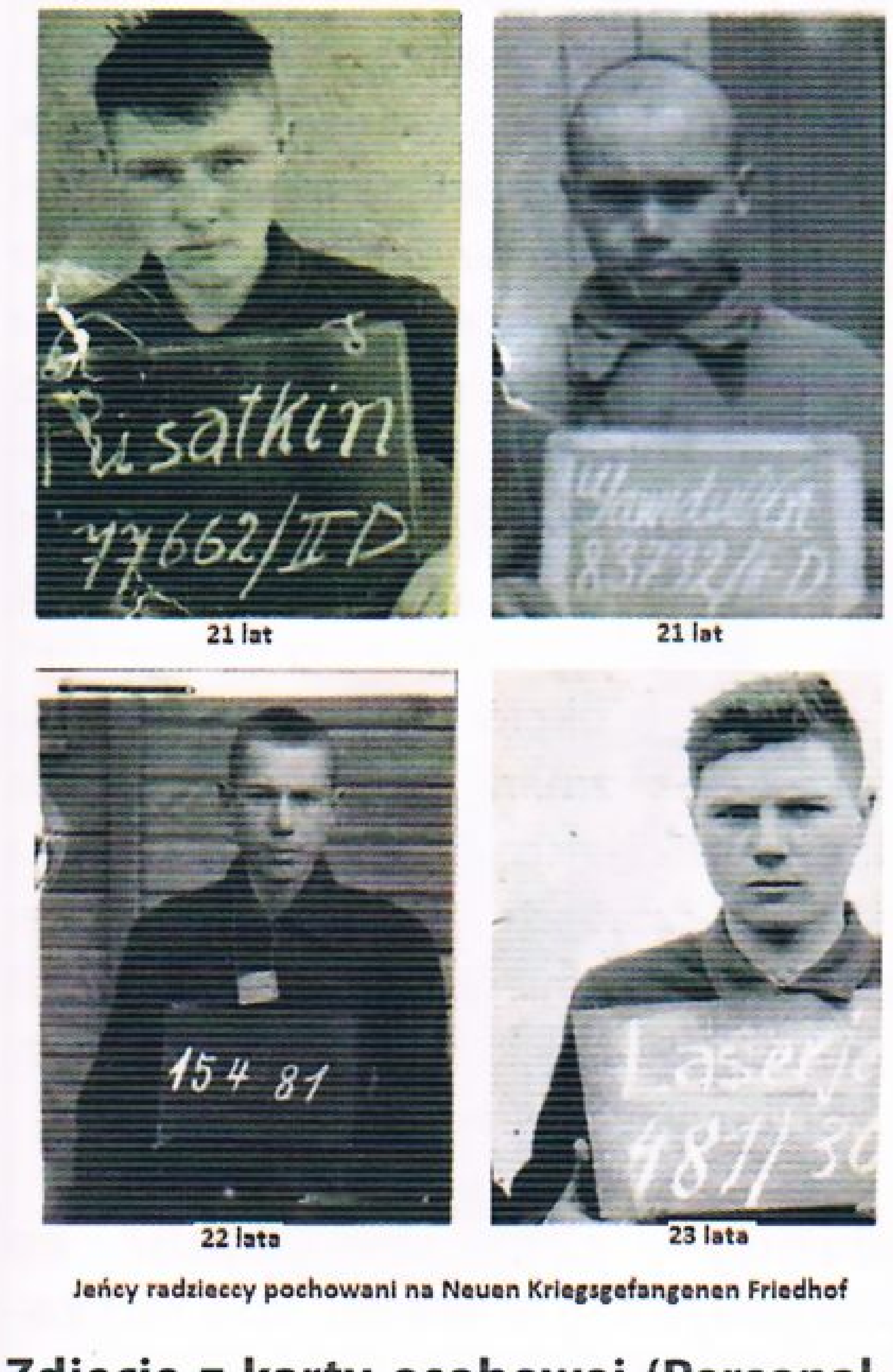

Zdjęcie z karty osobowej (Personalkarte-I). Źródło: OBD Memorial. Data dostępu: 06.07.2015 rok.

Ewakuacja Stalagu IID i zajęcie go przez Armię Czerwoną

W obliczu błyskawicznie zbliżającej się do Stargardu Armii Czerwonej, zarządzono ewakuację Stalagu IID. Pierwszy jej etap rozpoczął się 29 stycznia, a następny 2 lutego 1945 roku. W tym też momencie rozpoczęło się „samoistne" zacieranie śladów po Neuen Kgf. Friedhof. Stalag IID do momentu zajęcia Stargardu przez Armię Czerwoną, był wykorzystywany jako punkt etapowy przemieszczających się na zachód grup jeńców z innych obozów. 5 marca 1945 r. Stargard został zdobyty siłami 61. Armii (gen. P. A. Biełowa), 2. Armii Pancernej Gwardii (gen. S. I. Bogdanowa) oraz jednostek z 65. Armii (gen. P. I. Batowa) ze składu 1. Frontu Białoruskiego. Teren byłego już obozu jenieckiego Stalag IID został zajęty przez szpitale polowe Armii Czerwonej: 131. HPPG,[10] 4717. HPPG, 4256. IG[10a] ze składu 112. PEP[11], oraz 5139. HPPG, 4319. HPPG i 192. PPG ze składu 205. PEP 65. Armii. Na potrzeby pochówków zmarłych w tychże szpitalach żołnierzy radzieckich, urządzono polowy Cmentarz Wojenny, usytuowany od strony głównej bramy wjazdowej do obozu, przy obecnej Al. Żołnierza.

Jest to ważna informacja, gdyż wskazuje, iż nie wykorzystywano do tych celów terenu Nowego Cmentarza. Moim zdaniem przyczyn wymazania ze świadomości zbiorowej jego istnienia, było kilka:

1. Stalag IID został ewakuowany w całości, nie było więc świadków, mogących osobiście wskazać położenie cmentarza.
2. Wymiana ludności na tym terenie, efekt jw.
3. Rozkaz nr: 270 marszałka Siemiona Timoszenko z 16.08.1941 r., który mówił, iż *„poddających się należy uznawać za złośliwych dezerterów podlegających uwięzieniu jako łamiących przysięgę i zdradzających swą ojczyznę"*.
4. Obszar ten był terenem wojskowym. Władał nim Wehrmacht, Armia Czerwona i Wojsko Polskie. Siłą rzeczy wstęp na niego był utrudniony, lub wręcz niemożliwy.

Mając jednak na uwadze fakt stacjonowania na terenie byłego Stalagu IID radzieckich jednostek wojskowych, we władaniu których był również teren, gdzie znajdował się Neuen Kgf. Friedhof, nie należy wykluczać żadnej opcji.

Okres powojenny i współczesność – próby lokalizacji

Po roku 1947 szpitale Armii Radzieckiej (od kwietnia 1945 r. – 40. PEP, 14. MEP SGW)[12] opuściły teren Stalagu IID. Rejon, w którym znajdował się Nowy Cmentarz, został włączony do przykoszarowego placu ćwiczeń „Kunowo".

W powojennej literaturze usiłowano określić położenie, chociażby przybliżone, tego cmentarza, korzystając m.in. z zeznań byłych jeńców tegoż obozu. Podawane lokalizacje były przeważnie dosyć ogólnikowe. Zeznania złożone przez polskich jeńców Stalagu IID przed p. Jerzym Ostrzyżkiem (Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce Oddział/Szczecin) określają kierunek wywożenia zwłok: *„W 1942 i 1943 r. jeńcy radzieccy wywozili powózkami z terenu obozu zmarłych swoich współtowarzyszy niedoli, przewożąc ich następnie obecną ul. Szczecińską na miejsce pochowania w polu, poza obozem, koło wsi Lipki"*.[13]

Po lewej stronie tej drogi znajdował się polowy cmentarz żołnierzy Armii Czerwonej.

Moim zdaniem tezę o transportowaniu zwłok ul. Szczecińską należy całkowicie wykluczyć. Do tych celów służyła alternatywna i równoległa do niej droga polna, prowadząca bezpośrednio na Nowy

Brama od strony północnej, którą zwłoki zmarłych opuszczały obóz.

Cmentarz. Określenie miejsca pochowku na „polach" koło „wsi", nie ma żadnego racjonalnego uzasadnienia. Wystarczająco duży był teren placu ćwiczeń, aby umiejscowić na nim nie rzucający się w oczy cmentarz. Co też i uczyniono. Z kolei Andriej Pirogow[14] w swojej publikacji wspomnieniowej stwierdza: *„Tuż za ogrodzeniem obozu, dosłownie dwadzieścia metrów od baraków, grzebano zmarłych. Radzieckich jeńców chowano we wspólnych grobach. Kopano głęboki rów, układano zwłoki w stos, jedne na drugich i przysypywano wapnem. Potem układano drugą warstwę, trzecią, a z góry znów posypywano wapnem i zawalano ziemią".* Podana odległość cmentarza od ogrodzenia nie wchodziła w rachubę z przyczyn zarówno fitosanitarnych – zbyt blisko obozu – jak i sąsiedztwa ruchliwej ul. Szczecińskiej (Stettinerstrasse). Inni autorzy, jako lokalizację tego cmentarza, wskazywali znane już *„pola koło wsi Lipki"*.[15]

Do 1996 r., kiedy to część placu ćwiczeń wraz miejscem, gdzie wg mnie znajdował się Nowy Cmentarz, została przekazana jako działka nr 123/3 dla Wojskowej Agencji Mieszkaniowej Oddział Regionalny Szczecin (dalej WAM OR-Szczecin), z przeznaczeniem na sprzedaż pod budownictwo mieszkaniowe i usługi, wstęp tutaj był zabroniony. Nikt nie prowadził żadnych badań ani poszukiwań na tym terenie.

W latach 2013-2014 dokonałem w Stowarzyszeniu Memoriał kwerendy około 9 tysięcy kart personalnych. Pomogło mi to zawęzić obszar moich poszukiwań do granic ówczesnego placu ćwiczeń – Exerzierplatz. Jednak to informacja od nieocenionego Olega Krasnopolskiego, który stwierdził, że: *„wóz ze zwłokami zmarłych, ciągnięty był do północnej bramy obozu (od ul. Szczecińskiej, następnie jechał w lewo (kier. m. Lipnik), gdzie około 250-300 m od bramy znajdowała się zbiorowa mogiła"*, wskazała niemalże dokładne położenie cmentarza.

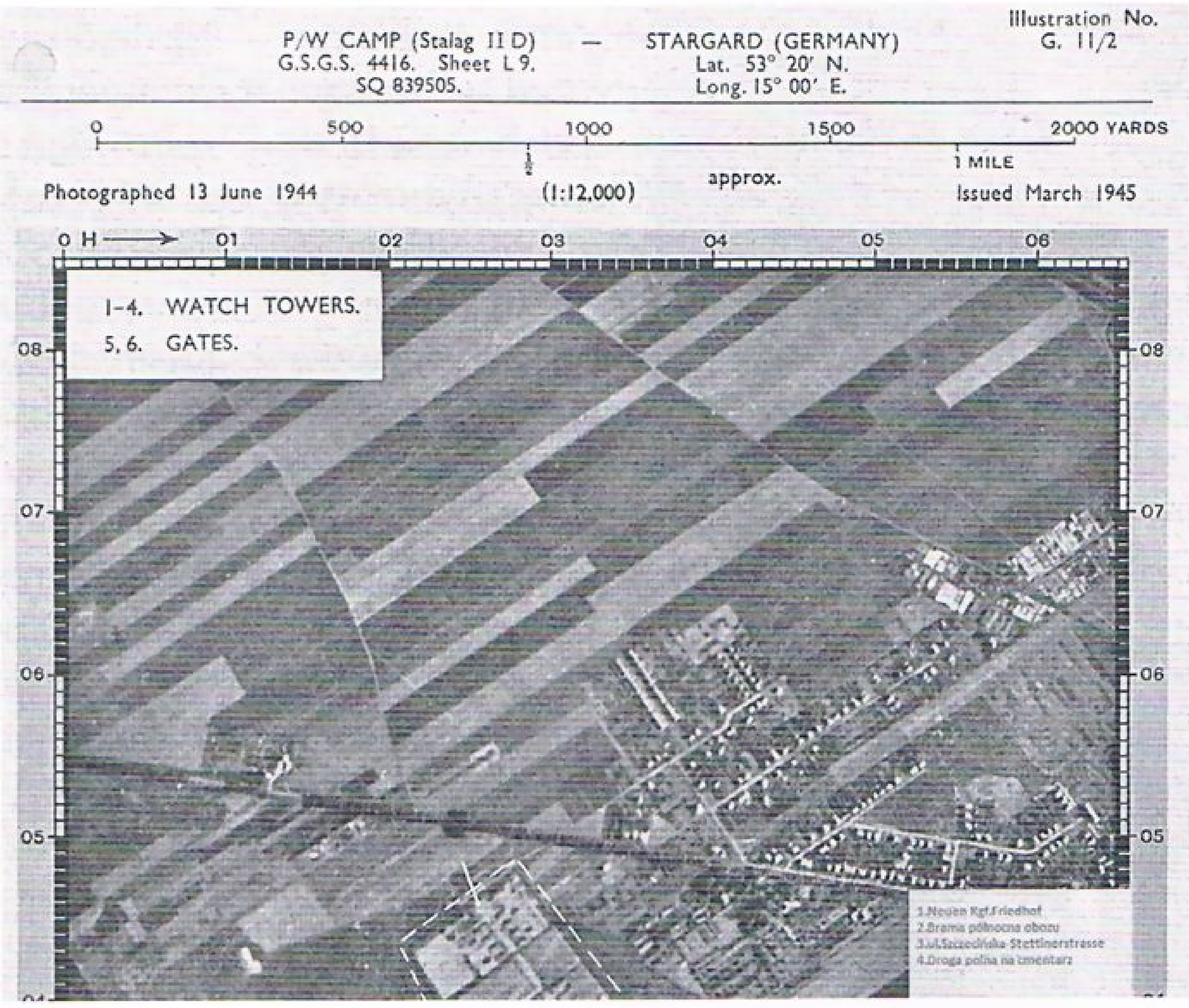

Fragment obozu Stalag IID. Widok na Nowy Cmentarz. Rok 1944. National Archives Kew.UK. dok.AIR34/636. Data zakupu maj 2008 rok.

W swoich zbiorach posiadałem kopię fotografii lotniczej Stalagu IID i obszaru wokół niego, wykonaną 13.06.1944 r., którą zakupiłem w 2008 r. z brytyjskiego National Archives w Kew.[16] Po jej dokładnej analizie, wskazówkach z Memoriału oraz sugestii Olega, doszedłem do wniosku, iż Neuen Kriegsgefangenenfriedhof znajdował się około 450 m w kierunku zachodnim od północnej bramy wjazdowej do obozu. W zbliżeniu tego obszaru, na wycinku zdjęcia, bez większych problemów można dostrzec zarys cmentarza, jak i miejsce pochówków. Obszar ten w chwili obecnej posiada prawie niezmieniony obrys, drzewostan, oraz drogę dojazdową.

Dokonałem rozpoznania terenowego, połączonego z wykonaniem fotografii. Pozwoliło mi to utwierdzić się w przekonaniu, iż jest to właściwy obszar. Oczywiście wiadomo, iż miarodajnym czynnikiem byłyby badania terenowe (wykopy powierzchniowo-sondażowe) na obszarze, który wskazałem. Analizując i tłumacząc karty personalne, wykonałem jednocześnie imienne zestawienie zmarłych jeńców radzieckich pochowanych na tymże cmentarzu. Tu muszę zaznaczyć, że jeśli ktoś sądzi, że Niemcy mieli przysłowiowy porządek w dokumentacji, to się grubo myli. Ilu pisarzy, tyle wersji wpisów w kartach. Zdarzają się wpisy niechlujne, jak i niekompletne. Prawdopodobnie w wielu przypadkach były to działania zamierzone, mające na celu ukrycie rzeczywistej liczby zmarłych. Z wykonanego przeze mnie imiennego zestawienia wynika, że na chwilę obecną pochowano na tym cmentarzu około 2,5 tys. żołnierzy, oficerów i osób cywilnych. Liczba ta może ulec zmianie. Raczej na większą. Należy wziąć pod uwagę fakt, iż w kartach około stu radzieckich jeńców, którzy zmarli w Stalagu IID, nie określono miejsca pochówku. Nie jest też wykluczone, że obszar tego cmentarza mógł być miejscem wcześniejszych pochówków jeńców innych narodowości przebywających w Stalagu IID.

Urzędy – czyli jak ustalić, co znajduje się w ziemi, nie ruszając się zza biurka…

O tym, co udało mi się ustalić, postanowiłem powiadomić, jak mi się wyda-

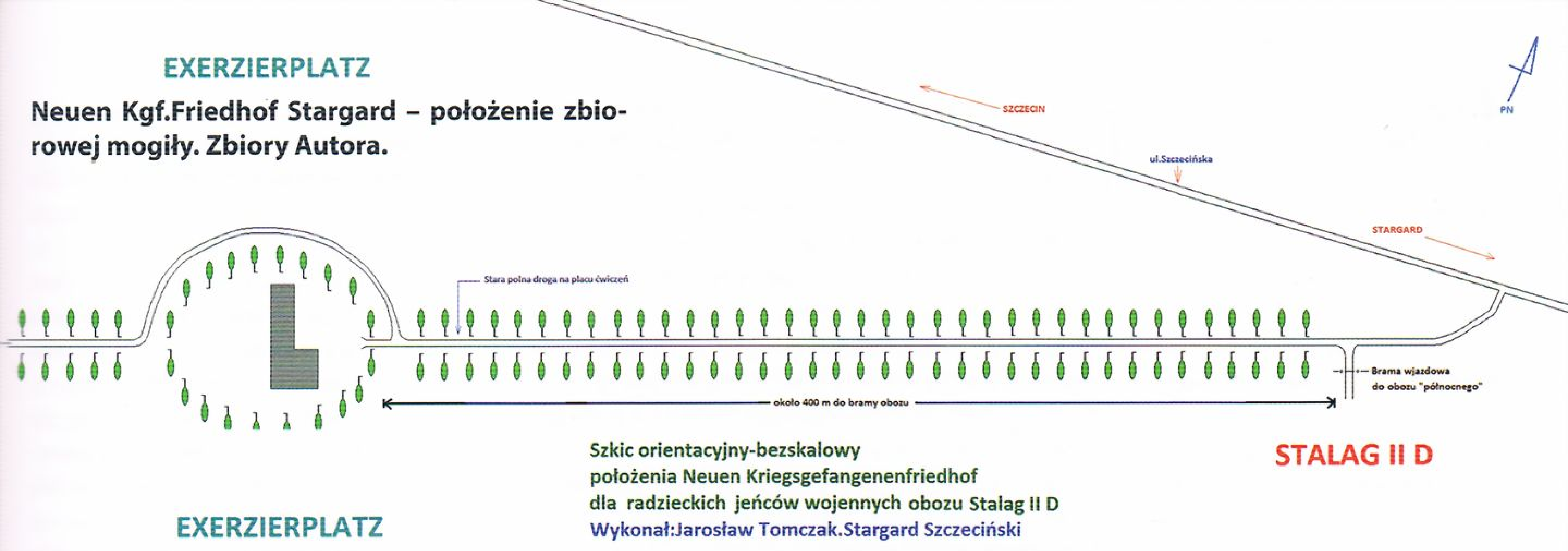

Neuen Kgf.Friedhof Stargard – położenie zbiorowej mogiły. Zbiory Autora.

wało, odpowiednie i odpowiedzialne instytucje. 30.06.2014 r. skierowałem do Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie (dalej Rada OPWiM) zapytanie o to, czy znane jest im miejsce pochówków radzieckich jeńców wojennych Stalagu IID i lokalizacja Nowego Cmentarza. W razie nie posiadania takiej informacji, zadeklarowałem jej udostępnienie. 9 lipca 2014 r.[17] Rada OPWiM poprosiła mnie o udostępnienie ww. dokumentacji, co też 14 lipca uczyniłem. Cztery dni później (18.07) przesłałem swoje pismo do Rady OPWiM raz jeszcze, uzupełnione o dokumenty, które w międzyczasie do mnie wpłynęły.

Także 18 lipca wysłałem pisma-informacje do Zachodniopomorskiego Urzędu Wojewódzkiego w Szczecinie Wydział Spraw Obywatelskich i Cudzoziemców (dalej ZUW Szczecin) bezpośrednio na ręce osoby, która takimi sprawami się zajmuje. I tu zapadła długa, cztero- miesięczna cisza, tak jakby dla ZUW Szczecin Kodeks Postępowania Administracyjnego w ogóle nie istniał.

7 sierpnia 2014 r. powiadomiłem też, przesyłając stosowną dokumentację, Wydział Memorialny przy Ambasadzie Federacji Rosyjskiej w Warszawie. Dokumentację tę uzupełniłem jeszcze w kolejnym piśmie z dnia 19.08.2014 r. Odpowiedzi nie otrzymałem żadnej. Pozostawiam to bez komentarza.

18 sierpnia 2014 r. zapytałem Radę OPWiM o stan sprawy. Z odpowiedzi, którą otrzymałem 27 sierpnia[18] wynikało, iż moje pisma są nadal *„przedmiotem analizy"* oraz *„przeprowadzenie prac son-*

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ... WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS *Argo*

Argo i Optima z sondami 29 cm w specjalnej cenie

- Automatyczne strojenie do gruntu
- Regulacja częstotliwości od 6329 Hz do 6944 Hz
- Możliwość regulacji reakcji na kamienie magnetyczne
- Identyfikacja cyfrowa w zakresie -90 + 90
- Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza (20 pozycji)
- Czułość regulowana (48 poziomów)
- Pinpoint z podawaniem głębokości dla monet - pomiar niezależny od czułości
- Możliwość ułożenia własnego programu dźwięków
- Regulacja szybkości reakcji
- Praca dynamiczna, statyczna i jednoczesna

RUTUS DETEKTORY METALI

Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

dażowych mających na celu uprawdopodobnienie moich przypuszczeń podejmuje właściwy terenowo wojewoda". Wszystko zgodnie z prawem.

Po upływie czterech miesięcy (!), 25.11.2014 r., skierowałem wniosek do ZUW Szczecin w trybie informacji publicznej, o udzielenie mi informacji, jakie podjęto działania w związku z moim pismem z 18.07.2014 roku. 5 grudnia[19] otrzymałem odpowiedź z załączonymi kserokopiami korespondencji pomiędzy: ZUW Szczecin, a Archiwum Państwowym w Szczecinie, PCK Zarząd Okręgowy w Szczecinie, WAM. OR Szczecin, IPN oddział Szczecin oraz PINB (Powiatowy Inspektorat Nadzoru Budowlanego) w Stargardzie Szczecińskim – w tejże sprawie. Wszystkie ww. instytucje w swoich pismach – odpowiedziach dla ZUW Szczecin – gremialnie obwieszczają, iż na temat rzeczonego cmentarza nic nie wiedzą.

27.11.2014 r. otrzymałem informację[20] z Rady OPWiM, że *„nie istnieją obecnie przesłanki do potwierdzenia, iż na wskazanym przez pana miejscu spoczywają szczątki jeńców. Chciałbym dodać, że wyjaśnienie udzielone przez Zachodniopomorski Urząd Wojewódzki nie zawiera informacji, która potwierdza znalezienie jakichkolwiek szczątków na wskazanej działce"*. Treść pisma Rady OPWiM z 27.11.2014 r. została oparta o tezy zawarte w udzielonej Radzie przez ZUW Szczecin informacji z przeprowadzonego postępowania z dnia 14.11.2014 r.[21], w której stwierdzono, co następuje: *„W wyniku postępowania ustalono, że wskazana działka znajdująca się w pobliżu sklepu Tesco oznaczona jest numerem 123/3 i znajduje się w zarządzie WAM OR Szczecin. Instytucja ta poinformowała, że żadne prace ziemne prowadzone dotychczas na w/w działce nie ujawniły ludzkich szczątków"* oraz, że *„z dokumentacji przekazanej przez IPN Odział Szczecin wynika, że jeńcy Stalagu byli chowani na cmentarzach w Stargardzie Szczecińskim. Znajdują się tam ogólnikowe zapisy, że jeńcy byli chowani w grobach poza obozem, bez szczegółowego wskazania miejsc pochówku"*.

W tym miejscu muszę napisać, że zostałem porażony „starannością" w podejściu do sprawy, ale przede wszystkim „dociekliwością" urzędnika ZUW Szczecin. Jednym, merytorycznie wątpliwej jakości pismem, zamknięto sprawę Neuen Kriegsgefangenenfriedhof, być może odbierając szanse na wyjaśnienie jego losów i ludzi tam pochowanych.

Informacja, czyją własnością jest działka nr 123/3, zawarta była w moich pismach i załącznikach do nich, kierowanych do wszystkich powiadamianych przeze mnie instytucji. Stwierdzenie, że *„jeńcy byli chowani w grobach poza terenem obozu"* jest ogólnodostępną wiedzą w literaturze tematu. Wzmiankowana w tym piśmie informacja z IPN Szczecin nie odnosi się wprost do pochówków jeńców radzieckich, a pochówków jeńców Stalagu IID w ogóle.

Chcąc wyjaśnić kwestię wykonanych jakoby prac ziemnych, skierowałem 09.12.2014 r. wniosek do dyrektora WAM OR Szczecin z prośbą o udostępnienie *„dokumentów potwierdzających wykonywanie jakichkolwiek prac ziemnych na zaznaczonym obszarze działki 123/3."*. Precyzyjnie przy tym określiłem obszar, na którym wg mnie był położony cmentarz, czego nie zrobił urzędnik z ZUW Szczecin, pytając o cały obszar 11,5 ha działki. W odpowiedzi, którą

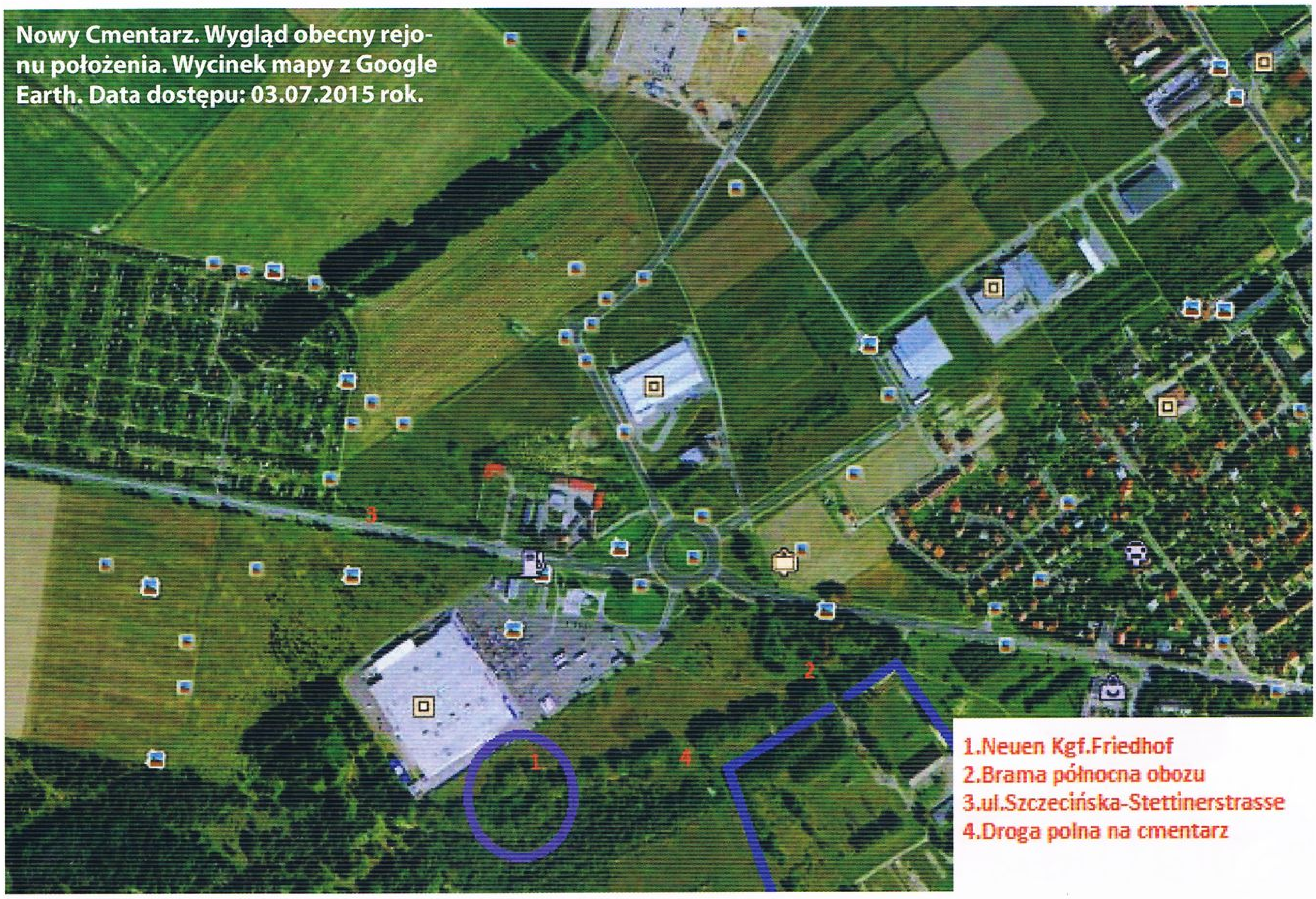

Nowy Cmentarz. Wygląd obecny rejonu położenia. Wycinek mapy z Google Earth. Data dostępu: 03.07.2015 rok.

otrzymałem 23.12.2014 r.[22] p. dyrektor Sławomir Rutkowski stwierdził, iż: *„od 1996 r. od czasu wygaszenia trwałego zarządu MON i przekazaniu nieruchomości we władanie WAM OR Szczecin, tutejszy oddział Agencji nie zlecał przeprowadzenia* ***żadnych*** (pogrubienie – J.T.) *prac ziemnych na nieruchomości"*.

O jakich więc pracach ziemnych mających ujawnić szczątki ludzkie jest mowa w piśmie ZUW Szczecin z dnia 14 listopada 2014 roku?

Zapytania wysłane przez ZUW Szczecin do instytucji cywilnych, których odpowiedzi stały się podstawą do sformułowania pisma-informacji dla Rady OPWiM, mogły być zadane tylko „pro forma". Instytucje cywilne nie mogły, i nie powinny, posiadać jakiejkolwiek dokumentacji związanej z terenem wojskowym. Taki teren jest całkowicie wyjęty spod jurysdykcji urzędów cywilnych, nie wolno sporządzać z niego map, szkiców, dokumentacji budowlanej, czy geodezyjnej itd. Do tego uprawnione są jedynie wytypowane instytucje, a powstałe w wyniku owych działań dokumenty, miały, co najmniej, klauzule „poufne", i nie były kierowane do cywilnych archiwów. Dla osób postronnych teren wojskowy był niedostępny. Skąd więc te instytucje miałyby posiąść wiedzę na temat takiego obszaru? Rozwiązanie tej kwestii jest tylko jedno – wykonanie wykopów sondażowych, bo tylko one mogą potwierdzić, lub wykluczyć, czy to jest właściwe miejsce. W dostępnych dokumentach i relacjach z tego okresu nie ma żadnej wzmianki na temat ekshumacji przeprowadzonej na tym terenie. Należy więc przyjąć, że pochowani w tym miejscu nadal tu spoczywają. Ale tak naprawdę, to odpowiedź na to pytanie leży w ziemi.

25.01.2015 r. powiadomiłem też o tej sprawie IPN Oddział Szczecin. Odpowiedzi po dzień dzisiejszy nie otrzymałem. Jedyną, jak do tej pory, instytucją, która w tej sprawie coś chciała zrobić, był Wydział Krajowy Rady OPWiM.

Nie chcę tu dywagować, czy przyczyną tego stanu rzeczy jest kontekst polityczny, czy też jest on następstwem inercji decyzyjnej naszych urzędników. Osobiście obstawiałbym to drugie. Armia Czerwona była wojskiem wielonarodowym, na tym cmentarzu spoczywają obywatele jednego kraju, ale nie jednego narodu. Można znaleźć tu tak samo Rosjan jak i Białorusinów, Ukraińców, Gruzinów, Tatarów, Kazachów, no i oczywiście Polaków – obywateli II RP z terenów anektowanych przez ZSRR w 1939 roku. Nie mieli oni żadnej możliwości wyboru munduru i sztandaru, pod którym przyszło im umierać. Uważam, że jako obywatel i człowiek zrobiłem w tej sprawie wszystko, co możliwe. Chciałoby się zapytać, co dalej? Tylko, że nie ma komu zadać tego pytania. Nie ma komu przywrócić historii kolejnego brakującego fragmentu. Nie ma komu przywrócić nazwisk ludzi tam pochowanych. Bo chyba nikt nie wątpi, że to byli ludzie. Tacy sami jak my. Nie robiąc nic, robi się wszystko, aby pamięć o tych ludziach zaginęła.

Zmarli, zamęczeni, pochowani na Neuen Kriegsgefangenenfriedhof muszą czekać więc dalej na wyjaśnienie ich losów.

Oto jak naczelne dowództwo Armii Czerwonej postrzegało własnych jeńców wojennych:

Rozkaz nr 270 marszałka Siemiona Timoszenko z 16 VIII 1941 r.: *„(...) poddających się należy uznawać za złośliwych dezerterów podlegających uwięzieniu jako łamiących przysięgę i zdradzających swą ojczyznę".*

Szyfrogram nr 4967 marszałka Giergija Żukowa do oficerów walczących pod Leningradem: *„(...) rodziny tych, którzy poddadzą się wrogowi, zostaną rozstrzelane, a po powrocie z niewoli oni również zostaną straceni".*

Przemówienie radiowe Józefa Stalina z 7 XI 1941 r.: *„nie ma sowieckich jeńców wojennych, są tylko zdrajcy".*

ZDJĘCIA WSPÓŁCZESNE ORAZ SZKIC: ZBIORY JAROSŁAWA TOMCZAKA.

Oleg Maruta-Sukało Krasnopolski

(ur.15.10.1914 – zm.12.12.2013 w USA). W Armii Radzieckiej od 1940 r. w 490. GAP (Gaubicznyj Artileryjskij Połk), 143. SD (Strełkowaja Diwizja) jako lekarz weterynarii. Do niewoli dostał się w pierwszych dniach niemieckiego najazdu na ZSRR pod m. Nowe Bielice. Jeniec Stalagu IID i innych obozów jenieckich.

Neuen Kriegsgefangenenfriedhof – Neuen Kgf. Friedhof – nazwy zamienne.

Przypisy:

[1] Wojenwetwracz 3-ranga (ros.) – wojskowy lekarz weterynarii.

[2] Bałanda (ros.) – zupa z brukwi, ryb itp.

[3] Bajan (ros.) – kociołek jugosłowiańskiej armii, ze względu na swoją pojemność był przez jeńców radzieckich jednym z bardziej pożądanych przedmiotów.

[4] Pajka (ros.) – kawałek przydziałowego chleba.

[5] „Kaput komando" (niem.) – chorzy jeńcy nie rokujący na wyzdrowienie.

[6] Kołodki (ros.) – drewniane chodaki.

[7] Dochodjaga (ros.) – skrajnie wycieńczony jeniec, „kandydat na umarłego".

[8] Birka (ros.) – znak tożsamości.

[9] Dane uzyskane w oparciu o analizę kart personalnych zmarłych jeńców – Memoriał.

[10] Chirurgiczeskij Polewoj Podwiżnyj Gospital HPPG (ros.) – Ruchomy Polowy Szpital Chirurgiczny.

[10a] Infekcjonnyj Gospital IG (ros.) – Szpital Zakaźny.

[11] Polewoj Ewakuacjonnyj Punkt PEP (ros.) – Polowy Punkt Ewakuacyjny (Armijny).

[12] Miestnyj Ewakuacjonnyj Punkt MEP (ros.) – Lokalny Punkt Ewakuacyjny Sewernaja Grupa Wojsk SGW (ros.) – Północna Grupa Wojsk.

[13] J. Ostrzyżek, „Obóz jeniecki Stalag IID w Stargardzie Szczecińskim", [w:] „Przegląd Zachodniopomorski", tom XVI.3/1972, s.131

[14] A. Pirogow, „Międzynarodówka Straceńców", KiW 1972, s.137

[15] G. Bojar-Fijałkowski „Losy jeńców wojennych na Pomorzu Zachodnim i w Meklemburgii 1939-1945", Warszawa 1979, s.161

[16] National Archives, Kew, Richmond Surrey TW9 4 DU UK. Dok. AIR34/636. Data zakupu: maj 2008 r., http://www.nationalarchives.gov.uk/

[17] Pismo nr R-IV/091-2/PB/2676/2014, w zbiorach własnych autora.

[18] Pismo nr R-IV/091-4/PB/3362/2014, w zbiorach własnych autora.

[19] Pismo nr SO-1.1331.2.2014.LJ, w zbiorach własnych autora.

[20] Pismo nr R-IV/091-6/PB/4855/2014, w zbiorach własnych autora.

[21] Pismo nr SO-1.5230.24.2014.LJ, w zbiorach własnych autora.

[22] Pismo nr OSN.074.18.2014, w zbiorach własnych autora.

Literatura:

1. A. Pirogow, „Międzynarodówka Straceńców", KiW 1972, s.137
2. J. Ostrzyżek, „Obóz jeniecki Stalag IID w Stargardzie Szczecińskim", [w:] „Przegląd Zachodniopomorski", Tom XVI.3/1972,
3. G. Bojar-Fijałkowski, „Losy jeńców wojennych na Pomorzu Zachodnim i w Meklemburgii 1939-1945", Warszawa 1979
4. Bank Danych; OBD Memorial: http://www.obd-memorial.ru/html/index.html
5. Korespondencja za lata 2009-2013 ze śp. Olegiem Marutą-Sukało Krasnopolskim w zbiorach autora.

Jarosław Tomczak

Emerytowany żołnierz zawodowy. Zwolennik przedstawiania historii wprost, taką jaka ona była. Bibliofil.

Zapomniana rezydencja KOCHA

LESZEK ADAMCZEWSKI

Po tym parku, na przełomie XIX i XX wieku, biegał mały Marceli Nowotko, którego nazwisko młodym Czytelnikom nic już chyba nie mówi. W stojącej przy wejściu do parku neogotyckiej wieży ciśnień mieszkali rodzice przyszłego pierwszego sekretarza Polskiej Partii Robotniczej, który tu chodził do szkoły i pracował jako pomocnik ogrodnika. Do Krasnego sprowadziła mnie jednak inna historyczna postać, która przez całe życie również deklarowała lewicowe poglądy, będąc jednym z przywódców prawicowej Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników (NSDAP). Prawie 40 lat po Nowotce, po tym parku dumnie kroczył gauleiter NSDAP Erich Koch.

Gdy w poniedziałek 9 III 1959 r. Sąd Wojewódzki dla województwa warszawskiego w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej ogłaszał wyrok w sprawie Ericha Kocha, uznając oskarżonego: *„za winnego popełnienia zbrodni z artykułu 1. punkt 1. dekretu z dnia 31 sierpnia 1944 roku o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy"* i skazał go na karę śmierci, wydawało się, że jej wykonanie będzie kwestią najbliższych tygodni. Że wkrótce Polska Agencja Prasowa ogłosi standardowy komunikat, iż Rada Państwa PRL nie skorzystała z prawa łaski i wyrok został wykonany. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Wprawdzie PAP podała informację o śmierci Kocha, ale stało się to dopiero w listopadzie 1986 roku. W wieku 90 lat Erich Koch 12. tegoż miesiąca zmarł śmiercią naturalną albo w więzieniu w podolsztyńskim Barczewie, albo – jak twierdzą niektórzy historycy – w Szpitalu Wojewódzkim w Olsztynie. Szpital zaprzecza.

Pan i władca Prus Wschodnich

Erich Koch, żołnierz z czasów wojny światowej nazwanej później pierwszą i urzędnik kolejowy, wstąpił do NSDAP w 1922 roku. Był więc jednym z weteranów partii, do ostatnich dni Wielkoniemieckiej Rzeszy szczycąc się niezwykle niskim numerem legitymacji NSDAP. W pierwszych latach swej działalności partyjnej, którą prowadził zrazu w Zagłębiu Ruhry, a później w Prusach Wschodnich, był zwolennikiem przeprowadzenia w Niemczech radykalnych reform społecznych i uchodził za sprzymierzeńca przywódcy socjalistyczno-rewolucyjnego skrzydła NSDAP, Gregora Strassera, zamordowanego z rozkazu Adolfa Hitlera podczas „nocy długich noży" w połowie 1934 roku. Koch uratował głowę, będąc już wówczas naczelnym prezesem Prus Wschodnich i gauleiterem NSDAP, chociaż nigdy nie krył swych lewicowych poglądów. Żyjąc niczym król, w Prusach Wschodnich zaczął – na wzór Związku Radzieckiego – forsować kolektywizację rolnictwa, co wrogo nastawiło do niego chłopstwo tej rolniczej prowincji. Swych przeciwników Koch usuwał z partii, a niektórych kazał aresztować. Starając się utrzymywać poprawne stosunki z czołowymi przywódcami Rzeszy, zwłaszcza z wpływowym reichsführerem SS i szefem policji niemieckiej Heinrichem Himmlerem, wszystkim dawał do zrozumienia, że w Prusach Wschodnich rządzi tylko on, Erich Koch. A nad nim stoi tylko jeden człowiek – Adolf Hitler. Miał go zresztą niejako pod bokiem, bo dwie najważniejsze kwatery wojenne Führera zostały zbudowane na ziemiach, którymi Koch zarządzał. Wszak „Wilczy Szaniec" znajdował się koło Rastenburga (Kętrzyna), a więc w samym centrum Prus Wschodnich, a kwatera oznaczona kryptonimem „Werwolf" (Wilkołak), urządzona została koło Winnicy na okupowanych ziemiach radzieckiej Ukrainy, którą od lata 1941 r. Koch zarządzał jako komisarz Rzeszy.

Podczas II wojny światowej, zwłaszcza, gdy po agresji na Związek Radziecki Koch został szefem Zarządu Cywilnego Okręgu Białystok i wspomnianym komisarzem na Ukrainę, pełniąc jednocześnie swe państwowe i partyjne urzędy w Prusach Wschodnich, dał się poznać jako jeden z najokrutniej-

Naczelny prezes Prus Wschodnich i gauleiter NSDAP Erich Koch przemawia w Królewcu do oddziałów Volkssturmu. Kadr z kroniki „Die Deutsche Wochenschau".

Gospodarska wizyta Ericha Kocha na wschodniopruskiej prowincji. Fot. Ullstein/Bilderdienst.

szych satrapów Hitlera na podbitych terytoriach wschodnich. Jego zbrodnicze rozkazy przyczyniły się do śmierci setek tysięcy niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci, deportacji do obozów koncentracyjnych i zrównania z ziemią wielu wiosek. *„Jesteśmy narodem panów i musimy pamiętać, że najnędzniejszy robotnik niemiecki jest rasowo i biologicznie tysiąckroć bardziej wartościowy niż tutejsza ludność"* – powiedział Koch 5 III 1943 r. w okupowanym Kijowie. Za zbrodnie popełnione na Ukrainie Koch nigdy nie poniósł odpowiedzialności. Gdy pod koniec maja 1949 r. w podhamburskiej miejscowości Hasenmoor został – pod przybranym nazwiskiem Rolf Berger – aresztowany przez brytyjskie służby specjalne, tamtejszy Trybunał Ekstradycyjny, po krótkim śledztwie, postanowił Kocha wydać Polsce, chociaż o jego ekstradycję starały się także władze Związku Radzieckiego. Na swój proces czekał on w polskim więzieniu 8 długich lat. Ze względu na jego obłożną chorobę kilkakrotnie przekładano termin rozprawy, a gdy wreszcie do niej doszło, w październiku 1958 r., Koch oskarżony został tylko o współudział w zamordowaniu około 400 tys. Polaków z Suwalszczyzny i Białostocczyzny oraz Ziemi Ciechanowskiej. Jego zbrodniami na Ukrainie sąd się nie zajmował…

STANISŁAW G. POWIEDZIAŁ, że przed nadejściem wojsk radzieckich wywoził: *„ogromne ilości starannie opakowanych skrzyń do Krasnego i innych miejscowości wskazywanych przez gestapo, które konwojowało transporty. O Bursztynowej Komnacie przedtem nie słyszał, opowiadał ciekawe rzeczy o łupach gestapowskich, sposobach ich ukrywania itp."*

Erich Koch miał uczciwy proces. Tak w każdym razie twierdzą jego obserwatorzy. Na zdjęciach prasowych i kadrach z Polskiej Kroniki Filmowej widać Kocha (często z głową w bandażach) siedzącego na ławie oskarżonych w towarzystwie dwóch milicjantów. Nieco z tyłu zajęła miejsce pielęgniarka, która – ze względu na chorobę Kocha – na sali sądowej obecna była w jego pobliżu. Proces zakończył się wydaniem wyroku śmierci, którego nigdy nie wykonano.

Proces Ericha Kocha przed Sądem Wojewódzkim dla województwa warszawskiego. Kadry z Polskiej Kroniki Filmowej.

W narodowosocjalistycznym stylu

Cofnijmy się do pierwszych tygodni wojny. Hitler dzieląc pokonaną Polskę, utworzył Generalne Gubernatorstwo, a pozostałe ziemie włączył do Rzeszy, które utworzyły Kraj Warty (początkowo był to okręg Posen czyli Poznań), rejencję katowicką prowincji śląskiej oraz okręg Gdańsk-Prusy Zachodnie, do którego – oprócz ziem II Rzeczypospolitej – weszło dawne Wolne Miasto Gdańsk i rejencja kwidzyńska z Prus Wschodnich. Chcąc Kochowi zrekompensować tę stratę terytorialną, Führer do Prus Wschodnich włączył północne Mazowsze jako oddzielną rejencję. Jej stolicę zlokalizowano w Ciechanowie, który przemianowano na Zichenau. Kochowi, który jesienią 1939 r. wizytował swe nowe włości, spodobał się dawny majątek Krasińskich, a później Czartoryskich, w leżącym niedaleko Ciechanowa Krasnem. I nie czekając na opinie doradców, postanowił, że urządzi tu swą kolejną rezydencję.

Na jej temat funkcjonuje sporo mitów. Choćby ten, że już jesienią 1939 Koch, rękami miejscowych Żydów, kazał zburzyć dawny pałac Krasińskich i Czartoryskich z XIX w., a na jego miejscu zbudował żelbetowy gmach bardziej swym wyglądem przypominający bunkier niż pałac. Wschodniopruski gauleiter faktycznie znacznie rozbudował dawny pałac. Architekci nowej rezydencji Kocha wykorzystali jednak piwnice i większą część skrzydła głównego, tworząc obiekt w narodowosocjalistycznym stylu. Do Krasnego nie byli zapraszani fotoreporterzy i operatorzy filmowi. Brak materiałów ikonograficznych wielce utrudnia zaprezentowanie tej rezydencji. Ponoć była ona urządzona z wielkim przepychem: stare meble, obrazy mistrzów, drogie dywany. Na parterze były ponoć trzy sale: jadalna, balowa i myśliwska, a w piwnicach urządzono kręgielnię i salę kinową. Na piętrach znajdowały się pokoje dla gości. Z tych – jak na lata wojny – luksusów Koch nie korzystał często. W Krasnem przebywał bowiem bardzo rzadko. Swą głów-

ną rezydencję miał pod Königsbergiem, obszerne mieszkanie w samym Królewcu, a od 1941 r., gdy doszły obowiązki komisarza Rzeszy na Ukrainie, sporo czasu spędzał w Równem i Kijowie. Na wypady do rejencji ciechanowskiej Prus Wschodnich nie starczało już czasu.

Z postacią Ericha Kocha niesłusznie wiąże się historię zaginięcia Bursztynowej Komnaty, XVIII-wiecznego arcydzieła sztuki barokowej zrabowanego w 1941r. przez Niemców z Pałacu Jekatierinskiego (Katarzyny) w Puszkinie, koło ówczesnego Leningradu, i przewiezionego do Królewca, gdzie pod koniec wojny ślad po nim ginie. I oto pod koniec 2003 r. tygodnik „Wprost", w publikacji Cezarego Gmyza „Testament Ericha Kocha", wskazał na Krasne, gdzie – jak napisał ten publicysta znany dzisiaj z tekstów o materiałach wybuchowych na pokładzie prezydenckiego Tu 154M – komnaty nikt jeszcze nie szukał.

To nieprawda. Poszukiwacze skarbu z Pałacu Jekatierinskiego co najmniej kilkakrotnie odwiedzali tę mazowiecką wioskę

W resztkach ruin rezydencji Kocha trudno oddzielić zachowane fragmenty pałacu Krasińskich od fragmentów dobudowanych w latach drugiej wojny światowej.

przed publikacją wspomnianego artykułu Gmyza. I przeprowadzali jakieś prace sondażowe w parku i stojących tam ruinach rezydencji Kocha, a gdy te ostatecznie się rozpadły, to w jej obszernych piwnicach, które przetrwały do dziś. Poszukiwacze nie mogli jednak pozwolić sobie w Krasnem na bardziej zaawansowane prace eksploracyjne, ponieważ za blisko miejsca, gdzie stał pałac, są ludzkie siedziby, a nikt z nich nie dysponował formalnymi zgodami na ich przeprowadzenie.

Wspomnienia krawcowej z Krasnego

O Krasnem poszukiwacze skarbów dowiedzieli się z kultowej od lat książki Ryszarda Badowskiego „Tajemnica Bursztynowej Komnaty" z 1976 roku. Wśród wielu opublikowanych w niej listów telewidzów, napisanych po emisji dokumentalnego filmu pod tym samym tytułem, Badowski zamieścił także ten. Jego autorem był Anatol K. z Ostródy. Napisał (list pochodzi z pierwszej poł. lat 70. XX w.), że zna Stanisława G., byłego jeńca wojennego. W latach 1943-1945 pracował on w Królewcu na statusie robotnika przymusowego. I tenże G. powiedział mu, że przed nadejściem wojsk radzieckich wywoził: *„ogromne ilości starannie opakowanych skrzyń do Krasnego i innych miejscowości wskazywanych przez gestapo, które konwojowało transporty. O Bursztynowej Komnacie przedtem nie słyszał, opowiadał ciekawe rzeczy o łupach gestapowskich, sposobach ich ukrywania itp. Obywatel G. mieszka w Ostródzie i bardzo dobrze pamięta koszmar tamtych lat. Sądzę, że ktoś kompetentny mógłby od niego dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy"*. Tyle cytatu z listu Anatola K., który już 40 lat temu zwrócił na Krasne uwagę.

Czy – biorąc pod uwagę stan wiedzy o Bursztynowej Komnacie z lat 70. – można było przypuszczać, że skrzynie z tym arcydziełem sztuki mogły trafić do mazowieckiej rezydencji Kocha? Oczywiście, że mogły. Ta hipoteza była tak samo prawdopodobna jak wiele innych, a zniszczenia komnaty przez czerwonoarmistów nikt wtedy nie brał poważnie pod uwagę.

Na kartach „Tajemnicy Bursztynowej Komnaty" pojawia się też, pochodząca z Krasnego, Stefania R. Badowski zacytował bowiem publikacje prasowe poznańskiego dziennikarza Zbigniewa Szymańskiego, który swego czasu odszukał panią R. Powiedziała mu, że Arbeitsamt (Urząd Pracy) w Krasnem skierował ją do miejscowego pałacu, w którym rezydował Koch. Według Szymańskiego, Stefania R. była jedyną Polką, wchodzącą w skład służby wschodniopruskiego gauleitera (więcej na ten temat: P. Maszkowski, „Tajemnica krawcowej Gauleitera", „Odkrywca" nr 7/2009). W Krasnem nie pracowała długo, bo wpadła w oko żonie Kocha, Klarze, która na początku 1940 r. zabrała ją do Królewca, gdzie pracowała w tamtejszej rezydencji niemal do końca wojny. *„Żona gauleitera korzystała chętnie z krawieckich umiejętności dwudziestoletniej dziewczyny"* – napisał Badowski w „Tajemnicy Bursztynowej Komnaty".

Zmarłego w 2010 r. Zbigniewa Szymańskiego znałem dobrze. Przez ponad 5 lat pracowaliśmy w jednym małym pokoju, biurko w biurko. To był rzetelny dziennikarz, który – na ile to było możliwe – weryfikował relacje swych rozmówców. Ale opowieści Stefanii R. nie dawało się łatwo zweryfikować. Wydaje się też, że po latach dawna krawcowa Klary Koch nieco fantazjowała lub przynajmniej próbowała interpretować to, co widziała. Na pewno jednak mówiąc o wyjeździe do Królewca na początku 1940 r., nie miała powodu kłamać. To ważne, bo do tego czasu Koch nie zdążył zbudować nowej rezydencji i miesz-

Neogotycka wieża ciśnień jest dzisiaj siedzibą muzeum Krasińskich.

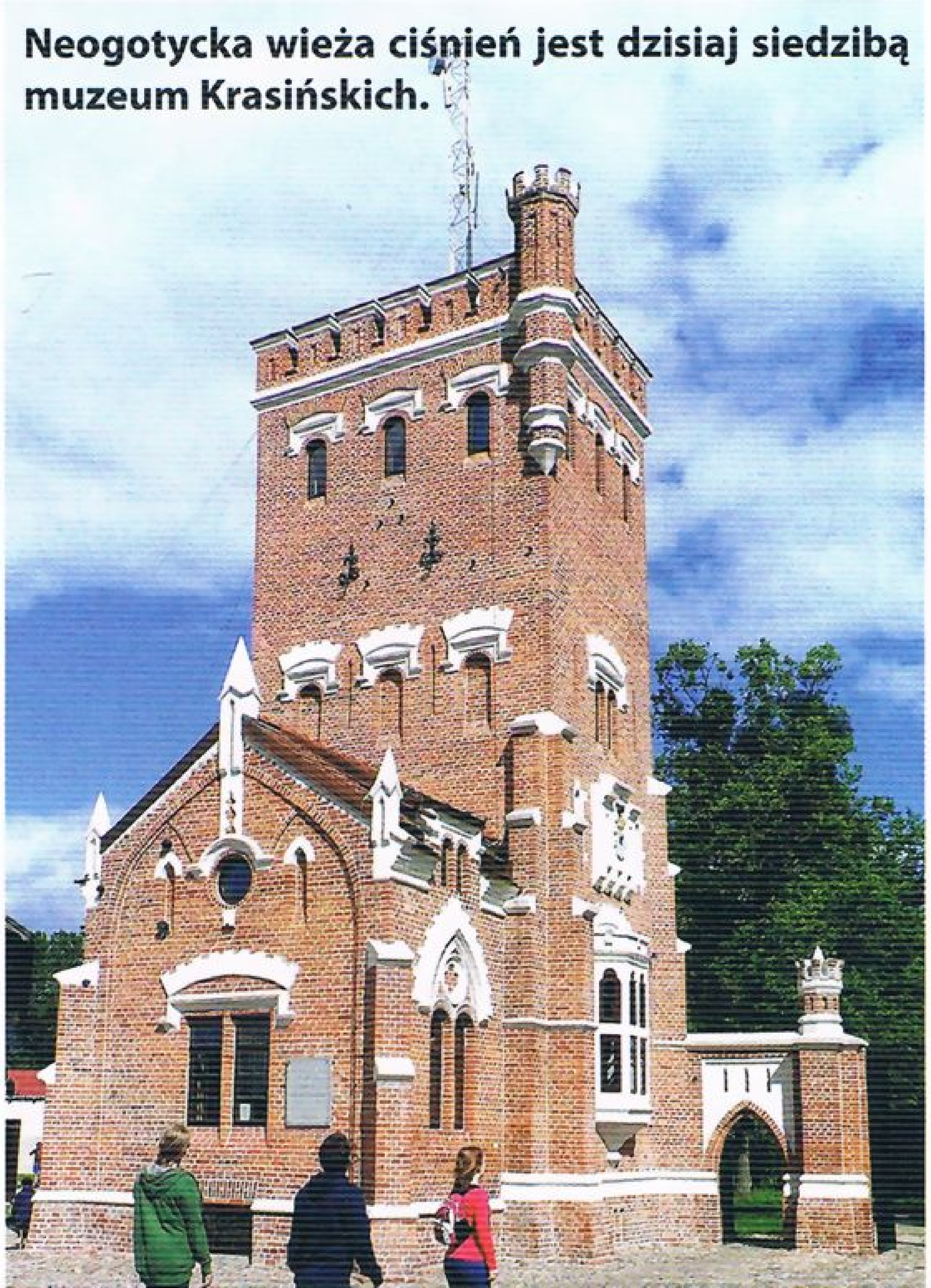

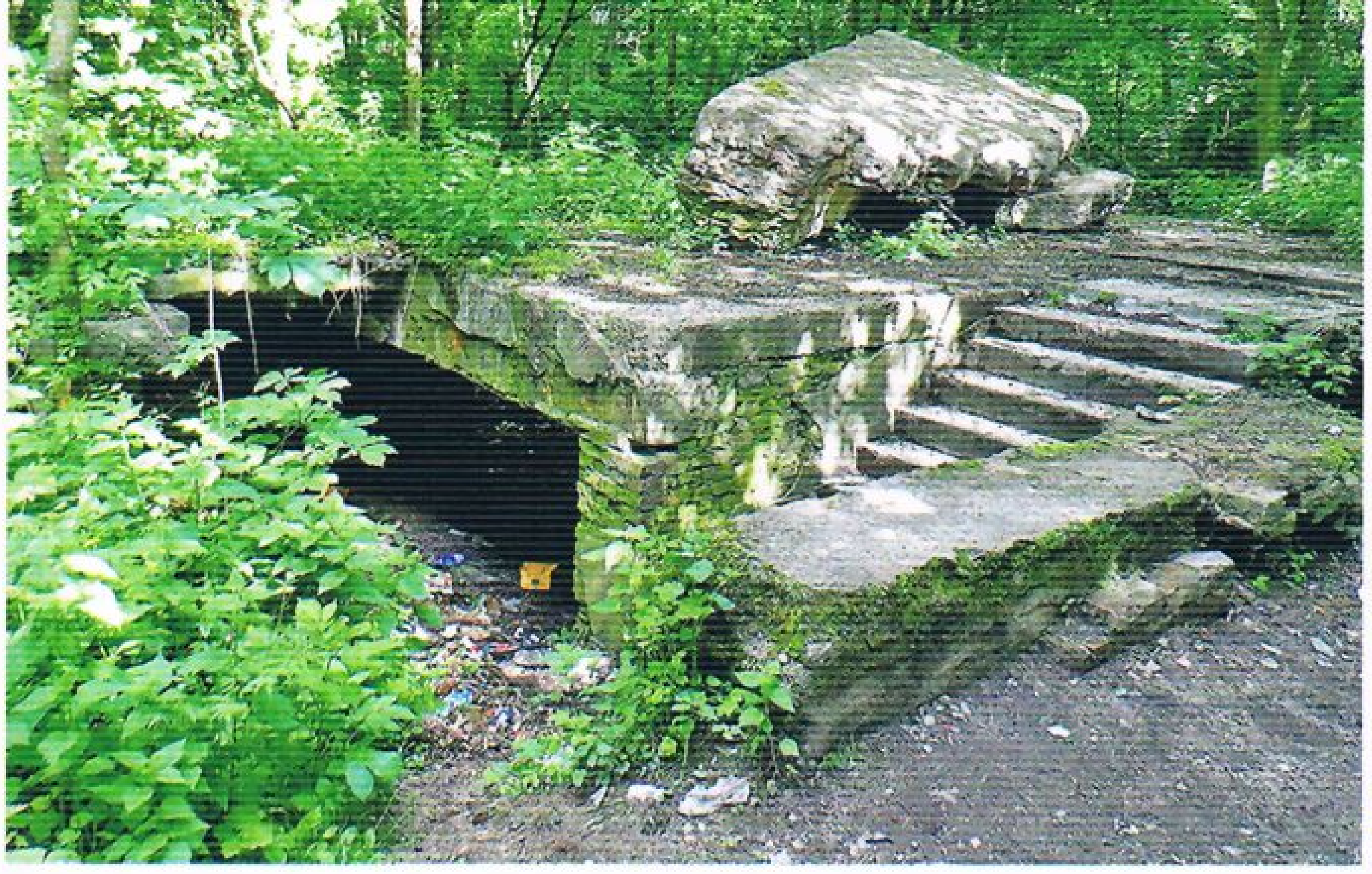

Pozostałości zdewastowanej rezydencji Ericha Kocha w Krasnem.

kał w starym pałacu. Opowieści o jego zburzeniu jesienią 1939 r. są zatem nieprawdziwe. Stefania R. bardzo szczegółowo opisała podkrólewiecką rezydencję Kocha i wiele wskazuje, że w nowym pałacu w Krasnem nigdy nie była. Prawdopodobnie i Koch w Krasnem był bardzo rzadkim gościem. Od czasu do czasu wpadał tam na nocleg. Gdyby wybrał się do Krasnego na dłuższy wypoczynek, zabrałby żonę, a ta zaufaną krawcową, która przecież znała te okolice. Stefania R. nic o takim wypadzie nie wspomniała.

Kwatera Führera?

Siedem lat przed publikacją artykułu C. Gmyza w tygodniku „Wprost", na łamach gdańskiego „Wieczoru Wybrzeża" (nr z 21-22-23 II 1997 r.) ukazał się artykuł Janusza Ryszkowskiego „Kocha tajemnice…". Autor opisał historię dotarcia do listu, który Erich Koch 5 XI 1967 r. napisał w Łodzi do swego brata, sióstr, krewnych i przyjaciół. Były gauleiter Prus Wschodnich miał wówczas 71 lat i był ciężko chory na nowotwór pęcherza moczowego. Lekarze nie dawali mu większych szans na przeżycie, ale postanowili jeszcze przeprowadzić operację. Zabiegu dokonano w Łodzi i od polskiej nazwy tego miasta zaczyna się list Kocha: *„Łódź den 5 Nov. 1967"*. Czytamy w nim m.in.: *„Ten ostatni znak życia ode mnie przekażę tylko wtedy, jeśli nie przeżyję operacji, która odbędzie się jutro o 3 rano. Wówczas będę już w krainie wiecznego spokoju. Namiętne i waleczne serce już nie będzie biło. Moja tęsknota i moja walka, które dawały mi przeżyć te 18 lat ciężkiego więzienia, o narodową jedność, wolność, sprawiedliwość społeczną – to się nie ziściło. Poddaję się"*. Operacja się udała i Kochowi pozostało jeszcze 19 lat życia za kratami.

Janusz Ryszkowski w „Wieczorze Wybrzeża" sugerował, że w tej sytuacji list-testament okazał się niepotrzebny i *„z łódzkiego szpitala trafił na makulaturę"*, gdzie został wychwycony przez jakiegoś kolekcjonera. To mało prawdopodobna historia. Zapewne bliższy prawdy był Piotr Maszkowski, który w publikacji „Ericha Kocha zbrodnie bez kary…" („Odkrywca" nr 5/ 2010) pisał: *„Po śmierci Kocha w 1986 roku jego rzeczy osobiste i zapiski miały zostać spalone, jednak funkcjonariusz* (Służby Więziennej – przyp. L. A.), *który był za to odpowiedzialny, zatrzymał je »dla potomności«"*. Piotr Maszkowski w cytowanej publikacji zwrócił uwagę na to, co zdziwiło także mnie, a zapewne również innych czytelników listu-testamentu Kocha z 5 listopada 1967 roku. Że to tajemniczy i dziwny dokument. Niektórzy twierdzą, że jest falsyfikatem. Jego całości, a liczy on 18 stron, nikt nigdy nie badał. Zagadkowy zapis Koch, lub fałszerz, poświęcił w nim Krasnemu, gdzie – jak czytamy – *„zbudowano dla Hitlera – na jego rozkaz i za jego pieniądze – kwaterę główną. Zazdroszczono mi i atakowano mnie z tego powodu. Przez tę budowę zyskałem zainteresowanie Hitlera dla mojej pracy"*.

W niemieckich dokumentach dotyczących kwater głównych Führera nie ma wzmianki o Krasnem. Na okupowanych przez Niemców ziemiach polskich powstały dwa zespoły takich obiektów, które otrzymały kryptonimy: „Anlage Mitte" i „Anlage Süd". Dwa wielkie schrony kolejowe dla pociągów specjalnych ekipa Siegfrieda Schmelchera, który w Organizacji Todta nadzorował budowę poszczególnych kwater wodza, postawiła koło Tomaszowa Mazowieckiego. Hitler nigdy tam nie był. Podobne schrony zbudowano niedaleko Krosna. Hitler był tam tylko raz. W związku ze wspólną z premierem Włoch wizytą na froncie wschodnim, on i Benito Mussolini noc z 27 na 28 VIII 1941 r. spędzili w swoich pociągach specjalnych, wstawionych do tuneli-schronów.

Trudno zrozumieć, co Koch miał na myśli pisząc o budowie w Krasnem kwatery głównej dla Hitlera. Nowy pałac nie był bowiem ani kwaterą, ani rezydencją Führera. Na obecnych ziemiach polskich przygotowywano dwie takie rezydencje. Na obie wybrano ogromne zamczyska: Fürstenstein koło Waldenburga (dzisiaj to zamek Książ w Wałbrzychu) i pocesarski zamek w Posen (Poznaniu). Przy nich pałac w Krasnem był niczym… domek dla lalek. Nie spełniał podstawowych warunków choćby bezpieczeństwa. W pobliżu nie było też linii kolejowej. Jeśli jednak Koch dla siebie zbudował w Krasnem okazałą rezydencję, to zgodę na to musiał wyrazić sam Hitler, który też zatwierdził budżet takiej inwestycji. I nic dziwnego, że za taką rozrzutność Koch był krytykowany przez aktyw NSDAP. Tym bardziej,

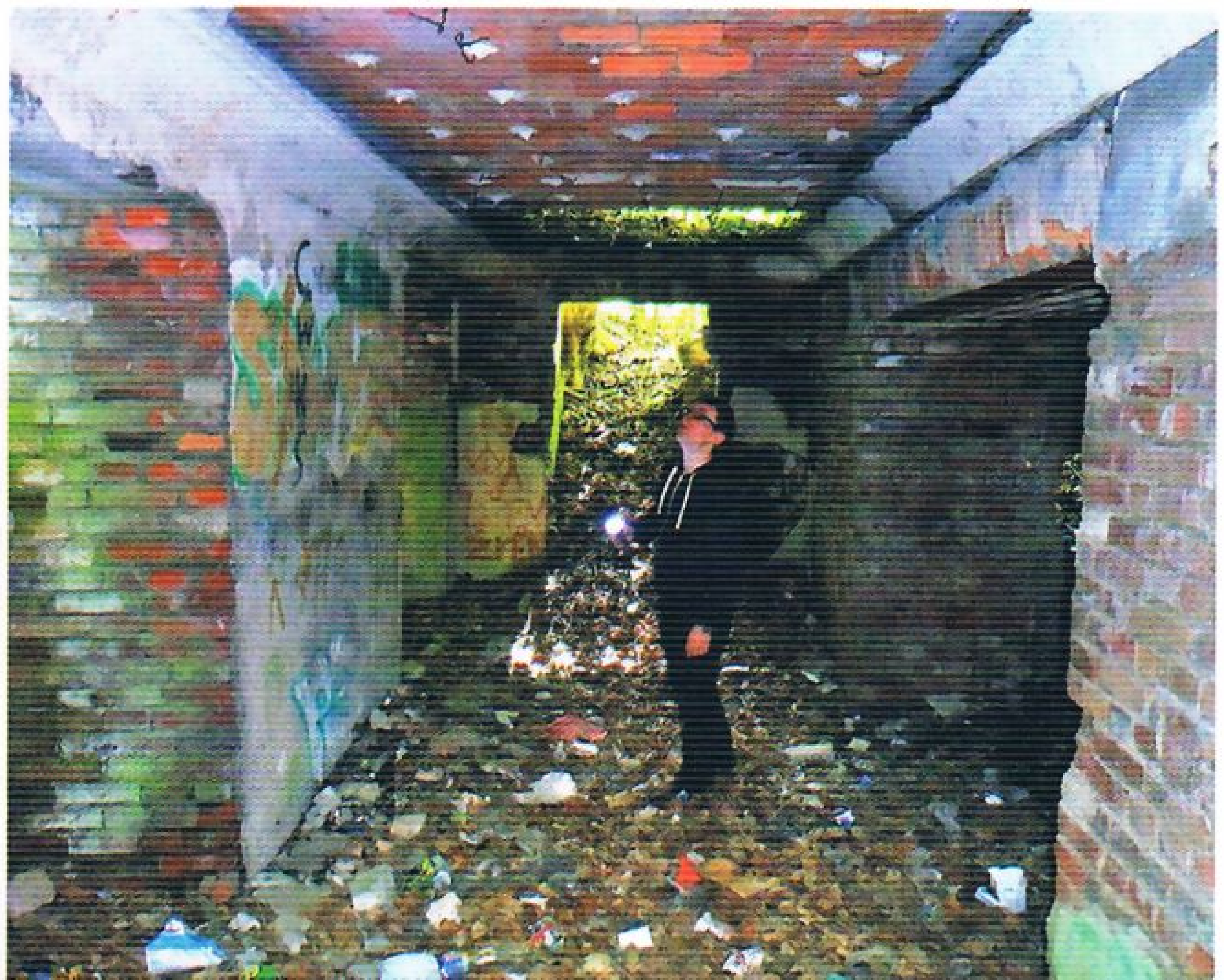

Ruiny zachowanej do dzisiaj piwnicy pałacu w Krasnem.

że pałac nie był mu pilnie potrzebny.

Ślady ukryte w popiele

W Königsbergu nie zapomniano o Krasnem, chociaż późną jesienią 1944 r. nikt z władz Prus Wschodnich nie miał złudzeń, że i do tej miejscowości wkrótce wkroczy Armia Czerwona. Przed obiektywem hitlerowskiej kroniki filmowej Erich Koch tryskał jednak optymizmem, zapewniając Führera, że wschodniopruski Volkssturm obroni prowincję przed bolszewickimi hordami. Tymczasem zaufani ludzie z otoczenia gauleitera zastanawiali się, co będzie po rychłej ofensywie na froncie wschodnim. Można domniemywać, że łudzili się, iż na przedwojennych ziemiach polskich łatwiej będzie ukryć jakieś dobra, bo Rosjanie nie będą wszędzie zaglądać. I stąd tajemnicze, starannie opakowane skrzynie, które Stanisław G. zwoził w te okolice. Co w nich było? I co się z nimi stało?

HIT

„Wieczór Wybrzeża" na tropie prywatnego archiwum Ericha Kocha. Część dokumentów już w naszym posiadaniu.

Kocha tajemnice...

- Czy zainteresowany jest pan listem gauleitera Ericha Kocha? - usłyszałem w słuchawce.
- Pisany w czasie wojny czy przed?
- Dwadzieścia kilka lat po wojnie...

Pod koniec grudnia opublikowałem w „WW" artykuł „Tajemnica zabrana do grobu". Nie miałem pojęcia, że wspomniana tam kilkakrotnie postać gauleitera Prus, Ericha Kocha, i Bursztynowa Komnata wywoła tak żywe reakcje Czytelników. Jeden z nich, mieszkaniec województwa słupskiego, nadesłał obszerny list. Oto jego fragment.

„Czy Erich Koch tak naprawdę tajemnicę zabrał do grobu? Na to pytanie jak i na inne oraz o jego 37 latach pobytu w izolacji wypada napisać prawdę.

Jedno jest pewne, że z biegiem lat wiele faktów zmieniło

miał „ukrytą" igłę od strzykawki i każdego dnia wieczorem spuszczał sobie krew z żył do stojącego w rogu kibla. Był sprawny fizycznie. W nocy po cichu wstawał z łóżka i spacerował godzinami po celi. Natomiast na salę rozpraw w czasie jego procesu kazał się nosić. Innym sposobem na rujnowanie sobie zdrowia było to, że po obfitym posiłku - a miał dobry apetyt - wypijał kilka litrów zimnej wody z kranu.

To dlatego nabawił się ustawicznych torsji. Były to tzw. odruchy wymiotne. Najpierw wywoływane sztucznie po to, aby uniknąć stryczka. Sam wpędził się w tę chorobę i od tego czasu wymiotował co wieczór, już mimo woli. Z tego powodu i w barczewskim więzieniu prosił nawet, żeby gdzieś dłużej zostawić mu światło w celi".

*

- Czytałem pana artykuł. Zainteresowany jest pan listem gauleitera Ericha Kocha? - usłyszałem w słuchawce.

ście... Skąd wzięły się te rzeczy?

- Kolekcjonerzy mają swoje tajemnice - mówi pan C. - Zdradzę tylko, że mój kolega, od którego dostałem te dwie rzeczy, mieszkał przez jakiś czas w Łodzi. Nie potrafię powiedzieć, czy ma coś jeszcze z papierów po Kochu, ale może się z nim skontaktować... Proszę mnie nie zmuszać, bym dał panu jego telefon.

*

Na znak od pana C. czekałem kilka tygodni. Znowu potem wrócił, jak fantom, temat Bursztynowej Komnaty. Czy to możliwe, by pozostały po Kochu jakieś notatki, zakamuflowane sygnały o tym, gdzie ukryto ten bezcenny zabytek? Jadąc na operację do Łodzi spodziewał się przecież najgorszego... Wszystko to wyglądało jak w tandetnej powieści. Tym bardziej że w tym czasie zadzwonił także do redakcji starszy mężczyzna (chyba el-

Po raz pierwszy o testamencie Ericha Kocha napisał „Wieczór Wybrzeża" w 1997 roku.

Pałac Kocha saperzy niemieccy wysadzili w powietrze 17 stycznia 1945 roku, a więc dosłownie w ostatniej chwili. Jak wspominali mieszkający w Krasnem Polacy, zniszczenia nie były wielkie. Również czerwonoarmiści, którzy pałac obrzucili granatami, nie spowodowali poważniejszych szkód. Pałac w Krasnem zdewastowała miejscowa ludność. Najpierw zabierano ocalałe obrazy, meble i dywany, potem zrywano kafelki, demontowano wanny i umywalki, usuwano miedziane przewody elektryczne i stalowe rury, w końcu zainteresowano się cegłami. W latach 70. XX wieku stał już tylko żelbetowy szkielet rezydencji.

Gdy w najlepsze trwała dewastacja uszkodzonego przez eksplozje materiałów wybuchowych pałacu w Krasnem, w zniszczonym i płonącym Królewcu dopełnił się los Bursztynowej Komnaty. Wehrmacht, którego łupem wojennym było to arcydzieło sztuki, miastu Królewiec przekazane tylko w zarząd komisaryczny, pozostawił je na pastwę losu. Władze miejskie stolicy Prus Wschodnich, które w myśl umowy z wojskiem miały obowiązek jego zabezpieczenia, nie zadały sobie nawet trudu zniesienia skrzyń z bursztynowymi wykładzinami do piwnic zamku królewieckiego, gdzie komnata miałaby spore szanse na przetrwanie walk o Königsberg. A jednak przetrwała. Gdy w nocy z 9 na 10 IV 1945 r. dowodzący obroną miasta generał Otto Lasch wydał rozkaz przerwania ognia i złożenia broni, skrzynie z komnatą stały w Sali Rycerskiej i przylegającej doń klatce schodowej północnego skrzydła mocno uszkodzonego zamku. Następnej nocy spora grupa czerwonoarmistów w tymże zamku świętowała zwycięstwo. Szukając alkoholu natrafili na skrzynie. Wódki w nich nie było, ale drewno przydało się do rozpalenia ogniska. Kwietniowe noce w Prusach Wschodnich są bowiem chłodne, a w pozbawionym wszystkich szyb zamku hulał lodowaty wiatr od morza. Do palącego się na środku Sali Rycerskiej ogniska dorzucano kolejne fragmenty skrzyń. Od iskier zajęły się te stojące w pobliżu. Wkrótce Sala Rycerska stanęła w ogniu. Kilka tygodni później jeden z członków wysłanej z Moskwy do Prus Wschodnich brygady trofiejnej Komitetu do spraw Sztuki przy Radzie Komisarzy Ludowych ZSRR, przerzucając w mocno zniszczonej Sali Rycerskiej zwały popiołu, natrafi na drobne metalowe elementy, jak zawiasy i klamki, które pochodziły z Bursztynowej Komnaty…

Erich Koch w pewnym momencie pobytu w polskim więzieniu grał kartą Bursztynowej Komnaty w stawce o swe życie, chociaż o jej losach w ostatnich tygodniach wojny nic nie wiedział. Podejrzewam, że w ogóle niewiele o niej wiedział. To powojenna legenda dopisała rozdział o zachłannym gauleiterze w dzień i w nocy interesującym się komnatą i na każdym kroku przypominającym współpracownikom jej materialną wartość.

Ostatnie dwa i pół roku życia Erich Koch spędził w więzieniu bezprawnie. Zgodnie z obowiązującym w PRL prawem, jeśli kara śmierci nie została wykonana w ciągu dziesięciu lat od jej wydania, automatycznie została zamieniona na 25 lat pozbawienia wolności. Ten termin minął 9 marca 1984 roku. Tego dnia Koch powinien wyjść na wolność. Nie wyszedł.

ZDJĘCIA LESZEK ADAMCZEWSKI, ARCHIWUM AUTORA

Leszek Adamczewski
Poznański dziennikarz i pisarz. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor ponad 20 książek, cieszących się wielkim zainteresowaniem czytelników, poświęconych tajemniczym zdarzeniom z czasów II wojny światowej. Najnowsza pozycja tego Autora to, wydana nakładem Repliki, „Zejście do piekła".

Budynek barczewskiego więzienia z nieistniejącą celą nr 12 , w której przebywał Erich Koch.

Z dziejów dolnośląskiego więziennictwa (cz. 1)

Zapomniany zabytek lwóweckiego penitencjaryzmu

SZYMON WRZESIŃSKI

Niemal dziesięć lat temu dawny areszt, pełniący czasem funkcję więzienia, kupił pewien deweloper z zamiarem urządzenia w nim niezwykłego hotelu. Goście mieli spać w dawnych celach oraz brać udział w rekonstrukcjach. Jedną z nich miała być próba ucieczki z „lwóweckiego Alcatraz". Były ambitne plany, oryginalne pomysły; miało być pięknie, a skończyło się jak zwykle…

Średniowieczne legendy i fakty

Historia lwóweckiego penitencjaryzmu sięga – według niepotwierdzonych przekazów – 1166 r., kiedy to miejscowy kat miał otrzymać od władz miejskich klucze do nowopowstałego więzienia. Podobno był to drewniany budynek o obwodzie ponad 570 kroków, położony we wschodniej części osady nieopodal drogi biegnącej do Złotoryi. Po wielkim pożarze Lwówka Śląskiego (1178), areszt ponoć na pewien czas ulokowano w przyziemiu ratusza. Niestety, przekazów tych nie da się potwierdzić źródłowo – zwłaszcza w kontekście tego, iż pierwsze udokumentowane przywileje pochodzą z 1208 r., zaś lokację miasta przeprowadzono dopiero 9 lat później (1217).

Pewniejsze dane o egzekwowaniu kar przez lwóweckich ławników pochodzą dopiero z XIV stulecia. Co prawda Bergemann w swej kronice Lwówka Śl. podaje rok 1165, jako czas budowy murowanej szubienicy na jednym ze wzniesień, lecz znacznie bardziej prawdopodobne są zapiski Hayna. Według tegoż autora w 1367 r. na jednym z podmiejskich wzgórz została założona winnica; na jej szczycie mieścił się drewniany obiekt, na którym… egzekwowano prawo.[1] Najprawdopodobniej szubienicę tworzyły trzy filary, na których zamontowano poziome belki egzekucyjne. Niewykluczone, że jej ówczesny wygląd stał się wzorem podczas tworzenia malowniczej wizji kar dla grzeszników na jednej ze ścian gotyckiej świątyni franciszkanów (obecnie kościół pw. Św. Franciszka z Asyżu). Trzeba jednak zaznaczyć, że do połowy XV w. miasto nie posiadało własnego oprawcy, dlatego nieraz korzystało z usług kata ze Zgorzelca.[2]

Wiadomo również, iż w 1492 r. władze miejskie wyznaczyły zasięg własnego sądownictwa, które oficjalnie rozciągało się w promieniu kilku kilometrów od rynku (w 1751 r. w skład lwóweckiego dystryktu wchodziło już 30 miejscowości).[3] Niejednokrotnie z tego powodu dochodziło do sporów i procesów z okolicznymi właścicielami wsi, którzy chcieli egzekwować prawo na terenie własnych dóbr. Wiele

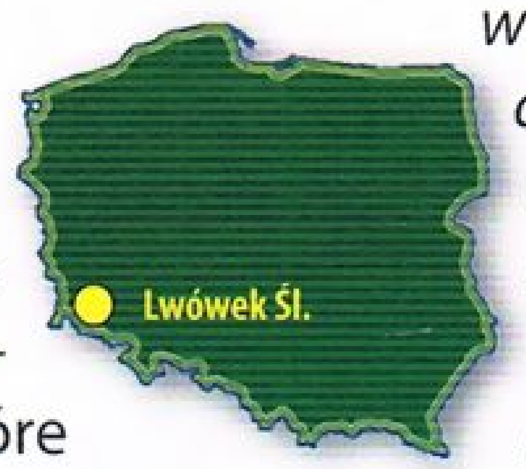

Budynek sądu w Lwówku Śląskim ok. 1910 roku.

z takich przewodów sądowych prowadzonych było w jednej z sal ratusza na wyższej kondygnacji, gdzie mieściła się bogato zdobiona Sala Ławy. Co ciekawe, jedno z wyjść z tej sali prowadziło do lochu zwanego popularnie głodowym. W owym czasie zarówno mieszkanie kata, izba tortur oraz areszt znajdowały się znacznie dalej, w pobliżu Bramy Złotoryjskiej (dzisiaj niezachowana).

Ponieważ przestępstw dopuszczali się nie tylko zwykli chłopi, lub mieszczanie, specjalna komisja Księstwa Świdnicko-Jaworskiego przygotowała raport na dwór cesarski. W efekcie na początku 1546 r. wszedł w życie dokument Ferdynanda I Habsburga, w którym podano do wiadomości okolicznych feudałów, że: *„W razie gdyby ziemianin bądź właściciel lenna przebywając w mieście dopuścił się tam przestępstwa – podlegać będzie aresztowi miejskiemu. Następnie Starosta Księstwa ma obowiązek w owym mieście w przeciągu czternastu dni doprowadzić do procesu z udziałem sędziego oraz ośmiu przedstawicieli stanu rycerskiego i dwóch rajców. W przypadku braku jednomyślności miejscowego sądu sprawę rozstrzygnie Sąd Królewski bądź Starosta Księstwa".*

Zdarzało się, iż lwówecki areszt wykorzystywano do nietypowych zatrzymań. Kiedy w 1551 r. Simon Basler, czeladnik krawiecki z Oławy, pojawił się w mieście nad Bobrem, z nieznanych nam bliżej powodów zwrócił się do miejscowego cechu o wsparcie finansowe na dalszą podróż. Oburzeni mistrzowie nie dość, że odmówili mu pożyczki, to jeszcze doprowadzili do zamknięcia czeladnika w areszcie. Następnie wysłali do cechu oławskiego zapytanie, co mają zrobić z nietypowym aresztantem. Zapewne tamtejsi poręczyli za członka oławskiego cechu, bowiem wkrótce po tym czeladnika wypuszczono na wolność. Murowany, lecz zapewne niewielki areszt w drugiej połowie XVI stulecia gościł wielu pensjonariuszy. 9 VI 1558 r. Starosta Księstwa Świdnicko-Jaworskiego Hans Schoff, zwany Gotsche, po wysłuchaniu Joachima von Talkenberga sporządził dokument z nakazem uwolnienia z lwóweckich cel poddanych rycerza. Z kolei 16 IX 1559 r. podobny rozkaz został wysłany do radnych z zamku w Pradze. W dokumencie arcyksięcia Ferdynanda Habsburga podano do wiadomości, iż należy niezwłocznie uwolnić z lwóweckiego aresztu Martina Lachmanna. Warto przytoczyć jeszcze jedną historię, która miała miejsce 24 III 1589 roku. Tego bowiem dnia Christoph Radecker usłyszał, że został skazany na karę śmierci za zamordowanie swojej żony. Do egzekucji jednak nie doszło, bowiem kochanka aresztanta zdołała go uwolnić, po czym oboje zbiegli z miasta.[4]

Inaczej potoczył się los pewnego złodzieja z Olesznej Podgórskiej, którego zatrzymano jesienią 1602 r. w trakcie spędzania upojnej nocy z niewiastą z Krzewia Wielkiego. Po kilku dniach pobytu w Lwówku, przeplatanego wizytami w celi, bądź w Sali Ławy, Matthesa Knoblicha skazano 23 listopada na śmierć przez powieszenie na Galgenbergu. Ponieważ stanowisko dozorcy aresztu pełnili zazwyczaj ludzie nie cieszący się dobrym pochodzeniem, bądź uznaniem społecznym, dlatego wielokrotnie zawodzili swych pracodawców. Do takiej sytuacji doszło pod koniec marca 1662 r., kiedy z powodu niespłaconych długów w lwóweckim areszcie zamknięto Michaela Heina, czeladnika rzeźniczego. Jako iż dozorca zamiast pilnować oskarżonego, wolał udać się do jednej z karczm, nie zdążył zareagować na wybuch pożaru. W przeciągu kilku godzin płomień strawił cały areszt, uśmiercając osadzonego w celi oraz… dwójkę małych dzieci pijanego dozorcy! Do czasu wybudowania nowego aresztu rozmaitych sprawców osadzano m.in. w wieży Bramy Lubańskiej. W annałach można odszukać także historię, która wydarzyła się nocą 3 V 1668 roku. Wtedy to właśnie prowizor apteczny Christoph Tschorn, jadąc z pomocą do chorego, z nieznanych powodów wyrwał drzewko spod drzwi sędziego Fuchsa, a następnie rzucił je pod pręgierzem. Ponieważ stało się to w rejonie dozoru wachmistrza nocnego Georga Adolpha, został on wypędzony z miasta na okres jednego roku, zaś sprawcę ukarano grzywną i czterema tygodniami pozbawienia wolności.[5] Jeszcze inaczej zakończył się los Georga Güttlera, którego latem 1720 r. osadzono w nowym areszcie. Ponieważ podejrzany o zamordowanie starszego mężczyzny z Milęcic zmarł w celi podczas oczekiwania na proces, 13 sierpnia pomocnicy kata wywlekli zwłoki z aresztu. Następnie pod szubienicą odcięli głowę, po czym zatknęli ją na palu, a resztę ciała położyli na kole egzekucyjnym. Ławnicy uznali, że pewien udział w przestępstwie miała także żona, dlatego zmuszono ją do złożenia uroczystej przysięgi i opuszczenia miasta: *„Niniejszym ja, Sabrina Güttler, całkowicie wierna mojemu, lecz zmarłemu w tutejszym areszcie mężowi, skazanemu za publiczne morderstwo popełnione na Danielu Weiglu, służyłam mojemu mężowi pomocą, przez co tutaj w Lwówku na Śląsku zostałam aresztowana i osądzona. Na podstawie przepisów prawa i wyroku sądu, skazana zostałam na karę chłosty [pod pręgierzem] i wieczystego wygnania z obszaru Śląska i innych dziedzicznych ziem cesarskich. Niniejszym oświadczam, że przyjęłam nałożoną na mnie stosowną karę i składam osobistą przysięgę wobec Boga Wszechmogącego, Najświętszej Matki Boskiej i wszystkich Świętych, iż podczas mego żywota nie odwiedzę ziem śląskich i pozostałych cesarskich ziem dziedzicznych. W miejscu, w którym chcę osiąść, pragnę zachować nałożoną na mnie wieczystą karę i nie będę popełniać jakichkolwiek występków. Obiecuję się poprawić i proszę Wszechmogącego o uchronienie mnie od podobnie złych przewinień. Tak mi dopomóż Panie Boże, Niepokalana Dziewico Maryjo i wszyscy kochani Święci. Amen”.*[6]

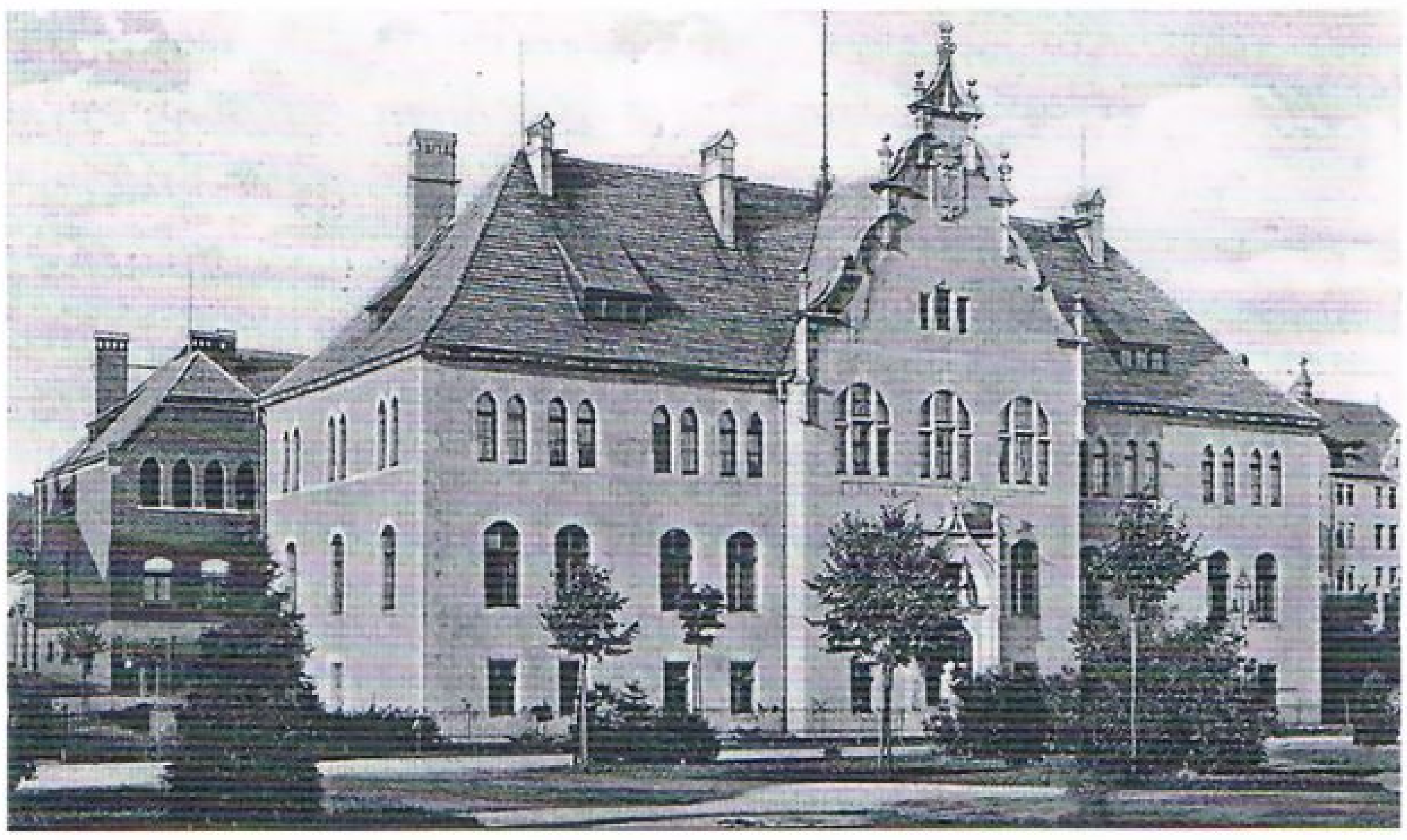

Lwóweckie budynki sądu i aresztu w 1911 roku. Do dzisiaj przetrwał jedynie areszt.

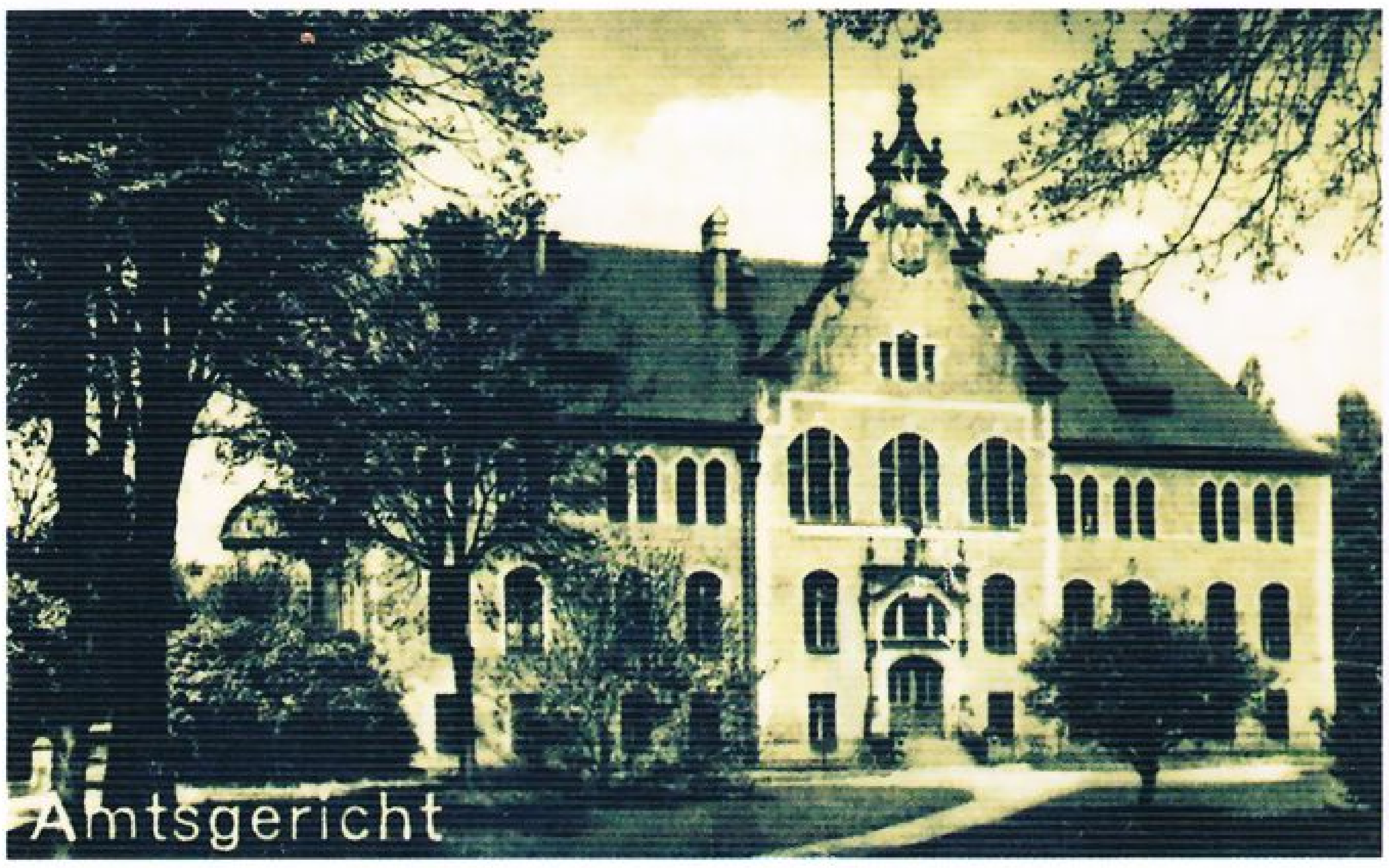

Niezachowany, dawny gmach sądu w Lwówku Śląskim ok. 1940 roku.

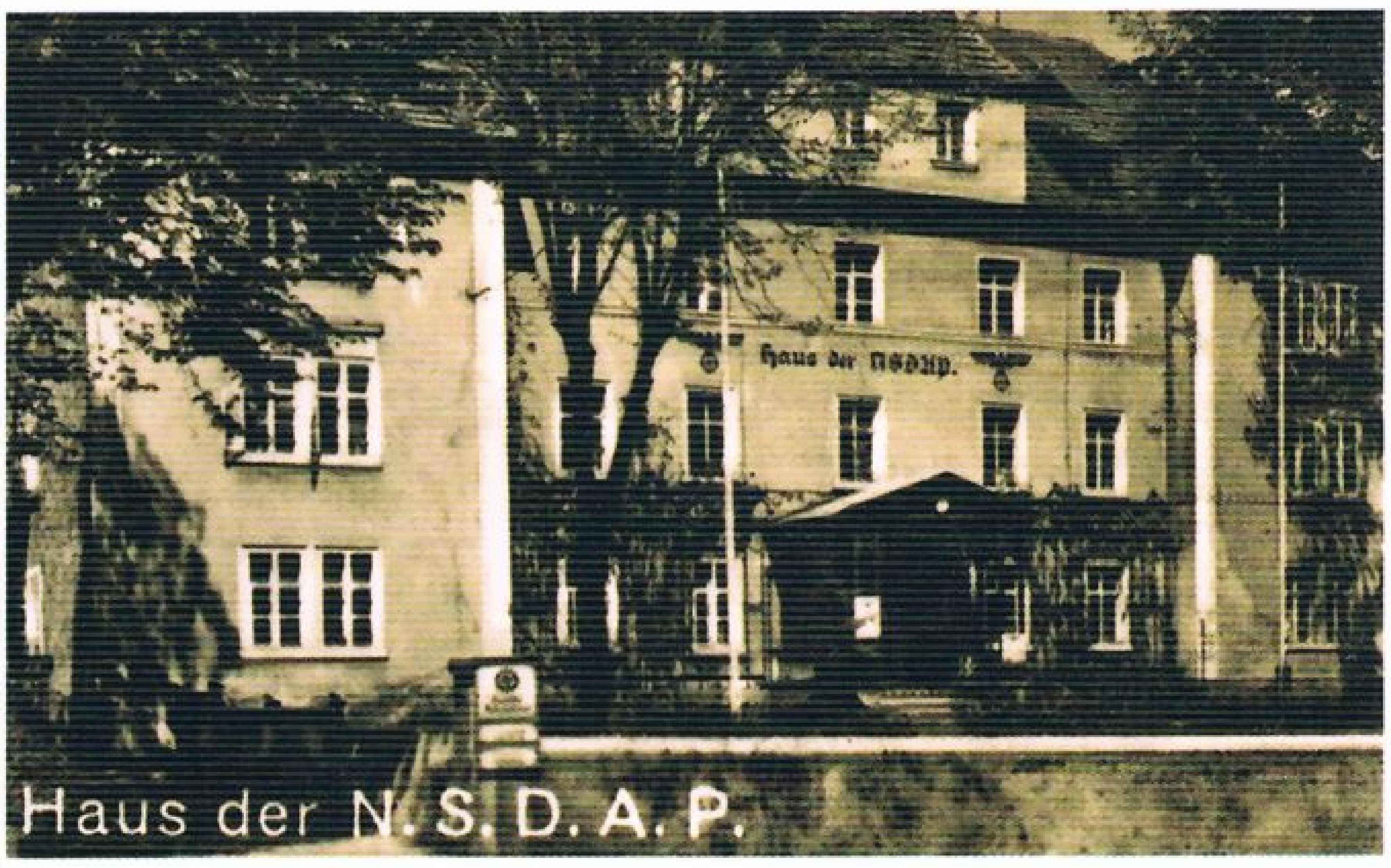

1940 rok, siedziba NSDAP w Lwówku Śl. położona była blisko aresztu. Obecnie jest to budynek szkolny.

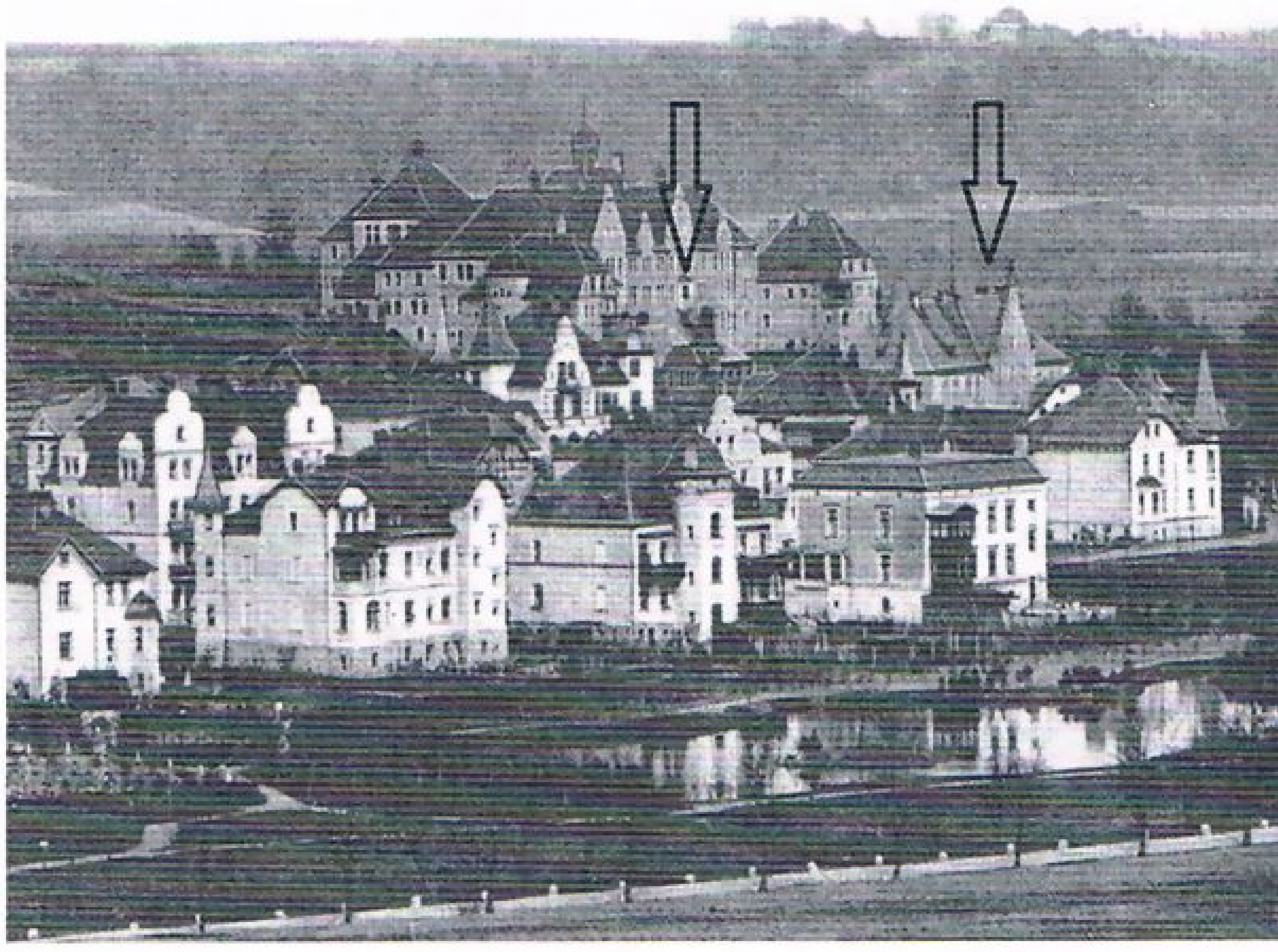

Oznaczone budynki w Lwówku Śląskim – areszt po lewej i sąd po prawej stronie.

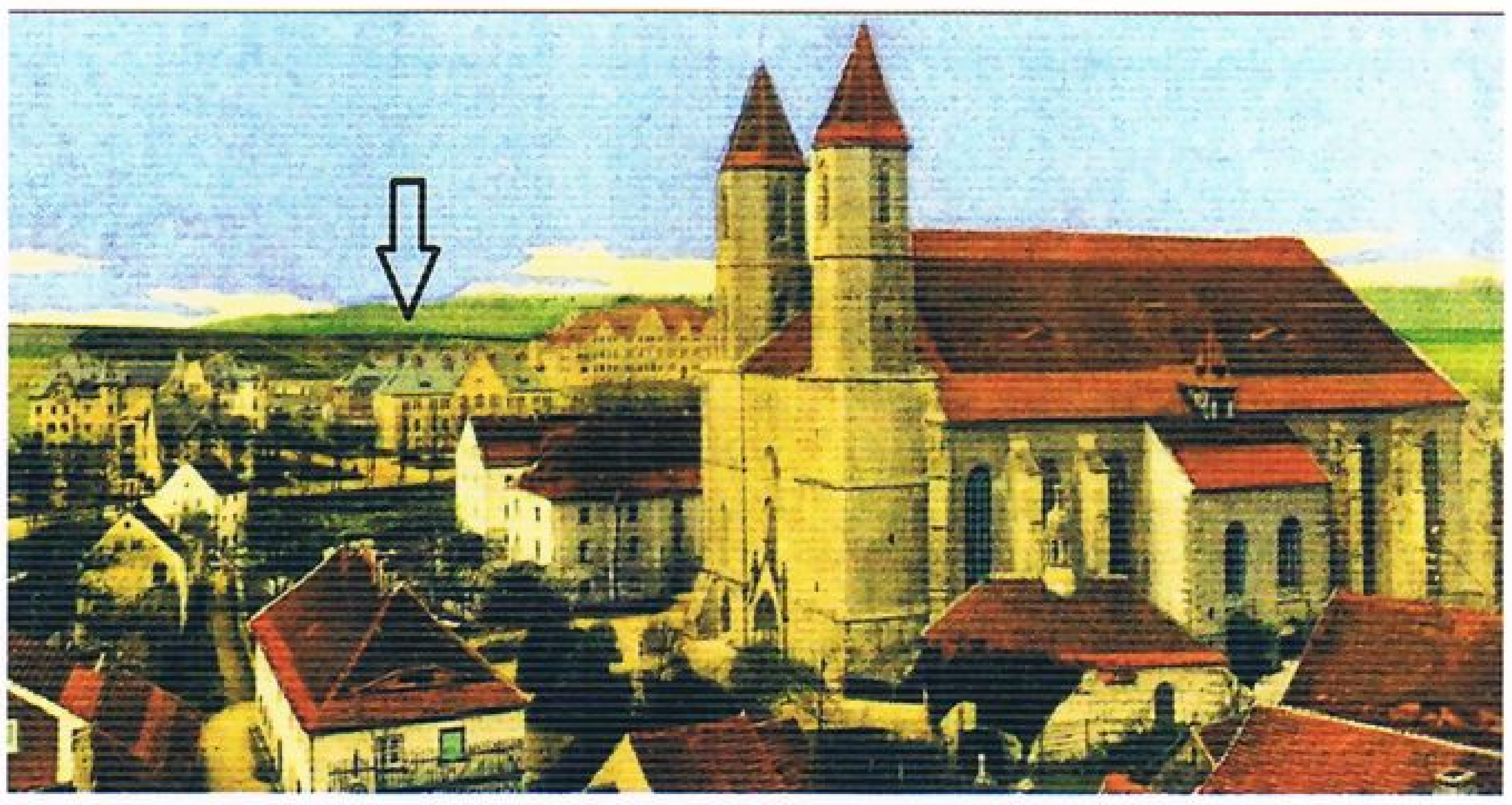

Strzałka pokazuje budynki sądu i aresztu w Lwówku Śl. na dawnej litografii.

Infamia dotykająca kata i jego rodzinę, ze względu na wykonywany zawód, nieraz obejmowała pracowników więzienia. 27 II 1766 r. nadzorca aresztu, niejaki Thiele, poskarżył się radnym, że po śmierci jednego z członków jego rodziny nie otrzymał pomocy tragarzy do niesienia trumny. Lwówecki magistrat natychmiast podjął działania i zobowiązał grupę mieszkańców jednego z przedmieść do przeniesienia trumny na cmentarz. Niesława nadzorcy aresztu dotknęła nawet jego syna, który w tym samym roku nie został przyjęty do odbycia nauki zawodu rzemieślnika wyrabiającego powrozy, liny i sznurki. Ojcu nie pozostało nic innego, jak udać się do siedziby cechu powroźników i wykazać się… patentem szlacheckim, jaki rzekomo otrzymał wraz z katem dnia 29 I 1772 roku! To, czy dokument był autentyczny, nie sposób dziś dowieść. Syna nadzorcy jednak przyjęto celem przyuczenia do wymarzonego zawodu.[7]

Do miejscowego aresztu kierowano czasem żołnierzy pojawiających się w okolicy podczas rozmaitych kampanii. W październiku 1760 r., kiedy trwała wojna 7-letnia, na polecenie lwóweckiego rajcy do celi trafiło kilku Chorwatów, którzy w Rakowicach Wielkich znęcali się nad mieszkańcami. Z kolei 26 V 1813 r., gdy trwał okres tzw. wojen napoleońskich, francuski komendant miasta, kapitan Riminié, kazał aresztować wszystkich żołnierzy przyłapanych na grabieniu okolicznych majątków.

Przez kilkaset lat lwówecki areszt kilkakrotnie zmieniał miejsce swego położenia, choć zwykle była to północno-wschodnia część miasta. Wynikało to z chęci utrzymania tak specyficznego miejsca w bliskim położeniu od domu kata, który nieraz pełnił dozór nad aresztantami. W czasach nowożytnych budynek znajdował się w pobliżu dzielnicy żydowskiej (obecnie ul. Konopnickiej). Według skromnych przekazów w roku 1819 areszt miał zostać odremontowany i nieznacznie powiększony, a sześć lat później (1825) funkcjonować wespół z domem poprawczym.[8]

Budowa nowej siedziby

Nowy budynek aresztu-więzienia (obecnie na ul. Jana Pawła II), został wzniesiony ok. 1909 roku: *Budynek jest lekko historyzujący w formie. Bryła nawiązuje do architektury rezydencjonalnej, głównie gotyckiego zamku. Detale za to są oszczędne i już wyraźnie XX-wieczne, m.in. wykroje okien. Szczególnie wybija się tu 4-boczna wieżyczka, która wyraźnie rozdziela optycznie budowlę na dwie części; prawa mieściła cele, zaś lewa część była bardziej reprezentacyjna, o czym świadczą wysokie, lekko ostrołukowe okna pomieszczenia na pierwszym piętrze. Zapewne była to jakaś aula i takie rozwiązanie także nawiązuje do tradycji średniowiecznej, gdy na pierwszym piętrze lokowano właśnie takie duże sale z oknami, wyższymi aniżeli pozostałe. Dawniej mogły tam być jakieś ozdobne szyby. Ceglane elewacje są dość proste, ale wydaje się, jakby miały cegły układane w ozdobnym wątku, tworzącym geometryczny wzór. Wewnętrzne ościeża były wykończone zapewne cegłą klinkierową"* – opisuje obiekt historyk sztuki Małgorzata Stankiewicz.

W sąsiedztwie aresztu, co miało ułatwić transport oskarżonych lub skazanych, został wzniesiony budynek sądu: *„Budynek ten był znacznie bardziej reprezentacyjny, coś na kształt późnej secesji, sięgającej do źródeł architektury późnorenesansowej i barokowej (szczyty). Posiadał też elementy sztuki neogotyckiej, np. łuk w portalu. Widać tu zróżnicowanie kształtu okien, różnych na każdej kondygnacji; ciekawe były te na drugim piętrze, które nawiązywały do romańskich biforiów. Do tego zdobienia tynku na narożnikach przypominające gotyckie boniowania budowli obronnej"* – dodaje M. Stankiewicz.

Funkcjonujące w latach 20. i 30. więzienie sądowe (niem. Gerichtsgefängnis), przeznaczone było dla mężczyzn osadzonych w areszcie oraz skazanych na podstawie wyroków zapadłych w sądach obwodowych w Lwówku Śląskim, Gryfowie Śląskim i Nowogrodźcu na niewielkie kary więzienia. W 1935 r. (wg innych w grudniu 1940 r.) dotychczasowy zakład penitencjarny został zlikwidowany, by w jego miejscu utworzyć areszt dla młodocianych (niem. Jugendarrestanstalt) z okręgu sądu krajowego w Jeleniej Górze. Zakład karny dla nieletnich młodzieńców, powstały z myślą o umieszczeniu w nim skazanych na kilka tygodni pozbawienia wolności, od 12 XI 1941 r. przekształcono w areszt i więzienie dla dziewcząt z okręgu wyższego sądu krajowego we Wrocławiu.[9] Przebywających dotąd w Lwówku Śl. młodocianych Niemców najprawdopodobniej skierowano do więzienia w Dzierżoniowie (niem. Jugendgefängnis Reichenbach), bądź do aresztu w Zgorzelcu (niem. Haftanstalt Görlitz).

W służbie więziennictwa PRL

Po zakończeniu II wojny światowej areszt, prawdopodobnie, został na nowo

REKLAMA

www.pawlo.sklep.pl

OFERUJEMY WYKRYWACZE:
- GARRETT,
- XP,
- TEKNETICS,
- MINELAB,
- RUTUS
ORAZ INNYCH PRODUCENTÓW.

W NASZEJ STAŁEJ OFERCIE POSIADAMY RÓWNIEŻ MYJKI ULTRADŹWIĘKOWE.

FHU „PAWLO" Paweł Piec
65-124 Zielona Góra, ul. Wołodyjowskiego 8
tel.: +48 603 469 561, fax: +48 68 41 43 222, e-mail: pawel@pawlo.sklep.pl

otwarty jeszcze w 1945 roku. Mimo, iż zgodnie z obliczeniami Wydziału Więziennictwa WUBP we Wrocławiu w lwóweckim zakładzie mogło przebywać do 150 aresztowanych i więźniów, rzeczywista liczba przetrzymywanych stale się zmieniała i rosła. W roku 1950 przewinęło się przezeń w sumie 613 osób. Jeszcze trudniejsza sytuacja miała miejsce w kolejnym roku, czego dowodzi raport z kontroli aresztu przeprowadzonej 27 VII 1951 roku. Odnotowano wówczas spore przeludnienie; w celach dwuosobowych ulokowanych było po czterech więźniów, wobec czego w wielu pomieszczeniach na jednej pryczy spały po dwie osoby. W owym czasie w areszcie były dwa karcery, z tego jeden w celi nr 26 oba pozbawione okien oraz swobodnego dopływu powietrza. Ponadto w areszcie funkcjonowały: warsztat krawiecki, introligatornia i pralnia. Część tych prac wykonywały kobiety, które przetrzymywano w areszcie do 1952 roku. Od tego czasu powoli zmniejszała się liczba osadzonych. W efekcie w lipcu 1953 r. przebywało tutaj już tylko 56 więźniów śledczych oraz 6 karnych. Dwa lata potem w lwóweckim zakładzie przetrzymywano 53 mężczyzn. Rok 1955 pozostał w pamięci również dlatego, że nastąpiła wówczas zmiana nadzoru placówki. O ile w latach 1945-1954 areszt podlegał Wydziałowi Więziennictwa WUBP we Wrocławiu, to w latach 1955-1956 było nim Centralne Więzienie nr II przy ul. Sądowej we Wrocławiu.[10]

– *Z niepełnych danych wynika, że w lwóweckim areszcie w latach 1945-1956 zmarło dwoje więźniów: Stanisława Wacowska i Włodzimierz Poddębski. Natomiast jedynym zidentyfikowanym komendantem aresztu w 1953 roku był chorąży B. Stryjaś* – twierdzi prof. Krzysztof Szwagrzyk z wrocławskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej.[11]

W podobnej formie „więzienny areszt" działał do roku 1979. Następnie przez ponad dwie dekady budynek służył jako magazyn. Po latach niezbyt udanego wykorzystania byłego aresztu, władze powiatowe postanowiły w końcu pozbyć się zbędnego balastu. We wrześniu 2005 r. budynek o kubaturze 3 tys. m sześc., wraz terenem o powierzchni 770 m kw., wystawiono na sprzedaż. Cena wywoławcza – 303 tys. zł.

Ponieważ pierwszy przetarg z 14 XI 2005 r. nie doprowadził do sprzedaży, dlatego 28 III 2006 r. przeprowadzono kolejny. Tym razem cena wywoławcza nieruchomości wynosiła już tylko 200 tys. zł. Zakup stuletniego aresztu nie przyniósł jednak oczekiwanego finału. Budynek, zamiast przekształcenia w nietypowy hotel, wkrótce trafił do biura sprzedaży nieruchomości za znacznie większą sumę (obecnie wystawiony jest za 450 tys. zł.). Wkrótce minie 10 lat od czasu oddania go w prywatne ręce i na razie nic nie wskazuje na to, by w kolejnych latach cokolwiek miało się zmienić. A przecież z każdym rokiem nieremontowany obiekt niszczeje i traci na wartości...

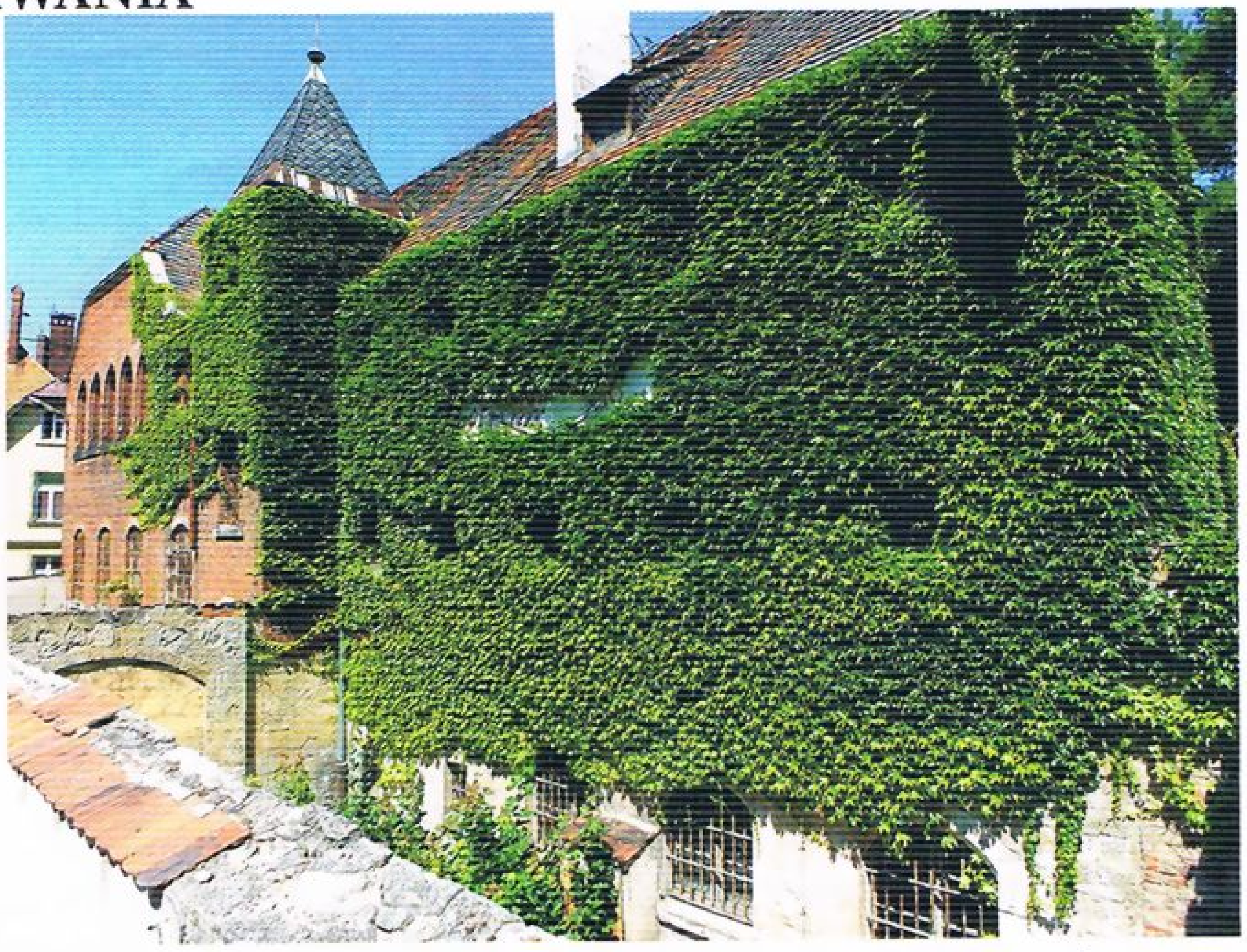

Zbliżenie na fasadę dawnego aresztu w Lwówku Śląskim. Stan obecny.

Boczna elewacja dawnego aresztu w Lwówku Śląskim. Stan obecny.

Autor dziękuje Małgorzacie Stankiewicz za analizę architektoniczną.

ZDJĘCIA: SZ. WRZESIŃSKI, ARCH. AUTORA

Przypisy:

[1] J.G. Bergemann, „Historisch-Topographische Beschreibung der Kreis-Stadt Löwenberg und Umgegend", Bd. I, Hirschberg 1824, s. 698; C. F. W. Hayn, „Chronologische Notizen oder merkwürdige Begebenheiten die sich in der Vorzeit und Gegenwart in und um Landeshut ereignet haben", Landeshut 1845, s. 78

[2] E. Wentscher, „Die Görlitzer Scharfrichter" [w:] „Neues Lausitzisches Magazin", Bd. 108 (1932)

[3] J. G. Bergemann, *op. cit.*, s. 720 (przypis 1144).

[4] E. Braniewski, „Leoriana, czyli kalendarium Lwówka Śląskiego i jego okolic", Lwówek Śląski 2007, s. 91 i 108.

[5] J. G. Bergemann, *op. cit.*, s. 724; E. Braniewski, *op. cit.*, s. 114 i 145

[6] Akta miasta Lwówka Śląskiego, Archiwum Państwowe we Wrocławiu, O/ w Jeleniej Górze, sygn. 298 (Recht und Gericht 1597-1845). Por. D. Wojtucki, „Kat i jego warsztat pracy na Śląsku, Górnych Łużycach i w hrabstwie kłodzkim od początku XVI do połowy XIX wieku", Warszawa 2014, s. 262.

[7] J. G.Bergemann, *op. cit.*, s. 123-124

[8] E. Braniewski, *op. cit.*, s. 217 i 221

[9] Rok 1935 znajdziemy w zbiorach: Grundstücksverzeichnis des Amtsgerichts und der Jugendarrestanstalt Löwenberg, Geheimes Staatsarchiv Preußischer Kulturbesitz, XVII. HA, Rep. 223 b, Nr. 1072. Z kolei XII 1941 w informatorze encyklopedycznym „Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939-1945", Cz. Pilichowski (red.), Warszawa 1979, s. 280

[10] Protokoły z kontroli WUBP we Wrocławiu [w:] Archiwum Akt Nowych, MBP Departament Więziennictwa. Wydział Inspekcji, 2/16, k.38, 2/75. k.1; Areszt Śledczy w Lwówku Śląskim. Księga główna aresztantów za lata 1949-1950 [w:] IPN Wrocław, 2/14; „Zarządzenia, rozkazy, pisma, notatki WUBP we Wrocławiu za okres od lipca do grudnia 1955 r.", [w:] IPN Wrocław, 053/409, t. II, k. 55

[11] Por. K. Szwagrzyk, „Więzienia i obozy na Dolnym Śląsku (1945-1956)", Wrocław 2013, s. 84

Szymon Wrzesiński

Historyk, autor książek: „Tajne kompleksy lotnicze III Rzeszy na Dolnym Śląsku i Ziemi Lubuskiej"; „Hitler-Jugend na Dolnym Śląsku. Indoktrynacja–Siedziby–Poświęcenie"; „Zamek Książ – legenda III Rzeszy"; „Na tropach skarbów i depozytów Trzeciej Rzeszy. Kulisy rewindykacji i poszukiwań terenowych na Dolnym Śląsku"; „Skarby III Rzeszy ukryte na Dolnym Śląsku"; „Podziemne tajemnice III Rzeszy na Dolnym Śląsku"; „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki". Kontakt: sz_wrzesinski@wp.pl

Niezwykłe historie z powojennej prasy (cz. 1)

Basen nad Bobrem wylęgarnią szczurów!

SZYMON WRZESIŃSKI

Według lokalnych publikacji basen w Lwówku Śląskim uroczyście otworzono latem 1968 roku.[1] Okazuje się jednak, iż są to informacje mocno nieścisłe, bowiem obiekt ten funkcjonował już dwie dekady wcześniej! Przeglądając powojenne wydanie „Słowa Polskiego”, natrafiłem na interesujący artykuł poświęcony bardzo złemu stanowi zachowania poniemieckiego kąpieliska. Winnymi byli jednak nasi rodacy…

Przez długie dekady dawni mieszkańcy Lwówka Śląskiego (niem. Löwenberg) korzystali z dzikiej plaży nad Bobrem nieopodal jazu na rzece. Nie było to jednak najlepsze rozwiązanie, ponieważ zimny, niejednokrotnie szybki nurt i niebezpieczne wiry, były przyczyną wielu utonięć. Stąd też latem 1927 r. wychodząc naprzeciw lokalnym potrzebom władze miejskie uroczyście oddały do użytku nowoczesny basen kąpielowy. Lwówecka pływalnia funkcjonowała z powodzeniem do 1944 roku.

Po zakończeniu II wojny światowej miejscowe władze uznały, że rekreacja i wypoczynek mają dla mieszkańców – polskich osadników – drugorzędne znaczenie… Dlatego znajdujące się w dobrym stanie kąpielisko przestało interesować włodarzy, w efekcie czego szybko zostało zaniedbane. Postawieni przed faktem dokonanym mieszkańcy, pozbawieni kąpieliska, coraz liczniej zaczęli korzystać z położonego nieopodal murowanego stopnia i jazu na rzece, zwanych popularnie „tamą nad Bobrem”. A basen marniał w oczach…

Na odzew nie trzeba było długo czekać. O niegospodarności władzy zostały powiadomione lokalne media. Stąd też w kwietniu 1949 roku w Lwówku Śląskim zjawił się dziennikarz „Słowa Polskiego”, który na łamach tegoż dziennika opublikował krytyczny artykuł: *„Nowoczesny, pięknie urządzony basen kąpielowy w Lwówku Śląskim znajduje się w kompletnym zapomnieniu. Przez cały ubiegły sezon korzystali z niego miejscowi amatorzy sportu pływackiego. Gdy przyszły mrozy, nie było odpowiedniej opieki. Zamarzająca woda porozsadzała ściany, wandale złamali trampolinę i rozkradli sitka od natrysków. Lwówecka łobuzeria poczęła urządzać sobie formalne zawody w strzelaniu kamieniami do szyb i lamp. Szczytem barbarzyństwa legitymują się mieszkańcy sąsiednich domów, którzy beztrosko napełniają basen wszelkiego rodzaju śmieciem. W ten sposób cenny obiekt sportowy stał się wylęgarnią szczurów i bakterii. Należy zaznaczyć, że basen wielokrotnie zmieniał właściciela. Początkowo opiekował się nim Zarząd Miejski, następnie Związek Młodzieży Polskiej, Powiatowy Urząd Kultury Fizycznej, aby dać miejsce kompletnemu bezhołowiu. Póki czas, trzeba ratować kąpielisko, przydzielając je np. Związkowi Sportowemu »Gwardia«, i kontrolując przeprowadzane przez to zrzeszenie naprawy i inwestycje”* – grzmiał dziennikarz.

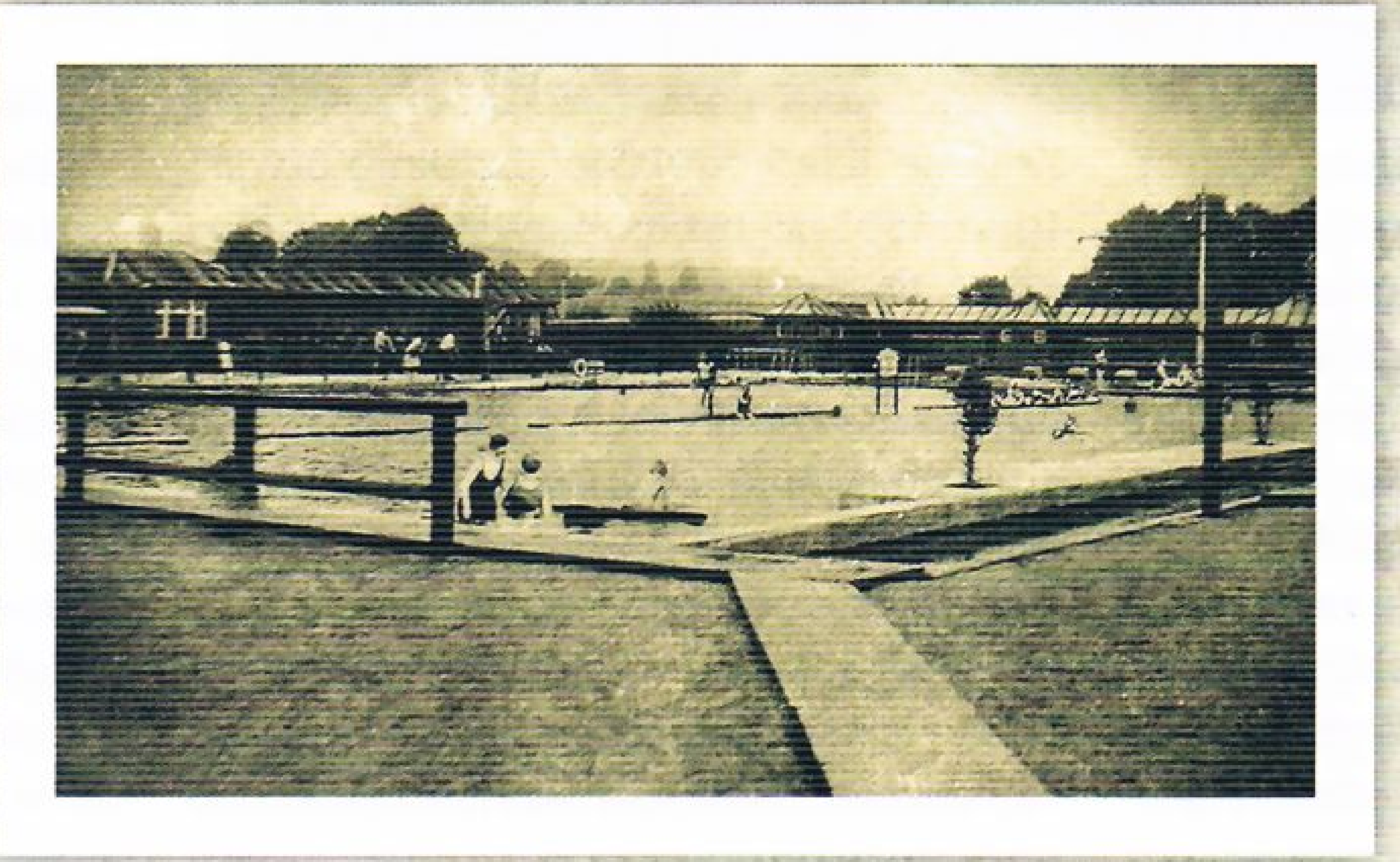

Basen w Lwówku Śl. w okresie przedwojennym. Zbiory Sz. Wrzesińskiego.

Do czasu znalezienia kolejnych materiałów prasowych, możemy jedynie się domyślać, że basen został pobieżnie oczyszczony ze śmieci. Świadczą o tym prywatne zdjęcia z końca lat 50. ubiegłego stulecia, na których widać rodziny korzystające z miejskiego kąpieliska. Stan obiektu był jednak daleki od ideału. W związku z tym w 1968 r. przeprowadzono gruntowny remont. Po jego zakończeniu basen na nowo oddano do użytku 22 lipca. Dzień nie był przypadkowy; propaganda sukcesu w okresie socrealizmu była bowiem bardzo ważna. Z racji sezonu letniego wybrano Narodowe Święto Odrodzenia Polski – najważniejsze święto państwowe w okresie Polski Ludowej.

Od tamtego czasu, po blisko 30 latach, ograniczony remont przeprowadzony został tylko raz – w roku 1997, po lipcowej powodzi. W obecnym sezonie niemal 90-letni basen został zamknięty. Powód takiej decyzji władze samorządowe zamieściły na oficjalnym portalu (lwowekslaski.pl): *„Rewitalizacja [starego i zniszczonego basenu], to praktycznie zbudowanie go od nowa, z zamkniętym obiegiem wody, uzdatnianiem, podgrzewaną wodą, instalacjami itp. Są to koszty rzędu kilku milionów złotych (3-6 mln zł), w zależności od tego, jak szeroki byłby zakres modernizacji…”.*

Jak potoczy się los wiekowego kąpieliska, czas pokaże. W sąsiednim Bolesławcu udało się przecież odremontować dwa poniemieckie baseny, zarówno otwarty jak i kryty.

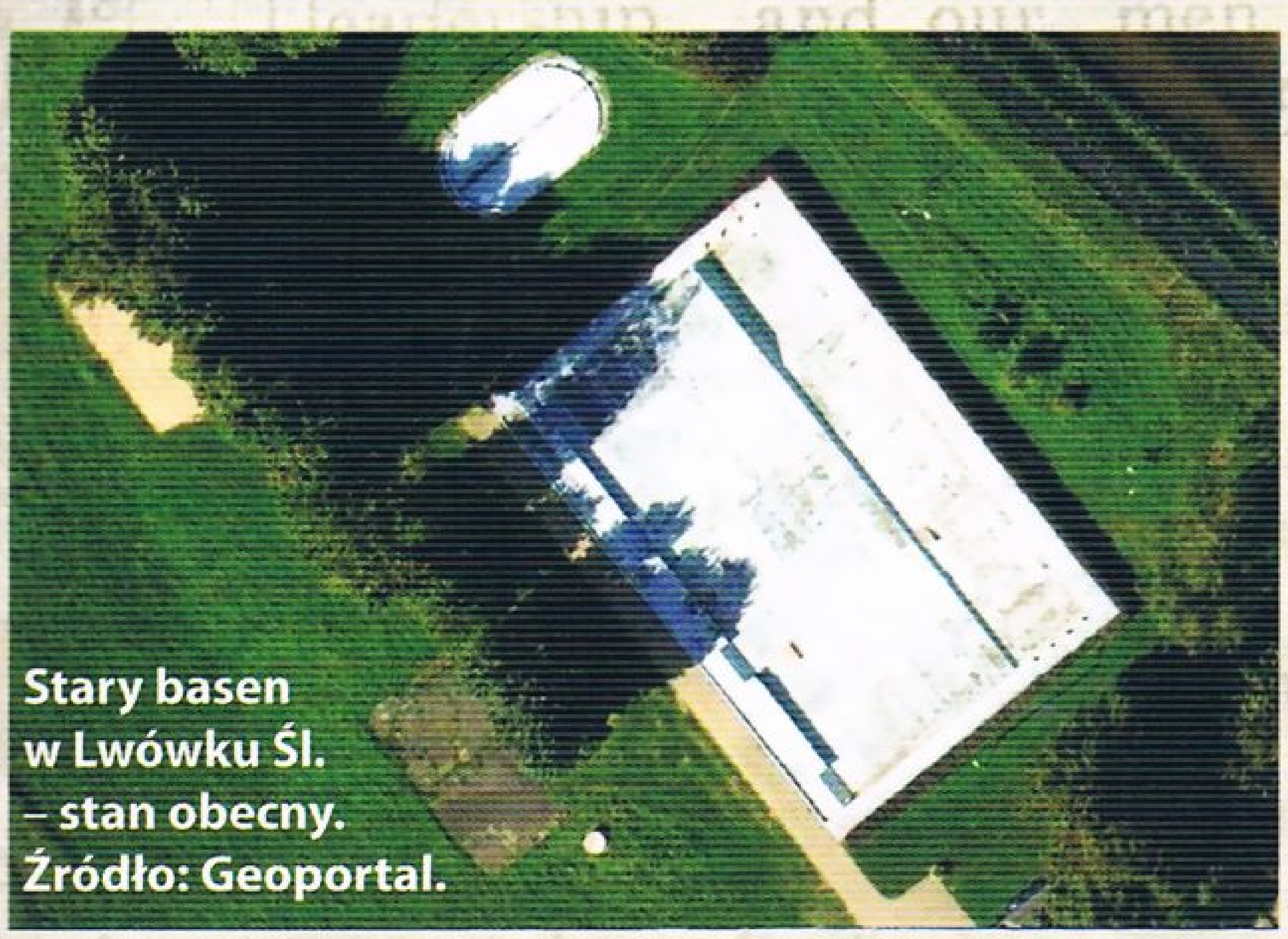

Stary basen w Lwówku Śl. – stan obecny. Źródło: Geoportal.

Przypis:
[1] E. Braniewski, „Leoriana, czyli kalendarium Lwówka Śląskiego i jego okolic”, Lwówek Śląski 2007, s. 272

Mroczne tajemnice Inhalatorium Radonowego w Kowarach

TOMASZ RZECZYCKI

Sztolnia 19a w Kowarach gościła już na łamach „Odkrywcy". Wierni Czytelnicy pamiętają relację z jej penetracji, z okresu, gdy była opuszczona i porzucona – zamieszczoną w lutym 2005 roku na łamach naszego miesięcznika. Na początku 2011 roku, gdy uruchamiano tam podziemną trasę turystyczną, opisałem dzieje tej sztolni. Tym razem chciałbym przybliżyć Czytelnikom epizod związany z uruchomieniem w głębi sztolni 19a Inhalatorium Radonowego. Z dokumentów, jakie przez lata spoczywały w Archiwum Państwowym we Wrocławiu, wyłania się przerażający obraz…

Tym, którzy z kowarską sztolnią dotąd się nie zetknęli, należy się krótkie przypomnienie jej dziejów. Kilka lat po II wojnie światowej specjaliści radzieccy odkryli duże złoże uranu w Podgórzu – dzielnicy Kowar położonej na zboczu Karkonoszy. Spośród wydrążonych tam sztolni największe znaczenie miały te, oznaczone numerami: 19 i 19a. Były to dwie równoległe do siebie sztolnie, położone na zboczu Lasockiego Grzbietu tuż nad doliną górskiej rzeczki Jedlicy. Pierwsza powstała w 1951 druga w 1954 roku. Ich wyloty umieszczono w lesie na wysokości 760 m n.p.m. W głębi górotworu istniało między nimi połączenie. Sztolnia 19a służyła jako główna sztolnia transportowa, wyjeżdżała nią na powierzchnię ruda uranu z kopalni w Podgórzu. Po kilku latach, w 1958 r., zaprzestano eksploatacji i sztolnie zostały, zgodnie z prawidłami sztuki górniczej, otamowane. O ich istnieniu przypomniano sobie, gdy powstały plany uczynienia z Kowar ośrodka sanatoryjnego. W sztolni 19a postanowiono urządzić podziemne Inhalatorium Radonowe podległe Uzdrowisku Cieplice funkcjonującemu w pobliskiej Kotlinie Jeleniogórskiej. Sztolnię otwarto w 1969 r., przy okazji wyeksploatowano resztki rudy uranu i zaadaptowano wnętrze na potrzeby lecznicze – tak, aby kuracjusze mogli w jej wnętrzu wdychać powietrze nasycone radonem, promieniotwórczym gazem o bardzo krótkim okresie połowicznego rozpadu.

W prasie przedsięwzięcie przedstawiano jako udany eksperyment i ogromny sukces. Jeśli coś krytykowano, to szczegóły techniczne, takie jak: niedogodny dojazd wąską drogą, sezonowość prowadzonej terapii itp. Tymczasem przeglądając dokumenty wytworzone w tej sprawie, można dosłownie dostać gęsiej skórki. Przez myśl przechodzą różne pytania: czy ktoś ukrywał prawdę o początkach Inhalatorium Radonowego, a pracowników potraktowano niczym doświadczalne króliki świadomie narażane na utratę zdrowia?

„Słowo Polskie" z 15 maja 1974 r. informowało o otwarciu kowarskiego Inhalatorium Radonowego w sztolni 19a.

Po śmierć czy po zdrowie?

Dokumentacja dotycząca rozruchu Inhalatorium Radonowego wcale nie spoczywała przez lata w zatrzaśniętych skrzyniach z gryfem najwyższej tajności. Przechowywano ją w publicznie dostępnym archiwum. Czasem i tyle wystarczy, by dokumenty mogły się przeleżeć do momentu, aż sprawa przycichnie. Teraz, po latach, można chłodnym okiem spojrzeć na to, co wydarzyło się wtedy w Kowarach…

O planach utworzenia w sztolni nieczynnej kopalni w Karkonoszach Inhalatorium Radonowego, zwanego też podziemnym sanatorium, społeczeństwo dowiadywało się co najmniej od 1967 r. z publikowanych w tym czasie artykułów i notatek prasowych. Pisały o tym tygodniki: „Służba Zdrowia" i „Nowiny Jeleniogórskie", dzienniki: „Słowo Polskie" i „Gazeta Robotnicza", miesięcznik „Miasto", periodyk „Ziemia" i pewnie wiele innych. Prasa ogólnie relacjonowała przebieg prac adaptacyjnych w sztolni, natomiast szczegółowo podawała kwotę 18 mln złotych, która miała być przeznaczona na stworzenie tego podziemnego obiektu. Jednak z owych publikacji obywatele w żaden sposób nie mogli się dowiedzieć o śmiertelnym niebezpieczeństwie, grożącym osobom spędzającym dłuższy czas w uranowej sztolni.

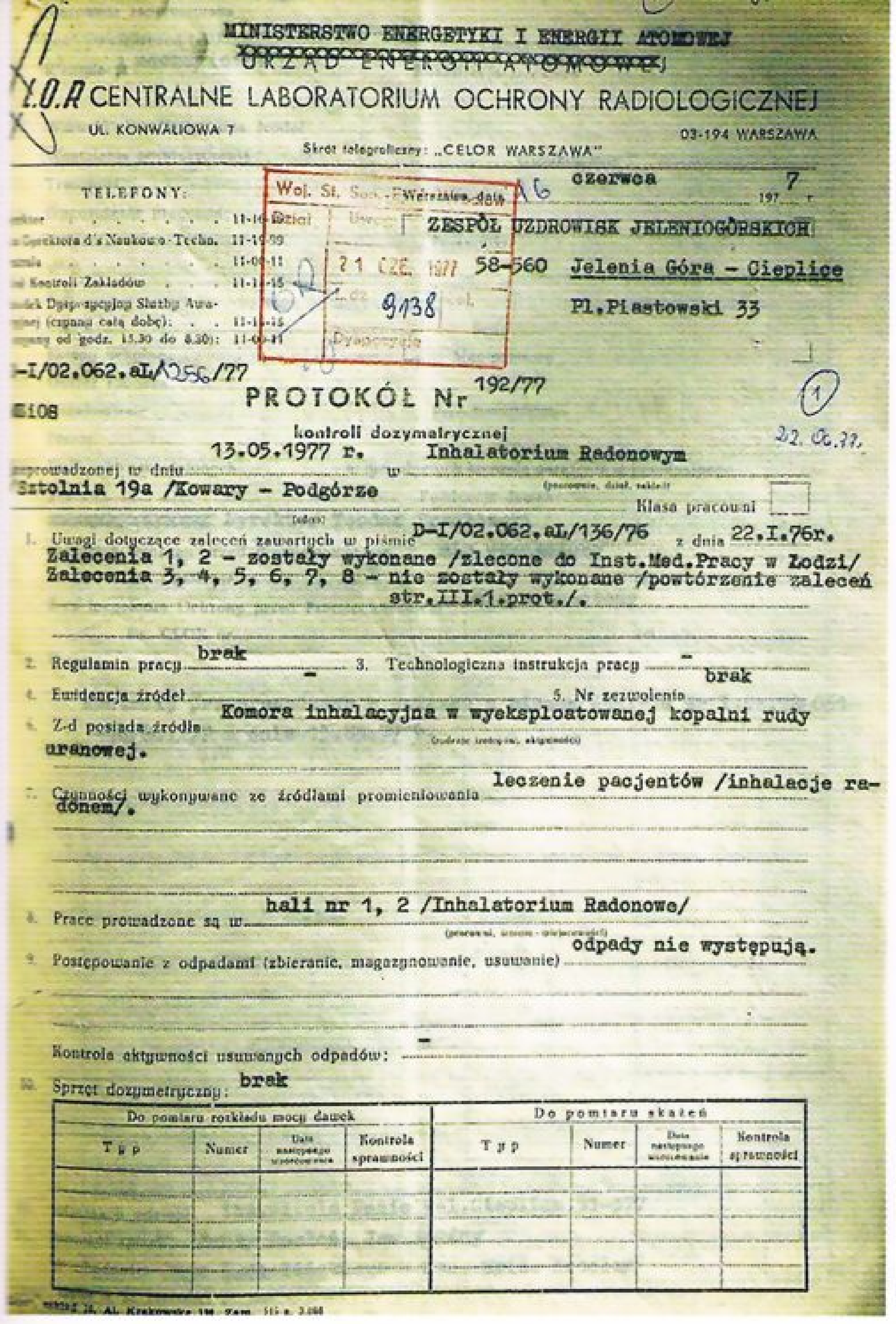
MINISTERSTWO ENERGETYKI I ENERGII ATOMOWEJ
URZĄD ENERGII ATOMOWEJ
C.L.O.R. CENTRALNE LABORATORIUM OCHRONY RADIOLOGICZNEJ
UL. KONWALIOWA 7 03-194 WARSZAWA
Skrót telegraficzny: „CELOR WARSZAWA"

TELEFONY:

Woj. St. San.-Epid. Wrocław dnia 16 czerwca 1977 r.
21 CZE. 1977
9138

ZESPÓŁ UZDROWISK JELENIOGÓRSKICH
58-560 Jelenia Góra – Cieplice
Pl. Piastowski 33

D-I/02.062.aL/1256/77

PROTOKÓŁ Nr 192/77

kontroli dozymetrycznej
przeprowadzonej w dniu 13.05.1977 r. w Inhalatorium Radonowym
Sztolnia 19a /Kowary – Podgórze
Klasa pracowni

1. Uwagi dotyczące zaleceń zawartych w piśmie D-I/02.062.aL/136/76 z dnia 22.I.76r.
Zalecenia 1, 2 – zostały wykonane /zlecone do Inst.Med.Pracy w Łodzi/
Zalecenia 3, 4, 5, 6, 7, 8 – nie zostały wykonane /powtórzenie zaleceń str.III.1.prot./.

2. Regulamin pracy brak 3. Technologiczna instrukcja pracy – brak
4. Ewidencja źródeł – 5. Nr zezwolenia
6. Z-d posiada źródła Komora inhalacyjna w wyeksploatowanej kopalni rudy uranowej.
7. Czynności wykonywane ze źródłami promieniowania leczenie pacjentów /inhalacje radonem/.
8. Prace prowadzone są w hali nr 1, 2 /Inhalatorium Radonowe/
9. Postępowanie z odpadami (zbieranie, magazynowanie, usuwanie) odpady nie występują.
Kontrola aktywności usuwanych odpadów: –
10. Sprzęt dozymetryczny: brak

Do pomiaru rozkładu mocy dawek				Do pomiaru skażeń			
Typ	Numer	Data następnego wzorcowania	Kontrola sprawności	Typ	Numer	Data następnego wzorcowania	Kontrola sprawności

Protokół kontroli dozymetrycznej z 13 maja 1977 r. w Inhalatorium Radonowym w Kowarach.

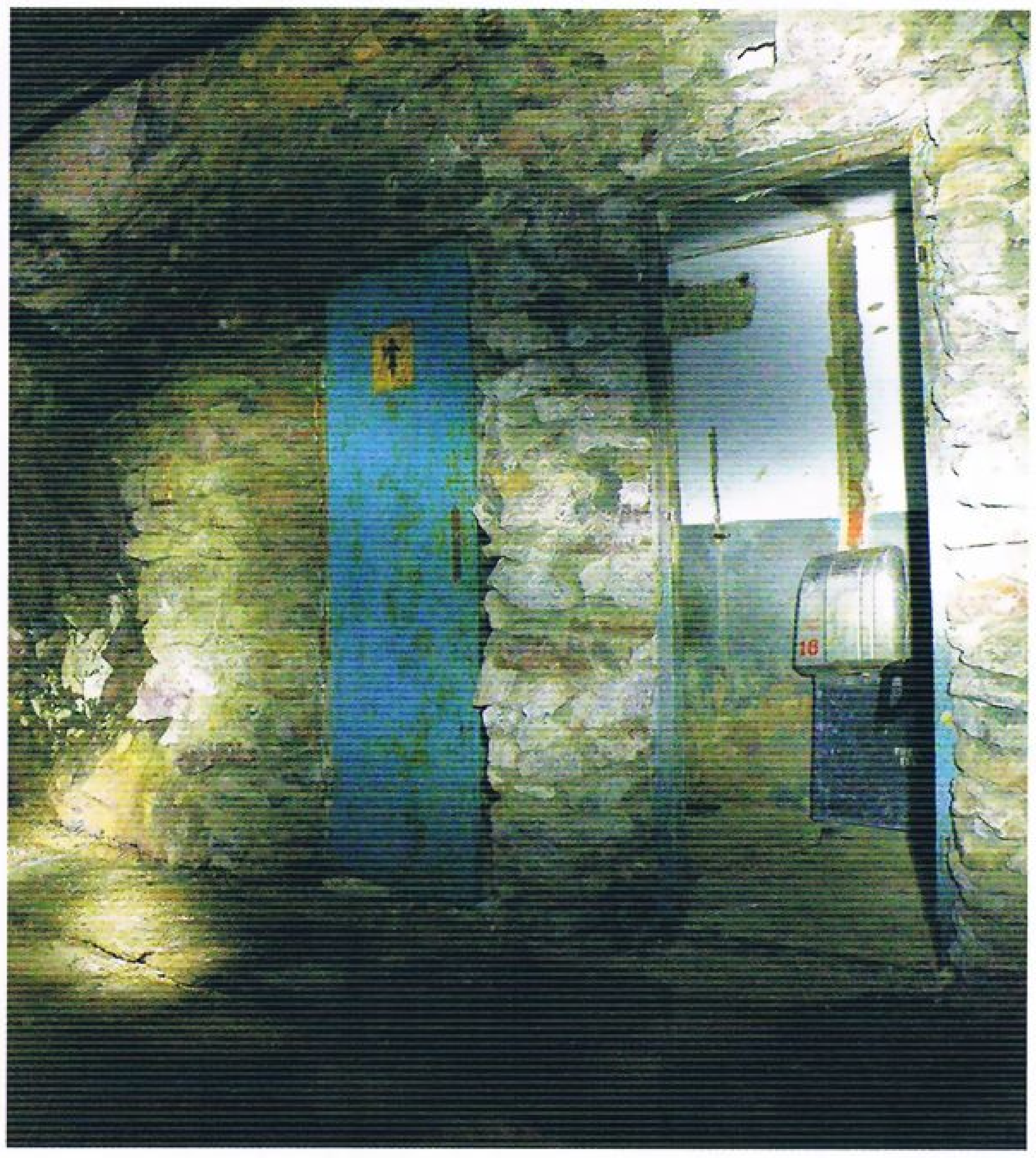

Pozostałości jednego z pomieszczeń z czasów funkcjonowania inhalatorium w sztolni 19a, prawdopodobnie WC. Stan z grudnia 2010 r.

O tym, co grozi górnikom przerabiającym sztolnię 19a, i co będzie grozić personelowi Inhalatorium, wiedziała tylko garstka osób. Dane na ten temat zostały przedstawione 8 września 1972 r. w Cieplicach Śląskich Zdroju, na konferencji Rady Lekarsko-Technicznej Zjednoczenia „Uzdrowiska Polskie". Zaprezentowano wówczas wyniki pomiarów stężenia radonu w sztolni po byłej kopalni uranu w Kowarach. Wyniki były przerażające – od stu do trzystu razy przekroczono wartości dopuszczalne! Porównywano to do warunków panujących kilkadziesiąt lat wcześniej w kopalniach uranu w czechosłowackim Jachymowie, czego efektem była wielokrotnie zwiększona śmiertelność na raka płuc.

Dzień po konferencji, 9 września 1972 r., kierownik Zakładu Ochrony Radiologicznej Instytutu Medycyny Pracy w Przemyśle Włókienniczym i Chemicznym w Łodzi, dr hab. Julian Liniecki, wysłał pismo do Rady Lekarsko-Technicznej Zjednoczenia „Uzdrowiska Polskie". Ostrzegał w nim, że stężenia radonu w sztolni 19a mogą stanowić bardzo poważne zagrożenie dla zdrowia personelu, pracującego tam w długim okresie. Uważał on, że wieloletnia praca w takich warunkach grozi poważnym wzrostem zapadalności na raka płuc. Postulował więc przerwanie prac adaptacyjnych prowadzonych w sztolni 19a przez ekipy górnicze, dowodząc, że ekspozycja górników na promieniowanie przekraczała wartości dopuszczane od dwudziestu do stu kilkudziesięciu razy! Stwarzało to poważne zagrożenie życia i zdrowia górników. Kolejne pomiary w sztolni 19a wykonane zostały 23 stycznia 1973 r. przez pracowników Centralnego Laboratorium Ochrony Radiologicznej. Również i one, chociaż wykonane w porze zimowej, wykazały istotne przekroczenie dopuszczalnej normy stężenia radonu w powietrzu. Mimo tych alarmujących wyników, prace adaptacyjne w sztolni prowadzone były nadal.

Wiosną 1974 r. uruchomiono pierwsze w polskich Karkonoszach podziemne Inhalatorium Radonowe. Sprawie nadano odpowiedni rozgłos w prasie. Wrocławska gazeta „Słowo Polskie" opublikowała na pierwszej stronie 15 maja 1974 r. (a więc w dniu otwarcia Inhalatorium) wielki, ilustrowany fotografiami tekst, zatytułowany: „W głąb sztolni po zdrowie". Dopiero z tego artykułu Państwowy Wojewódzki Inspektor Sanitarny we Wrocławiu, lek. med. Jan Suchowiak, dowiedział się o fakcie uruchomienia Inhalatorium. Natychmiast wysłał do dyrekcji Uzdrowiska Cieplice szereg pytań, m.in. dlaczego nie powiadomiono go o uruchomieniu obiektu? Przy okazji przypomniał o alarmujących wynikach badań powietrza sprzed dwóch lat. Dyrektor cieplickiego uzdrowiska bronił się twierdząc, że terapia sztolniowa ma charakter eksperymentalny, a stężenie radonu jest minimalne i nieszkodliwe. Brak wcześniejszej informacji o planowanym otwarciu Inhalatorium dyrekcja uzdrowiska tłumaczyła... przeoczeniem wskutek nawału robót.

Przedstawiciele Sanepidu wybrali się na kontrolę sanitarną do kowarskiej sztolni 13 sierpnia 1975 roku. Stwierdzili oni, że do tej pory Inhalatorium Radonowe nie zostało zgłoszone do odbioru przez organa inspekcji sanitarnej. Oprócz tego personel nie został poddany wstępnym badaniom lekarskim kwalifikującym do pracy z narażeniem promieniowania jonizującego i, jakby tego było mało, nie posiadał zabezpieczeń przed takowym promieniowaniem. Dodatkowo, w trakcie wizytacji stwierdzono dozymetrem bardzo wysoką moc dawki promieniowania zarówno w całej długości sztolni, jak i w komorach inhalacyjnych znajdujących się w głębi górotworu. Niezwłocznie nakazano usunąć uchybienia oraz zlecić Instytutowi Medycyny Pracy w Łodzi, aby ten przeprowadził pomiary stężenia radonu i promieniowania gamma. W ramach realizacji zaleceń m.in. podjęto budowę szczelnego, przeszklonego kiosku dla personelu, w głębi sztolni, gdzie przy pomocy butli ze sprężonym powietrzem, można będzie wytwarzać nadciśnienie chroniące przed przedostawaniem się promieniotwórczych gazów.

8 i 9 października 1975 r. badania stężenia radonu oraz promieniowania gamma w sztolni 19a dokonali pracownicy Centralnego Laboratorium Ochrony Radiologicznej (CLOR) z Warszawy. Przeprowadzono je najpierw przy włączonej instalacji wentylacyjnej, mającej za zadanie zasysać radon do Inhalatorium z głębi wyrobisk, następnie przy wyłączonej wentylacji. Wyniki były zatrważające. Stężenie radonu przy za-

łączonej wentylacji przekraczało od 55 do 87 razy maksymalne dopuszczalne stężenie w powietrzu, co narażało personel medyczny sztolni na poważne niebezpieczeństwo. W zaleceniach pokontrolnych CLOR stwierdzono m.in., że należy zakupić miernik do pomiaru stężenia radonu i przyrządy do pomiaru skażeń powierzchni, a także objąć stałą opieką lekarską personel sztolni.

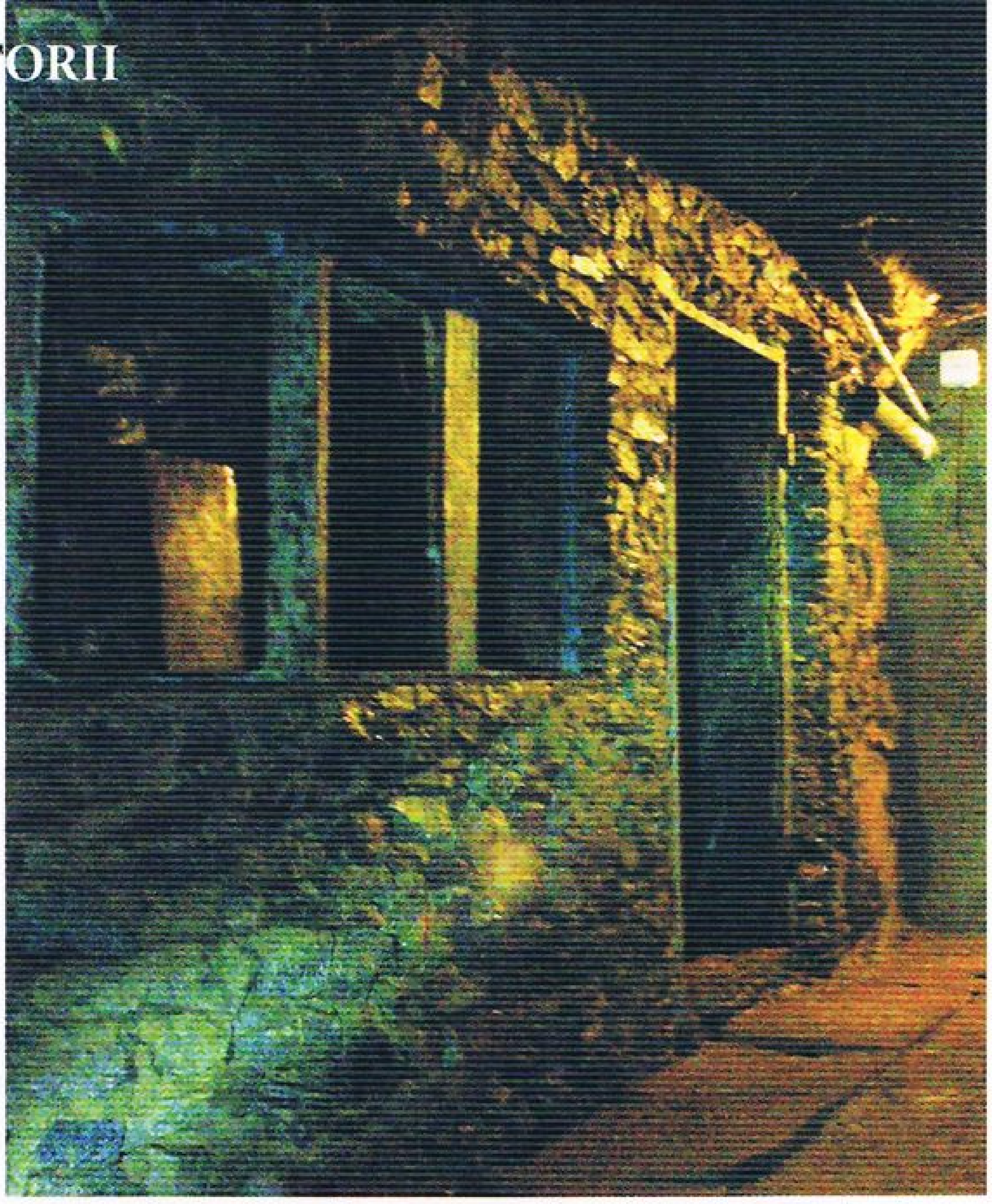

Pomieszczenie dla personelu wewnątrz Inhalatorium. Stan z września 2011 roku.

Opuszczeni pacjenci

Ponieważ zalecenia wydane przez jeleniogórski Sanepid nie zostały w całości wykonane, na początku września 1976 r. instytucja ta kolejny raz zwróciła się do dyrekcji Uzdrowiska Cieplice ostrzegając, że jak tak dalej pójdzie, to wstrzyma w 1977 r. działalność Inhalatorium Radonowego. Kilka dni wcześniej odbyła się w Zespole Uzdrowisk Jeleniogórskich narada na temat ochrony radiologicznej w kowarskiej sztolni, z której protokół przesłany został do jeleniogórskiego Sanepidu. Warto zwrócić uwagę na jeden z punktów tegoż protokołu, w którym mowa o tym, że kuracjuszom i personelowi sztolni należy podawać… wodę „Marysieńkę", natomiast nad zaworami czerpalnymi powiesić tabliczki z napisem: „Woda niezdatna do picia". Można z tego wywnioskować – o zgrozo – że do tego momentu wodę dostępną w umywalkach w sztolni wykorzystywano do celów spożywczych. Inne zalecenie mówiło, że do komory personelu należałoby doprowadzić powietrze z zewnątrz i zapewnić jej hermetyczność. Skoro coś takiego postulowano, to znaczy, że dotychczas personel narażony był na szkodliwe dawki promieniowania…

W połowie maja 1977 r. do kowarskiego Inhalatorium ponownie zawitali przedstawiciele CLOR. Tym razem wydali oni 7 zaleceń pokontrolnych, z których 6 było właściwie powtórzeniem wytycznych z poprzedniej kontroli – sprzed kilkunastu miesięcy. Od tamtego czasu bowiem, mimo wskazań CLOR-u, nie zakupiono przyrządów do pomiaru skażeń promieniotwórczych ani miernika do pomiaru stężenia radonu, jak również nie wyznaczono inspektora ochrony przed promieniowaniem. Taki stan miał miejsce trzy lata po otwarciu Inhalatorium! Nasuwa się komentarz: dyrekcja Uzdrowiska wykazywała się niebywałą wręcz nonszalancją, lekceważąc zagrożenie zdrowia personelu pracującego w sztolni 19a. Sanepid zagroził więc nałożeniem grzywny za niewykonanie zaleceń CLOR-u.

Przyparta do muru dyrekcja Zespołu Uzdrowisk Jeleniogórskich zdecydowała się na osobliwe rozwiązanie.

Personel inhalatorium został wyprowadzony na powierzchnię, do baraczków ustawionych przed wylotem sztolni, natomiast pacjenci odbywali inhalacje pod ziemią, pozostawieni sami sobie. Zamontowano jedynie sygnalizację dzwonkowo-alarmową przy leżakach pacjentów, aby w razie nagłej potrzeby, mogli oni przywołać którąś z pielęgniarek do wnętrza sztolni. *„Do końca bieżącego roku chcemy instalować dodatkowo telewizję przewodową i dwustronną łączność foniczną"* – zapewniał Teodor Pragłowski, dyrektor Zespołu Uzdrowisk Jeleniogórskich w piśmie z 29 czerwca 1977 r. skierowanym do Państwowego Wojewódzkiego Inspektora Sanitarnego w Jeleniej Górze. Nie zmienia to faktu, że kuracjusze w trakcie zabiegów w sztolni mogli się czuć niczym kosmonauci, odizolowani od osób mogących im pospieszyć z pomocą. Faktycznie łączność telefoniczną zainstalowano jeszcze latem, jednak montaż telewizji przewodowej przesunięto na rok kolejny.

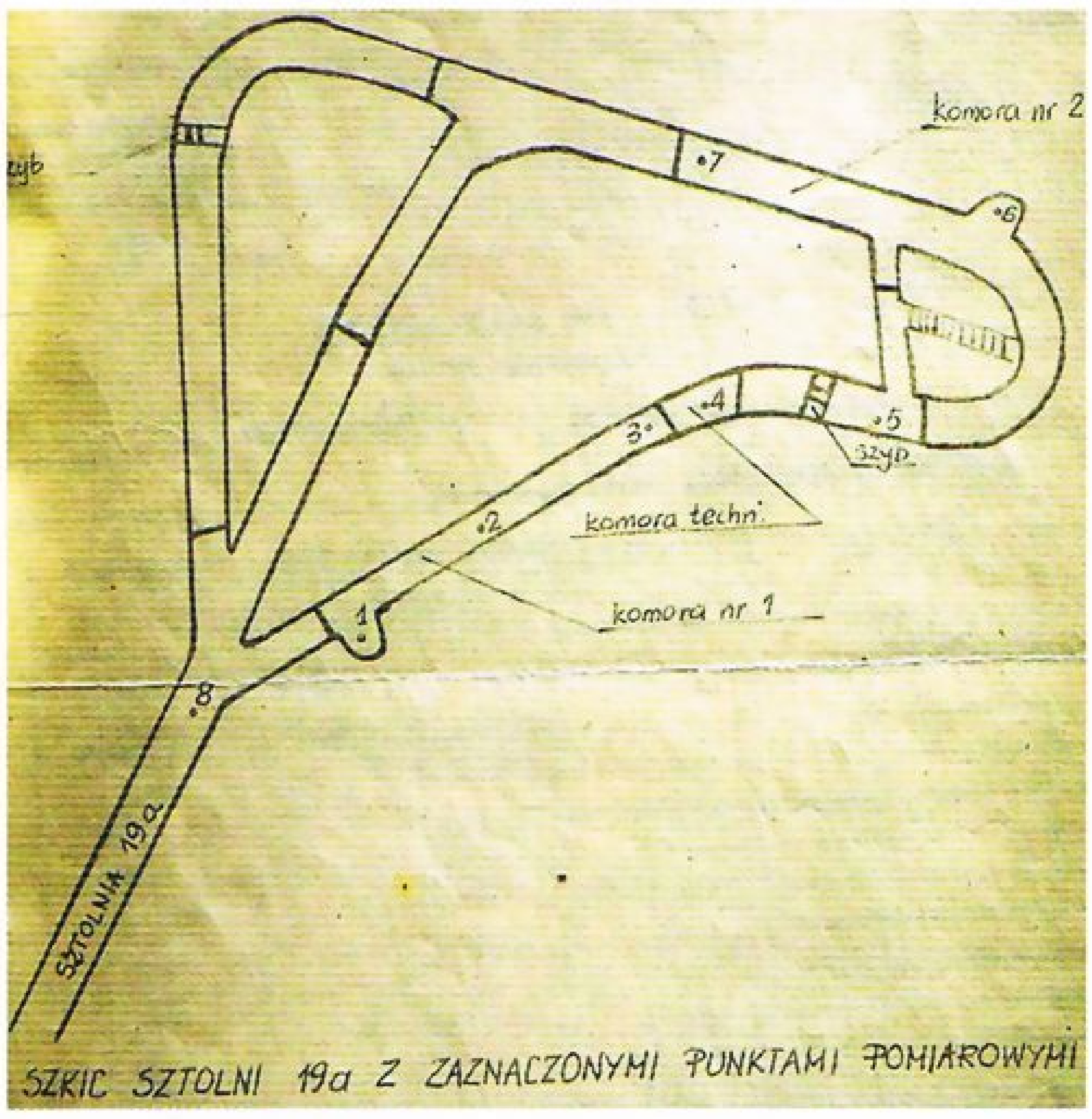

Szkic pętli obiegowej na końcu sztolni 19a z zaznaczonymi punktami, w których dokonano pomiarów dozymetrycznych w październiku 1975 roku.

Tłumaczenia dyrektora Pragłowskiego nie przekonały do końca Wojewódzkiej Stacji Sanepidu. Warto tu zacytować fragment pisma, jaki wrocławski Sanepid skierował w tej sprawie do jeleniogórskiego Sanepidu. Czytamy tam m.in.: *„Uzdrowisko Cieplice nie zrobiło nic w ciągu 1976 i do połowy 1977 r., aby usunąć wskazane w protokole usterki i zaniedbania. Również budzi wątpliwość stwierdzenie, że obecnie personel obsługujący pacjentów w ogóle nie wjeżdża do komory inhalacyjnej, przebywając na zewnątrz i ma łączność telefoniczną z pacjentami"*. Wobec powyższego zdecydowano, by przedłużyć termin usunięcia usterek i zaniedbań do 15 października 1977 roku.

Stanowisko inspektora ochrony radiologicznej nadzorującego Inhalatorium Radonowe w Kowarach, utworzone zostało dopiero z początkiem października 1977 r., a więc pod sam koniec sezonu kuracyjnego – który potrwał do połowy listopada. Objęła je Barbara Rzadka. W tym czasie Zespół Uzdrowisk Jeleniogórskich zabrał się za nadrabianie zaległości, m.in. zlecił wykonanie pomiarów skażeń promieniotwórczych, a na początku września 1977 r. skie-

rował formalną prośbę do Sanepidu o wydanie zezwolenia na prowadzenie Inhalatorium Radonowego w Kowarach. Analogiczna prośba została wystosowana na początku listopada 1977 r. do Instytutu Medycyny Pracy w Przemyśle Włókienniczym i Chemicznym w Łodzi. Było to ponad trzy lata od momentu faktycznego uruchomienia tej placówki…

Być może po to, aby zatrzeć złe wrażenie z wcześniejszej praktyki nieliczenia się z wymogami formalnymi, Zespół Uzdrowisk Jeleniogórskich zaprosił na 21 listopada 1977 r. do kowarskiej sztolni 19a przedstawicieli różnych instytucji na odbiór techniczny urządzeń wzbogacających powietrze w radon. Zaproszenie otrzymały m.in. Sanepid, CLOR czy Inspekcja Pracy. Chodziło o prace wykonane przez Politechnikę Wrocławską w ramach opracowań: „Projekt ogrzewania komory doświadczalnej w sztolni »Podgórze« oraz jej wzbogacania w radon", którego kontynuacją była „Adaptacja projektu wyposażenia w aparaturę i urządzenia oraz optymalizacja wielkości parametrów fizyko-chemicznych i urządzeń wzbogacających powietrze w radon". We wskazanym terminie na miejsce przybyło 17 osób reprezentujących zaproszone instytucje. Kuriozalną wręcz konkluzję znajdujemy w protokole z posiedzenia w sprawie odbioru prac. Przedstawiciel Instytutu Medycyny Pracy stwierdził, że pomiary wykazały brak efektu wzbogacania! Oznaczało to, że aparatura nie spełniała zakładanych funkcji, gdyż jedynie nieznacznie zwiększała stężenie radonu… Zalecono, by nie kontynuować prac i pomiarów, a inwestycję przeprowadzoną przez Politechnikę Wrocławską potraktować tylko jako prace naukowo-badawcze.

Zepsute monitory

Minęła kolejna zima, nadeszła wiosna 1978 r., a Inhalatorium Radonowe w dalszym ciągu nie posiadało radiometrów i innych przyrządów pomiarowych. Postęp był tylko taki, że instrumenty te zostały zamówione w Instytucie Badań Jądrowych oraz w Zjednoczonych Zakładach Urządzeń Jądrowych „Polon". Ale Zespół Uzdrowisk Jeleniogórskich mógł być usatysfakcjonowany, bo 15 kwietnia 1977 r. wydana została przez Państwowego Wojewódzkiego Inspektora Sanitarnego w Jeleniej Górze warunkowa zgoda na uruchomienie Inhalatorium Radonowego w Kowarach, obwarowana spełnieniem ośmiu wymogów, m.in. uruchomieniem systemu telewizji przemysłowej i dwustronnej łączności fonicznej pomiędzy pacjentami w sztolni a personelem przebywającym w baraku na powierzchni. System taki zainstalowano, ale jego działanie było dalekie od ideału. Stwierdził to w ostatnim dniu sierpnia 1978 r. przedstawiciel jeleniogórskiego Sanepidu: *„na 8 monitorów obejmujących dwie komory inhalacyjne, trzy są całkowicie nieczynne, na pozostałych pięć monitorów jeden jest sprawny, a cztery dają obraz nieostry."* Działały więc tylko dzwonki przy leżakach pacjentów i system łączności fonicznej.

Chyba tylko Opatrzności możemy zawdzięczać to, że nie doszło do żadnej tragedii. Przecież nietrudno sobie wyobrazić co by się stało, gdyby wśród kuracjuszy znalazł się niezrównoważony szaleniec, chcący wyrządzić krzywdę innym osobom uwięzionym *de facto* we wnętrzu góry siedemset metrów od wylotu sztolni. Wystarczyło przeciąć nożem kilka kabli…

Osobną sprawą była niecałkowita ochrona personelu przed radioaktywnością: *„Personel techniczny jest chroniony przed promieniowaniem przez zastosowanie półmasek przeciwpyłowych, które w 70% zatrzymują prom. alfa oraz przez skrócenie czasu pracy pracowników"* – czytamy w datowanym na 11 maja 1978 r. wniosku o wpisanie Inhalatorium Radonowego w Kowarach do rejestru użytkowników substancji promieniotwórczych. Inna sprawa, że nie wszyscy pracownicy przestrzegali wymogu noszenia masek. Wykazały to wyniki kontroli ekspozycji indywidualnej na produkty rozpadu radonu pracowników Inhalatorium Radonowego w Kowarach. Jeden z nich – Roman Dutkiewicz w okresie trzech miesięcy miał przekroczoną najwyższą dopuszczalną ekspozycję roczną około 15 razy. *„Fakty te świadczą o nie przestrzeganiu ustalonych zasad Systemu Ochrony Radiologicznej, oraz mało skutecznym nadzorze terenowej inspekcji sanitarnej"* – pisał we wrześniu 1978 r. W. Chruścielewski, kierownik Pracowni Aerozoli Promieniotwórczych w Instytucie Medycyny Pracy w Przemyśle Włókienniczym i Chemicznym w Łodzi.

Czytając korespondencję wymienianą pomiędzy poszczególnymi instytucjami w pierwszych latach funkcjonowania Inhalatorium w sztolni 19a, można stracić apetyt na eksplorację. Aż cierpnie skóra na myśl, jak to dyrekcja cieplickiego uzdrowiska rażąco narażała na poważne konsekwencje zarówno ekipy górnicze adaptujące byłą kopalnię uranu do nowych celów, jak i personel Inhalatorium. Chociaż dokumentacja zgromadzona w tej sprawie w archiwalnej teczce urywa się jesienią 1978 r., nie znaczy to, że wątpliwości, co do funkcjonowania kowarskiego Inhalaltorium zostały rozwiane. Nasiliły się one w ostatnim okresie pracy placówki. A przypomnieć trzeba, że działała ona w sztolni 19a stosunkowo krótko, prawdopodobnie tylko do 1989 r., a potem jeszcze przez kilka lat w odległej o około kilometr sztolni 9a.

„O zaprzestaniu działalności inhalatorium zadecydowały dwa czynniki" – pisały „Nowiny Jeleniogórskie" w lutym 1993 r.: *„spór między naukowcami o potencjalnym szkodliwym oddziaływaniu radonu na organizm ludzki oraz problemy finansowe"*. Zresztą o tym, że Centralne Laboratorium Ochrony Radiologicznej kwestionowało sensowność kowarskiej terapii radonowej, wspominał wcześniej, w 1991 r. tygodnik konsumentów „Veto". Nie zmienia to jednak ugruntowanego w społeczeństwie ob-

zdarzyło się…

19 VIII 1980 r.

35 lat temu doszło do największej powojennej katastrofy kolejowej w Polsce. O godz. 4:20 ze stacji Otłoczyn k. Torunia odjechał pociąg towarowy prowadzony przez maszynistę Mieczysława Roschka. Do dziś nie wiadomo, dlaczego wyruszył bez zezwolenia i zignorował sygnał „stój" oraz czy wiedział, że wjeżdża na niewłaściwy tor. 2 min. wcześniej z Torunia tym samym torem, lecz w przeciwnym kierunku, wyruszył pociąg osobowy. Dyżurny ruchu bezzwłocznie zawiadomił tzw. posterunek odgałężny o pociągu jadącym pod prąd, ale w trakcie rozmowy, pociąg towarowy minął właśnie posterunek. W wyniku czołowego zderzenia, do którego doszło chwilę później, zginęło 67 osób (w tym Roschek) a 64 zostały ranne.

razu. Kopalnie polskiego uranu przedstawiano jako niebezpieczne miejsca, a równocześnie Inhalatorium działające w pouranowej sztolni prezentowano jako bezpieczne i lecznicze miejsce dla pacjentów. Sprzeczność? Może…

Po zaprzestaniu terapii kratę wejściową do sztolni 19a zamknięto, a z biegiem lat wyłom w niej stawał się coraz większy. Aż wreszcie sprywatyzowali ją złomiarze. Efektem pracy tych ostatnich stały się zawały po wycięciu metalowych części obudowy wiosną 2004 roku Przez całe lata sztolnia 19a stała otworem dla wszystkich chętnych. Ciekawe, ilu spośród eksploratorów i penetratorów wchodziło do środka w odpowiednim zabezpieczeniu, z maskami na twarzach i w odzieży ochronnej… Wiem, że porównanie sztolni 19a do Hiroszimy czy Czarnobyla byłoby niczym więcej, jak efektowną figurą retoryczną jeśli nie grubym nadużyciem, jednak – zachowując proporcje – należało mieć się na baczności. Oczywiście dotyczyło to osób spędzających dłuższy czas w czeluściach nieczynnego Inhalatorium, a nie tych, którzy zajrzeli tam na piętnaście minut.

Od 30 kwietnia 2011 r. do pierwszych dni marca 2014 r. sztolnię 19a udostępniał turystom Sławomir Adamski z Kowar – syn ostatniego dyrektora Zakładów Przemysłowych R-1. Funkcjonowała wtedy jako podziemna trasa turystyczna Kowarskie Kopalnie. Potem na kilka miesięcy trasa została zamknięta, gdyż właściciel terenu – Lasy Państwowe – postanowił, ze względu na zaległości finansowe, rozwiązać umowę z dzierżawcą i wyłonić nowego. Od 4 września 2014 r. sztolnia 19a jest dostępna pod inną nazwą, jako Kopalnia Podgórze. Z początkiem maja 2015 r. wprowadzony został jeden wspólny bilet wstępu upoważniający do zwiedzania zarówno sztolni 19a, jak i czynnej od maja 2000 r. sztolni 9a – znanej bardziej jako Sztolnie Kowary, a potem jako Kopalnia Liczyrzepa.

Historia sudeckiego uranu nie skończyła się wraz z zaprzestaniem wydobycia w ostatniej z kopalń. Produkt promieniotwórczego rozpadu tego pierwiastka, jakim jest szlachetny gaz radon, odcisnął piętno na funkcjonowaniu Inhalatorium Radonowego. Wydaje się, że jeszcze ciągle nie poznaliśmy pełnej prawdy o skutkach oddziaływania tej placówki leczniczej na jej pacjentów i personel. Mam nadzieję, że wykorzystane w tym tekście informacje z wrocławskiego archiwum staną się przyczynkiem ku lepszemu poznaniu mrocznych tajemnic sztolni 19a…

Wybrane publikacje i materiały źródłowe:
1. Archiwum Państwowe we Wrocławiu, zesp. 2172 (Wojewódzka Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna we Wrocławiu), sygn. 1/503 (korespondencja w sprawie uruchomienia Inhalatorium Radonowego w sztolniach kopalni w Kowarach).
2. „Nowiny Jeleniogórskie" nr 8 (1712), 24.2.1993, s. 5
3. „Odkrywca" nr 2 (73), luty 2005, s. 41
4. „Słowo Polskie" nr 114 (8632), 15.5.1974, s.1-2
5. „Veto" nr 31 (478), 4.8.1991, s. 14

Tomasz Rzeczycki

Długoletni współpracownik „Odkrywcy". Wnikliwy badacz dziejów zagospodarowania polskich Sudetów oraz historii podziemnych tras turystycznych istniejących na terenie naszego kraju.

REKLAMA

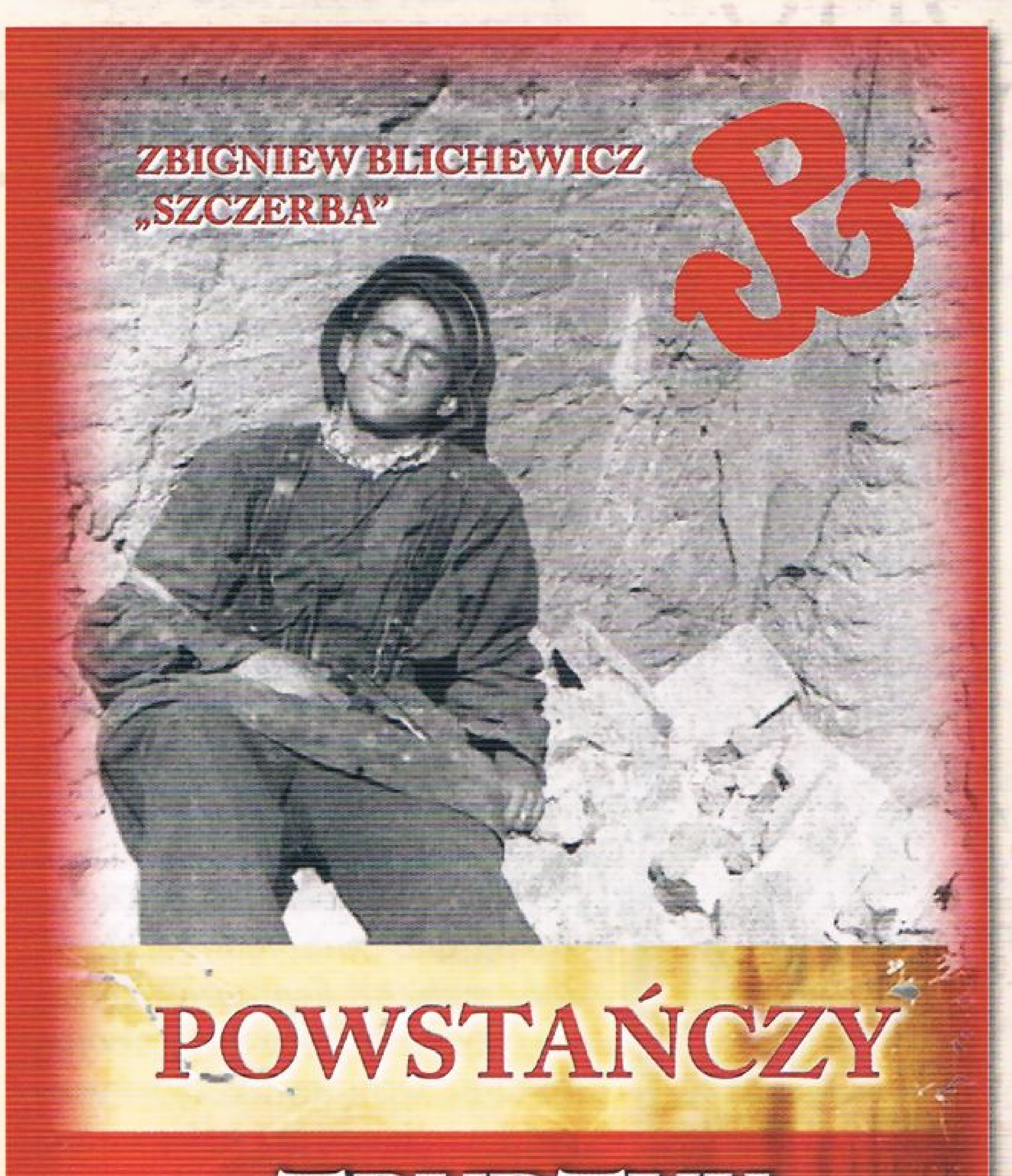

ZBIGNIEW BLICHEWICZ „SZCZERBA",

POWSTAŃCZY TRYPTYK

To najbardziej prawdziwe wspomnienia z Powstania Warszawskiego, jakie kiedykolwiek się ukazały.

Czymże jest człowiek? Igraszką w rękach losu. Nie człowiek stwarza los, lecz los stwarza człowieka.

Powstanie sztucznych legend nie potrzebuje. Z kilkoma takimi się rozprawiam – nawet o samym sobie.

Rozmaitych „upiększaczy" wydarzeń jest wielu. Nie zamierzam powiększać ich grona.

Próbowałem żyć – nie potrafię. Wszystkim, którzy mi choć trochę okazali serca – dziękuję.

porucznik Zbigniew Blichewicz „Szczerba", dowódca batalionu „Bończa"

sprzedaż w sieci empik

empik to ciekawe!

konflikty.pl portal historyczno - militarny

TVP HISTORIA

HISTORIA .ORG.PL

ODKRYWCA SKARBY · WOJNA · HISTORIA

MILITARIA

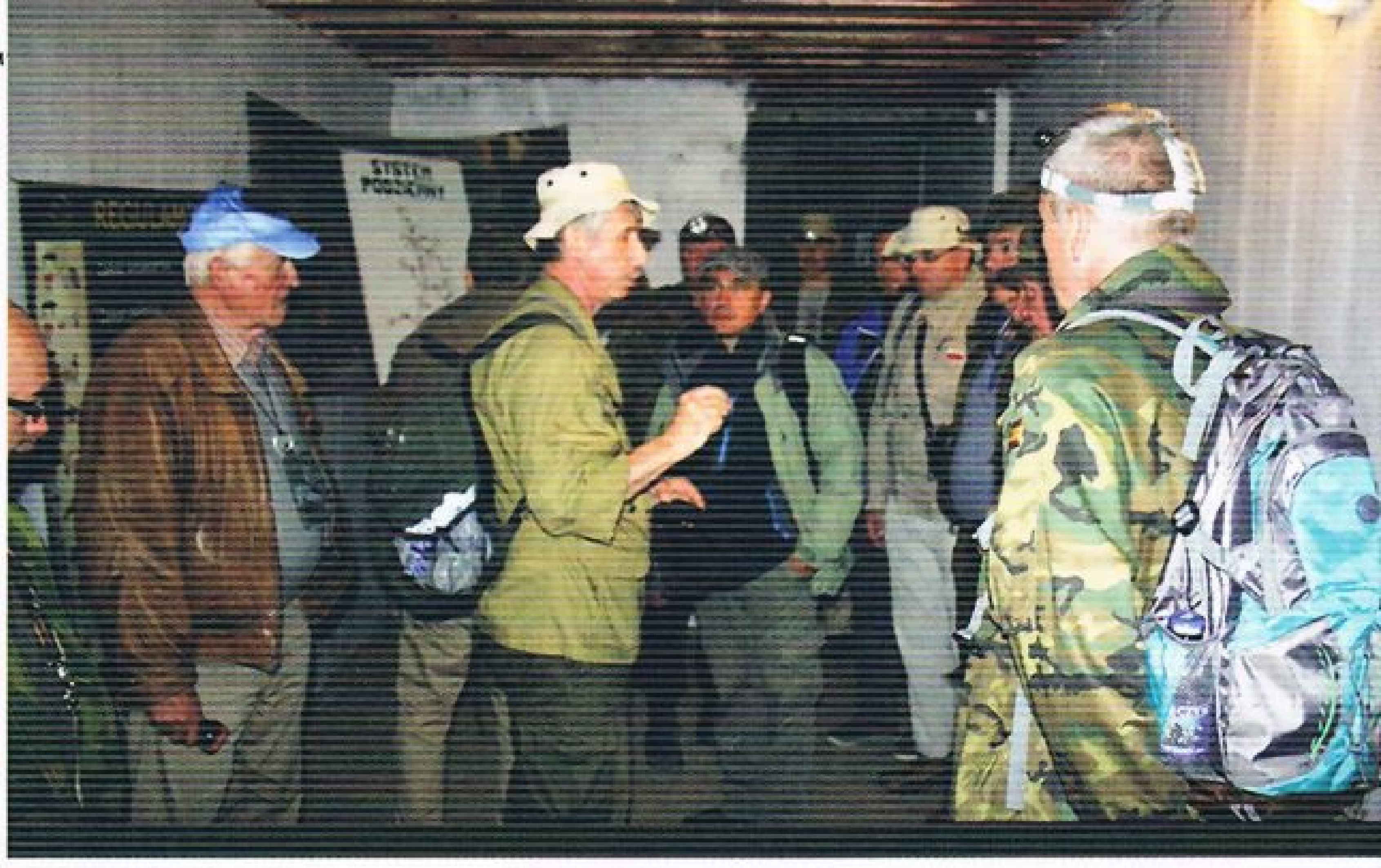

Rajd Szlakiem Fortyfikacji MRU Lubrza 2015

PATRONAT MEDIALNY ODKRYWCA

KRZYSZTOF ROSIŃSKI

W dniach 27-28 czerwca br. miała miejsce pierwsza edycja imprezy „Rajd szlakiem fortyfikacji MRU", która odbyła się pod hasłem: „Lubrza 2015". Patronat medialny sprawował miesięcznik „Odkrywca", a opiekę merytoryczną zapewniło wydawnictwo INFORT. Wydarzenie skierowane było do grona osób zainteresowanych umocnieniami MRU, chcących pod opieką ekspertów zgłębić szczegółowe informacje na temat największej atrakcji turystycznej gminy Lubrza.

Pierwsze dyskusje na temat MRU rozpoczęły się już w piątkowy wieczór, w Zespole Szkół Samorządowych w Lubrzy, który, dzięki uprzejmości dyrektor obiektu, p. Lucyny Kucała, stał się bazą imprezy. Także w piątek zorganizowana została pierwsza akcja terenowa, jeszcze nieoficjalna i wręcz nocna…

W sobotę 27 czerwca punktualnie o godzinie 10:00 uczestnicy rajdu zebrali się przed wejściem do Podziemnej Trasy Turystycznej MRU „Pętla Boryszyńska". Po krótkim powitaniu, nadszedł czas na specjalne zwiedzanie podziemnego systemu komunikacyjnego „Odcinka Hochwalde". Trasa wiodła przez komplet elementów podziemi baterii pancernej nr 5, odwodnienie i koszary dzieła 714. Następnie do dzieła 766 i przez komorę dworca K do podziemnej kaponiery i dalej, do maszynowni dzieła 715. Po kilku godzinach grupa opuściła podziemia, aby posilić się przy ognisku i wzmocnić przed kolejnym zwiedzaniem. Tym razem trasa wiodła do obiektów naziemnych MRU, d-2 Stellung i zakładów „Schachtelhalm II" położonych na tym samym obszarze, co zwiedzane rano podziemia. Wieczorem uczestnicy imprezy przenieśli się ponownie do szkoły w Lubrzy, gdzie dopiero po północy skończyły się prezentacje multimedialne i dysputy fortyfikacyjne.

Niedziela 28 czerwca poświęcona została na zwiedzanie naziemnych dzieł fortecznych na południowym skrzydle odcinka centralnego MRU. Trasa prowadziła od okolic Staropola, do brzegów jeziora Paklicko Wielkie. Poznano dokładnie pięć „pancerwerków" i dwa ufortyfikowane jazy na kanałach fortecznych oraz elementy fortyfikacji z 1944 roku.

❍ ❍ ❍

Podziękowania dla p. Lucyny Kucała za udostępnienie pomieszczeń szkolnych. Za zaangażowanie w przygotowanie i przeprowadzenie rajdu, opiekę merytoryczną i podzielenie się bogatą wiedzą z uczestnikami przedsięwzięcia, dziękujemy komandorowi rajdu p. Jerzemu Sadowskiemu oraz wicekomandorom p. Marcinowi Dudkowi i Krzysztofowi Mrówce.

ZDJĘCIA: KRZYSZTOF ROSIŃSKI

Rajd szlakiem fortyfikacji Wału Pomorskiego Wałcz 2015 15-16 sierpnia 2015 r.

Muzeum Ziemi Wałeckiej oraz Skansen Fortyfikacyjny „Grupa Warowna Cegielnia" w Wałczu zaprasza na III edycję Rajdu szlakiem fortyfikacji Wału Pomorskiego.

Patronat medialny: miesięcznik „Odkrywca", opieka merytoryczna: wydawnictwo INFORT. Komandorami rajdu będą: Marcin Dudek i Jerzy Sadowski.

PROGRAM

15 sierpnia – sobota

Dwie równoległe wycieczki:

Wycieczka piesza połączona z wykładem terenowym o obiektach na trasie: Cegielnia–B-Werk Marianowo–przesmyk jeziora Chmiel Mały i Duży–obiekty na północnym końcu jeziora Chmiel Mały. Powrót wzdłuż nieczynnego toru kolejowego do Skansenu Cegielnia.
Miejsce spotkania i początek:
Na terenie Skansenu „Cegielnia" o godzinie **10:00**.
Orientacyjny termin zakończenia około godziny **14:00**.
Wycieczkę poprowadzi Jerzy Sadowski.

Wycieczka rowerowa połączona z wykładem terenowym na trasie Skansen Cegielnia–Miejski Ośrodek Sportu i Rekreacji nad jeziorem Raduń–Strączno–przesmyk jeziora Strączno i Nakielno–wzdłuż jeziora Nakielno do Prusinowa Wałeckiego–Rutwica–powrót do Wałcza.
Miejsce spotkania i początek:
Na terenie Skansenu „Cegielnia" o godzinie **9:00** lub Miejski Ośrodek Sportu i Rekreacji o godzinne **9:30**
Orientacyjny termin zakończenia około godziny **14:00.**
Wycieczkę poprowadzi Marcin Dudek.

Pozostałe atrakcje:
15:00-16:00 – zwiedzanie Skansenu Cegielnia połączone z wykładem terenowym.
17:00-20:00 – odczyty i prezentacje fotografii. W tym roku po raz pierwszy konkurs na krótki pokaz fotografii, slajdów związanych z fortyfikacją. Pokaz powinien zawierać nie więcej niż 24 fotografie i nie powinien przekraczać 12 minut.
20:30 – Ognisko forteczne…

16 sierpnia – niedziela

Wycieczka piesza połączona z wykładem terenowym. Celem wycieczki będzie Las Rutwicki i Góra Gallów.
Wycieczkę poprowadzą: Marcin Dudek i Jerzy Sadowski.
Miejsce spotkania i początek:
1 – dla pieszych: peron dworca kolejowego w Wałczu o godzinie **8:00**.
Odjazd pociągu w kierunku Szczecina o godzinie **8:08**. Bilety u konduktora w pociągu.
2 – dla zmotoryzowanych – rejon przystanku kolejowego w Rutwicy (przyjazd pociągu **8:24**) lub w rejonie Leśniczówki w Rutwicy **9:00**.

Trasa wycieczki liczy około 8 km.
Planowany termin zakończenia: około godziny **16:00**
Pociąg powrotny do Wałcza: **16:48**

Ponieważ wszystkie wycieczki będą prowadziły terenami leśnymi, w pewnym oddaleniu od cywilizacji, proszę pamiętać o zabraniu ze sobą prowiantu, napojów, odpowiedniego do pogody ubrania, obuwia i parasola.

Metamorfozy Zamku Książ

PIOTR MASZKOWSKI

Niewątpliwie Zamek Książ ową tytułową metamorfozę przeszedł, zmieniając się w ciągu ostatnich lat nie do poznania. Zarówno on, jak i jego otoczenie odzyskały swój dawny blask, stając się jedną z najchętniej odwiedzanych atrakcji turystycznych Dolnego Śląska. Na początku lipca br. miało zaś miejsce przełomowe wydarzenie w dotychczasowej historii zamku. Po ponad 70. latach powróciła, wywieziona w czasie II wojny światowej, część obrazów z kolekcji rodu Hochbergów, zdobiących niegdyś ściany ich pełnej przepychu rezydencji.

Losy przebogatej kolekcji dzieł sztuki z Zamku Książ należących niegdyś do rodu Hochbergów, są skomplikowane. Została ona rozproszona zarówno przez samych właścicieli, jak i przez władze III Rzeszy, które w 1942 r. przejęły ich majątek. Po wojnie to, czego nie zdołali wywieźć Niemcy, zajęli Rosjanie, a następnie władze polskie, choć niewiele już wówczas zostało, poza zionącymi pustką gołymi ścianami ponad 400-tu komnat. Nawet jeżeli później, w wyniku porozumień międzynarodowych, część tego majątku trafiała z powrotem do Polski, zasilała raczej zasoby szeregu placówek państwowych. Nikomu bowiem nie zależało, by przywracać oryginalny kontekst tej poniemieckiej budowli, gdzieś hen na Ziemiach Odzyskanych. Zresztą w wyniku zakrojonej na szeroką skalę przebudowy zamku, jaką w trakcie II wojny światowej prowadziła Organizacja Todt, a także powojennych zaniedbań – warunków, ani środków ku temu nie było. W ciągu ostatnich 20 lat zamek przeszedł jednak istną przemianę. Dzięki systematycznie prowadzonym inwestycjom i remontom bezpośrednie otoczenie, jak i sama bryła budowli, odzyskały dawną świetność. Natomiast jeżeli chodzi o wnętrza, udostępnionych jest zaledwie 6 wyposażonych w pełni komnat z ponad 400.

Therese Magdalene von Hochberg z domu Rehdiger. Obraz olejny z roku 1740.

Gottlob Hans Ludwig von Hochberg. Obraz olejny z roku 1759.

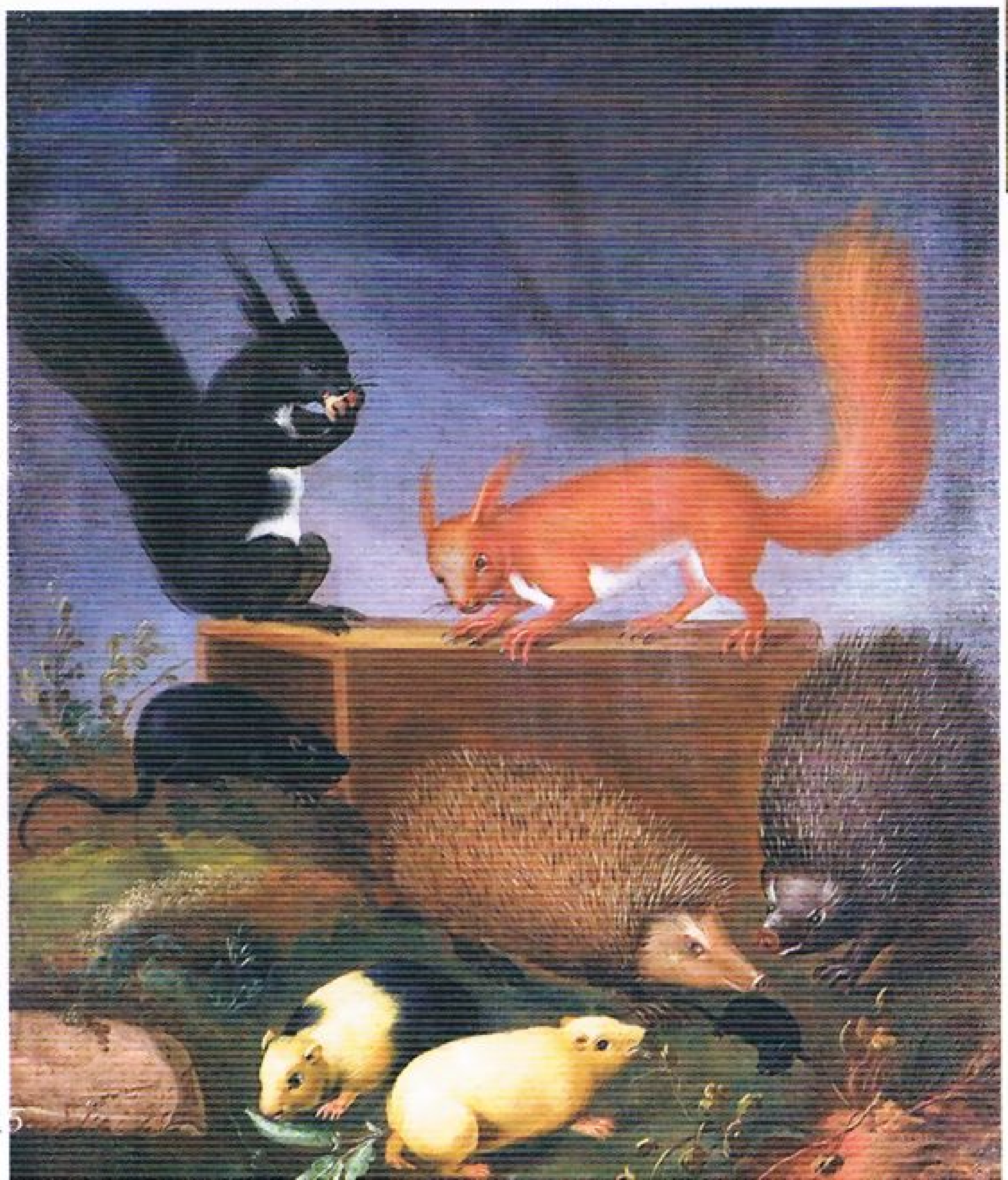

Zwierzęta w pejzażu. Obraz olejny z 1708 r., do roku 1942 w Książu.

Choć liczne dzieła sztuki na wystawach stałych i czasowych prezentowane były na zamku od kilkudziesięciu lat, dopiero w lipcu br., w ramach czasowej wystawy „Metamorfozy Zamku Książ" zorganizowanej przez Muzeum Narodowe we Wrocławiu i władze obiektu, wyeksponowane zostały obrazy i rzeźby pochodzące z oryginalnej książańskiej kolekcji rodu Hochbergów.

Jest rok 1942. Konserwator zabytków prowincji dolnośląskiej Günther Grundmann rozpoczyna akcję zabezpieczania, na podległym sobie terenie, dzieł sztuki i kultury zarówno znajdujących się w zasobach miejscowych kolekcji, jak i dyslokowanych z pozostałych rejonów Niemiec – w celu ochrony ich przed skutkami alianckich bombardowań. W przejętym przez władze III Rzeszy zamku Fürstenstein ulokował jedną z tymczasowych składnic. Jednocześnie ewakuuje do Breslau, w obliczu planowanej przebudowy zamku, m.in. kilkadziesiąt obrazów z kolekcji niedawnych właścicieli zdobiących ściany zamkowych gabinetów. Zostały one zmagazynowane w tamtejszym Schlesisches Museum der Bildenden Künste (Śląskie Muzeum Sztuk Pięknych), gdzie w 1945 r. szczęśliwie przetrwały oblężenie miasta, by ostatecznie po wojnie zasilić zbiory Muzeum Śląskiego, a następnie Muzeum Narodowego we Wrocławiu. Część z nich stała się elementem ekspozycji stałej placów-

Lato: Syn marnotrawny wśród kurtyzan. Obraz olejny z 1674 r., do roku 1942 w Książu.

Atena, muzy i Pierydy zamienione w sroki. Obraz olejny z ok. 1585 r., do roku 1942 w Książu. Fot. Wojciech Rogowicz.

ki, zaś ok. 20 zostało zmagazynowanych i do dzisiaj oczekuje na konserwację.

Niewątpliwie Zamek Książ stanowi idealną i jakże naturalną scenerię do ekspozycji wszelkiego rodzaju dzieł sztuki. Niestety, przez długie lata możliwości tego typu przedsięwzięć były mocno ograniczone. Trudno bowiem na niewielkiej powierzchni kilku udostępnionych komnat zapewnić odpowiednie warunki wystawiennicze, zgodne ze standardami muzealnymi. Trwające zaś od lat prace remontowe i budowlane, skutecznie uniemożliwiały ich spełnienie. Jednak na początku kwietnia br. przy wsparciu Urzędu Marszałkowskiego Województwa Dolnośląskiego oraz władz Wałbrzycha doszło do porozumienia pomiędzy władzami Zamku Książ, a dyrekcją Muzeum Narodowego, dzięki któremu został poczyniony pierwszy, tak ważny krok w symbolicznym powrocie niewielkiej części dawnych zbiorów Hochbergów do miejsca ich pierwotnego przechowywania.

Wystawa, mimo że czasowa, przewidziana jest na kolejnych kilka lat. Idealnie wkomponowuje się w przestrzeń udostępnionych sal i jednocześnie sprawia wrażenie, jakby funkcjonowała tam od zawsze. Odwiedzając Zamek Książ warto zatem zwrócić uwagę na prezentowane dzieła i czytać opisy, którymi opatrzone są obrazy. Jest to bowiem pierwsza po wojnie okazja, by podziwiać je w tym miejscu. Gorąco zatem zachęcamy do odwiedzin. Naprawdę warto. Zresztą sami Państwo spójrzcie…

ZDJĘCIA: ARKADIUSZ PODSTAWKA

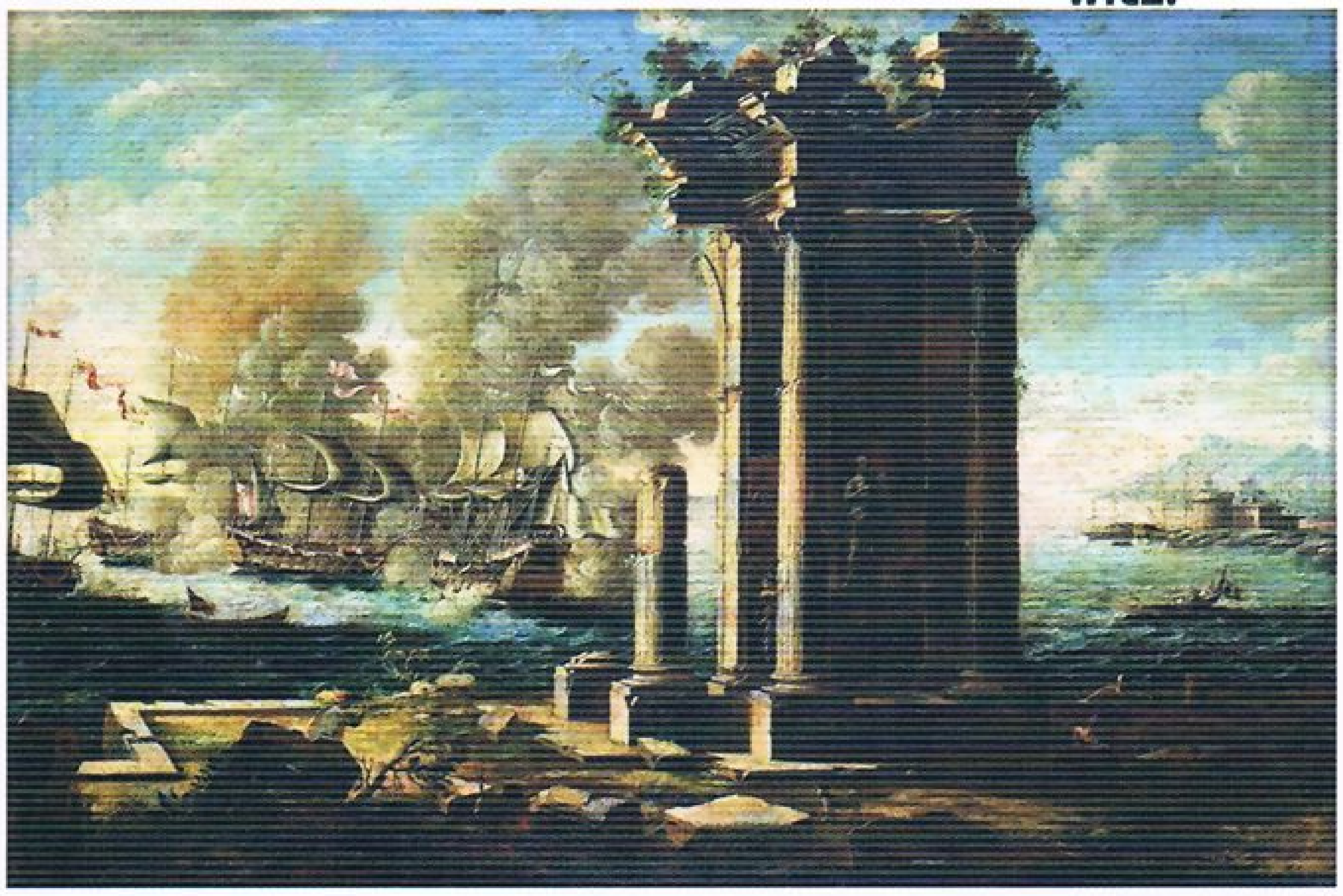

Bitwa morska w południe. Obraz olejny z połowy XVIII wieku, do roku 1942 w Książu.

Podwałbrzyski Zamek Książ to bez wątpienia jedna z najważniejszych pereł dolnośląskiej architektury i zarazem trzeci pod względem wielkości, po Malborku i Wawelu, obiekt tego typu w Polsce. Przez wieki okazała rezydencja nobliwego rodu Hochbergów rozkwitała, zachwycając swym przepychem i bogactwem świadczących o pozycji swych właścicieli. Katastrofa nadeszła wraz z tarapatami finansowymi rodziny, które w latach 30. XX wieku zmusiły jej członków do sprzedaży i rozproszenia części majątku. Na niewiele się to zdało, długi narastały w błyskawicznym tempie, a nierentowność przynoszących do tej pory krocie licznych kopalni i innych przedsięwzięć, były nie do opanowania. Do tego stopnia, iż już 1939 roku musiało ingerować państwo niemieckie, obejmując nad zadłużonymi włościami książańskimi zarząd komisaryczny. W kolejnych latach władze III Rzeszy dokonały całkowitej konfiskaty zamku i wszystkiego, co znajdowało się w jego wnętrzach.

Na konferencji prasowej obecni byli: od prawej Dyrektor Muzeum Narodowego dr. hab. Piotr Oszczanowski, Prezydent Wałbrzycha Roman Szełemej, Marszałek Województwa Dolnośląskiego Cezary Przybylski, kurator wystawy Metamorfozy Zamku Książ dr Beata Lejman z Muzeum Narodowego we Wrocławiu i prezes zarządu Zamku Książ Krzysztof Urbański. Fot. Piotr Maszkowski.

Operacja Południe – 15. odsłona

PATRONAT MEDIALNY
ODKRYWCA

IZABELA KWIECIŃSKA

Rafał Bier

Są takie miejsca, do których zawsze chętnie się wraca. Które mają to coś… Dla mnie, i dla wielu pasjonatów militariów, takim miejsce jest Bielsko Biała i jej Operacja Południe. Od 15 lat miejsce spotkań ludzi, dla których wysoki poziom organizacji imprezy jest istotą. A taką jest właśnie Operacja Południe, stworzona i prowadzona wprawną ręką Rafała Biera, wspomaganego przez Przyjaciół. W tym roku odbyła się jej jubileuszowa, piętnasta odsłona.

Wisienką na torcie każdej Operacji jest parada pojazdów militarnych główną arterią komunikacyjną miasta, zakończona wystawą pod Castoramą. Zawsze rzucała i rzuca na kolana. Doskonale zorganizowane widowisko. Rozpoczyna się od precyzyjnie formowanej kolumny paradnej, parę minut przerwy na sprawdzenie gotowości jej uczestników i… w drogę. Ponad 100 pojazdów w nienagannym szyku i stanie, ich kierowcy, załogi oraz osoby towarzyszące – również. Wszystko pod kolor i zgodne z duchem epoki. Ład i tematyczna więź… A wzdłuż trasy przejazdu tysiące mieszkańców miasta, pozdrawiających uczestników zlotu. Tysiące wykonanych zdjęć.

Do zobaczenia za rok!

PS. Parę lat temu wrota niebios otwarły się zalewając bielskie Błonia falami wody, które z kolei wytwarzały masę błota. Na jubileusz Natura postanowiła nam to wynagrodzić… Tym razem w drugą stronę. Temperatura przekroczyła w cieniu 37 stopni…

Mikołaj (z lewej) i Łukasz – głosy Operacji Południe

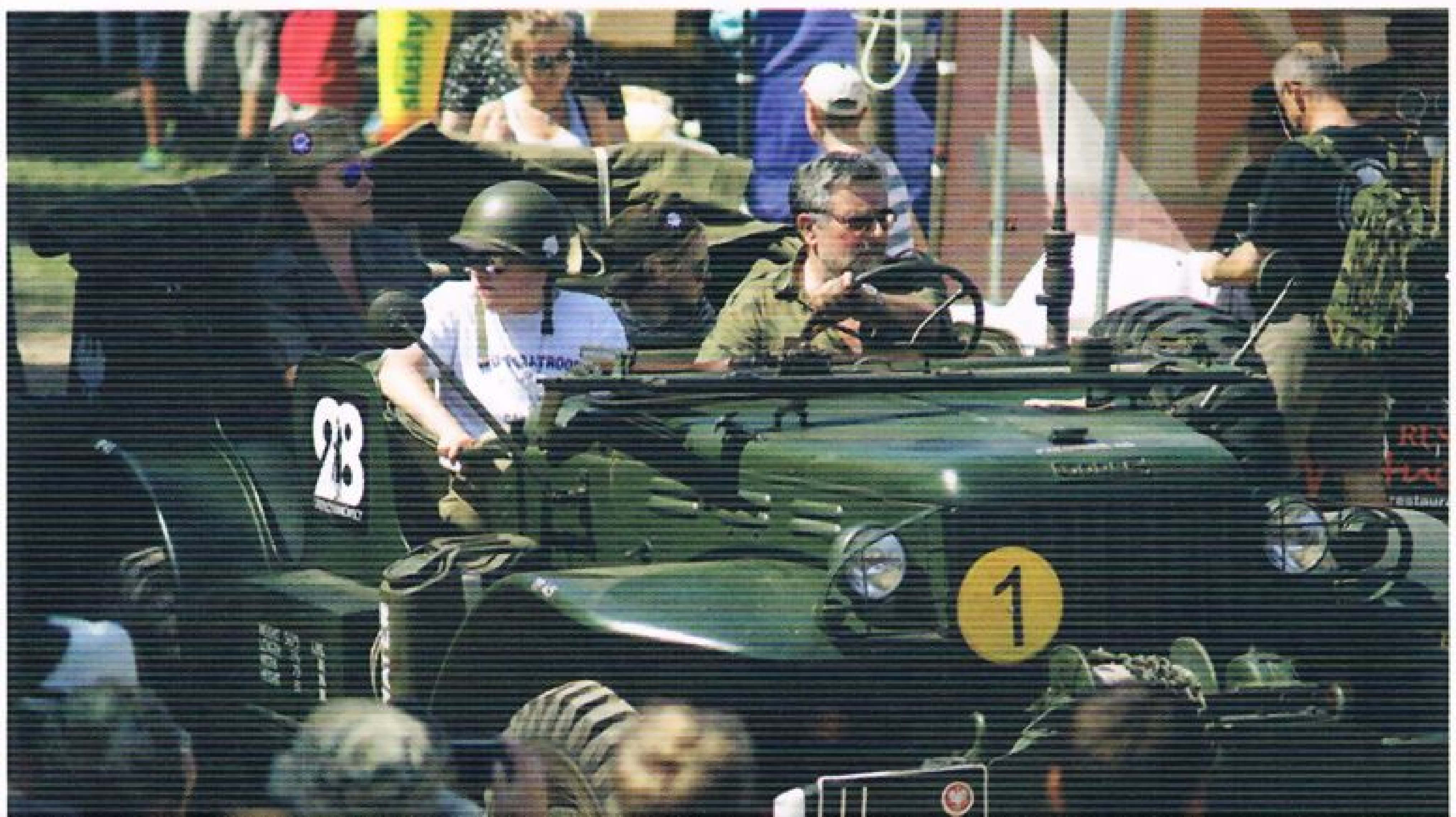

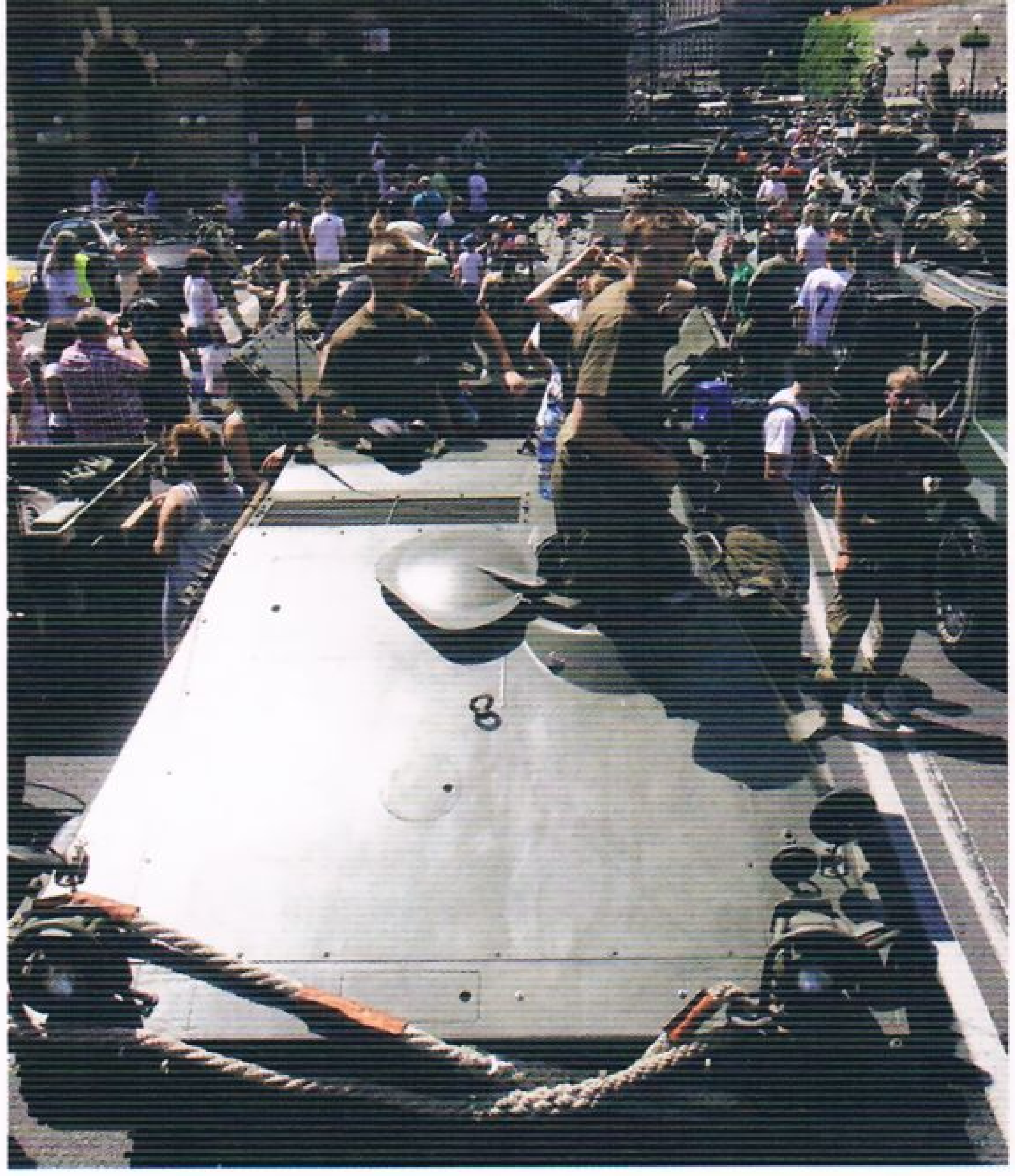

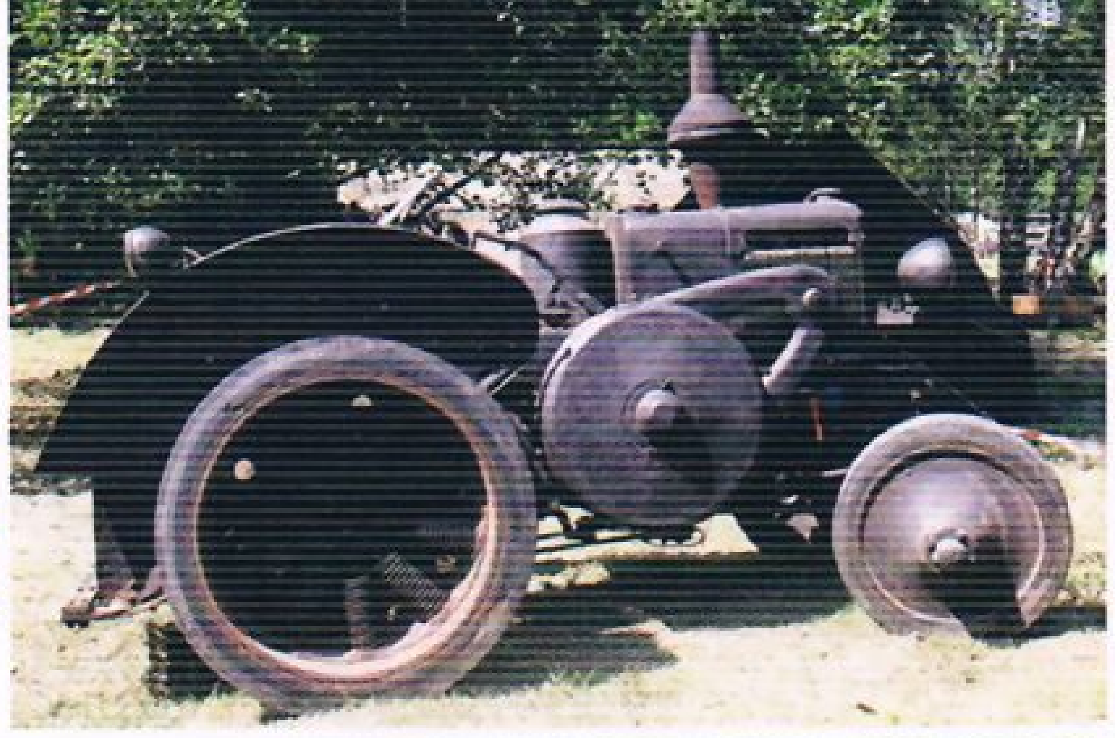

ZDJĘCIA: ARCH. REDAKCJI, JACEK DYBA, PIOTR UBA.

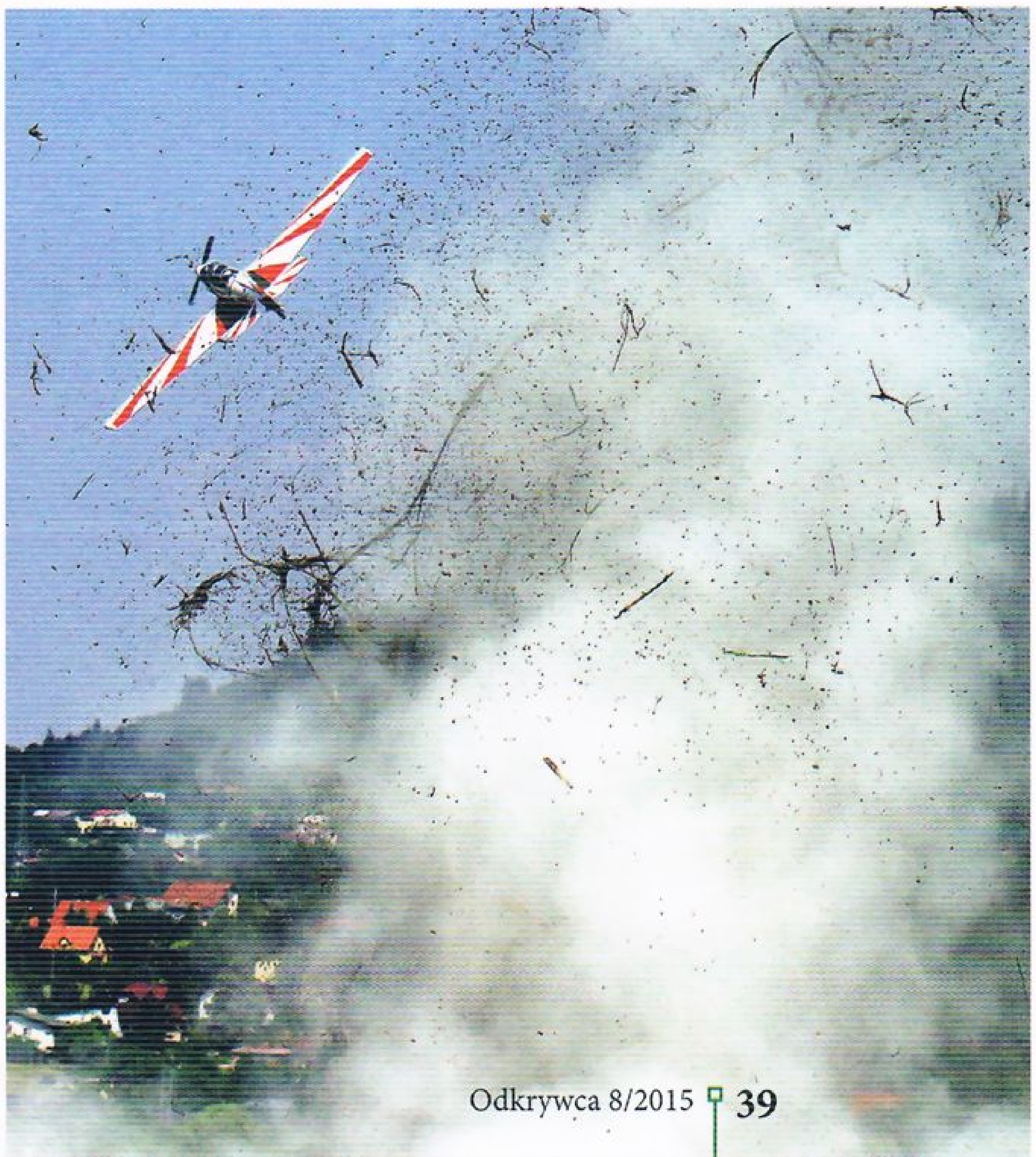

Teatr wielu aktorów

IZABELA KWIECIŃSKA, MONIKA I KATARZYNA KRZYŻAŃSKIE

Adam Bech

Sławomir Handke

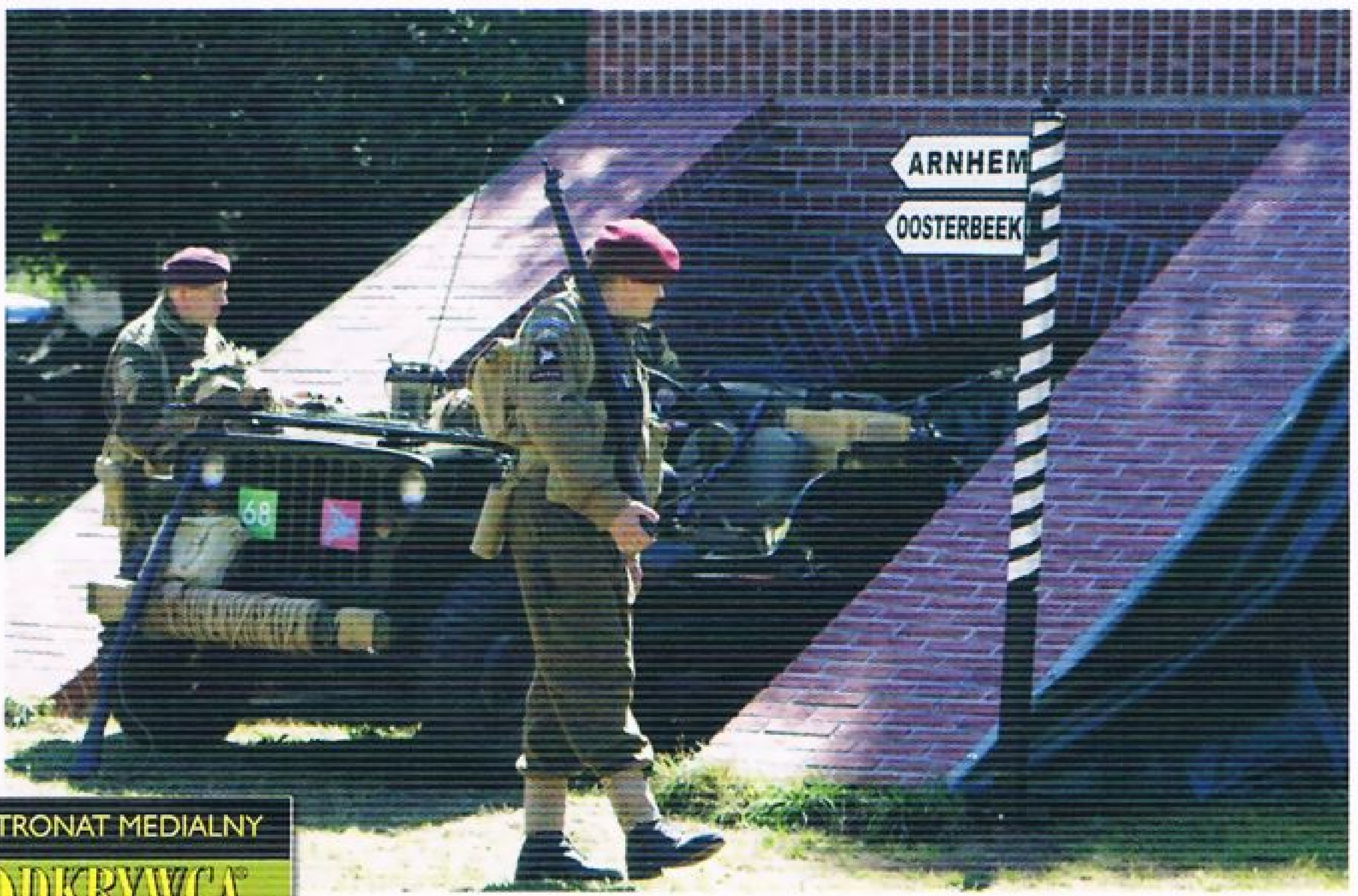

PATRONAT MEDIALNY ODKRYWCA

Folwark Podrzecze, to urokliwe miejsce, które na trzy dni trwania „Strefy Militarnej" staje się wielkim, militarnym teatrem. Doskonałym teatrem wielu aktorów. Rekonstruktorów, kolekcjonerów pojazdów, pasjonatów militariów. Miejscem, gdzie zewsząd otaczają nas perfekcyjne dioramy, których piękno trudno opisać – to trzeba zobaczyć. Także niesamowici ludzie, odtwórcy historii, przebrani w stroje z epoki… każdej epoki. Feeria barw i dźwięków. Niech zdjęcia oddadzą choćby część tego niezwykłego miejsca i magicznego klimatu. Klimatu, nigdzie indziej niespotykanego.

„Strefa Militarna" jest marką najwyższej jakości. To najlepsza tego typu impreza w Polsce, która dumnie stoi w rzędzie obok najlepszych, europejskich imprez militarnych. Wyjątkowe i jedyne w swoim rodzaju żywe muzeum pod gołym niebem… To zasługa jej organizatorów – Stowarzyszenia Historia Militaris, którzy przez lata zgromadzili wokół siebie najlepszych. Spiritus movens „Strefy": Sławek, Renatka Handke, Adam Bech, Krzysiu Marzec, Maciek Handke i wielu innych – to Przyjaciele, na spotkanie z którymi czekam przez cały rok – z niecierpliwością.

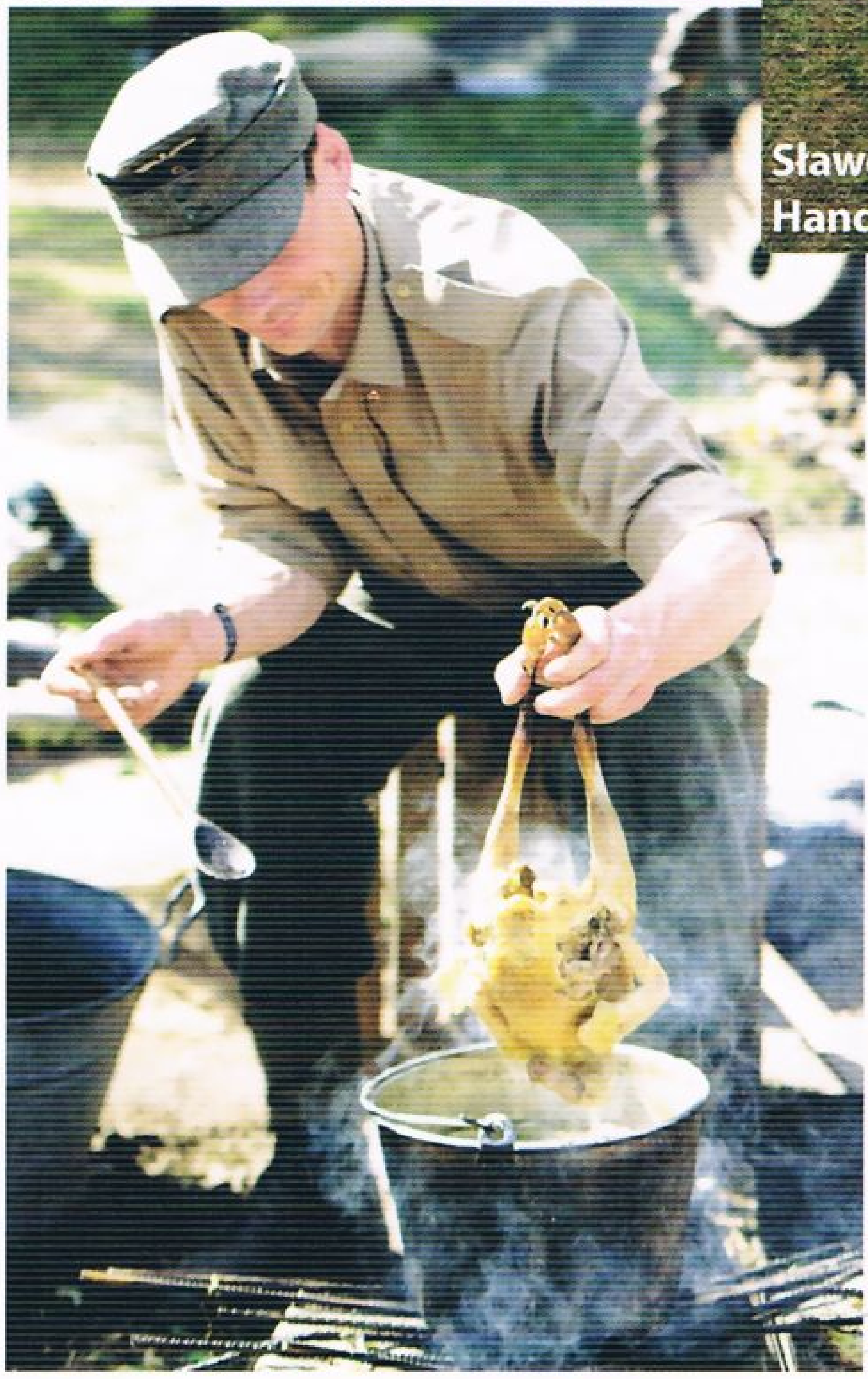

Ilość atrakcji, spektakli stworzonych oraz odgrywanych przez rekonstruktorów – które dane nam było zobaczyć i przeżyć – na długo pozostaną w pamięci. Na „Strefie Militarnej" w każdym wymiarze i przestrzeni coś się działo…

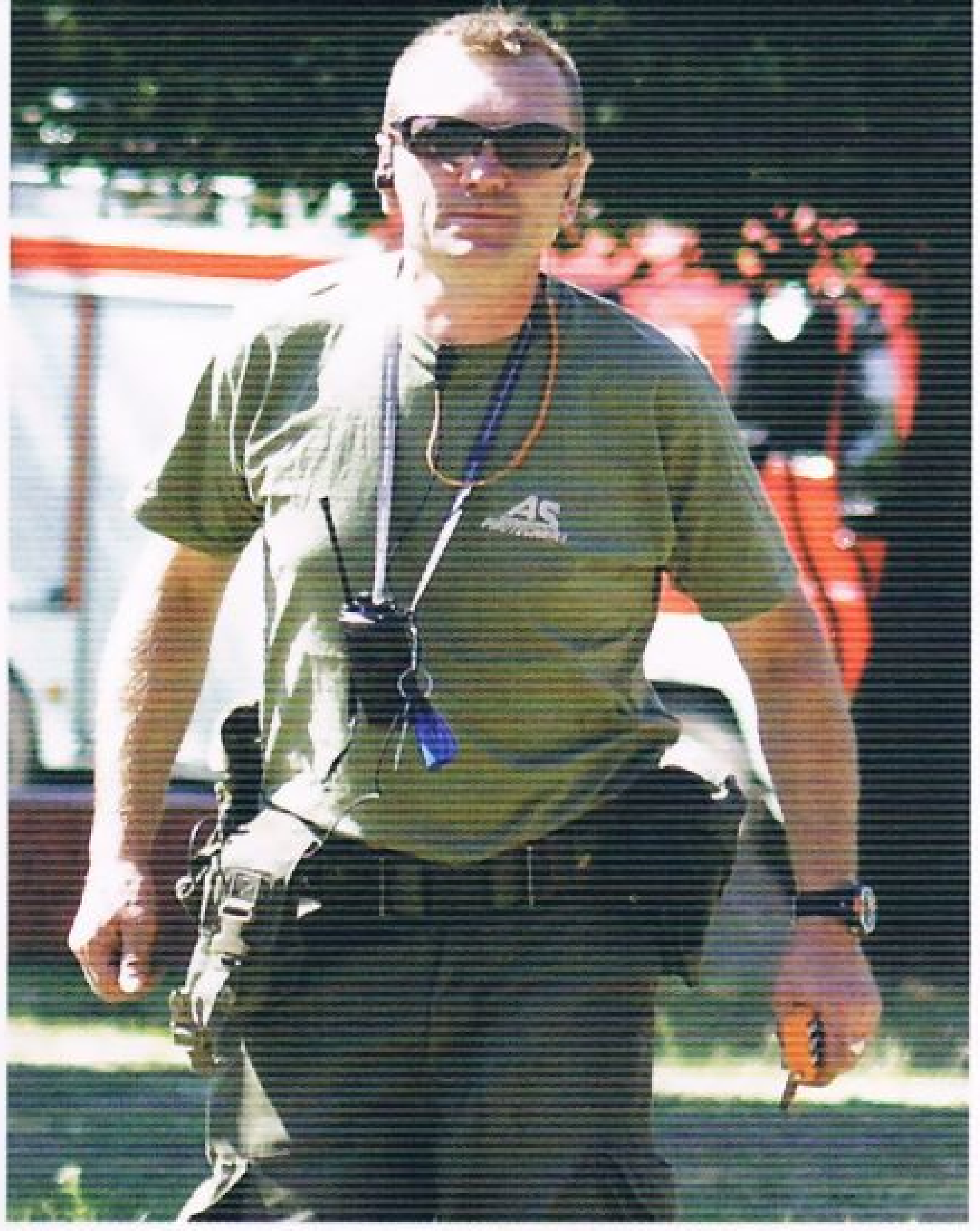

Artur Sobieraj. „AS” pirotechniki w pełnym tego słowa znaczeniu. Reżyserowane przez Artura spektakle pirotechniczne budzą zachwyt każdego…

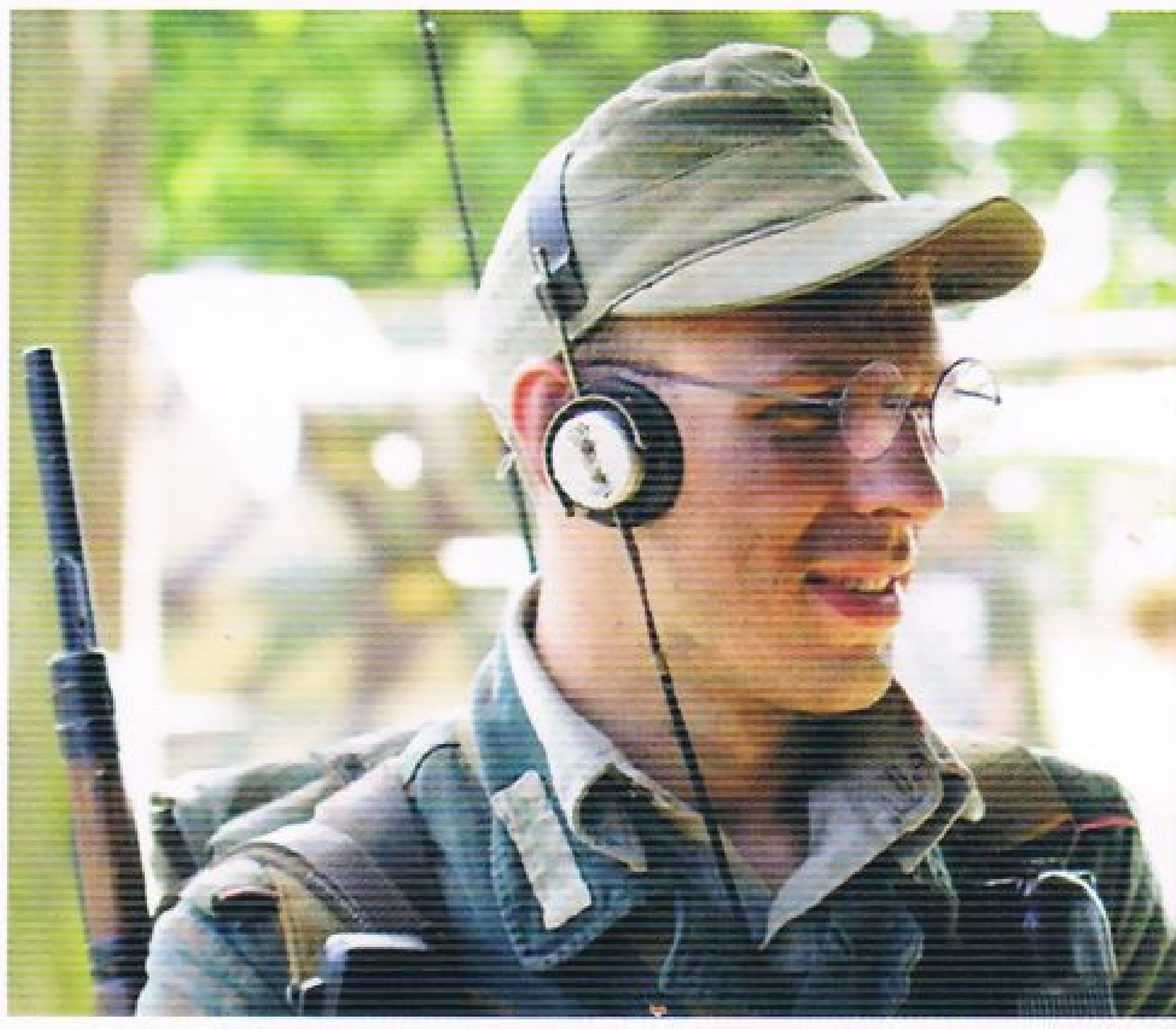

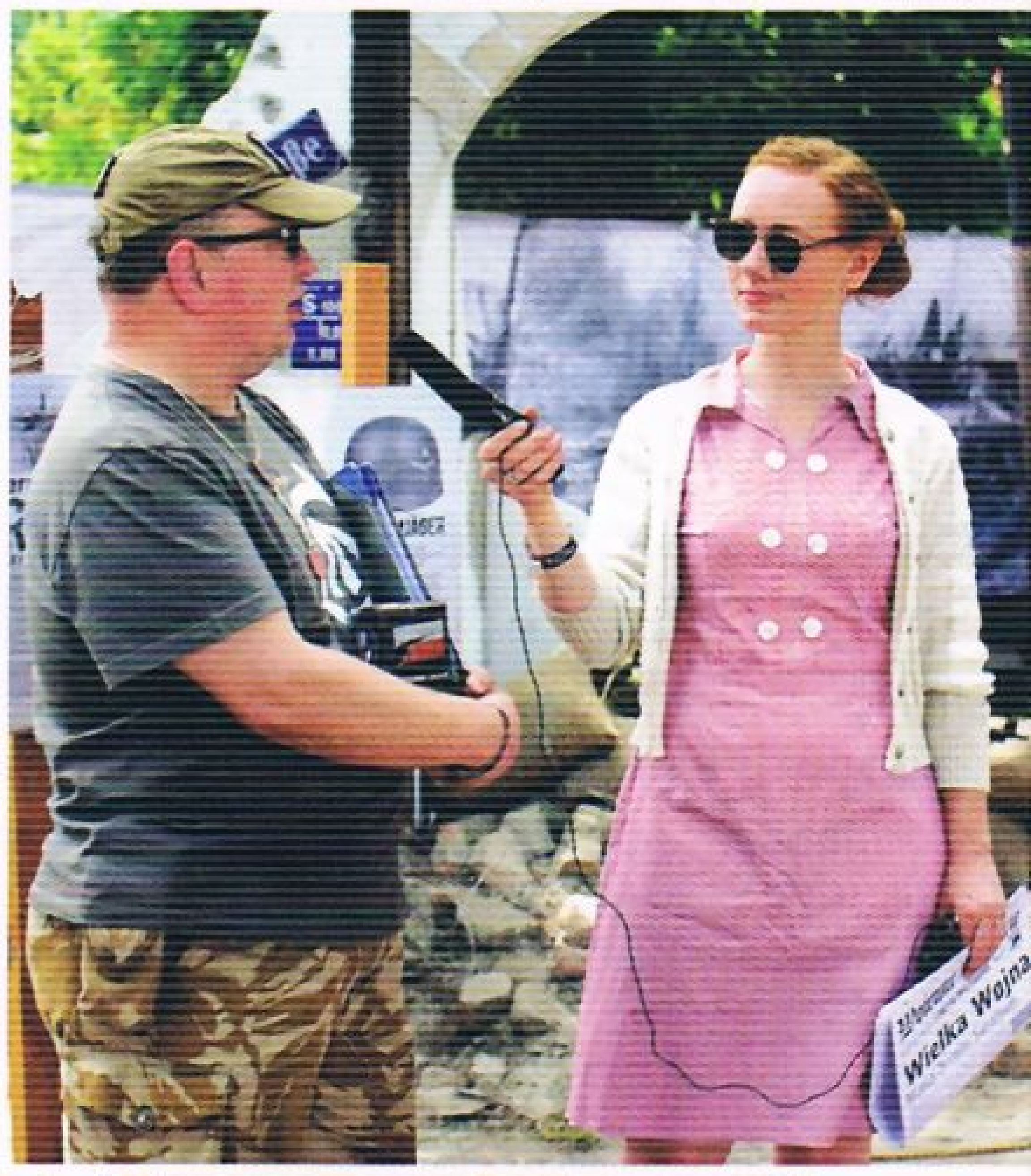

Piękne twarze rekonstrukcji.

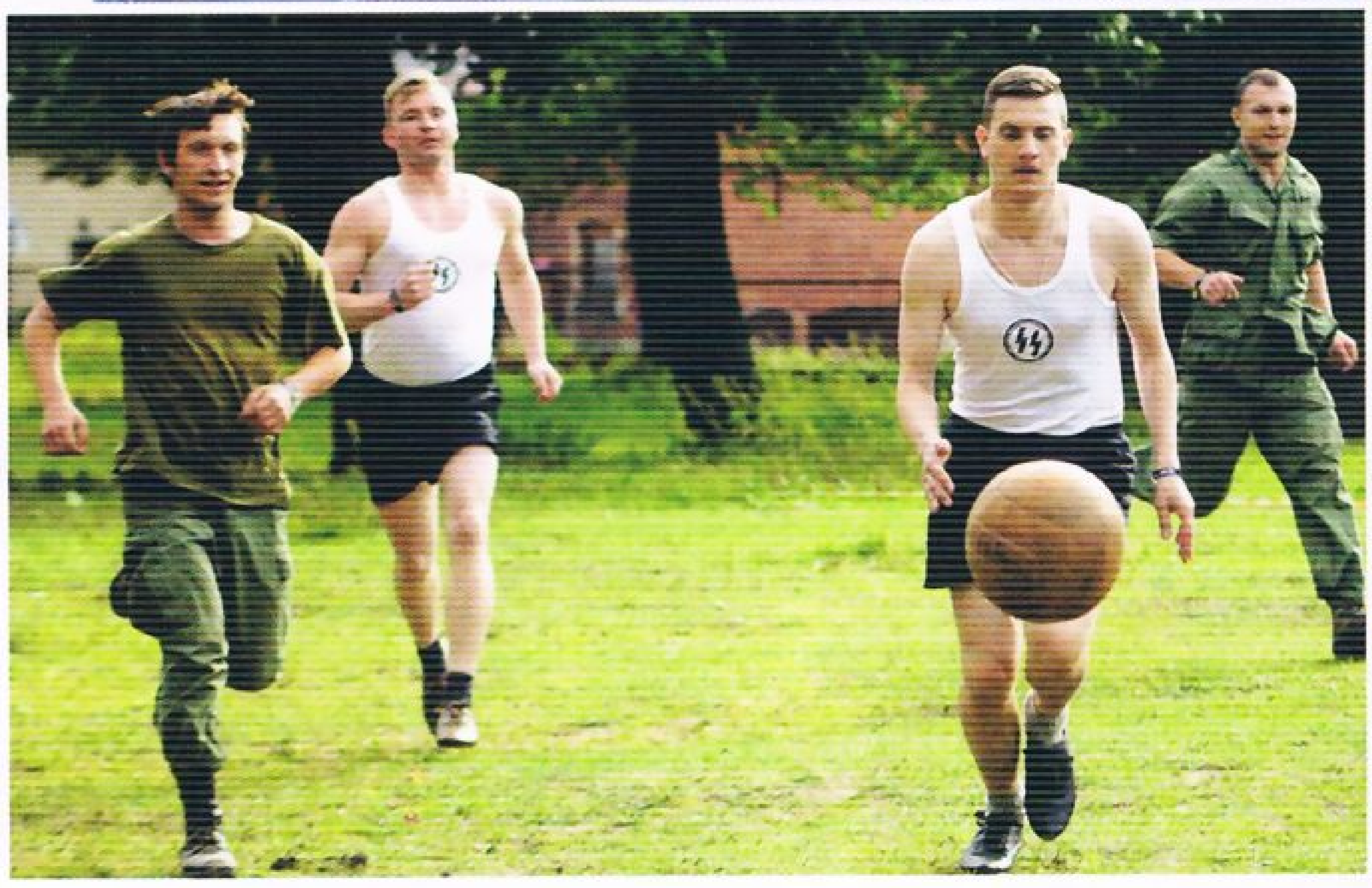

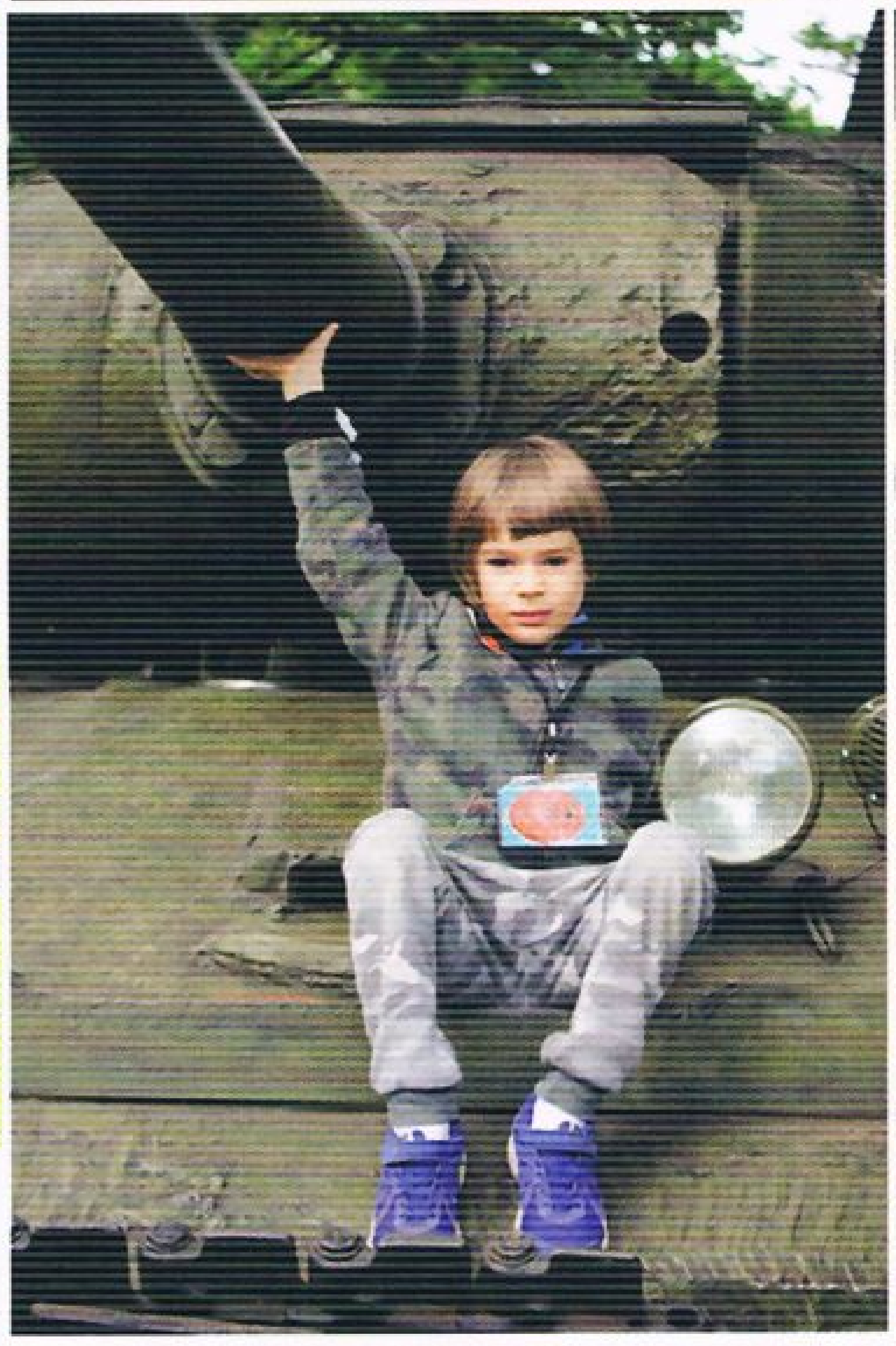

Widowiska historyczne. Nieodłączny, stały element programu „Strefy”, magnes przyciągający tłumy (w tym roku była ich rekordowa ilość). W rolach głównych: rekonstruktorzy i pojazdy. Na żadnej tego typu imprezie w Polsce nie zobaczycie takiej ilości historycznych, zabytkowych, wręcz unikatowych sprzętów.

Grzegorz – najlepszy medyk wśród rekonstruktorów i najlepszy rekonstruktor wśród medyków.

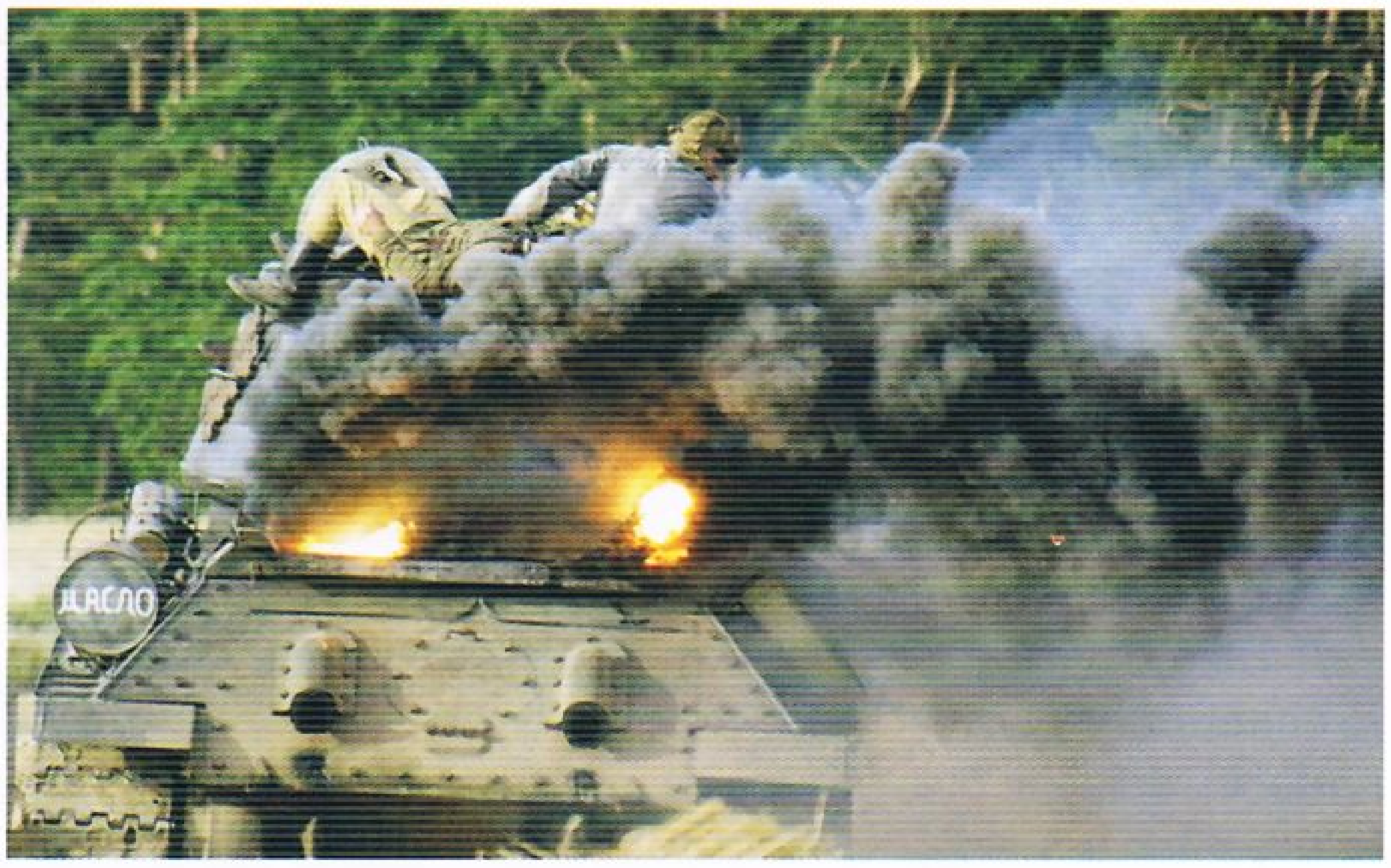

PS. Szczególne podziękowania dla Krzysztofa i Jego Rodziny, właścicieli Zajazdu pod Wiwatem. Oni i ich zespół sprawiają, że czujemy się tam, jak w domu.

Łza w oku historii, czyli Ratno Dolne

DARIUSZ PIETRUCHA

W powiecie kłodzkim, przy drodze prowadzącej ze Ścinawki Średniej w stronę Radkowa, znajduje się miejscowość Ratno Dolne. Turyści rzadziej tam zaglądają, bo okolica wydaje się mało zagospodarowana, przez co mniej atrakcyjna. Nie wiedzą, co tracą. Bowiem Ratno to prawdziwa perła. Niestety, zmarnowana przez ludzką próżność i głupotę…

Ratno Dolne (niem. Niederrathen) to bardzo stara miejscowość, co widać, gdy się przez nią przejeżdża. Jej początki zapewne są związane z istniejącym tu grodem. Sama nazwa: Rathen może na to wskazywać, gdyż zawiera w sobie określenie podobne do czeskiego: hradek, czyli gródek. Wzgórze, na którym wznoszą się obecnie ruiny pałacu, jest naturalnym miejscem obronnym. To wysoka skarpa nazywana przez miejscowych „Ptak" (od nazwiska ostatniego właściciela pałacu w Ratnie Dolnym), która góruje nad rzeką Pośną. Jednakże informacje na temat powstania zamku są nieco poplątane, przez co trudno się w nich połapać.

Pałac i jego właściciele

Nazwanie Ratna Górnego pałacem, jest mało precyzyjne. Dlaczego? Bo początki tego miejsca sięgają średniowiecza. A wówczas nie budowano pałaców, a jedynie obronne zamki. Wybierano odpowiednie miejsce (zazwyczaj wysokie wzniesienie górujące nad okolicą), stawiano kamienne mury i wzmacniano ich walory obronne. Dokładnie tak było w Ratnie Dolnym. Mowa o XIII, a może nawet XI w., bowiem niewykluczone, że już w XI w. istniał tu drewniany, należący do Czechów, gródek, ulokowany na trakcie z Kłodzka (niem. Glatz) do Broumova. W XIII w. zapewne istniał już murowany zamek z kamienną wieżą. Nie wiadomo jednak, kto był jego właścicielem. Zazwyczaj podaje się, że zamek powstał w 1 poł. XIV w. (pierwsza wzmianka o nim pochodzi z 1347 r.). Podobno był wtedy własnością Heinricha von Muschzina (z rodu, który później używał nazwiska von Mosch). Jego rodzina od XIII w. była związana z Ziemią Kłodzką oraz z obszarem Łużyc. Zarówno linia kłodzka, jak i łużycka już nie istnieją. Pierwsza wygasła w XVII w., a druga w XVIII. Oprócz zamku w Ratnie rodzina Muschzin (Mosch) w latach 1361-1622 była także właścicielem zamku w Gorzanowie (niem. Grafenort) niedaleko Kłodzka, który obecnie powoli podnosi się z ruin. Być może po śmierci Heinricha, lub jego potomka, zamek w Ratnie zmienił właścicieli.

Daniel Paschasius von Osterberg i pałac w Ratnie Dolnym. Źródło: www.zamki.res.pl

Pomnik Daniela Paschasiusa von Osterberg w Wambierzycach.

TO MIEJSCE ODKRYWCA POLECA

Wiadomo, że od 1388 r. znalazł się w rękach rodu von Pannwitz (Panowice). W różnych opisach historii zamku padają jednak różne daty: 1347, 1368 lub 1377. Nazwisko nabywcy jest jedno – Tyczo von Pannwitz. Ten stary szlachecki ród, którego początki giną w mrokach zamierzchłych czasów, pochodził z okolic Budziszyna (niem. Bautzen) i był pochodzenia serbołużyckiego. W 1326 r. osiedlili się koło Trzebnicy (niem. Trebnitz) w miejscowości, która obecnie nosi nazwę Paniowice. Nieco później kupili zamek w Ratnie Dolnym.

Pałac w Ratnie Dolnym w 1737 roku. Źródło: www.dolny-slask.org.pl

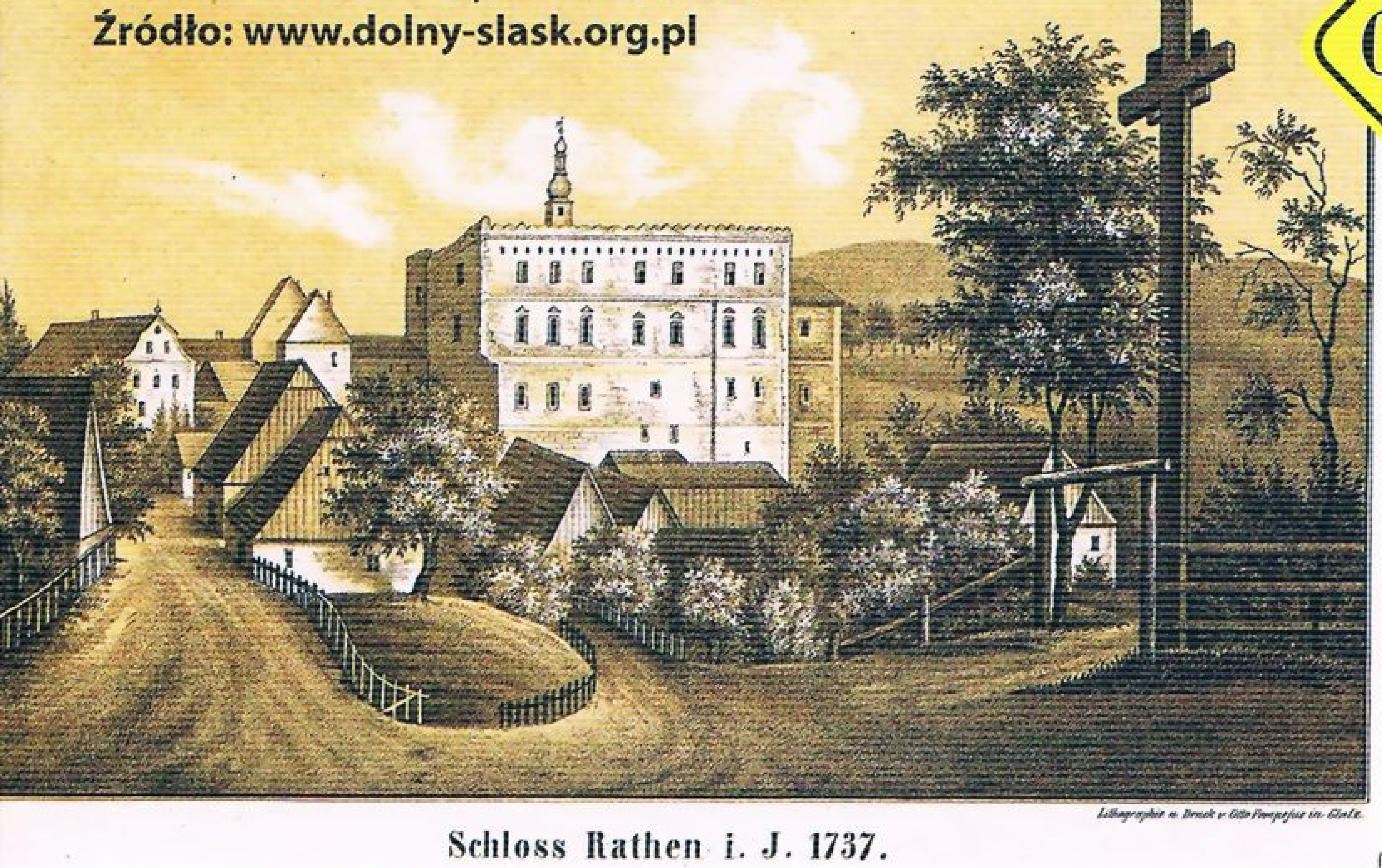

Nie bez powodu. Na wiele lat związali się z Ziemią Kłodzką, pełniąc w latach 1341-1588 funkcje burgrabiów kłodzkich, służąc Luksemburgom, królom czeskim i austriackim Habsburgom. W 1368 r. stworzyli w Kotlinie Kłodzkiej małe rycerskie państewko. Kawał wielkiej, europejskiej historii.

Natknąłem się na informację, że od 1430 r. właścicielem majątku i zamku w Ratnie Dolnym był F. von Hag. Nie wiem, czy to prawda. W 1486 r. wymienia się już kolejnego pana na Ratnie, Zbynka Bochowicza, koniuszego u księcia Henryka I Podiebradowicza (1448-1498), księcia ziębickiego i hrabiego kłodzkiego, bliskiego współpracownika króla czeskiego Władysława II. Koniuszy na zamku? Hmm... Ponadto Henryk I Podiebradowicz nabył Księstwo Ścinawskie dopiero w 1497 r., więc coś tu nie pasuje. Potem kolejne zmiany właścicieli: baron von Sparr i Mathias Dannisch von Hannsdorf. To sugeruje, że Pannwitzowie nie byli już właścicielami zamku w Ratnie Dolnym. Fakt, podaje się, że z powodu udziału w spisku przeciwko królowi Przemysławowi II Ottokarowi ich dobra zostały skonfiskowane. Jest tylko mały problem. Przemysław II Ottokar z dynastii Przemyślidów był władcą Czech w latach 1253-1278. Znowu coś się nie zgadza... Bardziej prawdopodobne jest, iż Pannwitzowie spiskowali przeciwko królowi czeskiemu Władysławowi II (panował w Czechach w latach 1471-1516), co źle się dla nich skończyło – na przełomie XV i XVI w. stracili swój zamek w Ratnie Dolnym.

Bazylika mniejsza w Wambierzycach z 57. schodami.

W 1505 r. jego nowym właścicielem został Urlich von Hardegg (ok. 1483-1535). On również pochodził ze starej szlachty, której początki sięgają wczesnego średniowiecza. Hardeggowie (Hardeckowie vel Hardich) pochodzili z Austrii. Do dzisiaj w Dolnej Austrii wysoko ku niebu wznoszą się stare i potężne mury zamku Hardegg, który był ich rodową siedzibą. Nowy właściciel dokonał przebudowy zamku w Ratnie Dolnym, zamieniając go w kamienną budowlę i nadając mu obecną formę. Rozbudował i otoczył go umocnieniami, tworząc z niego prawdziwą warownię. Nowe założenie zamkowe powstało na planie prostokąta z masywną wieżą w narożu północno-zachodnim.

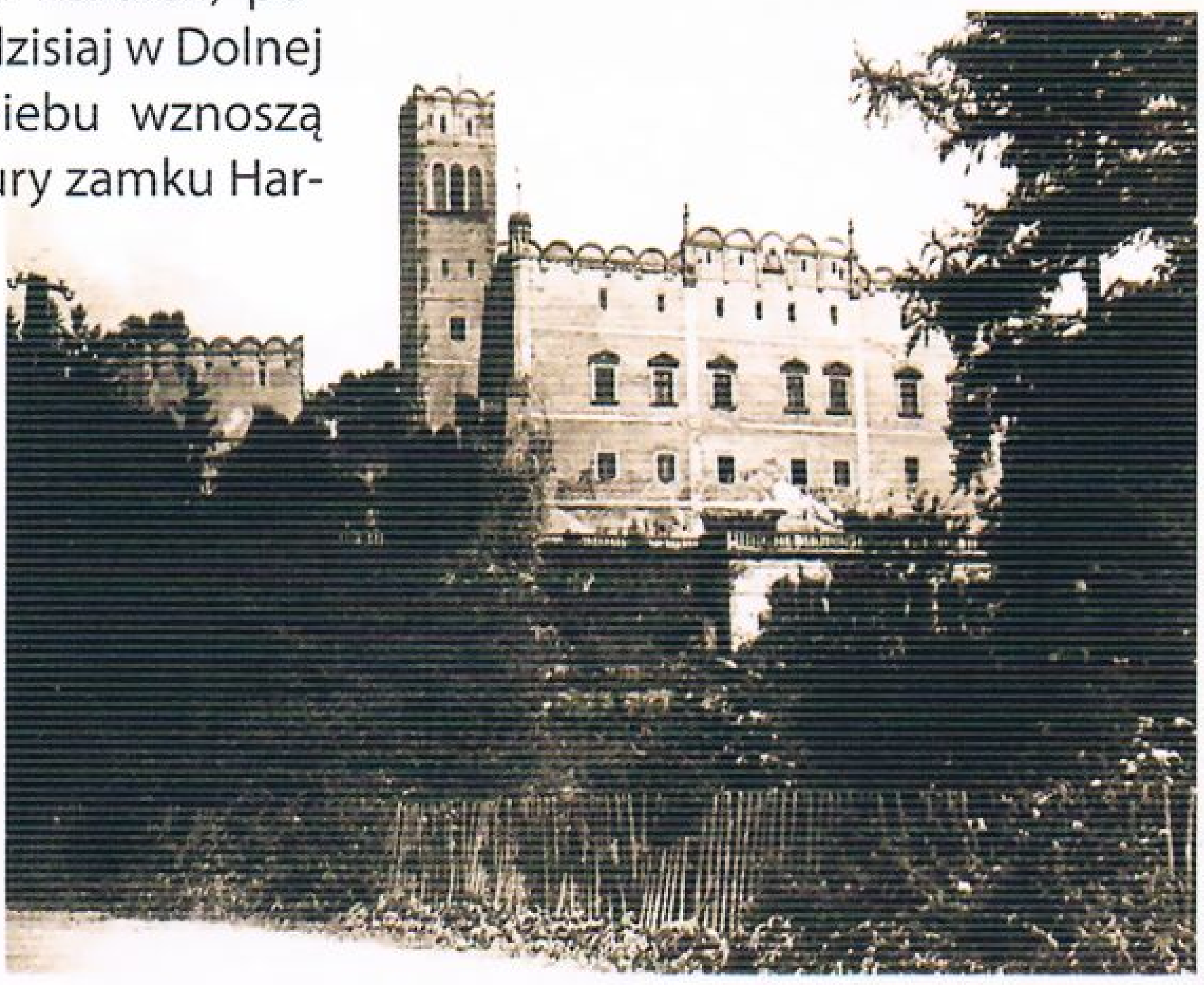

Widok pałacu w Ratnie Dolnym od strony drogi...

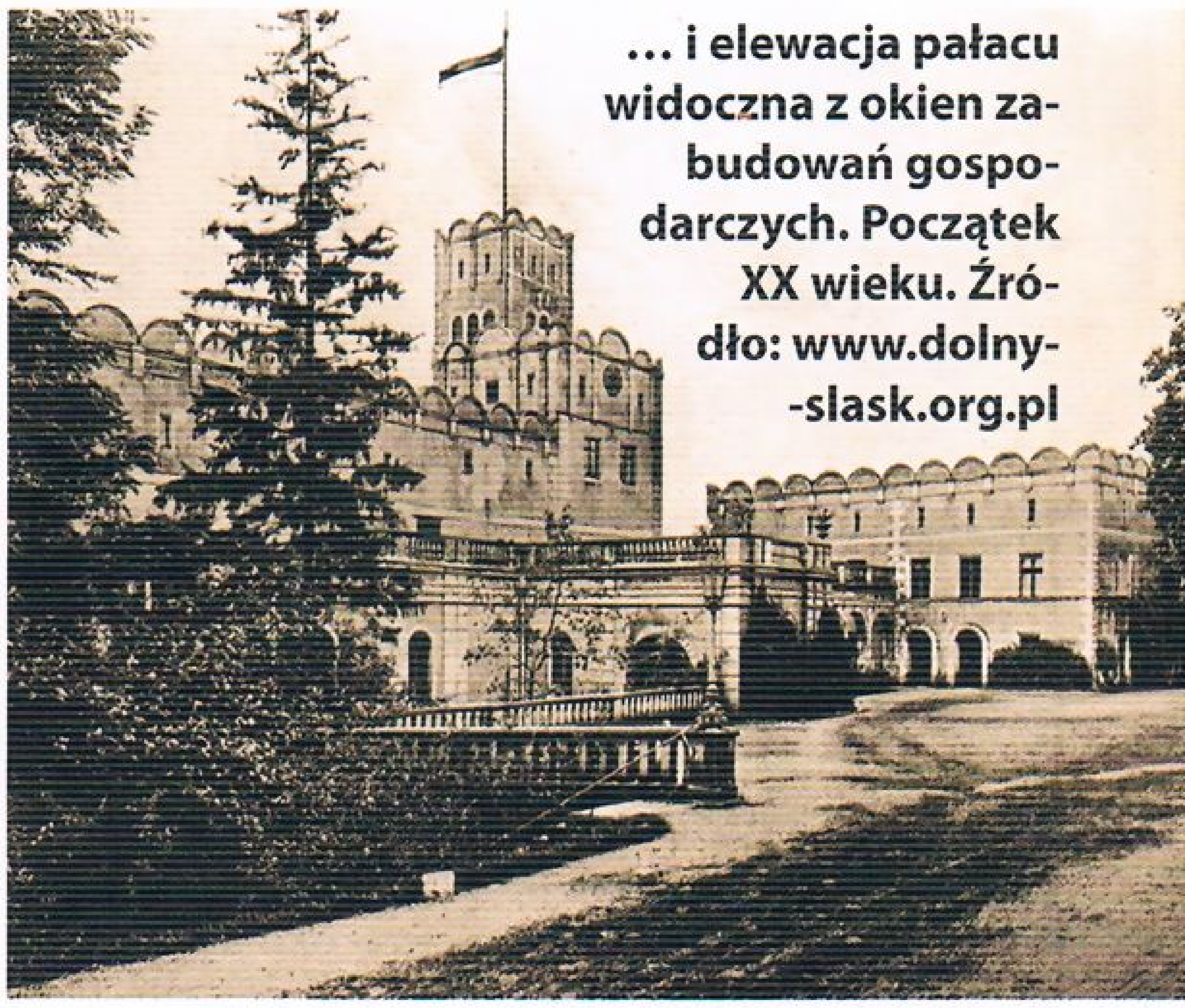

... i elewacja pałacu widoczna z okien zabudowań gospodarczych. Początek XX wieku. Źródło: www.dolny-slask.org.pl

W 1563 r. zamek trafia w ręce Baltazara von Reichenbacha; jakoby odkupił go od Stefana Pantzingera. Raichenbach nadaje swojej siedzibie bardziej reprezentacyjny charakter, przebudowując ją w stylu renesansowym. Od tego momentu bryła zamku uzyskała charakterystyczne, renesansowe attyki, które zachowały się do dzisiaj. W przyziemiu pałacowej wieży ostała się tablica z datą „1563", będąca świadectwem owej przebudowy. Co ciekawe, Reichenbach jednocześnie zadbał o obronność zamku, budując fosę i wały obronne. Podobno w latach 1613-1628 r. nowym właścicielem zamku w Ratnie Dolnym został Cert von Sobothendorf (vel Carl von Schottendorf), który w 1613 r. nabył od Reichenbachów część majątku. W 1628 r. część z niego uległa konfiskacie, a reszta została sprzedana Piotrowi Langwiesowi. Ponoć powodem problemów Sobothendorfa był udział w antyhabsburskim powstaniu. Jako że Cert von Sobothendorf był zwolennikiem Fryderyka V Wittelsbacha, zwycięski cesarz Ferdynand II Habsburg wydał decyzję o konfiskacie połowy majątku Sobothendorfa. Mało tego, cesarz zastosował surowe represje wobec buntowników i podjął politykę germanizacji Czech. W 1627 r. ogłosił nowy statut Królestwa Czeskiego, na mocy którego tron Habsburgów stał się dziedziczny, a oni nie musieli zabiegać o względy szlachty czeskiej, chcąc zapewnić sobie sukcesję. To

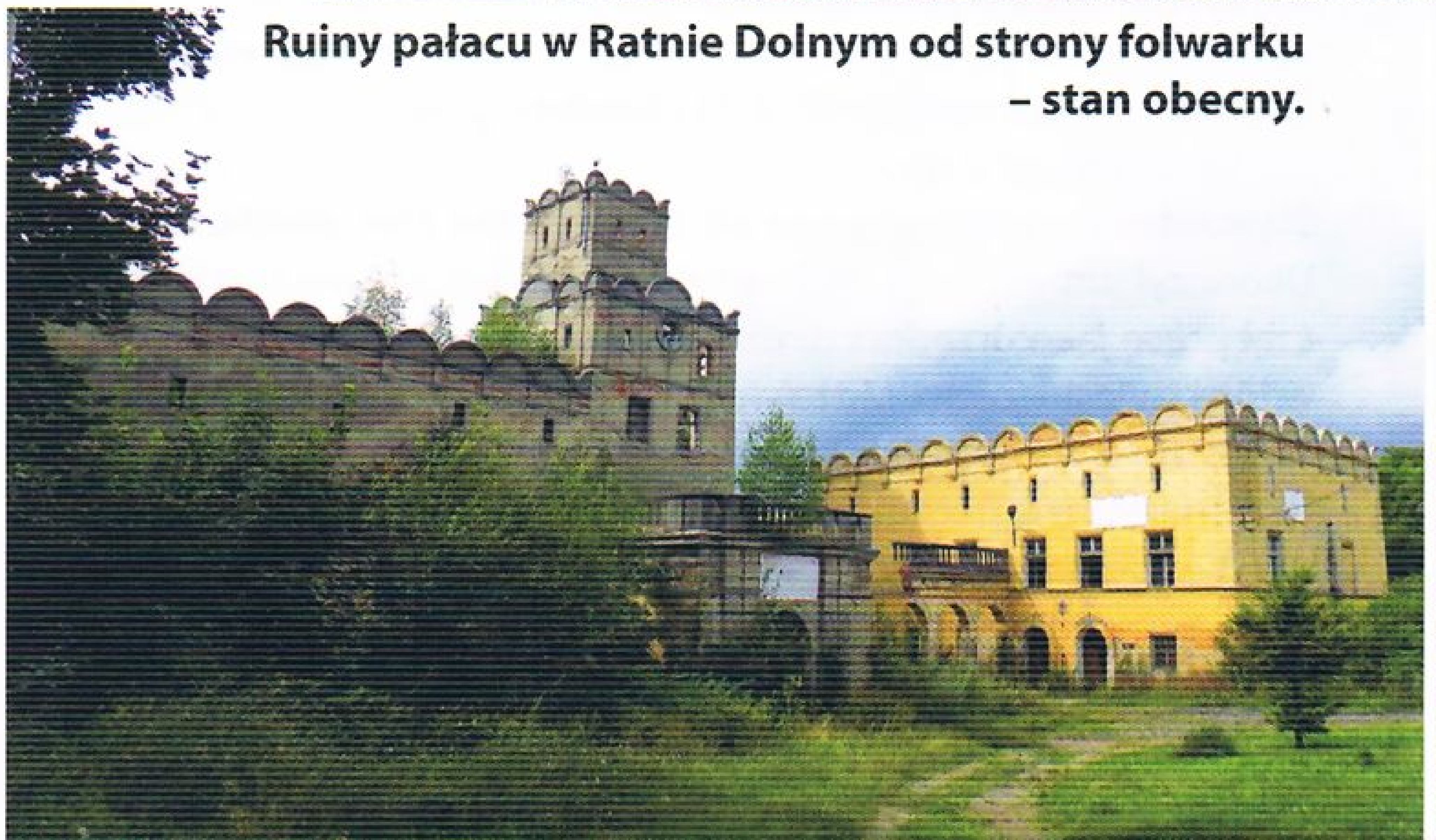

Ruiny pałacu w Ratnie Dolnym od strony folwarku – stan obecny.

dużo zmieniło w historii tych ziem, bowiem podobnych Sobothendorfowi „buntowników" było wielu. Od tego momentu majątek w Ratnie ulegał dalszym podziałom.

W czasie wojny 30-letniej (1618-1648) zamek został zdobyty przez Szwedów. Ograbiono go i zniszczono, co miało miejsce w roku 1645. Nie bardzo wiadomo, kto podjął się odbudowy zamku, która rozpoczęła się w 1663. Być może stało się to na polecenie cesarza Ferdynanda Karola Habsburga, gdyż majątek w Ratnie przejęła cesarska kamera. Kolejnymi panami na zamku byli: Christian Langewiss (vel Langewiesen), Mathias Maximilian Domnisch oraz Daniel Paschasius von Osterberg, który zakupił zamek w 1675 r. (można też spotkać datę 1671). Prawdopodobnie był tym, który kontynuował jego odbudowę, a właściwie dokonał jego przebudowy. Powstały wówczas sąsiednie budynki w stylu barokowym (oficyna i domek ogrodnika) oraz istniejące do dzisiaj pałacowe, ogrodowe tarasy na wzór włoski. Zupełne novum na ziemi kłodzkiej. No cóż, jak pojedziecie tam w lecie, nie zobaczycie ich. Chyba że przygotujecie się na przedzieranie się przez gęstwinę dzikiej

Fragment opustoszałej barokowej kapliczki.

Pozostałości dawnego cmentarza.

Domek ogrodnika.

roślinności. Po owej przebudowie zamek przeistoczył się w pałac. Pozostały jednak renesansowe attyki i bryła dość charakterystyczna dla średniowiecznego zamku. Data 1677 na bramie prowadzącej do pałacu, na której widnieje również herb von Osterbergów, jest namacalnym świadkiem tych wydarzeń.

Daniel Paschasius von Osterberg

To bardzo znana postać, szczególnie w tej części Dolnego Śląska. Urodził się w 1634 r. w Opawie. Nie był szlachcicem. Ukończył uniwersytet w Pradze (studiował prawo) i rozpoczął pracę jako urzędnik dworski w majątku rodu von Althann w Międzylesiu (niem. Mittelwalde). W 1674 r. cesarz Leopold VI nadał mu tytuł hrabiowski i nazwisko von Osterberg. Wówczas to Althannowie podarowali mu majątek w Gorzuchowie.

W 1680 r. w okolicy wybuchła epidemia zarazy. Jak głosi legenda, dwóch grabarzy (Meyer z Wambierzyc i Oscher z Radkowa) przyznało się do kontaktów z diabłem i do straszliwego czynu. Ugotowali napój z serca zmarłej na zarazę brzemiennej kobiety i wypili go z ludzkiej czaszki – to było źródło pomoru. Oczywiście zostali skazani. Jeden nie doczekał wykonania wyroku (zmarł w więzieniu), drugi został spalony w Kłodzku w 1682 r. Nie muszę Wam chyba mówić, jakimi sposobami wymuszono na nich zeznania. Woleli śmierć niż powtórne „przesłuchania". Zaraza dotarła również do Ratna Dolnego. Wielu mieszkańcom, w tym również von Osterbergom, udało się przeżyć. Za cudowne ocalenie życia Daniel Paschasius von Osterberg postanowił podziękować Bogu.

Śląska Jerozolima

W pobliskiej miejscowości Wambierzyce (niem. Albendorf) znalazło się idealne miejsce i... odpowiednia legenda. Ludzie wierzyli, że właśnie tam w XII w. Jan z Ratna (lub z Raszewa) odzyskał wzrok i ujrzał postać Matki Boskiej – w niszy wysokiego drzewa. W miejscu jego cudownego uzdrowienia ok. 1263 r. zbudowano drewnianą kapliczkę, którą być może później zamieniono na murowany kościół,[1] a także kamienną figurę Matki Boskiej umieszczoną w miejscu objawienia. Wkrótce pod drzewem z figurą postawiono ołtarz, po bokach lichtarz i chrzcielnicę. Obecnie stoi tam

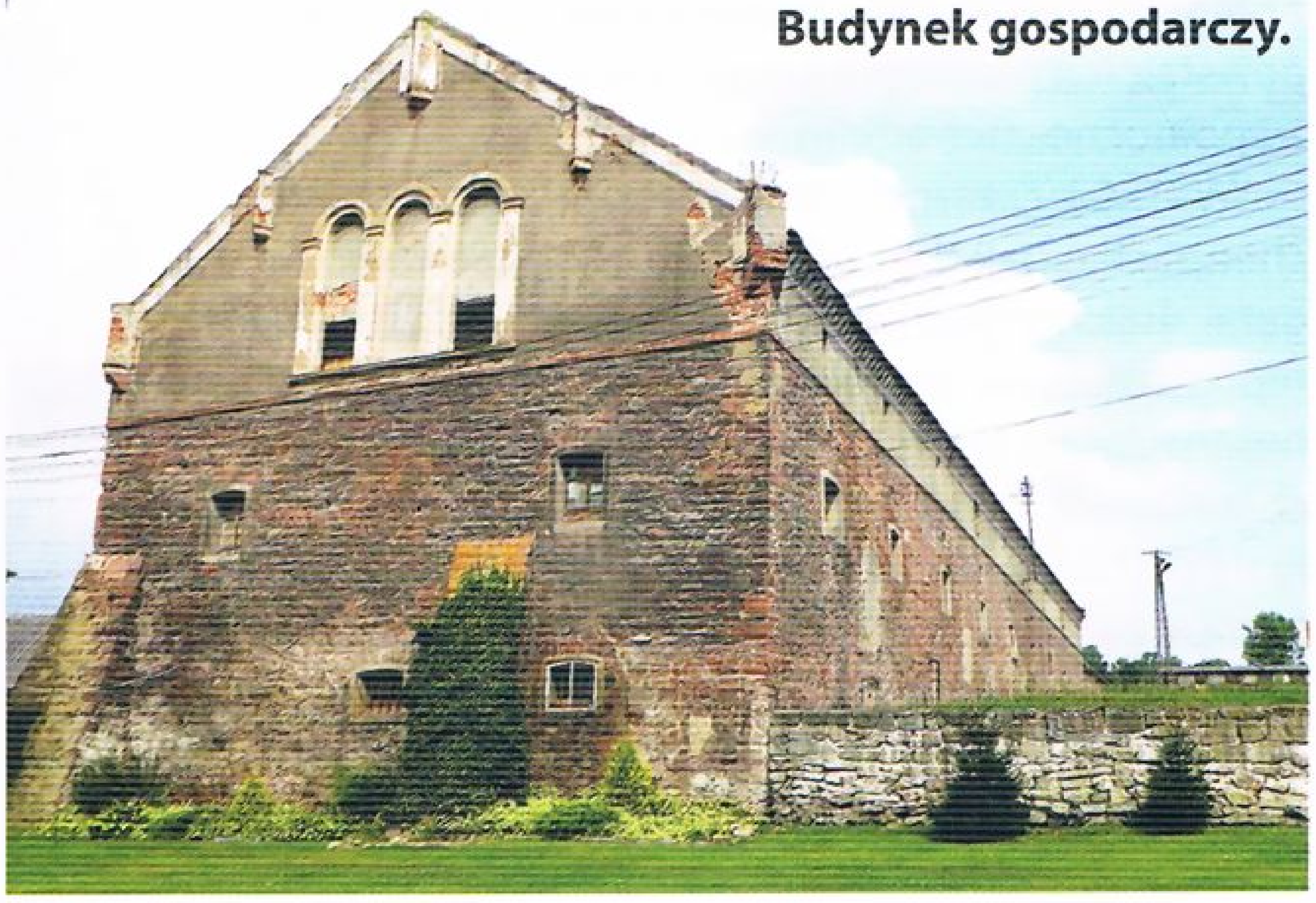
Budynek gospodarczy.

wambierzycka bazylika. Ludzie znali to miejsce, pielgrzymowali do niego jak do sanktuarium. Ale Osterberg chciał czegoś szczególnego i potężnego. Chciał śląskiej Jerozolimy. Zadbał więc o rozwój wambierzyckiej legendy, a w tym pomogła mu natura…

Podobno w dniu 30.05.1679 r. nad wambierzyckim kościołem rozpalił się blask zorzy, który trwał do późnych godzin nocnych. Cud. Tak potrzebny Osterbergowi. Porozumiał się z właścicielem majątku Wambierzyce, Johannem Hoferem von Hoferbergiem, od którego w 1677 r. go odkupił. Sprowadził wybitnych architektów, a ci pochylili się nad deskami kreślarskimi. Zaprojektowano monumentalny kościół wyposażony w dwie wieże, który stanął w miejscu wcześniejszego, gotyckiego. Budowę rozpoczęto w roku 1695. Nowy kościół poświęcono w 1710. Plany Osterberga sięgały jednak dalej. Stworzył największą na Śląsku kalwarię, składającą się z rozłożonych w terenie 80-100 stacji drogi krzyżowej i 12 bram. Jednocześnie wpadł na pomysł inscenizacji misteriów pasyjnych. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Do Wambierzyc zaczęły ciągnąć tłumy wiernych, co miejscowym zapewniało niezłe dochody. Zarabiali poddani, tym bardziej zarabiał sam Osterberg. Prawdziwy cud ekonomii w postaci „śląskiej" Jerozolimy.[2] Wambierzyce stały się jego życiową pasją. Tylko z kościołem było coś nie tak…

Daniel Paschasius von Osterberg zmarł w 1711 r. w Wambierzycach, a zaraz po jego śmierci zawaliły się kościelne wieże, doprowadzając kościół do ruiny. Być może źle je zaprojektowano, a może umarły wraz ze swoim fundatorem i pomysłodawcą.

Kościół odbudowano (w latach 1715-1723 dzięki hr. Franciszkowi Antoniemu von Götzenowi powstała kolejna świątynia, która przetrwała do dziś), ale już bez wież. Ciągle jest to znane sanktuarium,[3] najbardziej kojarzące się z monumentalnymi schodami, których jest dokładnie 57.[4] Nie powiem – wambierzycka bazylika robi wrażenie, choć nie przepadam za barokiem. Jeszcze nie widziałem kościoła o tak dziwnym układzie wewnętrznym.

Niewykluczone, że Osterberg chciał „wpleść" pałac w Ratnie Dolnym w swój wambierzycki „kompleks", stąd decyzja o jego przebudowie. Stało się jednak inaczej. Ratno na zawsze już pozostało miejscowością położoną jedynie w cieniu cudownych Wambierzyc. Obecnie niedaleko od słynnych schodów wambierzyckiej bazyliki stoi rzeźba przedstawiająca jej pomysłodawcę, Daniela Paschasiusa von Osterberga. Jak dokładnie się jej przyjrzycie, zauważycie pewien niecodzienny element. Otóż u stóp von Osterberga widać płaskorzeźbę pałacu. To nic innego, jak Ratno Dolne.

Ostatnim z przebywających w Ratnie Osterbergów, był Emanuel von Osterberg, wnuk Daniela – cesarski pułkownik. W 1761 r. sprzedał Ratno Dolne radcy handlowemu z Nowej Rudy (niem. Neurode) Leopoldowi Genedlowi (czasami określanego jako Genedl von Schenckendorff) – właścicielowi części Polanicy-Zdroju (niem. Bad Altheide). W tamtych czasach był to jeden z większych posiadaczy ziemskich na ziemi kłodzkiej. W jego rękach był zamek w Ratnie Dolnym, młyn wodny oraz część Ratna Górnego. Wydaje się, że Genedlowie nie dokonali w bryle zamku żadnych zmian. Zapewne gospodarowali majątkiem traktując go jako solidne źródło dochodu. Należy pamiętać, że dokładnie w tym czasie Dolny Śląsk przeszedł spod panowania austriackich Habsburgów pod rządy pruskich Hohenzollernów. Być może właśnie to było powodem sprzedaży majątku przez Osterbergów. W 1787 r. zmarł Leopold Genedl, a pałacem zarządzali jego potomkowie. Pamiątką z tego okresu jest figura św. Jana Nepomucena znajdująca się poniżej pałacu, przy mostku (datowana na 1770), a także pałacowa kapliczka i kolumna maryjna, pochodzące z XVIII wieku. Po Genedlach nowym właścicielem pałacu został kupiec Franz Grossmann (prawdopodobnie w 1840 r., ale spotykana jest również data 1822). Ratno Dolne stale się rozrastało. W momencie kupna przez Grossmanna wieś liczyła około 122 budynków i trzy folwarki, w których hodowano owce. Tym samym lokalne warsztaty tkackie nie cierpiały na brak wełny. Obok młyna i tartaku pracowała także gorzelnia.

Obok wież pozostałości kolumnady dziedzińcowej.

Pałacowe wieże jeszcze stoją. Jak długo?

Ostatnia przebudowa pałacu – czasy rodu von Johnston und Krögeborn

Kolejnym właścicielem pałacu został potomek szkockich emigrantów religijnych, Woldemar von Johnston und Krögeborn (1806-1860). Tu znowu pojawia się problem. Niektóre źródła podają, że zmiana własności nastąpiła w 1854, inne, że dopiero w 1904 roku. Jednakże 1904 możemy spokojnie wykluczyć, bo ani Woldemar, ani jego małżonka już wtedy nie

żyli. Nowi właściciele od razu przystąpili do przebudowy pałacu (bodaj w 1855 r.), nadając mu całkowicie nowy wygląd. Żoną Woldemara była Therese (z domu Amelang)[5], która przeżyła swojego męża. Z jej inicjatywy w 1872 r. nastąpiła kolejna przebudowa pałacu. Nowe przekształcenia ostatecznie zatarły dawny układ budowli i nadały pałacowi obecny wygląd. Zbudowano smukłą zachodnią wieżę, zmodernizowano wnętrza zamkowe oraz dziedziniec wjazdowy. Powiększono także pałacowy park. Po śmierci Therese majątek w Ratnie Dolnym odziedziczył ich syn, baron Max von Johnston und Krögeborn (1847-1918).

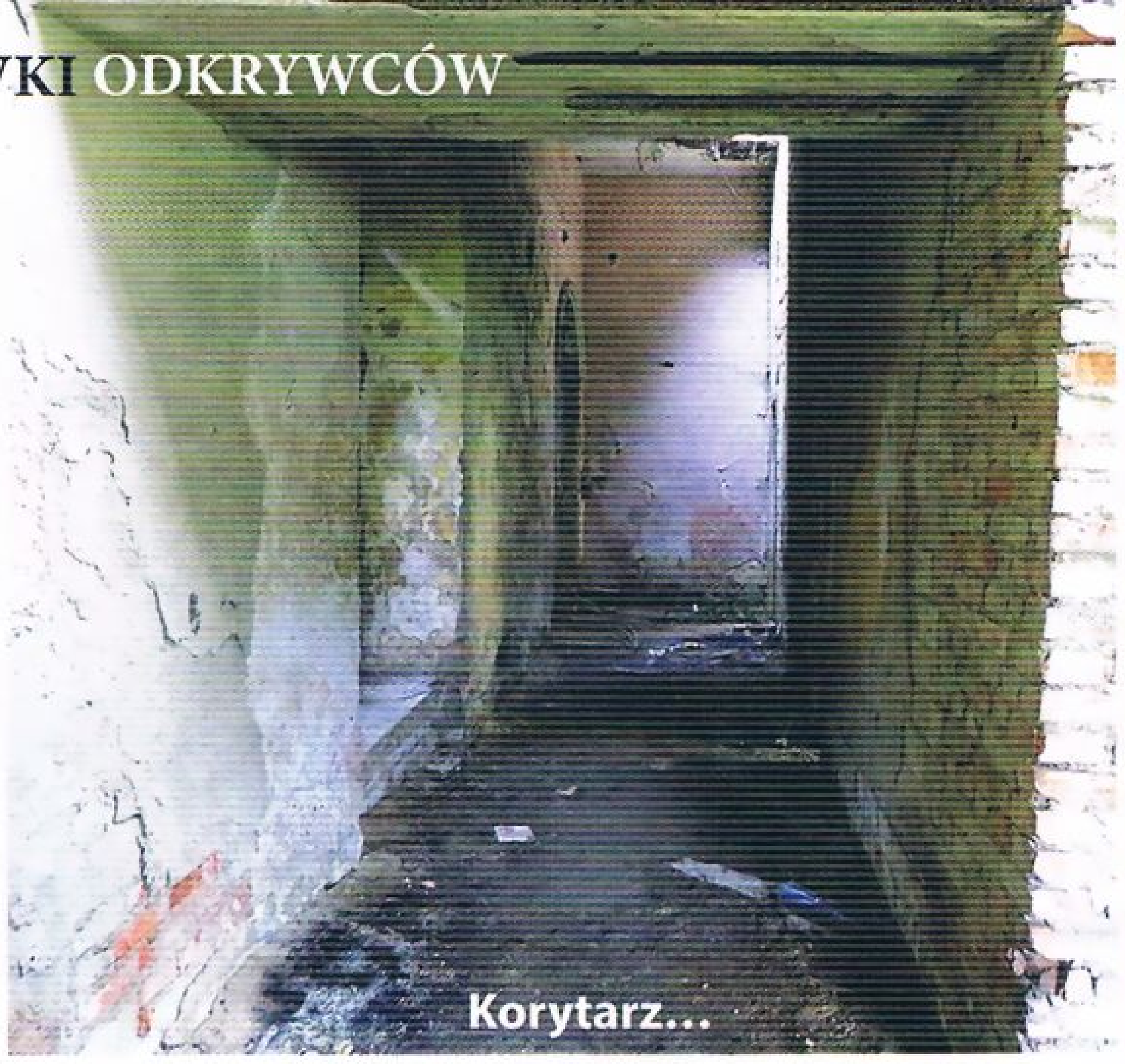
Korytarz...

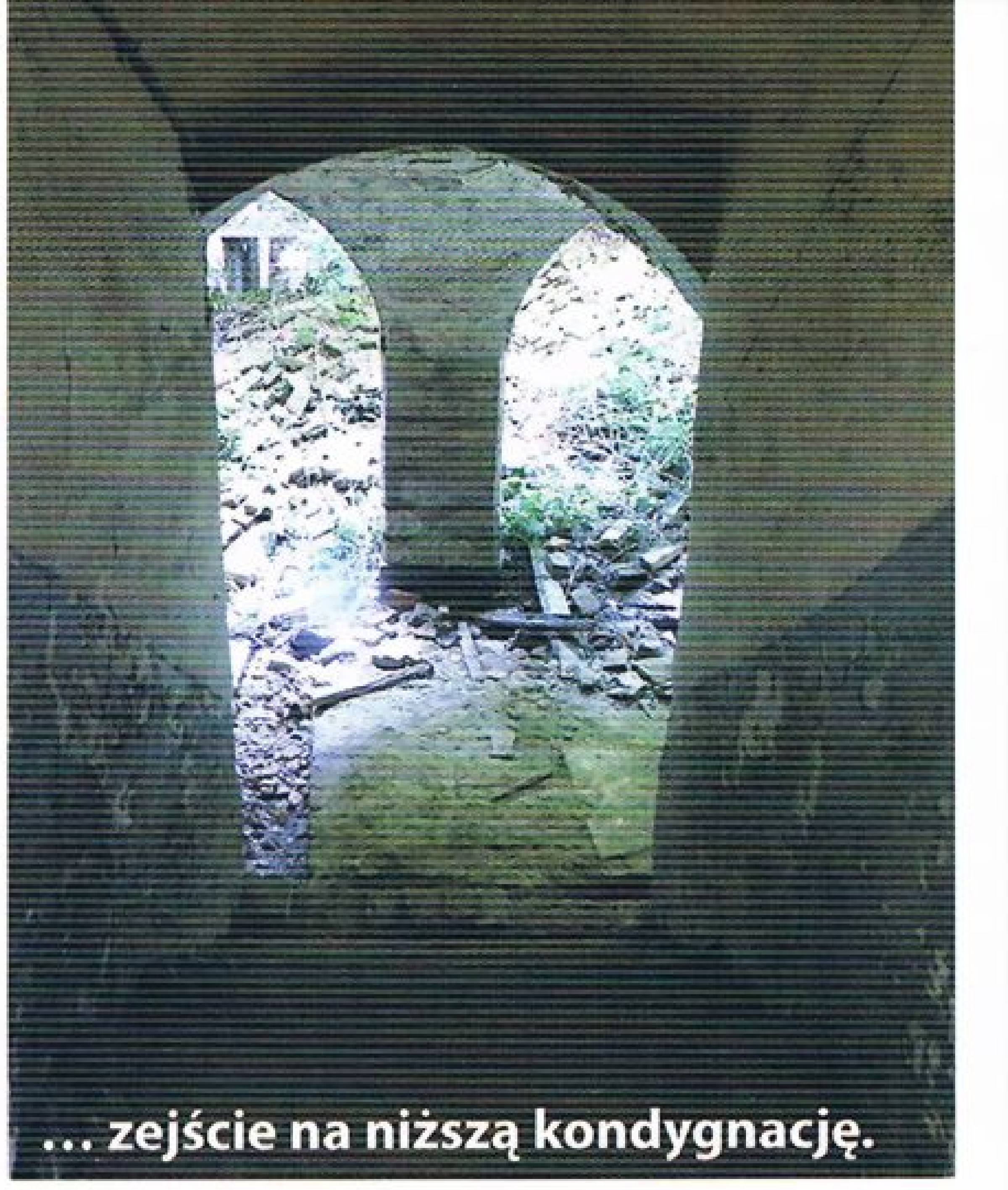
... zejście na niższą kondygnację.

Lata powojenne

Ostatnią właścicielką pałacu była Izabella von Blanckart, która pozostała tu pomimo zakończenia II wojny światowej. Zdążyła jednak rozbudować przypałacowe oranżerie. W 1946 r. została wysiedlona do Niemiec.

9.05.1945 r. Ratno Dolne zajęła Armia Czerwona, oddziały sowieckiej 59. Armii Ogólnowojskowej gen. płk. Iwana Korownikowa. Pałac zapewne został ogołocony z wyposażenia, ale był w bardzo dobrym stanie. Po przekazaniu go polskim władzom, podjęto decyzję, że zostanie w nim ulokowany, jakżeby inaczej, PGR. Na szczęście trwało to krótko. Następnie obiekt przeznaczono na ośrodek wczasowy Związku Nauczycielstwa Polskiego. Tak było przez wiele lat. Brak remontów odbił się jednak na jego wyglądzie i stanie. W 1972 r. podjęto się co prawda renowacji pałacu, ale nie dała ona widocznych wyników. W efekcie zdecydowano o zamianie ośrodka wypoczynkowego na hotel. Był tylko jeden poważny problem. W zabudowaniach gospodarczych funkcjonowała hodowla bydła (krowy górskich ras). Smród był tak dokuczliwy, że hotel nie miał racji bytu. Pomysłu zaniechano. Jednakże pałac ciągle był zadbany. W 1985 r. wyremontowano więc jego dach, a we wnętrzach urządzono kawiarnię. U podnóża, koło jeziora, funkcjonowało boisko do siatkówki. Tylko, że nikt pałacu nie chciał.

Smutna współczesność

W 1996 r. Agencja Własności Rolnej ogłosiła przetarg na kupno pałacu. Zwycięzcą został Edward Ptak. W lutym 1998 r. w pałacu wybuchł wielki pożar, który strawił drewniane stropy. Okoliczni mieszkańcy sugerują, że nie był to przypadek, bowiem jak wieść gminna niesie, na krótko przed pożarem pałac został ubezpieczony na bardzo wysoką kwotę. Czy to prawda, czy kolejna teoria spiskowa dziejów, nie nam osądzać.

Po pożarze pozostała jedynie fasada pałacu, czyli pozbawione dachu renesansowe mury, dwie wieże (starsza, południowa jest potężną, sześciokondygnacyjną budowlą na planie kwadratu o boku 7,5 m, zbudowaną z kamienia i cegły). W siedmioosiowej głównej elewacji znajdują się arkadowe okna. Szczyt ocalałej wieży, jak i koronę murów, ciągle wieńczy zauważalna z daleka renesansowa, półkolista attyka. Obok pałacu stoi kilka budynków również zwieńczonych attyką. U jego podnóża, od południowej strony, rozciąga się opuszczony i niszczejący park krajobrazowy o pow. 8 ha, ze zrujnowanymi tarasami, potokiem i stawem. Całości dopełnia pochodząca z XIX w. oranżeria (wpisana do rejestru zabytków pod nr 897/WŁ z 25.06.1982) i domek ogrodnika. Do rejestru

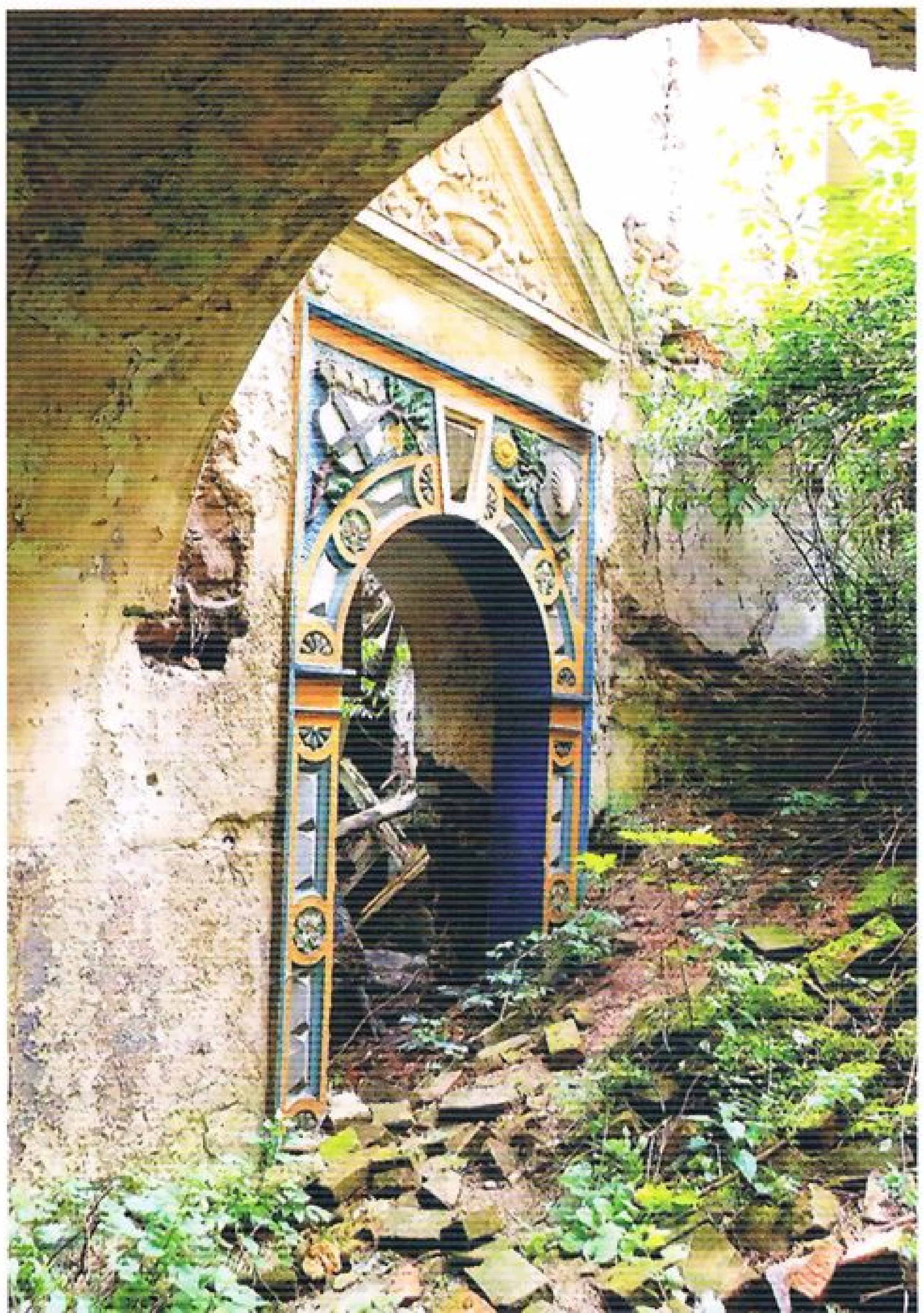
Ozdobny portal przypomina o dawnej świetności pałacu w Ratnie Dolnym.

Resztki malowania. Schody do nikąd...

zabytków wpisany jest również pochodzący z XIX w. pałacowy mur oporowy (nr rej.: 897/WŁ z 25.06.1982). Podobno w ocenie historyków sztuki zamek-pałac w Ratnie Dolnym należy do jednego z cenniejszych na Ziemi Kłodzkiej. W folwarku nadal znajduje się hodowla krów. Prawdziwie wiejskie zapachy…

W samym Ratnie Dolnym ocalało wiele domów mieszkalnych pochodzących jeszcze z XIX w. Dość łatwo je rozpoznać, bo ich architektura jest specyficzna. Nie brakuje również licznych figur o tematyce religijnej i kapliczek, co bez wątpienia związane jest z sąsiednimi Wambierzycami. W 1903 r. przez miejscowość została uruchomiona linia kolejowa łącząca Ścinawkę Średnią z Radkowem. W tamtych czasach musiała się cieszyć sporym powodzeniem. Stacja kolejowa Ratno–Wambierzyce stała się punktem docelowym wielu pielgrzymek. Linię kolejową rozebrano w 1987 roku. Pamiątką po niej są dwa pochodzące z 1903 r. wiadukty kolejowe o bardzo ciekawej architekturze.

Dawne zabudowania pałacowe zaadaptowane na mieszkania.

Zwiedzanie krok po kroku

Będąc w Ratnie Dolnym, możecie mieć problem z dojazdem do ruin pałacu. Kiedy byłem tam pierwszy raz, zdecydowałem się już przedzierać przez gęste krzaki i piąć ku górze, bo wydawało mi się, że to jedyna droga. Okazało się, że można się tam dostać o wiele prościej. Charakterystycznym punktem Ratna Dolnego jest skrzyżowanie z drogą prowadzącą do Wambierzyc. Warto nią pojechać, bo dzięki temu zauważycie jeden ze wspomnianych przeze mnie wiaduktów kolejowych. Ale jeśli chcecie dostać się do ruin pałacu, odłóżcie ową podróż na później. Tym razem, jadąc od strony Radkowa, będziecie mieli ruiny pałacu po lewej stronie. Zauważycie je łatwo, bo u stóp wzniesienia, na którym leżą, stoi stacja benzynowa. Bardzo specyficzny punkt. Chwilę potem ponownie zauważycie drogę odbijającą w stronę Wambierzyc. Musicie jednak jechać prosto, w kierunku na Ścinawkę Średnią. Tylko kawałeczek. Jak skończą się gęste zarośla pałacowego wzniesienia, zauważycie odbijającą w lewo drogę (bardzo wątpliwej jakości – dlatego raczej ją odradzam, szczególnie tym, szanującym swoje auta), zaraz koło dwóch niezbyt urokliwych budynków mieszkalnych, rodem z PRL-owskiej rzeczywistości. Kiedy w nią skręcicie, poprowadzi Was prosto w stronę zabudowań gospodarczych i samego pałacu. Po lewej stronie zauważycie staw i mnóstwo roślinności. To wśród niej ukrywają się zrujnowane, barokowe tarasy dawnego pałacowego parku. Druga wskazówka. Im bardziej śmierdzi, tym bliżej jesteście celu. Mówiłem Wam, swojskie zapachy…

Kiedy już dostaniecie się na górę, po prawej stronie zauważycie charakterystyczną, pochodzącą z XVIII w. barokową kapliczkę. Czasy jej świetności dawno już minęły. W środku jest pusta, choć widać ślady po dawnych elementach wyposażenia. Dokładnie na wprost wjazdu widać ogrodzony teren. To dawny cmentarzyk właścicieli pałacu, na którym znajdziecie niewiele nagrobków i rzeźbę Chrystusa. Cmentarz jest zamknięty na głucho, więc możecie go obejrzeć jedynie zza ogrodzenia. Waszą uwagę zapewne zwrócą dwa nagrobki: hr. Cosmy von Königsdorff (1827-1913) i Vally von Hauteville-Jacquemin, z domu hr. von Königsdorff (1822-1895). Kim były? Otóż Vally to zdrobniała forma imienia Valentine. Chodzi o hr. Valentine von Königsdorff,[6] która w 1848 r. poślubiła Hugo Heinricha Richarda von Hauteville-Jacquemin. Żona właściciela Ratna Dolnego, Elisabeth von Johnston und Krögeborn (z d. von Hauteville-Jacquemin) była ich córką. Wygląda na to, że po śmierci swojego ojca Elisabeth ściągnęła matkę do Ratna Dolnego, gdzie ta zakończyła swój żywot. Natomiast hr. Cosma von Königsdorff była siostrą hr. Valentine von Königsdorff, czyli ciotką Elisabeth. Widać też postanowiła zamieszkać w Ratnie Dolnym do końca swoich dni. Valentine i Cosma miały jeszcze brata, hr. Arthura Heinricha Wilhelma Antona Eduarda von Königsdorff (1824-1866), który w 1866 r. poślubił Rosę von Hauenschild. Hrabia Arthur zakończył życie 4 miesiące po ślubie. Niewykluczone, że poległ w bitwie pod Langensalza w Saksonii, toczonej między pruskim oddziałem wydzielonym a hanowerskim kontyngentem wojskowym, w wojnie prusko-austriackiej o hegemonię w Związku Niemieckim.

Powróćmy do Ratna. Mówiąc najprościej, dwa ocalałe na rodowym cmentarzyku nagrobki należą do matki i ciotki właścicielki Ratna Dolnego. Po wielkości cmentarzyka można podejrzewać, że jest tam pochowanych o wiele więcej osób, ale niestety, ich nagrobki zniknęły. I również pamięć o nich. Smutne.

Większość zabudowań gospodarczych jest wykorzystana, choć ich stan techniczny pozostawia wiele do życzenia. Część uległa zawaleniu, i to dawno temu. Nie kręciłem się tam, bo

REKLAMA

www.wykrywacze24.pl

POLECAMY SZEROKI WYBÓR DETEKTORÓW DLA KAŻDEGO POSZUKIWACZA

JESTEŚMY DYSTRYBUTORAMI MAREK

DORADZAMY...SPRZEDAJEMY...SERWISUJEMY...
tel. 660 797 830, e-mail: El-car@tlen.pl
72-200 Nowogard, ul. 3 Maja 44

ktoś z pracowników mógłby mieć o to pretensje. Słyszałem jedynie, że w biurach gospodarstwa hodowlanego można odnaleźć kilka elementów z wyposażenia pałacu. W oczy rzuca się potężny budynek gospodarczy, którego solidne ściany wykonano z kamienia. Dalej zauważymy XVII-wieczny domek ogrodnika ozdobiony renesansową attyką. Jego stan jest bardzo zły. No i sam pałac. Droga w stronę jego ruin prowadzi na lewo od cmentarza, wzdłuż zabudowań gospodarczych. Właściwie możecie pod niego podjechać samochodem.

Pałac wygląda okropnie, choć ciągle robi niesamowite wrażenie. Wysoko ku górze wznosi się wielka wieża, kiedyś ozdobiona zegarem, po którym zostały marne resztki. Pierwszą rzeczą rzucającą się w oczy są kolumny zagradzające fragment dziedzińca. Część z nich nie tak dawno uległa zawaleniu. Na lewo zobaczycie wejście do pałacu, można wejść, choć to ryzykowna przechadzka. Korytarze są w opłakanym stanie. Trzeba bardzo uważnie patrzeć pod nogi, bo czyha tam sporo niespodzianek. Idąc dalej, ukaże się Wam zejście na niższy poziom. I tu prawdziwa nagroda za trudy poniesione podczas niebezpiecznego spaceru. Przepiękny kamienny portal, który nie tak dawno musiał przejść solidną renowację, teraz leży zasypany gruzem z walących się ścian. Ale ciągle zachwyca. Nie wiem, co się z nim stanie. Byłoby niepowetowaną stratą, gdyby przepadł. Co nie jest wykluczone. Zresztą, gdy spojrzycie w górę, na ściany pozbawione stropów, zauważycie inne portale. Może mniej okazałe, ale też ciekawe. Na pozostałych ścianach widać charakterystyczne malowanie. Podejrzewam, że pochodzi z późniejszego okresu, ale zachowało się dość dobrze. Ogólnie, pałac jest w stanie totalnej ruiny.

Obok pałacu stoi budynek mieszkalny ozdobiony renesansową attyką. Na jego fasadzie znajduje się herb, który również możecie zauważyć na opisanym wcześniej portalu. Na herbie widnieją inicjały „W.v.J" – zapewne Woldemara von Johnston und Krögeborna. Budynek obecnie jest opustoszały. Można do niego wejść, choć to też niebezpieczne. Wewnątrz widać ślady przeróbki pomieszczeń na mieszkania, opuszczone chyba nie tak dawno temu. Połamane meble, sterty śmieci, porozbijane kafelki... smutny widok. Budynek posiada przepiękny, ozdobiony kolumnami taras, z którego kiedyś musiał się rozciągać wspaniały widok. Teraz niewiele widać, bo dzika roślinność zakrywa wszystko. Na pałacowe tarasy się nie dostałem, bo rośliny rosną tak gęsto, że wszystko przypomina dżunglę. Znalazłem jedynie ruiny jakiegoś budynku, którego ściany również ozdobione są renesansową attyką. Mogę jedynie podejrzewać, że był to element pałacowego ogrodu.

We wnętrzach pałacu panuje cisza. Niczym niezmącona, całkowita. Wznosząca się ku niebu dumna pałacowa wieża tonie w tej ciszy. Podejrzewam, że można z niej zauważyć jeden z najpiękniejszych elementów lokalnego krajobrazu, czyli skały na Szczelińcu. Zawsze budziły we mnie zachwyt. A cisza? No cóż, po prostu pałac umarł. Oglądacie jego resztki. Tylko tyle pozostało. Podejrzewam, że za niedługo nie będzie już czego oglądać. Chyba, że ktoś się zlituje nad jego losem i zapragnie jego wskrzeszenia. Jak na razie nic na to nie wskazuje. Uszanujcie jego stan. Kawał historii odchodzi w niepamięć. W Ratnie Dolnym...

○ ○ ○

W poprzednim artykule pisałem Wam o związku rodu von Münchhausen z Ratnem Dolnym. Większość osób opisujących historię zamku pomija ten element jego historii. Co jest dla mnie niezrozumiałe. 7.06.1893 r. w pałacu w Ratnie Dolnym odbył się ślub. Margarete Therese Valentine Elisabeth Agnes von Johnston wyszła za mąż za barona Hilmara von Münchhausena z Szalejowa Dolnego. W tym czasie majątkiem w Ratnie Dolnym zarządzał jej ojciec, baron Max von Johnston und Krögeborn. Margaret w Szalejowie Dolnym urodziła Hilmarowi dwoje dzieci, syna Hilmara oraz córkę Elisabeth-Luise. Całkiem możliwe, że po śmierci Maxa von Johnston und Krögeborn (zm. 1918) majątkiem w Ratnie Dolnym zarządzał jego zięć, baron Hilmar von Münchhausen, bo Max nie miał męskiego potomka. Jednakże nie trwało to długo. W 1920 r. Margaret rozwiodła się z Hilmarem. On z dziećmi pozostał w Szalejowie Dolnym, a ona powróciła do Ratna Dolnego. Była jedyną spadkobierczynią swojego ojca. Zmarła w 1954 r. w Bremen, daleko od Ratna Dolnego. To świadczy o tym, że w pewnym momencie pozostawiła majątek komuś innemu. Prawdopodobnie swojej córce. Może również dziwić fakt, że ostatnią właścicielką pałacu w Ratnie Dolnym była Izabella von Blanckart. Kim była i skąd się wzięła? To również wątek wiążący historię tego pałacu z rodem von Münchhausenów. Otóż jedyna córka Margarete Therese von Johnston, czyli jej jedyna spadkobierczyni (mowa o ur. w 1895 r. w Szalejowie Dolnym baronowej Elisabeth-Luise von Münchhausen) była najpierw żoną dr. Waltera von Schapera (w 1929 r. wzięli rozwód), a od 1932 r. barona Josepha Franza Ferdinanda von Blanckarta. Iza von Blanckart to nikt inny, jak baronowa Elisabeth-Luise, z domu von Münchhausen. Widocznie powróciła do majątku swojej matki. Dlaczego? Tego nie wiem. Całkiem możliwe, że zrobiła to po śmierci swojego drugiego męża. Nie mieli dzieci. To właśnie ona została wysiedlona z Ratna Dolnego w 1946 r. Elisabeth-Luise zmarła w dniu 14.11.1978 r. w Effeld. Tak więc w pewnym sensie ród von Münchhausen zarządzał Ratnem Dolnym od 1918 do 1945 roku.

P.S. Następnym przystankiem jest Ścinawka, a właściwie trzy Ścinawki – Dolna, Średnia i Górna. Naliczyłem się tam czterech pałaców (a może i pięciu). Mam nadzieję, że chcecie o nich posłuchać...

Przypisy:

[1] W 1512 r. Ludwik von Pannwitz w miejscu drewnianego kościoła wzniósł większy, wymurowany z cegły. Został zrujnowany w trakcie wojny 30-letniej.

[2] Płynący przez Wambierzyce strumień nosi nazwę Cedron, a nazwy okolicznych wzgórz nawiązują do tematyki biblijnej (np. Tabor, Syjon, Horeb). W 1882 r. została wykonana ruchoma szopka z ponad 800 figurami, którą skonstruował miejscowy zegarmistrz Longinus Witting (kilka jego szopek stoi w wambierzyckim muzeum).

[3] W 1936 r. papież Pius XI nadał kościołowi tytuł bazyliki mniejszej. 17.08.1980 r. kardynał Stefan Wyszyński dokonał koronacji figurki Matki Bożej, nadając jej tytuł Wambierzyckiej Królowej Rodzin.

[4] 9 (liczba chórów anielskich) + 33 (wiek Chrystusa w chwili ukrzyżowania) + 15 (wiek Marii w chwili poczęcia Chrystusa) – stąd 57 schodów.

[5] Urodzona w1815 r. w Berlinie, zm. w 1887 w Ratnie Dolnym. Była córką berlińskiego wydawcy Carla Friedricha Amelanga (1785-1856) i Henriette Eleonore, z d. Schulzen.

[6] Ojcem Valentine był hr. Eduard Heinrich Moritz von Königsdorff (1791-1853), a matką ur. w 1799 r. Henriette Hoppe.

ZDJĘCIA WSPÓŁCZESNE: DARIUSZ PIETRUCHA.

Dariusz Pietrucha

Prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortallicium".

REBIS

Czy Piłsudski mógł uratować świat przed bolszewizmem?

Najnowsza kontrowersyjna książka Piotra Zychowicza, autora bestsellerów *Pakt Ribbentrop-Beck*, *Obłęd '44* oraz *Opcja niemiecka*.

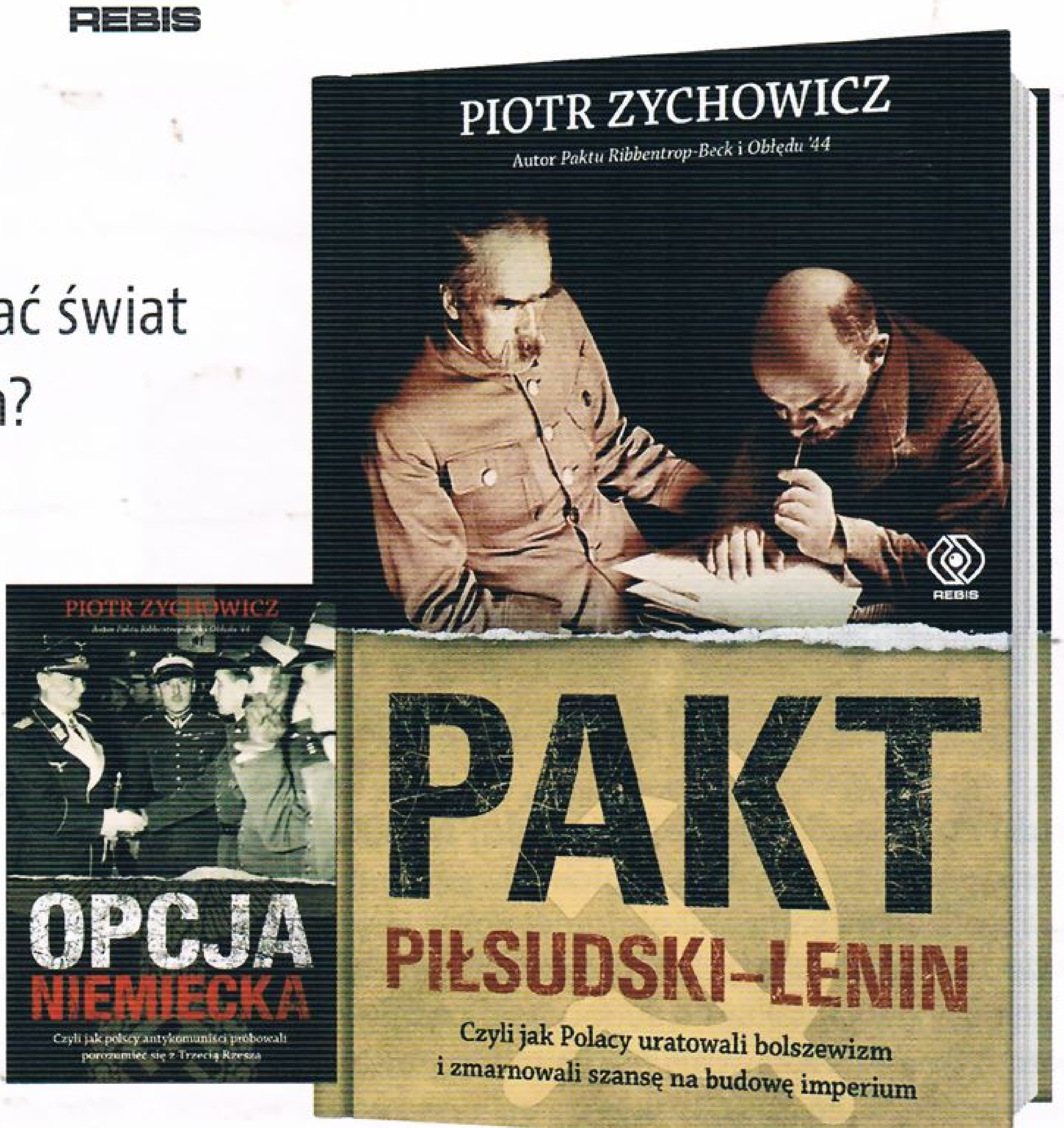

Wersja książki w twardej oprawie z materiałami dodatkowymi dostępna jest tylko w **empiku**!

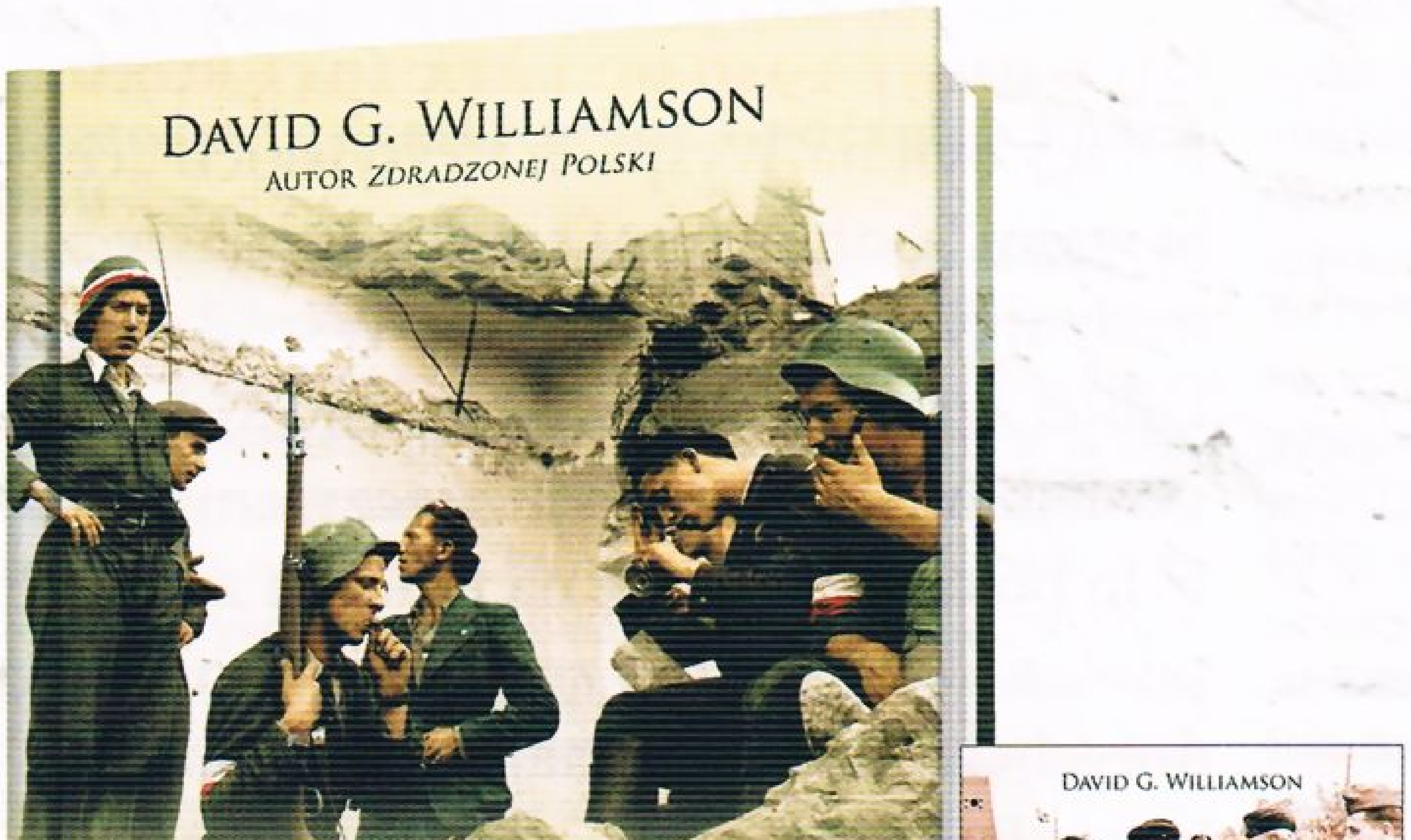

David G. Williamson, autor *Zdradzonej Polski*, dokonuje oceny działalności, roli i spuścizny polskiego ruchu oporu, prowadzącego walkę z nazistowskimi i radzieckimi siłami okupacyjnymi.

Zapraszamy do salonów **empik**

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o. **www.rebis.com.pl**

Niepotrzebni mogą odejść,

PIOTR GALIK

W cieniu 75. rocznicy Bitwy o Anglię, podczas której Polacy okazali się najważniejszymi sojusznikami Imperium Brytyjskiego, broniąc nieba nad Londynem i obsadzając siłami jednostek lądowych szkocki odcinek wybrzeża, kryje się trudne i gorzkie pytanie: jak to się stało, że na koniec wygranej wspólnie wojny Brytyjczycy, którzy w przededniu wybuchu światowego konfliktu udzielili Polsce gwarancji integralności terytorialnej i suwerenności, odstąpili swoich najwierniejszych i najbitniejszych sprzymierzeńców Związkowi Sowieckiemu, globalnemu przeciwnikowi w zimnowojennej konfrontacji drugiej połowy XX wieku?

„Polski rok" na Wyspie Ostatniej Nadziei

Po szokująco szybkim i najtragiczniejszym z możliwych do wyobrażenia finale kampanii obronnej Polski jesienią 1939 r., II Rzeczpospolita *de facto* zakończyła swoje istnienie, rozerwana pomiędzy dwa totalitarne, ludobójcze reżimy – niemiecki i sowiecki. Powstał wprawdzie rząd emigracyjny, a nawet rozpoczęto formowanie oddziałów Wojska Polskiego we Francji, lecz ogromna większość Polaków pozostała w okupowanym, eksploatowanym gospodarczo i planowo depolonizowanym Kraju. Jedyną nadzieją wydawało się końcowe zwycięstwo mocarstwowych sprzymierzeńców z Zachodu (francuskie siły zbrojne uważano za najsilniejsze na świecie, a brytyjska flota tradycyjnie nie miała sobie równych), owocujące wyzwoleniem Polski i przywróceniem jej suwerennej państwowości. Przymierze sowiecko-niemieckie oddalało jednak tę wizję, równoważąc potęgą siłę państw demokratycznych. Mimo to, pocieszano się wizją spodziewanej wielkiej ofensywy przeciwko III Rzeszy oraz wieściami o niepowodzeniach Sowietów w wojnie z wielokrotnie słabszą Finlandią.

Wiosną 1940 r. nadszedł ponury czas deziluzji. Niemiecka machina wojenna zmiażdżyła opór Belgii i Holandii, a po kilku tygodniach walk z Francuzami i Brytyjczykami doszło do podwójnego knock-outu: kapitulacji Francji i rozpaczliwej ucieczki pobitego i przypartego do morza w Dunkierce ekspedycyjnego korpusu brytyjskiego. W tym czasie Sowieci wchłonęli kraje bałtyckie i zagarnęli znaczną część ziem Rumunii.

Klęska sprzymierzonych oznaczała także kolejną przegraną kampanię oddziałów polskich. Większość z przeszło 85 tys. żołnierzy Wojska Polskiego we Francji trafiła do niewoli, uległa internowaniu lub rozproszyła się. Jedynie ok. 27 tys. zdołało przedostać się pod dowództwo Brytyjczyków, dołączając do marynarzy i lotników, którzy już wcześniej trafili na Wyspę Ostatniej Nadziei – jak poetycko nazywano wówczas Anglię.

Poza Brygadą Strzelców Karpackich (ok. 7 tys. osób) stacjonującą w Palestynie, ocalałe z francuskiego kotła oddziały polskie utworzyły I Korpus, w skład którego weszły dwie brygady piechoty, trzy brygady kadrowe (o znikomych stanach osobowych) oraz pułk czołgów, a ponadto mniejsze formacje (bataliony i kompanie) różnych broni i służb wspierających. Z powodu znacznych nadwyżek kadry dowódczej, dla której brakowało etatów w oddziałach liniowych, utworzono także oficerskie obsady 12. pociągów pancernych patrolujących nadmorskie rejony Szkocji (w okolicach miejscowości Biggar, Crawford i Douglas, hrabstwo South Lanarkshire), gdzie rozlokowane były polskie oddziały.

Żołnierze Polskich Sił Powietrznych, od lutego 1940 r. stanowiących samodzielny rodzaj sił zbrojnych, po starannym przeszkoleniu rozpoczęli służbę w powołanych w ramach struktur Royal Air Force polskich dywizjonach myśliwskich i bombowych, lecz część pilotów trafiła także na prawach ochotników do dywizjonów brytyjskich. Polscy myśliwcy oka-

Od wiosny 1940 do lata 1941 roku

Polacy byli na Wyspach Brytyjskich „celebrytami", bohaterami setek entuzjastycznych artykułów prasowych. Wśród młodych kobiet szalenie modne stało się posiadanie „Polish boyfrienda", a już szczytem szyku było pokazywanie się na tańcach z polskim pilotem… Wszystko zmieniło się nagle, gdy dotychczasowi współnajeźdźcy i współzaborcy Polski rzucili się sobie do gardeł…

zali się najskuteczniejsi w walkach powietrznych toczonych latem 1940, i ponadproporcjonalnie w stosunku do swojej liczebności przyczynili się do strategicznego zwycięstwa nad Luftwaffe, a tym samym, ocalenia Wysp Brytyjskich przed porażką z rąk III Rzeszy. Warto także pamiętać, że Polacy wnieśli znaczący, choć trudny do ścisłego obliczenia, wkład w rozwój przemysłu zbrojeniowego Zjednoczonego Królestwa. Polscy inżynierowie i technicy, zatrudnieni w fabrykach i ośrodkach badawczych, przyczynili się do powstania wielu nowych broni i elementów wyposażenia bojowego, jak m.in. peryskop odwracalny, elektromagnetyczny („polski") wykrywacz min, automatyczne działko przeciwlotnicze kal. 20 mm Polsten i wiele rodzajów sprzętu radiotechnicznego. Najdonioślejszym do-

czyli smutny los byłych sojuszników

„Polska – pierwsza w boju", a po klęsce Francji w 1940 r. jedyna realna sojuszniczka Wielkiej Brytanii.

konaniem było jednak – dopiero ostatnio oficjalnie potwierdzone przez brytyjskie władze – rozszyfrowanie niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma, co dało Londynowi szanse poznania najtajniejszych rozkazów wroga.

Od wiosny 1940 do lata 1941 r. Polacy byli na Wyspach Brytyjskich „celebrytami", bohaterami setek entuzjastycznych artykułów prasowych. Wśród młodych kobiet szalenie modne stało się posiadanie „Polish boyfrienda", a już szczytem szyku było pokazywanie się na tańcach z polskim pilotem... Oficerowie polscy bywali zapraszani do arystokratycznych domów, a lokalne społeczności uważały za punkt honoru ufundowanie „drogim gościom" sztandaru, czy nadanie pamiątkowej oznaki naszywanej na rękawach battledressów.

Propolskie sympatie gospodarzy, od londyńskich dziewcząt po szkockich ziemian, wypływały nie tylko z rzeczywistych uczuć, lecz także z faktu, że poza nieco egzotycznymi, czasem zabawnie nieporadnymi językowo Polakami, Imperium nie miało wówczas żadnych realnych sprzymierzeńców (emigracyjne rządy Francji, Holandii, Belgii i Norwegii dysponowały zaledwie garstką żołnierzy, nie liczyły się więc jako rzeczywista siła).

Wszystko zmieniło się nagle, gdy dotychczasowi współnajeźdźcy i współzaborcy Polski rzucili się sobie do gardeł...

„Barbarossa" i Pearl Harbor – początek końca aliansu

Gdy w czerwcu 1941 r. armie niemieckie ruszyły na wschód, rozwiał się- najgorszy koszmar Winstona Churchilla – widmo wojny z połączonymi siłami Berlina i Moskwy. Priorytetem Londynu stało się teraz pozyskanie Związku Sowieckiego jako potężnego sprzymierzeńca, zdolnego przeważyć szalę losów wojny na niekorzyść Hitlera. Premier królewskiego rządu, zdeklarowany antykomunista, oświadczył wówczas z mównicy parlamentarnej: *„Mam tylko jeden cel – zniszczenie Hitlera – i to znacznie upraszcza mi życie. Gdyby Hitler napadł na piekło, Izba usłyszałaby ode mnie pochwałę szatana"*.

Nowa sytuacja geostrategiczna niosła dla Polski straszliwe zagrożenie. „Uprawomocnienie" jednego z napastników i zaborców przez Zachód, oznaczać mogło kłopoty z odzyskaniem obszarów zgarniętych przez Sowiety, nie tylko otwarcie kwestionujące przedwojenne granice II RP, lecz czynnie kształtujące nową rzeczywistość poprzez depolonizację zagarniętych, dzięki przymierzu z Hitlerem, ziem. Utrzymanie zdobyczy z 1939 r. było priorytetem Stalina, a Wielka Brytania gotowa była na każde ustępstwa kosztem Polski, by zyskać nowego sprzymierzeńca. Podpisane pod naciskiem Londynu porozumienie polsko-sowieckie (lipiec 1941) ocaliło wprawdzie doraźnie kilkaset tysięcy więźniów łagrów i zesłańców (dla tysięcy oficerów z Katynia, Miednoje, Charkowa i innych miejsc straceń było już za późno...), lecz pozostawiało niedopowiedzenia w kwestii granic. Brytyjczycy patronowali organizacji oddziałów polskich w ZSRR, lecz znając niechętny do tej koncepcji stosunek Stalina, skwapliwie przejęli żołnierzy, tak potrzebnych do obsadzenia niespokojnych obszarów Bliskiego Wschodu...

Gdy w grudniu 1941 r. do przymierza Londynu i Moskwy dołączył Waszyngton, rola Polski, jako liczącego się sprzymierzeńca Anglii, zmalała do rangi jedynie symbolicznej. Wielka Brytania zyskała wielkiego sojusznika, ale także okrutnego wroga – Japonię, a walki zbrojne objęły obszary Dalekiego Wschodu i Pacyfiku. Z globalnej perspektywy kwestia Polski stała się jedynie niewielkim detalem na strategicznej mapie świata. A później było coraz gorzej...

Zbrodnia katyńska, zdrada teherańska, wyrok jałtański

W klubie supermocarstw miejsca dla Polski być nie mogło. Kwestia uczciwego, sprawiedliwego rozwiązania losów II RP (przywrócenie przedwojennych granic wraz z ewentualnymi reparacjami terytorialnymi kosztem Niemiec, wymiana ludności z krajami sąsiednimi, odszkodowania materialne za zniszczenia wojenne) stała się nie tyle sprawą mało ważną, co wręcz przeszkodą w funkcjonowaniu „wielkiej trójki". Ujawnienie przez Niemców sowieckiej zbrodni w Katyniu przyczyniło się do zaognienia sytuacji jeszcze bardziej. Mimo niepodważalnych dowodów materialnych sowieckiego sprawstwa, rządy Zachodu przyjęły oficjalnie stalinowską wersję wydarzeń, niespójną, sprzeczną z faktami i dowodami rzeczowymi, sprzyjającą jednak spoistości przymierza w decydującym o losach wojny roku 1943. Generał Sikorski zginął wkrótce w katastrofie lotniczej w Gibraltarze, co dodatkowo ułatwiło Londynowi zmianę kursu względem Polaków. Zmianę na naszą niekorzyść.

Gdy podczas konferencji w Teheranie (listopad 1943) Churchill, Roosevelt i Stalin uchwalili „regulację" wschodnich granic Polski, zgodnie z życzeniami Moskwy, postanowienie to utrzy-

Kiedy jeszcze byli potrzebni... Winston Churchill odwiedza żołnierzy polskich w Wielkiej Brytanii, 1943 rok.

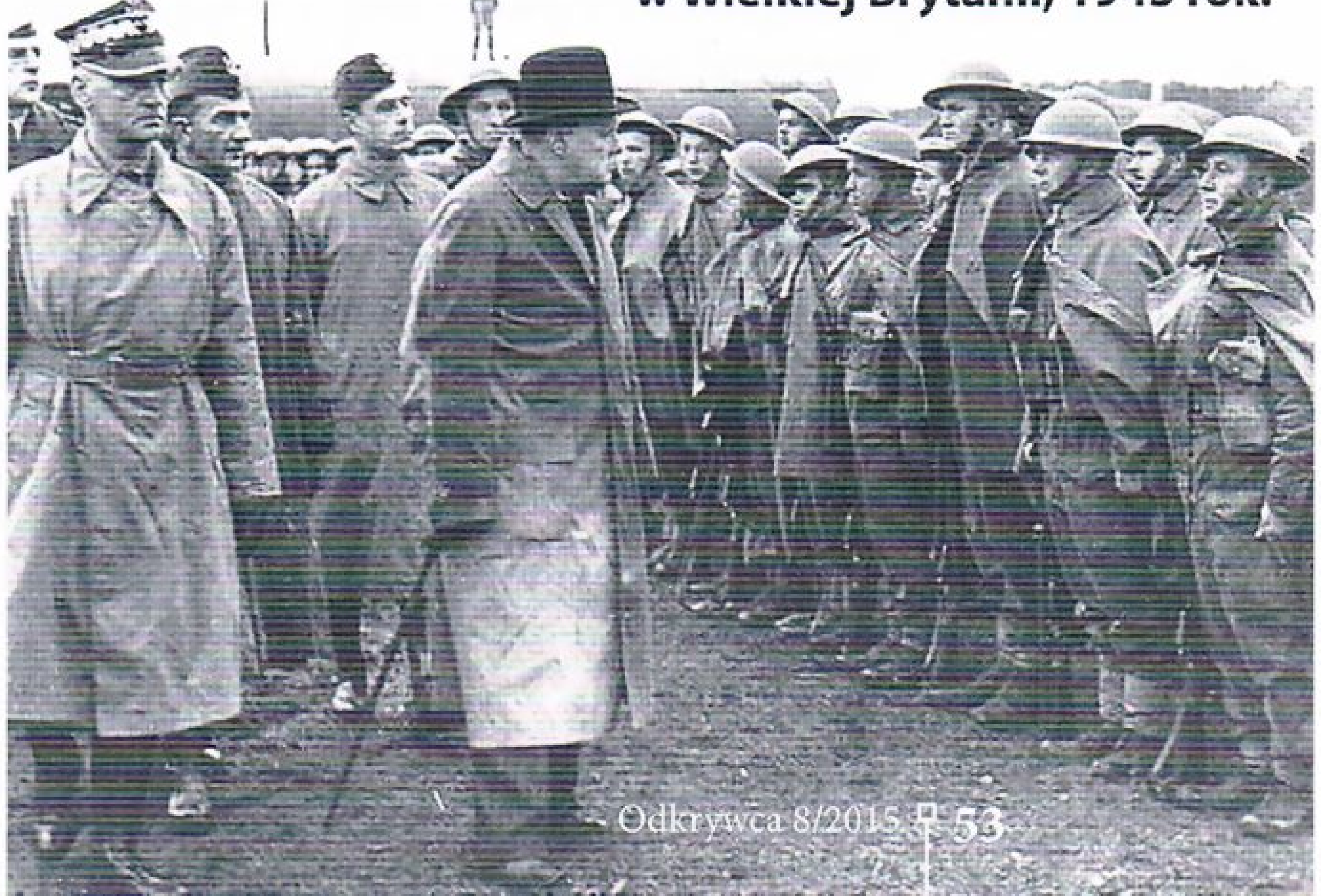

Zbrodnia katyńska, mimo oficjalnego uznania sowieckiej wersji wydarzeń przez Londyn, nie pozostała bez wpływu na brytyjskie władze. Polakom – pomimo cofnięcia uznania dla Rządu Rzeczypospolitej na Uchodźstwie – pozwolono wybrać, czy chcą wracać, czy wolą pozostać na obczyźnie…

mano w sekrecie przed Polakami. Cóż, wówczas jeszcze potrzebny był każdy żołnierz, także ten, którego pozbawiono szansy na powrót do rodzinnych stron.

Polacy bili się zatem jak tradycja i nadzieja nakazywały, zyskując kosztem przelanej krwi podziw towarzyszy broni z innych armii. Szczególne więzi wzajemnej sympatii zawiązały się z Australijczykami i Nowozelandczykami, którzy walecznością i fantazją, jako jedyni, mogli równać się z Polakami. Opowieści o „równych chłopakach" z końca świata, którzy ramię w ramię z „diggersami" (popularne określenie wojaków z antypodów) bronili Tobruku i ścigali sławnego Lisa Pustyni – Rommla w Libii i Egipcie, rozeszły się szerokim echem w Australii.

Tymczasem na Wyspach Brytyjskich polscy żołnierze, lotnicy i marynarze zniknęli niemal na tle wszechobecnych G.I. (żołnierzy amerykańskich), gromadzących się w wielkiej liczbie przed spodziewanym lądowaniem w Europie. Udział Polaków w ostatnich kampaniach wojennych: wyzwoleniu Włoch oraz Europy Zachodniej, choć chwalebny i bohaterski, pozostał bez wpływu na powojenne losy Kraju. Co więcej, im bliżej było do końca wojny, tym bardziej lekceważąco traktowano naszych żołnierzy.

„Akcja Burza" – operacja Armii Krajowej, polegająca na lojalnym współdziałaniu z Sowietami przy zajmowaniu Kresów, jako demonstracji polskości tych ziem, spaliła na panewce, a Warszawa, ogarnięta powstańczym zrywem, została przez mocarstwa sprzymierzone pozostawiona o własnych siłach i skazana na zagładę wraz z setkami tysięcy mieszkańców. Naczelny Wódz, gen. Kazimierz Sosnkowski, w obliczu tej sytuacji ogłosił 1 września 1944 r. Rozkaz nr 19, w którym dał wyraz nie tylko własnemu zaniepokojeniu polityką Londynu:

„Pięć lat minęło od dnia, gdy Polska, wysłuchawszy zachęty Rządu brytyjskiego i otrzymawszy jego gwarancje, stanęła do samotnej walki z potęgą niemiecką. (…) Od miesiąca bojownicy Armii Krajowej pospołu z ludem Warszawy krwawią się samotnie na barykadach ulicznych w nieubłaganych zapasach z olbrzymią przewagą przeciwnika. Samotność kampanii wrześniowej i samotność obecnej bitwy o Warszawę są to dwie rzeczy zgoła odmienne. Lud Warszawy, pozostawiony samym sobie i opuszczony na froncie wspólnego boju z Niemcami – oto tragiczna i potworna zagadka, której my, Polacy, odcyfrować nie umiemy na tle technicznej potęgi Sprzymierzonych u schyłku piątego roku wojny. Nie umiemy dlatego, że nie straciliśmy jeszcze wiary, że światem rządzą prawa moralne. Nie umiemy, bo uwierzyć nie jesteśmy w stanie, że oportunizm ludzki w obliczu siły fizycznej mógłby posunąć się tak daleko, aby patrzeć obojętnie na agonię stolicy tego kraju, którego żołnierze tyle innych stolic własną piersią osłonili. (…) Jeśli ludność stolicy dla braku pomocy zginąć by musiała pod gruzami swych domów, jeśli by przez bierność, obojętność czy zimne wyrachowania wydana została na rzeź masową – wówczas sumienie świata obciążone będzie grzechem krzywdy straszliwej i w dziejach niebywałej. (…) My tutaj czynimy dalsze wysiłki, aby uruchomić pomoc dla Was. Otrzymujemy wciąż jeszcze obietnice i przypuszczenia. Wierzymy w nie i ufamy, że wiara ta nie będzie odebrana Polskim Siłom Zbrojnym".

Gorzkie słowa polskiego dowódcy wywołały niezadowolenie władz brytyjskich, a wręcz furię ich prosowieckiej części. Presja wywarta przez te kręgi na emigracyjny rząd Rzeczypospolitej, spowodowała dymisję gen. Sosnkowskiego. Prezydent Władysław Raczkiewicz, wręczając Sosnkowskiemu pismo odwołujące go z funkcji Naczelnego Wodza, miał powiedzieć: *„Wiem dobrze, że popełniam rzecz wysoce niemoralną, lecz niech Bóg Najwyższy będzie mi świadkiem, że innego wyjścia nie mam"…*

Cóż, „miodowy rok" polsko-brytyjski minął już dawno, a politykom pragnącym zachować choćby pozory suwerenności, pozostała jedynie droga pokornych ustępstw… Tych tymczasem było coraz więcej.

Premier Stanisław Mikołajczyk poznał rzeczywiste intencje Londynu podczas konferencji w Moskwie w październiku 1944, kiedy to w obecności Stalina i Churchilla usłyszał warunki teherańskiego dyktatu wobec Polski. Sam skłonny był do ustępstw, lecz wobec odmowy przyjęcia przez rząd ultimatum, co do przebiegu nowej granicy polsko-sowieckiej, zrezygnował z funkcji państwowych. Nowy gabinet utworzył Tomasz Arciszewski, weteran niepodległościowej PPS, lecz nic już nie mogło zmienić decyzji wielkich tego świata…

Ogłoszenie postanowień konferencji przywódców mocarstw w Jałcie (luty 1945) wobec Polski, zastanawiająco „zbiegło się w czasie" z okresem, gdy znaczna część polskich oddziałów została wycofana z frontów „na odpoczynek i przezbrojenie", a więc pozbawiona szansy – choć zapewne w realiach 1945 r. nikt o takiej ewentualności nawet nie myślał – ewentualnej zmiany sprzymierzeńców (tak jak uczyniła to dawna II Brygada Legionów Polskich wiosną 1918 r. na wieści o zdradzie Austro-Węgier, oddających Galicję wschodnią i Chełmszczyznę Ukrainie). Jeden z oficerów Polskich Sił Zbrojnych, por. Bohdan Tymieniecki zapisał wówczas: *„Nagle, jak piorun z jasnego nieba, spadła na nas Jałta. Umilkły śmiechy w mesie oficerskiej. Skończyły się żarty, jak nożem uciął wszystkie nieporozumienia, kwasy, ambicje osobiste, zadrażnienia. Na to nie było już miejsca. Ci młodzi chłopcy patrzyli na nas wyczekująco, żądając wyjaśnień, chcieli mieć pełny obraz narastającej rzeczywistości. Jak im to wytłumaczyć? Jak im to uczciwie wyjaśnić? Jak sami sobie nie mogliśmy wyobrazić zaistniałej sytuacji. Nam starszym, już o tej odrobinie życiowego doświadczenia, rosło coraz bardziej przed oczami potworne widmo »konia na wzgórzu«"* [„Koń na wzgórzu" to słynne opowiadanie Eugeniusza Małaczewskiego, poety i prozaika, żołnierza polskiego, ukazujące okrucieństwa zbrodni bolszewickich popełnianych podczas wojny domowej w Rosji i wojny z Polską w 1920 r. – przyp. P.G.] W proteście wobec jałtańskiej zdrady samobójstwo popełniło 30 żołnierzy. Trudno o bardziej wymowny dowód rozpaczy, jaka ogarnęła Polaków w obliczu tak jaskrawej niesprawiedliwości.

W imię historycznej uczciwości należy jednak dodać, że kwestia polska wzbudziła kontrowersje także w kręgach politycz-

nych Wielkiej Brytanii i stała się głównym tematem trzydniowej sesji londyńskiego parlamentu, a politykę Churchilla krytykowało wielu posłów, domagających się uczciwszego potraktowania sprzymierzeńców. 25 deputowanych zgłosiło wówczas projekt uchwały potępiającej godzące w suwerenność i integralność Polski postanowienia konferencji. Po odrzuceniu tego mniejszościowego wniosku w głosowaniu, jeden z parlamentarzystów, konserwatysta Henry George Strauss, demonstracyjnie złożył mandat poselski, by zaprotestować przeciw decyzji Izby Gmin. Był to jednak jedynie symboliczny gest solidarności z Polakami. Interes Imperium wymagał złożenia tej „drobnej ofiary" na ołtarzu przymierza antyniemieckiego.

Wiadomość o wyroku na II RP dotknęła przede wszystkim najsilniejszą wówczas polską formację zbrojną: II Korpus, walczący we Włoszech. Większość jego żołnierzy pochodziła z Kresów, zatem utraciła „małą ojczyznę" i dorobek rodzinny; bo mało kto z tych, którzy przeszli piekło sowieckich więzień, śledztw i zsyłki, odważyłby się dobrowolnie trafić znów w ręce wrogów, nawet jeśli ci oficjalnie stroili się w piórka „sojuszników"... *„Mamy dzisiaj dość wojska i waszej pomocy nie potrzebujemy. Może pan swoje dywizje zabrać"* – oznajmił gen. Andersowi Winston Churchill w odpowiedzi na zastrzeżenia co do jałtańskiego wyroku na Polskę.

Podobny los dotknął w czerwcu 1944 żołnierzy sprzymierzonej od 1941 r. Królewskiej Armii Jugosłowiańskiej, gdy Londyn z powodów politycznych zmusił emigracyjny rząd królewski do układu z wrogimi mu komunistycznymi partyzantami Josipa Broza ps. Tito, *de facto* uznając jego władzę nad Jugosławią. Przeciwnicy poddania się komunistom zostali wówczas rozbrojeni i internowani. Wydarzenia te z pewnością zaważyły na decyzjach polskich władz emigracyjnych, które przełknęły z trudem gorzką, jałtańską pigułkę, wybierając „mniejsze zło" – 200-tysięczne wówczas Polskie Siły Zbrojne kontynuowały walkę z Niemcami aż do upadku III Rzeszy. Żywiono przy tym nadzieję na korzystną zmianę polityki międzynarodowej, której zwolennikiem był zaprzyjaźniony z gen. Andersem amerykański charyzmatyczny i utalentowany dowódca George Patton. Warto dodać, że ten żarliwie antykomunistyczny generał, który odmówił Sowietom wydania żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej NSZ, zmarł w wyniku obrażeń odniesionych w wypadku samochodowym w grudniu 1945 roku – do dzisiaj budzącym wiele pytań.

Gorzkie „zwycięstwo"

Kapitulacja III Rzeszy w maju 1945 r. zakończyła walki w Europie, lecz wojna na Dalekim Wschodzie trwała nadal. To pozwoliło Stalinowi odegrać decydującą rolę podczas konferencji zwycięzców w Poczdamie (lipiec-sierpień 1945) i narzucić Zachodowi korzystne dla ZSRS rozstrzygnięcia polityczne w powojennej Europie. Jeszcze przed obradami poczdamskimi w Wielkiej Brytanii odbyły się wybory parlamentarne, w których zwyciężyła lewicowa Partia Pracy, otwarcie sympatyzująca z ZSRR a co za tym idzie, darząca Polaków uczuciami, które trudno określić inaczej, niż „chłodne". W brytyjskiej prasie pojawiały się coraz częściej niechętne, a nawet jawnie antypolskie teksty, wymierzone przeciwko tak niedawno wynoszonym pod niebiosa byłym już sprzymierzeńcom. Trudno o celniejszy komentarz tych nastrojów, niż słowa, które wyszły spod pióra znakomitego brytyjskiego filozofa i rzeczywistego przyjaciela Polski, Gilberta Keitha Chestertona: *„Zawsze byłem stronnikiem polskiej idei, nawet wtedy, gdy moje sympatie opierały się wyłącznie na instynkcie (…). Moja instynktowna sympatia do Polski zrodziła się pod wpływem ciągłych oskarżeń miotanych przeciwko niej; i – rzec mogę – wyrobiłem sobie sąd o Polsce na podstawie jej nieprzyjaciół. Doszedłem mianowicie do niezawodnego wniosku, że nieprzyjaciele Polski są prawie zawsze nieprzyjaciółmi wielkoduszności i męstwa. Ilekroć zdarzało mi się spotkać osobnika o niewolniczej duszy, uprawiającego lichwę i kult terroru, grzęznącego przy tym w bagnie materialistycznej*

REKLAMA

Oliver Schröm • Andrea Röpke

Cicha Pomoc dla nazistów

Tajna działalność byłych SS-manów i neonazistów

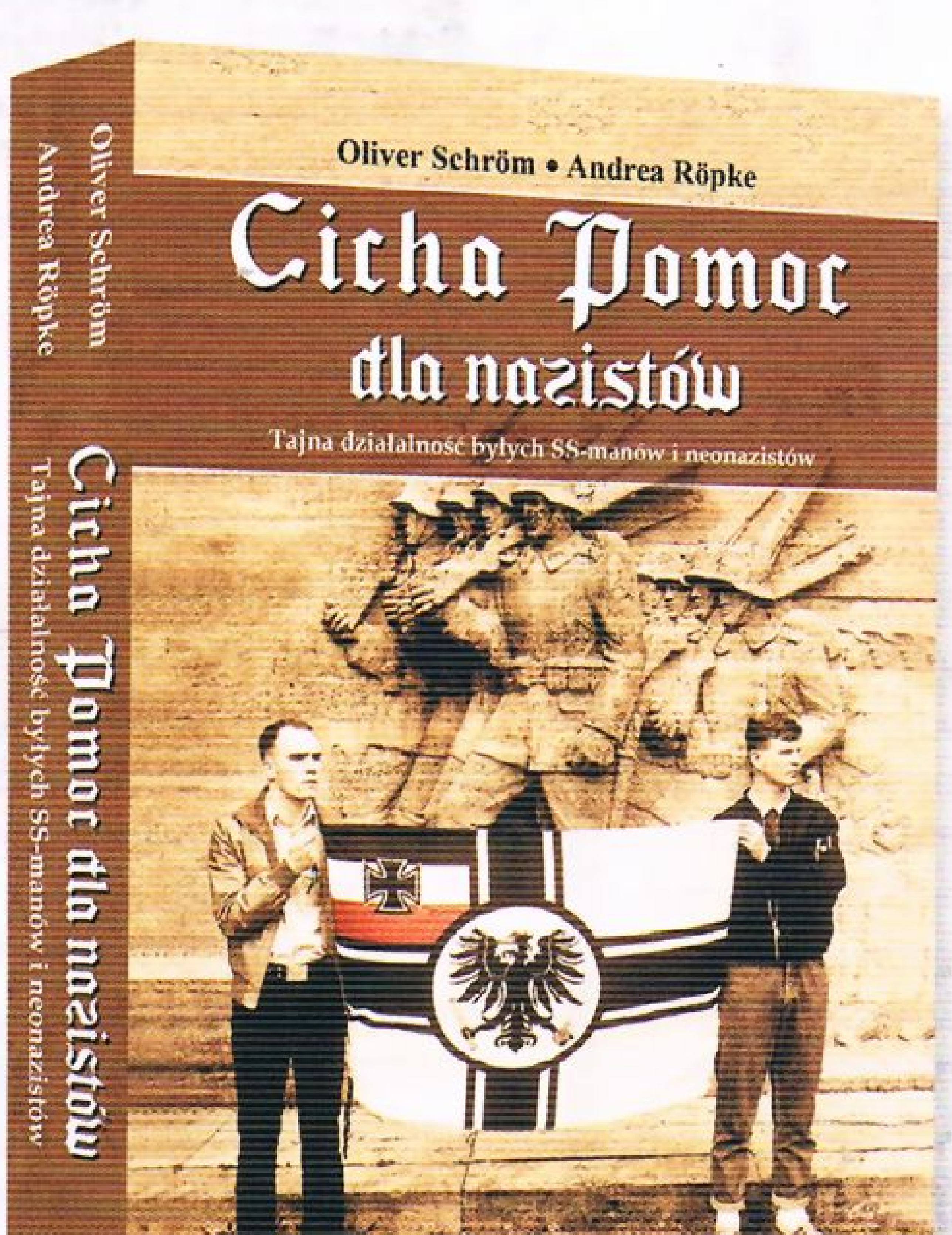

Autorzy przyjrzeli się bardzo uważnie siatce stowarzyszenia. Ich wielce pouczający wgląd w mroki środowisk neonazistowskich ukazuje, jak wciąż odżywa brunatna ideologia, przekazywana z pokolenia na pokolenie.

–„Stern"

Wkrótce:

Naziści schodzą do podziemia

Replika

polityki, tylekroć odkrywałem w tym osobniku, obok powyższych właściwości, namiętną nienawiść do Polski. Nauczyłem się oceniać ją na podstawie tych nienawistnych sądów – i metoda okazała się niezawodną". Był to głos wprawdzie nie jedyny, lecz zdecydowanie pozostający w mniejszości.

Polaków nie zaproszono do udziału w londyńskiej Paradzie Zwycięstwa, a 6 lipca 1945 Wielka Brytania i Stany Zjednoczone oficjalnie uznały powołanie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej z udziałem Stanisława Mikołajczyka (zapewne nie pojmował on swojej roli „listka figowego"), jako realizację postanowień konferencji jałtańskiej wobec Polski. Tym samym oficjalnie dobiegł końca martwy już sojusz polsko-brytyjski i polsko-amerykański. Odmowa dalszego honorowania Rządu RP na uchodźstwie, jako legalnych władz reprezentujących Polskę na arenie międzynarodowej, mogło przynieść straszliwe konsekwencje. Jednym z punktów porozumień jałtańskich było bowiem zobowiązanie Zachodu do deportacji wszystkich obywateli ZSRR władzom tego państwa. Mocą tych postanowień, respektowanych zdecydowanie bardziej przez Wielką Brytanię niż przez USA, doszło do tzw. Operacji Keelhaul, czyli wydania na pastwę NKWD uchodźców z ZSRR i jeńców wojennych, którzy służyli w oddziałach zbrojnych pod dowództwem niemieckim. Masakra Kozaków czy Własowców mogła wydawać się wielu Polakom zasłużoną karą za zdradę, lecz trzeba pamiętać, że w 1939 r. Sowieci narzucili obywatelstwo ZSRR mieszkańcom ziem zagrabionych Polsce, zatem – zgodnie z literą prawa – Brytyjczycy mogliby wydać Stalinowi także znaczną część żołnierzy polskich. Co więcej, podporządkowane Moskwie, a uznawane przez Londyn za pełnoprawne, władze warszawskie oficjalnie domagały się rozwiązania „pańskiej armii Andersa" i jak najliczniejszej repatriacji jej żołnierzy, zapewne z myślą o konsekwentnej eliminacji wrogich elementów, rozpoczętej w Katyniu...

Los najdzielniejszego z dzielnych, rtm. Witolda Pileckiego, który po powrocie do Polski, w sfingowanym procesie, skazany został na śmierć za rzekome szpiegostwo, nie pozostawia co do tego wątpliwości.

Tymczasem we Włoszech i na Wyspach Brytyjskich trwała gorączkowa rozbudowa Polskich Sił Zbrojnych, do których dołączali masowo oswobodzeni z obozów jenieckich żołnierze 1939 r. oraz cywilni ochotnicy. Pomimo niezadowolenia władz politycznych, lokalni dowódcy brytyjscy sprzyjali temu zjawisku, gdyż mogli powierzać niepopularne obowiązki okupacyjne Polakom, a własne oddziały szybciej zwalniać „do cywila", czego oczekiwała opinia publiczna. Wkrótce przeważyła jednak opinia Londynu. Rozpoczęła się demobilizacja Polskich Sił Zbrojnych. W 1946 r. rozbrojonych weteranów II Korpusu przewieziono z Włoch do Wielkiej Brytanii i rozformowano wraz z pozostałymi oddziałami polskimi. Powołany w celu ułatwienia likwidacji wojska został Polish Resettlement Corps – Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia, obejmujący ponad 120 tys. osób. Szczęśliwie dla byłych sojuszników Londynu, gospodarka Imperium potrzebowała rąk do pracy. Zorganizowano szereg kursów zawodowych, a ich absolwenci mogli podjąć legalnie pracę w Anglii, zazwyczaj na najgorzej opłacanych stanowiskach.

Znamienny dla tamtych czasów epizod wspominał po latach oficer II Korpusu, Piotr Medyna: *„Jadąc autobusem z obozu do miasta zobaczyłem kilkudziesięciu naszych żołnierzy pracujących przy zbiorze buraków. Rozstawieni w długą tyralierę wyciągali je gołymi rękami z błotnistej ziemi. Pracowali podczas deszczu, w błocie, bez peleryn i gumowych butów. Tuż za nimi, zaorując pole, jeździł traktorem jeniec niemiecki w kożuchu i butach gumowych z cholewami po biodra. Cholera człowieka brała, gdy patrzył na tych »zwycięzców« taplających się w błocie i tego »zwyciężonego«* w kożuchu na traktorze...".

Nie dziwi zatem, że dziesiątki tysięcy weteranów wybrały jednak powrót do Polski, choć tam czekał ich – w najlepszym razie – los „obywateli drugiej kategorii", podejrzanych politycznie i dyskryminowanych w życiu zawodowym. Inni wyjeżdżali, szukając lepszych warunków życia w przyjaznej imigrantom Kanadzie, USA, Argentynie czy krajach Europy Zachodniej. Szczególnie gościnnie witano polskich weteranów w Australii, gdzie wpływowe lobby „Szczurów Tobruku" (byłych żołnierzy) zapewniło im dobre warunki osiedlenia.

Najtrudniejszy był los zawodowych oficerów, zwłaszcza starszych wiekiem i stopniem. Generał Maczek, legendarny ojciec polskiej broni pancernej, pracował jako ekspedient i barman hotelowy, generał Sosabowski, twórca Brygady Spadochronowej, został magazynierem w fabryce sprzętu elektrotechnicznego, a bohater bitwy o Anglię, as myśliwski ppłk Jan Zumbach – przedsiębiorcą lotniczym, przemytnikiem i najemnym żołnierzem, by wymienić tylko trzy z emigracyjnych polskich losów.

Odd men out – niepotrzebni mogą odejść, to ponadczasowa maksyma Zjednoczonego Królestwa, które toczyło zwycięskie wojny do ostatniej kropli krwi swoich sojuszników...

Literatura, ilustracje, cytaty:
1. J. Zumbach, „Ostatnia walka", Warszawa 2000
2. A. Kuźniar, „Na drogach życia", Leszno 2008
3. St. Sosabowski, „Droga wiodła ugorem", Kraków 1990
4. B. Tymieniecki, „Na imię jej było Lily", Warszawa 1987
5. P. Medyna, „Do Polski przez cały świat, wspomnienia z 2 Korpusu", Warszawa 1970
6. J. Ciemnołoński, „W 2. Korpusie to było, czyli coś w rodzaju reportażu", Kraków 1983

Piotr Galik

Historyk, pisarz, erudyta. Długoletni współpracownik i przyjaciel „Odkrywcy" i konsultant z dziedziny wojskowości, chociaż jego ogromna wiedza obejmuje wiele innych dziedzin z zakresu historii. Kolekcjoner-falerysta.

zdarzyło się...

23 VIII 1939 r.

76 lat temu doszło do podpisania paktu Ribbentrop–Mołotow. Minister spraw zagranicznych II Rzeszy Joachim von Ribbentrop oraz ludowy komisarz spraw zagranicznych i szef rządu ZSRR Wiaczesław Mołotow podpisują w Moskwie akt o nieagresji. Zawiera on tajny protokół, w którym mocarstwa dzielą się wpływami we wschodniej Europie. Pierwszy punkt dotyczył państw bałtyckich oraz Finlandii i przewidywał, że po ich zajęciu północna granica Litwy będzie granicą Niemiec i ZSRR. Trzeci przyznawał rumuńską Besarabię ZSRR, a w drugim mocarstwa dzielą się Polską, ustanawiając swoją przyszłą granicę na Narwi, Wiśle i Sanie. 1 września Wehrmacht atakuje Polskę, a 17 jej granice przekracza Armia Czerwona. Po zajęciu całego kraju ZSRR i III Rzesza koryguje układ, przesuwając granicę na Bug.

Fortyfikacje wyspy Vis (cz. 2)

JERZY SADOWSKI

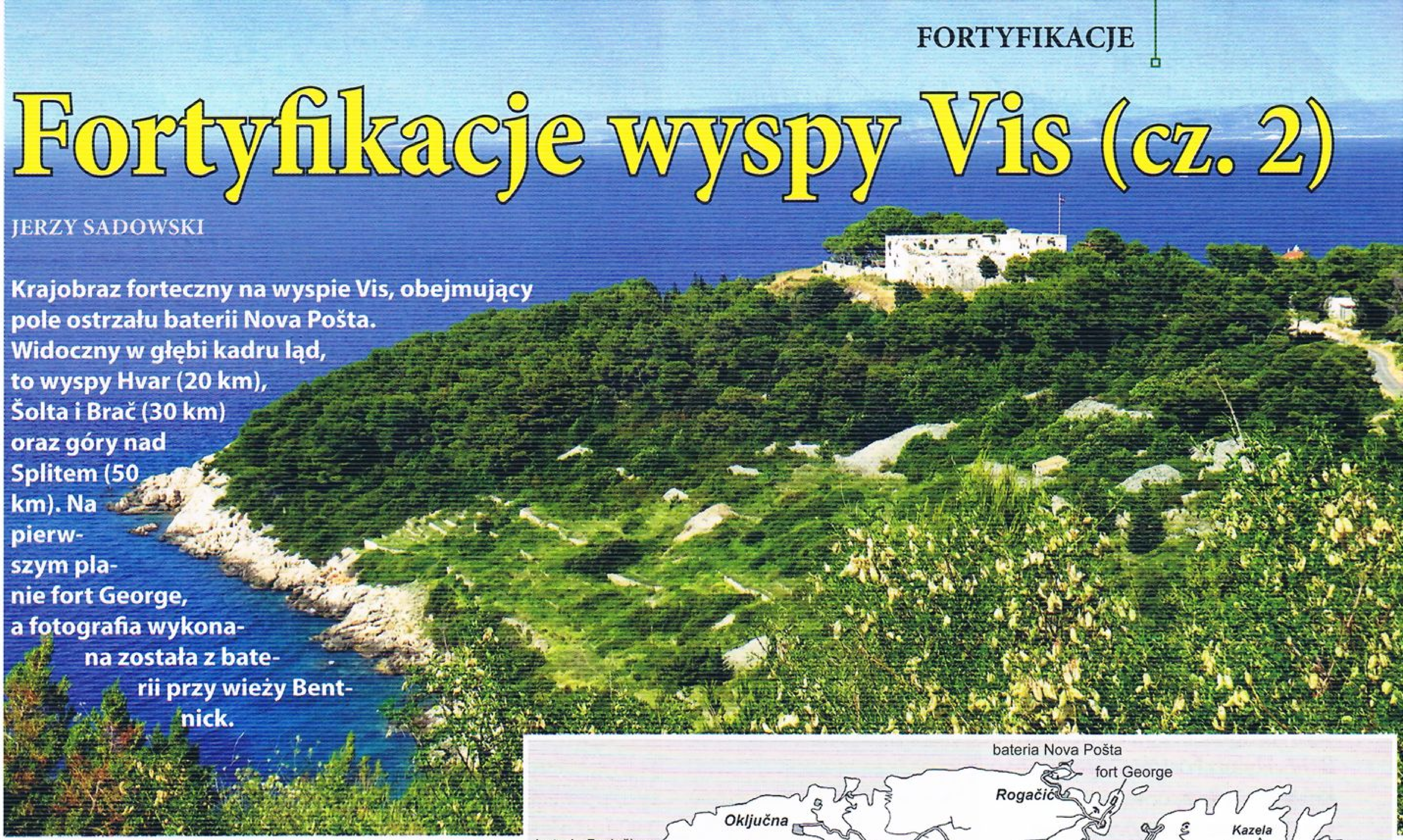

Krajobraz forteczny na wyspie Vis, obejmujący pole ostrzału baterii Nova Pošta. Widoczny w głębi kadru ląd, to wyspy Hvar (20 km), Šolta i Brač (30 km) oraz góry nad Splitem (50 km). Na pierwszym planie fort George, a fotografia wykonana została z baterii przy wieży Bentnick.

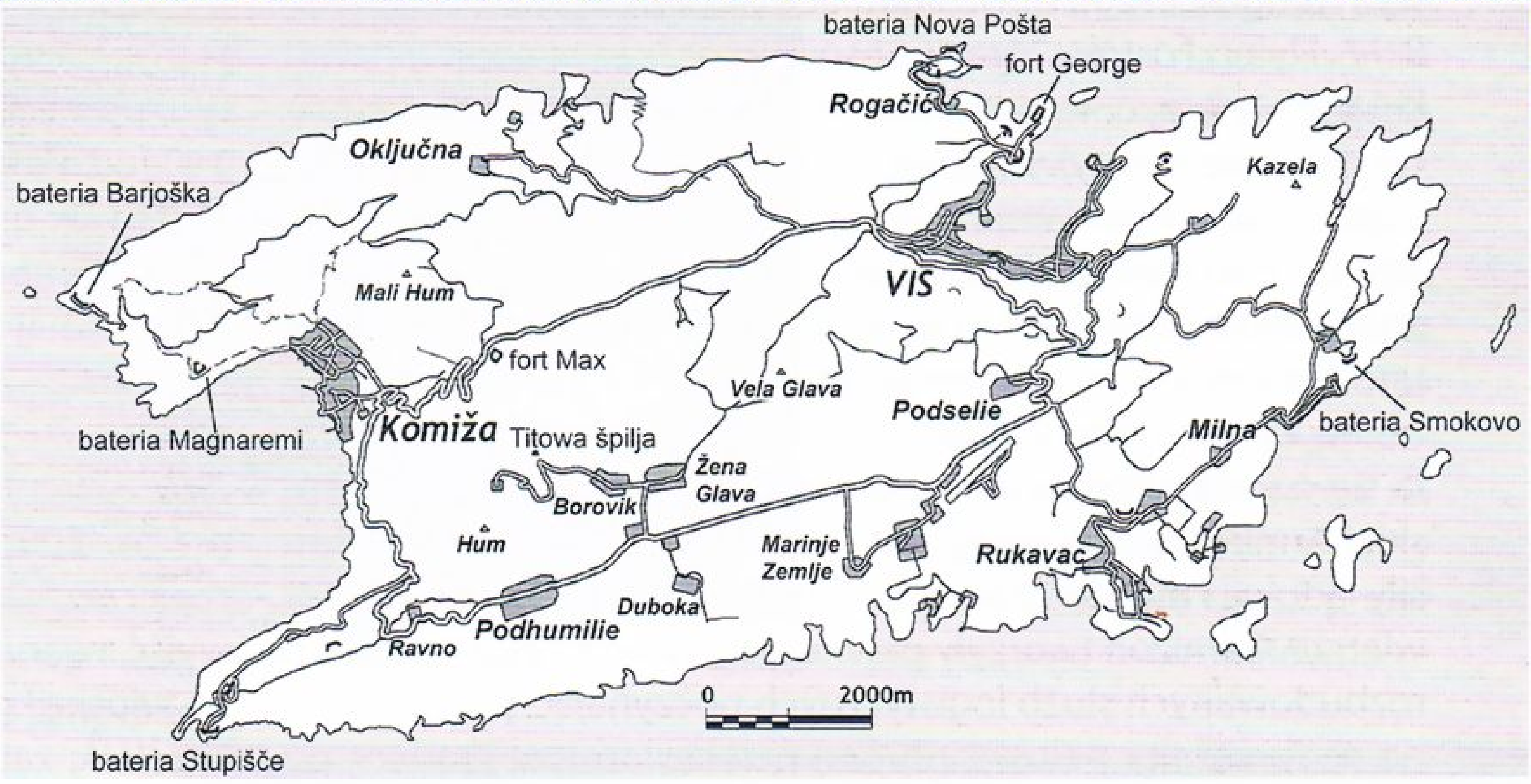

Przypadającą na XX wiek forteczną historię wyspy Vis zdominowały podziemia i tunele różnego rodzaju. I nie chodzi tu bynajmniej o grotę, w której urządzono kwatery dla sztabu Josipa Broz Tito, aczkolwiek „Titowa špilja" to najczęściej wymieniana i oficjalnie pierwszoplanowa „podziemna atrakcja turystyczna" wyspy. Nie chodzi także o równie znaną, a znacznie ciekawszą oraz zapewniającą wręcz bajkowe wrażenia, Błękitną Jaskinię na wyspie Biševo, 5 mil morskich od portu w Komiży. Ta niezwykła forma geologiczna dostępna jest tylko dla łodzi – przez otwór w skalistym brzegu mający 1,5 m wysokości i 2,5 m szerokości. Za tym wąskim wejściem rozciąga się komora o dł. 31 m, 6 m wys. oraz 18 m głębokości. W słoneczne dni, około południa, promienie słońca dostają się dolnym, podwodnym otworem, a dzięki bardzo dobrej przejrzystości wody rozświetlają jaskinię od dołu fantastycznym, niebieskim światłem. Dopiero podobnie uformowana lecz z dwoma dużymi, nawodnymi wejściami „Zelena špilja" na wyspie Ravnik, związana jest z militarną historią wyspy – w czasie II wojny światowej znajdowały w niej schronienie małe jednostki wojenne. Jednak w tej części artykułu będzie mniej marynistyki, czyli wracamy do tuneli i fortyfikacji...

Skrzyżowanie Wallo Alpino z Iwo-Jimą

Miękkie, wapienne i dolomitowe skały oraz rzeźba terenu na wyspie Vis sprzyjają budowie fortyfikacji szeroko wykorzystujących podziemną komunikację i magazyny, więc takich tuneli na wyspie jest zaskakująco dużo. Poza wykutymi w skałach bateriami nadbrzeżnymi, znajdziemy ukryte w skalnych tunelach stanowisko dowodzenia oraz liczne stanowiska obrony przeciwdesantowej wykute w stromych brzegach. Jeśli do tego dodamy schron tunelowy dla okrętów wojennych, to razem tworzy to klimaty, a raczej sztuczne kretowisko, kojarzące się ze słynnymi tunelami na znanej z ciężkich walk pacyficznej wyspie Iwo-Jima. I może nawet je przerasta...

A dlaczego Wallo Alpino?

Otóż początku budowy fortyfikacji „tunelowych" upatrywać można we włoskiej okupacji Vis, która rozpoczęła się w kwietniu 1941 roku. Wędrując korytarzami w niektórych bateriach nadbrzeżnych, trudno oprzeć się wrażeniu, iż jesteśmy na jednej z alpejskich przełęczy, np. gdzieś pomiędzy Lyonem a Turynem. Spotkamy tu analogiczne rozplanowanie, zbliżone profile tuneli, podobne elementy konstrukcji i wyposażenia, a na stanowiskach ogniowych stoją włoskie działa... Włoskie panowanie na wyspie było mało uciążliwe dla mieszkańców, lecz miejscowi komuniści zorganizowali partyzantkę i nieudane powstanie, mając zaledwie 100 karabinów... Okupacja trwała do września 1943 roku, gdy Włochy podpisały zawieszenie broni z aliantami. Część uzbrojenia armii włoskiej w Jugosławii przekazano oddziałom partyzantów, którzy spróbowali wyzwolić swój kraj. Jednak okupację włoską szybko zastąpiła okupacja niemiecka, za wyjątkiem... Vis. Na tej odległej od stałego lądu i łatwej do obrony wyspie (co pokazał nieudany atak włoskiej floty w 1866 r.) partyzanci trzymali się

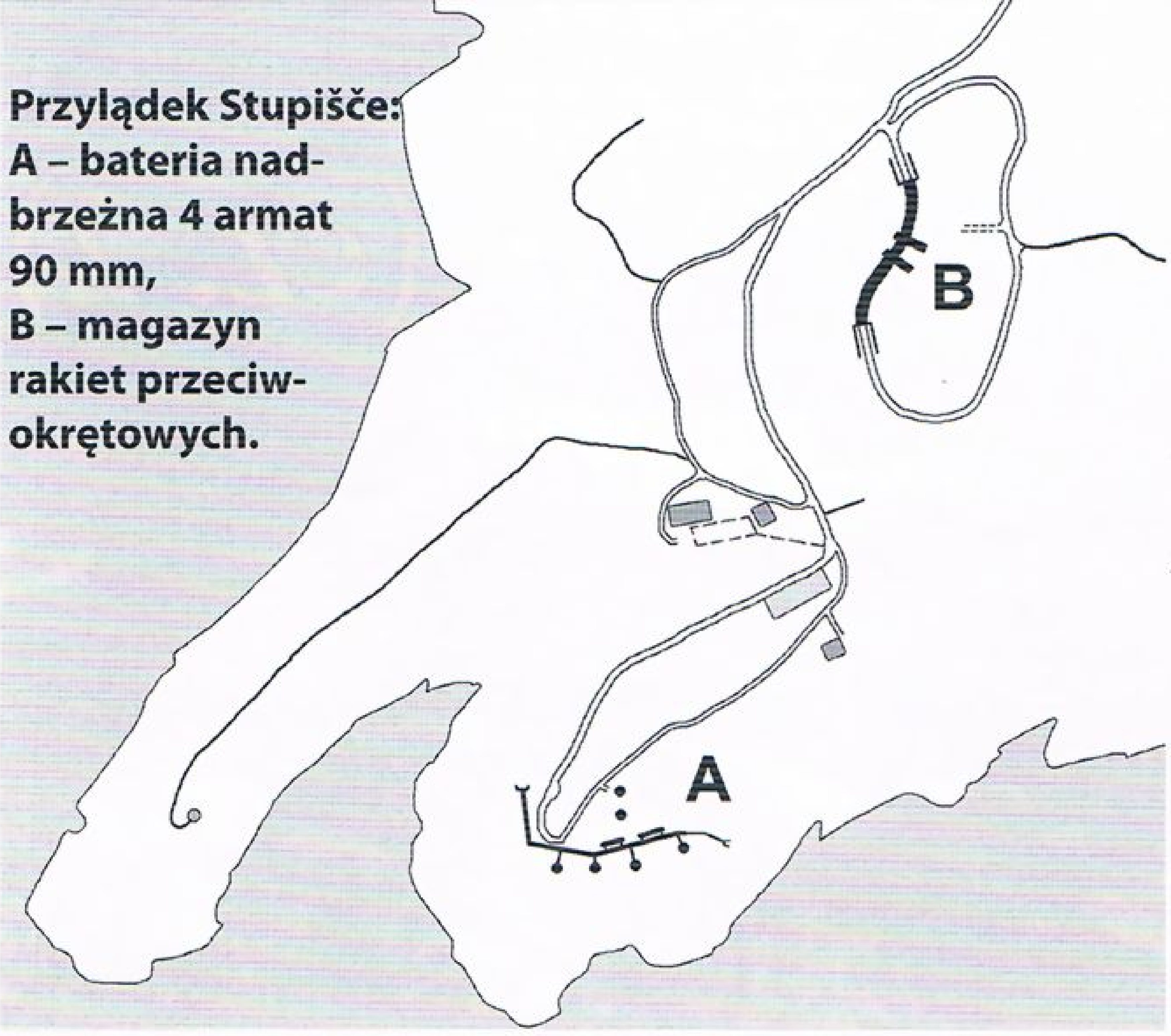

Przylądek Stupišče: A – bateria nadbrzeżna 4 armat 90 mm, B – magazyn rakiet przeciwokrętowych.

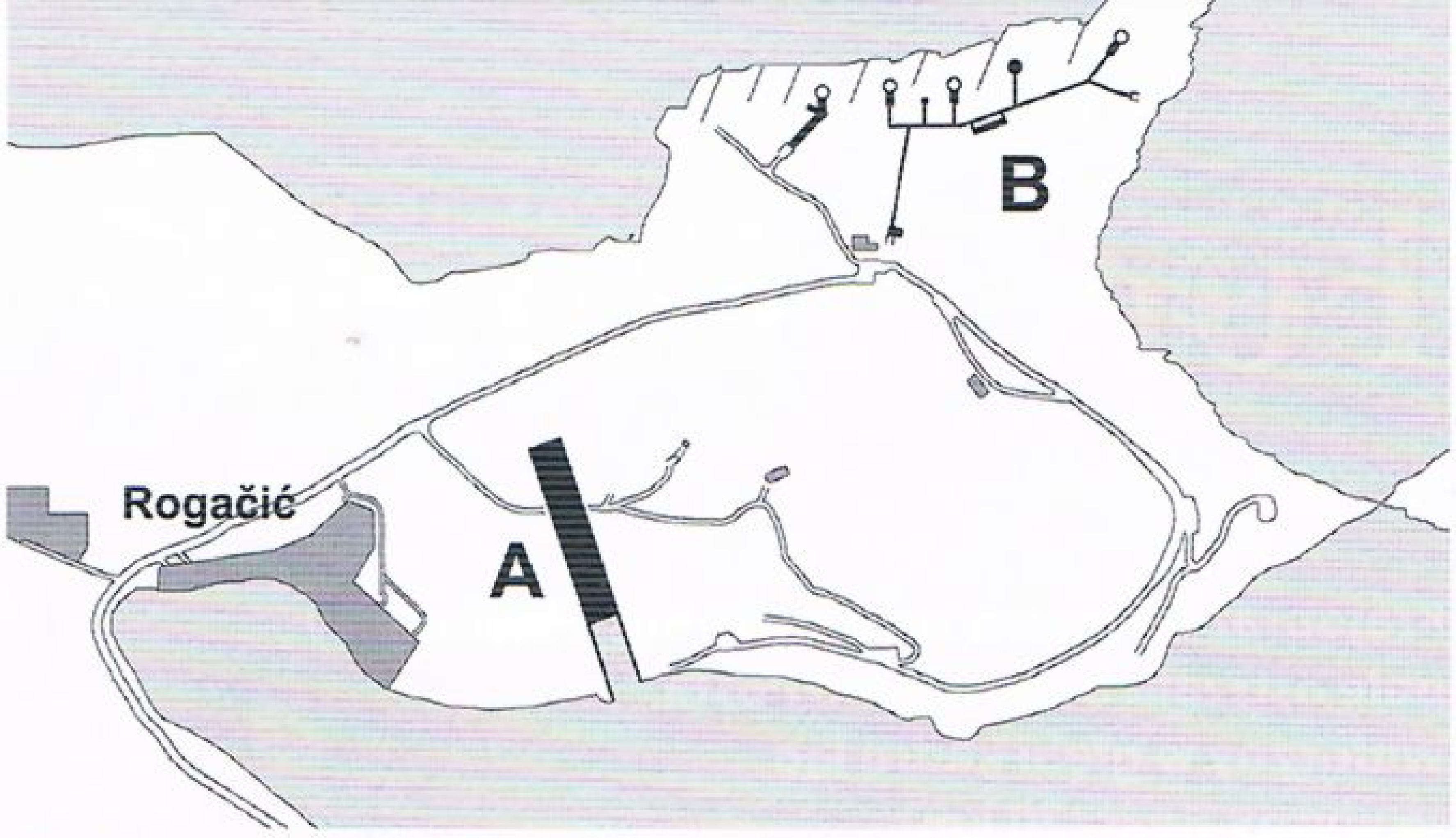

Półwysep Nova Pošta: A – schron tunelowy Jastog, B – bateria nadbrzeżna 4×80 mm.

mocno. A do tego dysponowali włoskim uzbrojeniem. Wkrótce otrzymali też wsparcie aliantów. W połowie 1944 r. na równinie w centrum wyspy zbudowano lotnisko z pasem startowym długości 1200 m, obsługujące ciężkie bombowce Boeing B-17 „Flying Fortress" oraz Consolidated B-24 „Liberator" (wraki takich maszyn, leżące blisko brzegów, stanowią dziś atrakcje nurkowe wyspy). Jesienią 1944 r., gdy partyzanci wyzwolili Split oraz z sukcesami wypierali Niemców z Jugosławii, sztab Tito przeniósł się na kontynent i partyzancka baza na Vis została opuszczona. Jednakże wyspa nie straciła swojego militarnego znaczenia, a nawet je umocniła.

Po zakończeniu II wojny światowej Vis stopniowo stawała się największą i najsilniejszą bazą wojskową Jugosłowiańskiej Armii Ludowej (chor. JNA) na Adriatyku. Stacjonowały tu siły lądowe i morskie, którym zapewniano silne wsparcie z powietrza. Garnizon tworzyły prawie wszystkie rodzaje wojsk, od rozbudowanych służb logistycznych poczynając, przez artylerię nadbrzeżną i polową, obronę przeciwlotniczą i radary, po saperów, jednostki pancerne oraz służby medyczne. Razem było to blisko 5 tys. ludzi, rozlokowanych w szesnastu zespołach koszar. Zgromadzone na wyspie zapasy miały zapewnić autonomię przez co najmniej 45 dni.

Duże znaczenie dla skutecznej obrony wyspy miały schrony i ukrycia, umieszczone w wykutych w skałach licznych tunelach, które stanowią obecnie rodzaj nowej legendy – podobno tunele znajdują się w 37 miejscach i mają łączną długość 70 km. Jak jest naprawdę, nie wiadomo, ponieważ wycofująca się komunistyczna armia nie zostawiła dokumentacji, a mieszkańców wyspy temat ten niezbyt interesuje. Ukrycia te powstawały etapami przez wiele lat i składowano w nich: zapasy broni i amunicji, paliwo dla pojazdów i okrętów, pociski rakietowe, miny morskie, torpedy oraz amunicję okrętową. Przygotowano także schron tunelowy dla okrętów oraz głęboko ukryty w skałach szpital wojenny.

Największy, a na pewno najważniejszy system tuneli nosi nazwę Vela Glava i przygotowano go pod szczytem o tej samej nazwie (wys. 353 m n.p.m), znajdującym się w geometrycznym środku wyspy. Przeznaczony był dla rezerwowego stanowiska dowodzenia marynarki wojennej i mieścił komory z pomieszczeniami, pozwalającymi na pracę i stały pobyt 110 ludzi oraz salę operacyjną do monitorowania sytuacji na morzu i w przestrzeni powietrznej Adriatyku. Obszerne zaplecze obejmowało: magazyn żywności, zbiorniki wody, stację transformatorową dla zasilania z zewnątrz, siłownię awaryjną z dwoma zespołami prądotwórczymi, wentylację, toalety, pralnię, kuchnię, ambulatorium, łączność przewodową i radiową. Centralny korytarz łączący wszystkie pomieszczenia ma ok. 200 m długości, tyleż samo, ok. 200 m, mają korytarze przeznaczone dla instalacji i kabli, prowadzące do dwóch wyjść awaryjnych. Do ochrony wejść i obserwacji wykorzystano włoską kopułę pancerną dla ckm, 4-strzelnicową Mod. 3 firmy ILVA, zabudowaną tu w ramach „recyklingu". Oczywiście w czasie braku zagrożenia sztab pracował w zwykłym budynku w koszarach Samogor (zachodnia część miasta Vis), gdzie było też dowództwo obrony wyspy (chor. Komanda VPU – vojno pomorskog uporišta).

Inne, większe lub po prostu bardziej znane, zespoły tuneli znajdują się:

› na przylądku Stupišče: bateria nadbrzeżna 4 armat 90 mm D53 (włoskie armaty Ansaldo 90/53) i bateria rakiet przeciwokrętowych P-21,

Zachodnie skrzydło baterii Stupišče; dwa stanowiska ogniowe i wyjście zapasowe (z prawej) widziane z pokładu łodzi...

...i ten sam widok z lądu.

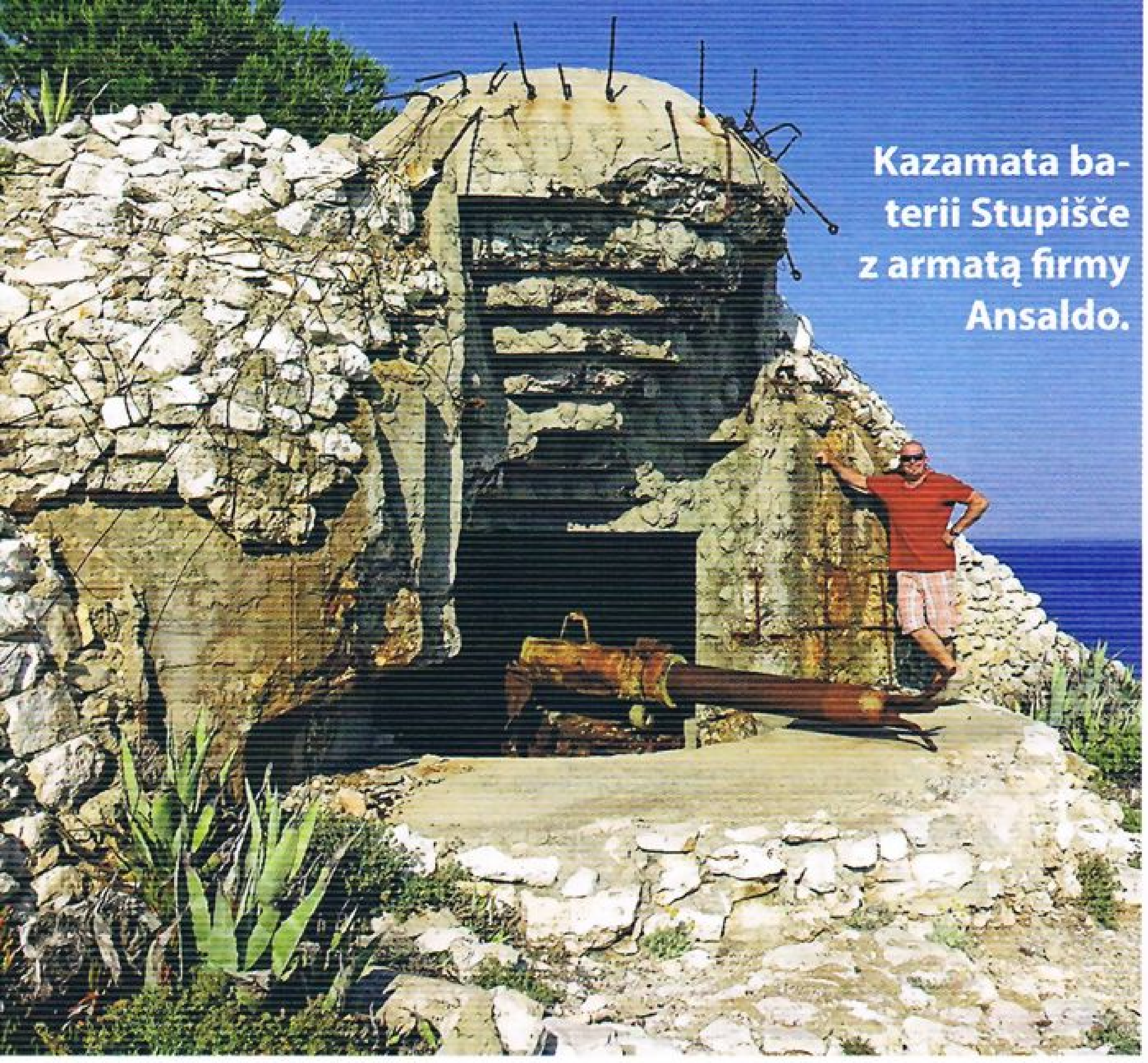

Kazamata baterii Stupišče z armatą firmy Ansaldo.

- na przylądku Barjaci: bateria nadbrzeżna Barjoška 4×80 mm M28 (czechosłowackie armaty Škoda vz.37PL),
- na półwyspie Nova Pošta: bateria nadbrzeżna 4×80 mm M28 i schron dla okrętów,
- na wzgórzu Smokovo Polje: bateria nadbrzeżna 4×90 mm D53,
- przy półwyspie Češka Villa: magazyny min morskich i bateria nadbrzeżna 4×66 mm,
- w Carvene stine (rejon przełęczy nad Komiżą): stanowisko dowodzenia Tanjug i szpital wojenny,
- na wzgórzu Radino: centrum radiowo-radarowe,
- przy zatoce Stončica: składy paliw, olejów i smarów,
- koło wsi Podselie: zbiorniki wody Glavica.

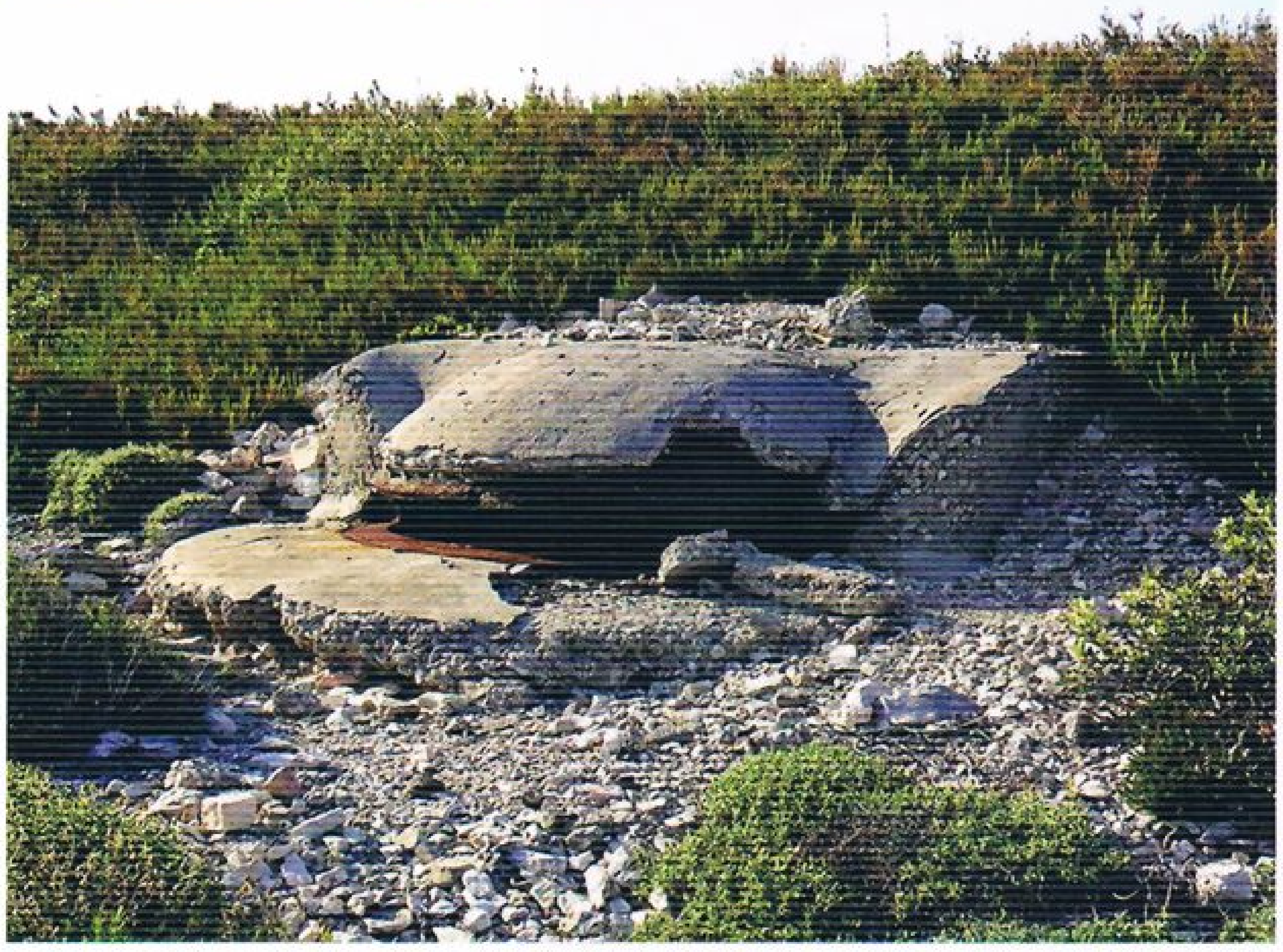

Kopuła pancerna dolnego stanowiska kierowania ogniem baterii Stupišče.

Mniejsze tunele prowadzące do umieszczonych w nabrzeżnych skałach stanowisk obrony przeciwdesantowej, sąsiadują praktycznie z każdym nadającym się do lądowania miejscem (jednak część z nich to w istocie tylko chodnik w skale na planie litery L, bez drzwi, wentylacji itp. – dopiero w trakcie mobilizacji planowano ich wyposażenie). Wiele z nich zbudowano parami, po obu stronach wejścia do bronionej zatoki. Prawdopodobnie przeznaczono je dla broni towarzyszących piechocie, obserwacji i kontroli wejścia do zatoki oraz aktywacji podwodnych fugasów założonych dla obrony przeciwdesantowej. Obronę wyspy wzmacniały także ruchome odwody, w tym specjalny batalion artylerii mieszanej, który miał uzbrojenie obejmujące: armaty, haubice, moździerze, a nawet kilka czołgów. Prawdopodobnie batalion ten wystawiał baterię Velika Glava (rejon Smokovo) wyposażoną w przewoźne haubice kalibru 200 mm (203 mm?) oraz baterię Telež (na południe od wsi Duboka) uzbrojoną w mobilne armaty kalibru 130 mm.

Wód wokół wyspy broniły także baterie nadbrzeżne wchodzące w skład sektora Vis, a mianowicie:

- bateria na wyspie Šolta, 4×80 mm M28,
- bateria Kabal na wyspie Hvar, 4×75 mm M 97/40 (francuskie działa wz. 97 na niemieckich lawetach),
- bateria na wyspie Biševo (przylądek Gatula), 4×80 mm M28.

Dwa miejsca, w których znajdują się małe i duże tunele, warto poznać bliżej oraz uczynić z nich element wycieczki po Vis.

Fortyfikacje na przylądku Stupišće

Bateria nadbrzeżna Stupišće (chor. OAB Stupišće – obalna artiljerija baterija) znajduje się po przeciwnej do miasta Vis stronie wyspy, na najdalej na południowy-wschód wysuniętym przylądku. Jej główny element stanowią cztery stanowiska armat, w skierowanych na południe żelbetowych kazamatach, o polu ostrzału około 120°, rozmieszczonych co 35-40 m. Do każdej z kazamat przylega niewielka izba załogi pogotowia i wentylacji oraz magazyn amunicji podręcznej, a w tył prowadzi klatka schodowa i krótki korytarz. Korytarzyki te łączą się z korytarzem poprowadzonym linią łamaną wzdłuż stanowisk armat. Ten centralny korytarz, o łącznej długości około 200 m, zaczyna się wejściem głównym na zachodnim skrzydle i prowadzi do wyjścia zapasowego wykonanego na wschodnim skrzydle. Korytarz ewakuacyjny nie jest obetonowany formując malowniczą „sztolnię", a otwór wychodzi na nadbrzeżne skały (skąd rozciąga się imponujący widok na brzeg, czyli wypiętrzone płyty wapienne będące dnem prehistorycznego morza). Równolegle do korytarza centralnego wykonano kilka komór przeznaczonych dla załogi liczącej około 200 ludzi, oraz dla zaplecza. Około 40 i 60 m za stanowiskami armat, i znacznie powyżej nich, zbudowano dwa stanowiska obserwacyjne. Oba wyposażone są w pancerne osłony, przy czym stanowisko położone niżej ma obserwacyjną kopułę pancerną, obok której wykonano otwarte stanowisko obserwacyjne z otworem o formie analogicznej do znanej nam z niemieckich stanowisk Ringstand 69. Z główną częścią baterii łączy je pionowy szyb. Stanowisko położone wyżej ma skromniejsze wyposażenie i jest samodzielne.

Wejście i punkt obserwacyjny górnego stanowiska kierowania ogniem baterii Stupišče.

Jedna z komór w „tunelach" baterii Stupišće, z zachowaną instalacją wentylacyjną.

Resztki maskowania nad portalem tunelu prowadzącym do magazynów rakiet BROM Stupišće.

Główne uzbrojenie baterii stanowiły cztery armaty uniwersalne, wyprodukowane przez włoską firmę Ansaldo, typu 90/53 mod. 41, o zasięgu 18 tys. m. Trzy egzemplarze zachowane w baterii, choć niestety zniszczone wybuchami, mają wybity na obsadzie zamkowej rok produkcji 1941. W armii jugosłowiańskiej w większości przystosowane zostały do użycia amunicji amerykańskiej 90 mm, a o użytkowniku baterii przypominają napisy informacyjne zachowane na ścianach korytarzy.

Koszary dla załogi baterii znajdują się nieco z boku drogi dojazdowej, ok. 300 m od stanowisk dział. Zachowane są dwa budynki oraz, pokryty już zielenią, plac apelowy. Bezpośrednio przy drodze jest duży żelbetowy taras do zbierania wody opadowej i podziemny zbiornik.

Bateria rakiet przeciwokrętowych Stupišće (chor. BROM Stupišće – baterija raketa obala-more), a konkretnie tunel z magazynami rakiet, to drugi interesujący punkt na przylądku. Tunel jest imponująco duży: ma ok. 120 m długości, 6 m szerokości oraz 6 m wysokości i przecina szczyt wzniesienia na wylot. W środku długości krzyżują się z nim dwa poprzeczne korytarze, zakończone magazynami rakiet. Komory magazynowe są stosunkowo niewielkie, w porównaniu do ogromnego tunelu, a zamykają je potężne stalowo-betonowe drzwi. W stropie korytarza, przed nimi, znajdują się szyny dla podnośników przeładunkowych, a magazyny rakiet wyróżniają się podłogą wyłożoną kafelkami. Zamknięcie wjazdów do tunelu stanowiły tylko kraty, natomiast do maskowania wjazdów wykorzystano styropian udający kamień, mocowany na stalowych linach i siatkach. Nad tunelem wykonano szyby wentylacyjne z wejściami maskowanymi, jako stare kamienne domy o dwuspadowym dachu.

Uzbrojenie BROM Stupišće stanowiły radzieckie przeciwokrętowe pociski rakietowe typu P-21, które wraz z wyrzutnią, radarami i stacją naprowadzania tworzyły system 4K51 Rubież (kod NATO: SSC-3 Styx). W magazynach baterii znajdowało się 12 sztuk tych rakiet, z głowicą zawierającą 513 kg materiału wybuchowego i zasięgu 80 km. Pojazd-wyrzutnia rakiet systemu 4K51 miał jugosłowiańskie oznaczenie „202 ORD", i wykorzystywał podwozie samochodu MA3-543 (8×8), mającego 11,6 m długości i 3,05 m szerokości, co determinowało wymiary tunelu. Stanowiska startowe mogły być improwizowane i nie wymagały specjalnego przygotowania.

Bateria rakietowa na przylądku Stupišće oraz znajdujące się na pobliskiej górze Hum (587 m n.p.m.) stanowisko obserwacji radarowej OROST (chor. obalska radarska osmatračka stanica), nie podlegały sztabowi obrony wyspy Vis, lecz bezpośrednio dowództwu sektora marynarki wojennej w Šibeniku. Ze służbą 202 ORD na Vis wiąże się anegdota opowiadająca, jak podczas jednego z ćwiczeń postanowiono zasymulować awarię generatora prądu elektrycznego wyrzutni i zaczęto przeciągać do tunelu kable przez szyb wentylacyjny. Prosta w sumie operacja odniosła sukces, lecz po włączeniu „awaryjnego" zasilania doszło do krótkiego spięcia i awarii, która pozbawiła energii elektrycznej całą wyspę na dwie godziny. Więcej takich prób nie podejmowano…

Dojazd na przylądek Stupišće wymaga zjechania z asfaltowej szosy Podhumilje–Komiża w połowie tego odcinka, minięcia nadmorskiego wysypiska śmieci, oraz pokonania około 3 km drogą kamienno-szutrową – wzdłuż nielicznych użytkowanych tu jeszcze winnic.

Punkt załadunku przy jednym z magazynów rakiet BROM Stupišće.

Fortyfikacje na półwyspie Nova Pošta

Półwysep Nova Pošta położony jest około 2 km w linii prostej na północ od zabudowań Vis i ok. kilometra na zachód od

fortu George. Jednakże dojazd z Vis wymaga pokonania aż 4 km dobrze utrzymaną asfaltową szosą i tylko ostatnie kilkaset metrów to droga szutrowa. Już przejeżdżając przez wieś Rogačica zobaczymy portal tunelu otwierający się na wody zatoki Parja, który po minięciu zabudowań będzie widoczny w całej okazałości. To najbardziej znany i najczęściej odwiedzany (w tym masowo przez żeglarzy) tunel na Vis. W istocie to schron dla okrętów wojennych o kryptonimie „Jastog" (pol. Homar). „Przystań" wewnątrz tunelu ma ok. 10 m szerokości i ok. 100 m długości, a towarzyszy jej zaplecze techniczno-socjalne.

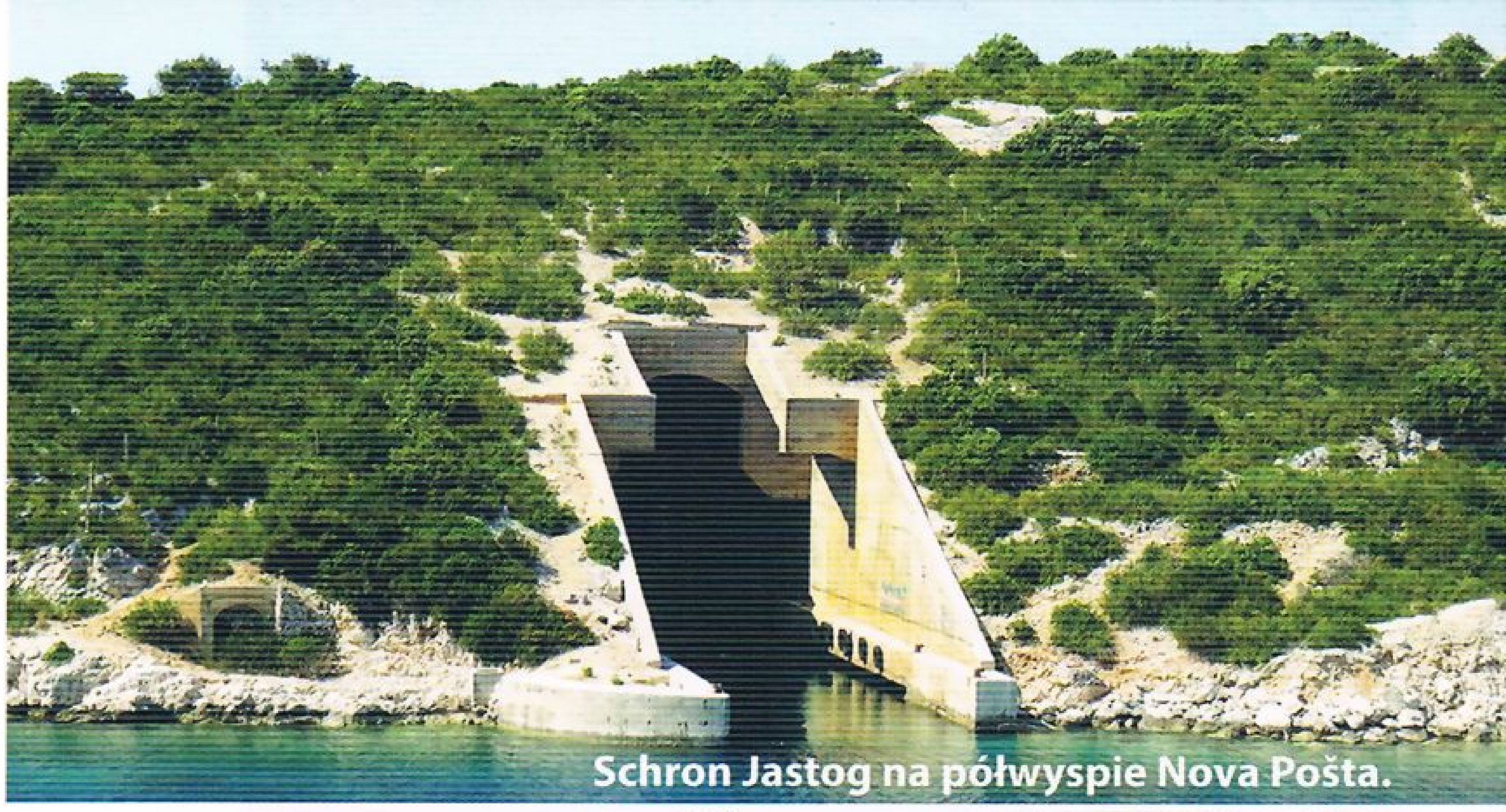
Schron Jastog na półwyspie Nova Pošta.

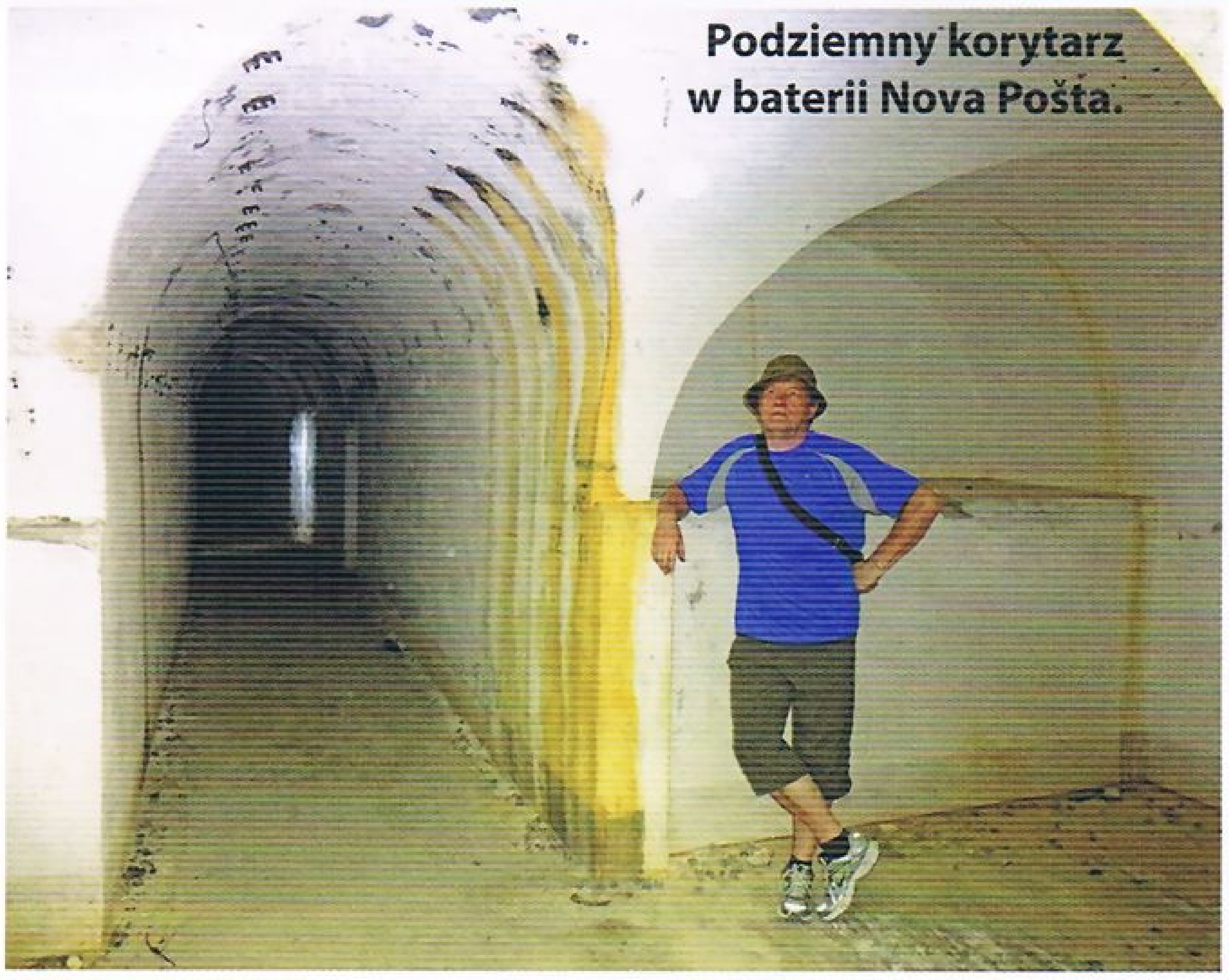
Podziemny korytarz w baterii Nova Pošta.

Najczęściej informacje turystyczne przedstawiają ten schron jako ukrycie dla okrętów podwodnych – te jednak ukrywają się najczęściej pod wodą. W istocie jest to schron dla niewielkich jednostek nawodnych: kutrów i korwet rakietowych lub kutrów torpedowych (bynajmniej takie okręty jugosłowiańskiej floty widać na publikowanych fotografiach nadmorskich schronów-tuneli). Notabene schron Jastog nie jest jedynym tunelem o takiej funkcji, gdyż jest ich jeszcze kilkanaście, np. 3 na wyspie Dugi Otok, 3 na wyspie Brač, 2 na wyspie Lastovo, 3 na Ploče.

Bateria nadbrzeżna Nova Pošta znajduje się od strony otwartego morza, czyli po północnej stronie półwyspu. Jednak łatwiej dojechać do niej niż do tunelu Jastog, a wejście znajduje się tuż przy drodze; gdy asfalt zamieni się w szuter należy pokonać jeszcze 300 m i zatrzymać się na poszerzeniu drogi, przy pozbawionym dachu białym domu. Około 20 m na prawo, w tył od domu, znajdziemy wejście do tunelu i systemu komunikacyjnego baterii. Tunel wejściowy ma ok. 50 m długości, a korytarz centralny ok. 200 m długości i na prawym skrzydle zakończony jest wyjściem zapasowym. Z korytarza centralnego cztery przejścia prowadzą w kierunku morza do stanowisk dział. Trzy z nich to otwarte platformy-działobitnie. Natomiast stanowisko działa nr 2 (licząc od prawej) to kazamata o polu ostrzału około 120°. Do korytarza centralnego przylega także szyb, zakończony stanowiskiem obserwacyjnym w kopule pancernej, oraz kilka komór przeznaczonych dla załogi i zaplecza. Do baterii należy także piąte stanowisko położone na lewym (zachodnim) skrzydle. Nie jest połączone z pozostałymi i prowadzi do niego szerszy tunel, pozwalający na przejazd pojazdów mechanicznych, dziś jednak zamurowany od strony morza.

Główne uzbrojenie baterii stanowiły cztery czechosłowackie armaty przeciwlotnicze, prawdopodobnie Škoda M28 kal. 76,5 mm (8 cm) lub Škoda M38 kal. 88 mm. Standardowo armaty te miały łoża polowe czteroogonowe i dwuosiowe podwozie. W jugosłowiańskich bateriach nadbrzeżnych wózki drogowe z ogumieniem pneumatycznym zamieniono na niskie wózki kolejowe, a armaty przetaczano po szynach. Dzięki temu rozwiązaniu armaty były ukryte w odcinku tunelu o dużym profilu przylegającym do stanowiska ogniowego, a po ustawieniu na zewnątrz, mogły prowadzić ogień w bardzo szerokim sektorze, także przeciwlotniczy. Dziś puste szyny prowadzące z „kazamat" na działobitnie sprawiają na turystach wrażenie, jakby uzbrojenie baterii stanowiły ciężkie armaty kolejowe, niemalże na miarę dział Navarony, choć w rzeczywistości była to artyleria lekka...

Inne fortyfikacje

Są na Vis nieco trudniej dostępne i po nieco gorszych drogach. Do baterii Barjoška dojazd wymaga pokonania ponad 10 km po kamienistych drogach gruntowych zarówno z przełęczy nad Komižą, jak i z wsi Oključna. Opcją jest raczej ścieżka niż droga, ze szlakiem czerwonym, prowadząca z Komiży do baterii Magnaremi (1,5 km) i dalej na przylądek Barjaci (3,5 km). Do baterii Smokovo dojazd prowadzi przez jednostkę wojskową, więc nie pozostaje nic innego, jak dojechać na wschodni koniec osiedla Ženka przy zatoce Milna i nieco dalej spróbować wspiąć się do stanowisk dział skalistą ścieżką na wysokość blisko 100 m n.p.m. Jeśli nieco się rozglądać wędrując po Vis, to na większe lub mniejsze ślady jugosłowiańskiej bazy wojskowej natkniemy się w wielu miejscach, nawet ich nie szukając. Pomijając wyloty tuneli na ścianach skalnych, które sąsiadują z każdą nieomal zatoczką, a widoczne są jedynie z wody, to w różnych miejscach wyspy rozsiane są małe schrony obserwacyjne i bojowe. Dwa lub trzy zobaczymy przy brze-

Dwa stanowiska ogniowe, kopuła pancerna obserwatora i otwarte stanowisko kierowania ogniem baterii Nova Pošta.

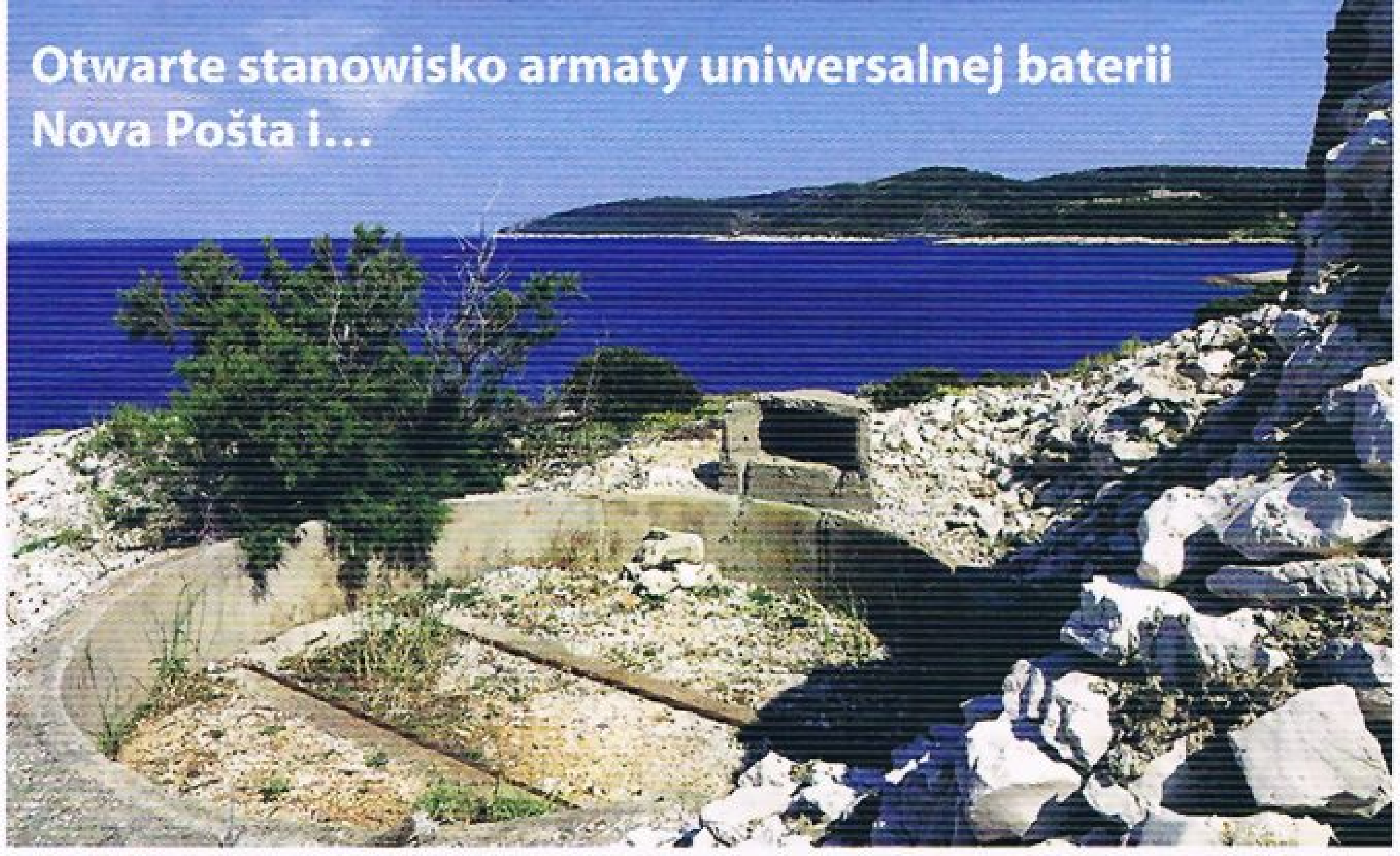
Otwarte stanowisko armaty uniwersalnej baterii Nova Pošta i...

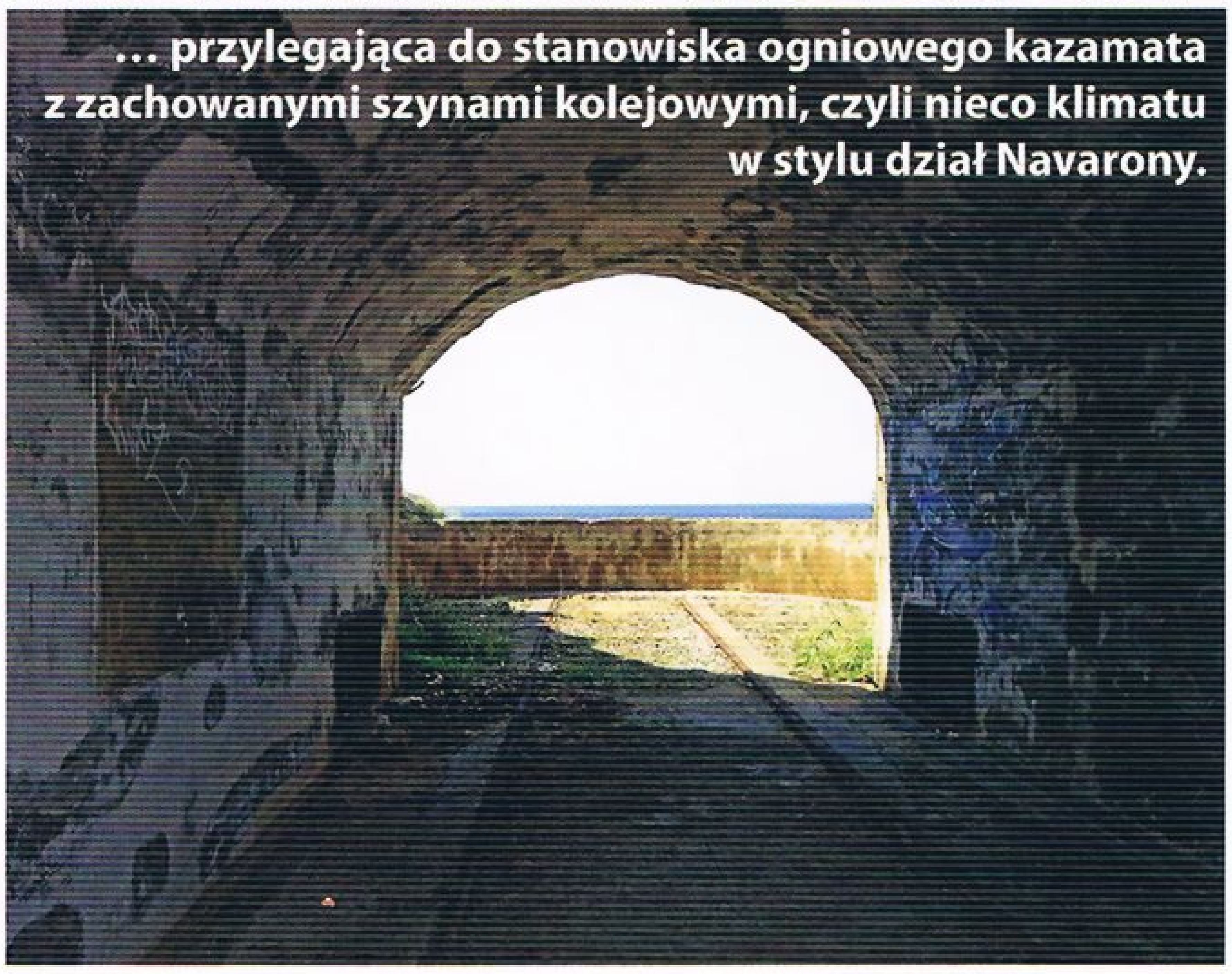
... przylegająca do stanowiska ogniowego kazamata z zachowanymi szynami kolejowymi, czyli nieco klimatu w stylu dział Navarony.

gu w centrum Vis, np. obok kościoła Gospe od Spilica (Matki Bożej z groty, nazwanego tak ze względu na grotę znajdującą się pod fundamentami) przy ul. Viški Boj. Natomiast przy drodze do fortu George, w rejonie wieży Robertson, trudno nie zauważyć kamienno-betonowego stanowiska z pięknym widokiem na zatoki Svitnja i Rogačič oraz półwysep Nova Pošta.

Skąd my to znamy...

Fortyfikacje na wyspie Vis trapią różne problemy, tak jak podobne im zabytkowe budowle obronne w Polsce. Poza nielicznymi wyjątkami nikt się nimi nie interesuje i nie ma planów zagospodarowania lub udostępnienia turystycznego. Są opuszczone i niszczeją, zaśmiecane oraz pokrywane graffiti. Działają tu także złomiarze – spory skandal wybuchł w czerwcu 2008 r., gdy ukradziono z baterii Barjoška cztery armaty kal. 88 mm. Każda z nich ważyła blisko czterech ton, więc wymagało to zaangażowania odpowiedniego sprzętu i transportu. Armaty prawdopodobnie trafiły na złom, ponieważ nie miały dużej wartości ekspozycyjnej – wycofująca się armia jugosłowiańska zniszczyła osprzęt i wysadziła lufy. Policyjne śledztwo nie wyjaśniło sprawy, a nie był to pierwszy taki wypadek na Vis, ponieważ kilka lat wcześniej skradziono jedno z dział baterii na przylądku Stupišće.

Spośród największych podziemnych systemów tuneli na wyspie tylko jeden, o powierzchni ok. 500 m kw. (dawna elektrownia), pomyślnie „poszedł do cywila" – w 1998 r. miasto Vis wydzierżawiło go winnicy VINA Lipanovic na 20 lat (ul. bala Jelačića, rejon dawnych koszar Samogor). Aktywniej działają władze Komiży, gdyż w koszarach Rogači w centrum miasta planują ulokowanie hotelu na 300 łóżek. Natomiast na dawnym terenie wojskowym nad zatoką Barioška na przylądku Barjaci (bateria nadbrzeżna 4×88 mm na północ od Komiży), ma być umieszczony kompleks apartamentowo-hotelowy dla 750 osób, a w miejscu koszar Ravno planowana jest strefa industrialna. Plany te napotykają jednak na różne przeszkody i miny, niestety dosłownie. Taki przykry incydent miał miejsce w lipcu 2005 r., gdy holenderski archeolog stracił stopę w wyniku eksplozji miny przeciwpiechotnej na terenie nieoznaczonym jako pole minowe.

Cofając się nieco w czasie...

Szukając starszych zabytków w mieście Vis można zobaczyć ślad rzymskiego amfiteatru na półwyspie Prirovo (Prilovo), który został zabudowany franciszkańskim klasztorem, w efekcie czego jedno ze skrzydeł wzniesiono na planie banana odpowiadającego narysie dawnej widowni. W pobliżu znajdziemy ruiny rzymskich term, w postaci fundamentów ładnie odsłoniętych przez archeologów. Zabudowa na wyspie w części pochodzi z czasów Republiki Weneckiej, gdy wzniesiono także kilka ufortyfikowanych wież obronnych, dla ochrony przed Turkami i piratami. W Komiży był to Mletački kaštil (wenecki kasztel, później tzw. Tvrđava Komuna – twierdza gminna) zbudowany w porcie w roku 1592 za pieniądze rybaków, w 1879 kupiony przez gminę Komiża i przebudowany na biura administracji miejskiej, dziś muzeum rybackie, oraz Kula Andreuči (wieża Andreucziego) – prywatna wieża obronno-mieszkalna wchłonięta obecnie przez zabudowę Komiży, choć nadal zdradza ją wydatna kawaliera.

Ufortyfikowany kościół św. Rocha w Komiży położony jest tuż przy morskim brzegu w południowej części starego miasta, na ostrym zakręcie nadmorskiego bulwaru. Zbudowano go w 1763, z wykorzystaniem starego kościoła jako zakrystii. Kwadratowy narys, wysokie gładkie ściany z wysoko umieszczonymi niewielkimi oknami sprawiają, że wygląda jak wieża obronna z broniącym wejścia kamiennym gankiem, wyposażonym w machikuły i strzelnice po bokach drzwi. Klasztor benedyktynów (św. Mikołaja) z XIII w., położony na wzniesieniu nad Komiżą, pod górą Hum, otoczony został kamiennym frontem bastionowym (kleszczowym?) ukończonym w roku 1645, z którego zachował się malowniczy odcinek północny, dziś pełniący rolę ogrodzenia. W centrum wyspy znajduje się Mladineova kula (wieża Mladineo) – wieża obronno-mieszkalna z XVII w., ulokowana we wsi Borovik, czyli przy drodze do Titowej špilji.

Najstarsza wieża obronno-mieszkalna to Perastijeva kula (wieża Perastije), położona w Luce (porcie), w zachodniej części miasta Vis i witająca cumujące naprzeciw niej promy. Zbudował ją jeden z mieszczan na początku XVII w. (po splądrowaniu Komiży w 1617 r.) dla obrony swojej rodziny i visańczyków. Drzwi ulokowane były na pierwszym piętrze, a z przylegającą od zachodu kamienicą pana Perastije, łączyła je drewniana kładka, przerzucona nad wąską uliczką.

Jest takie powiedzenie wisańczyków: kto był niegdyś na wyspie Vis, powróci. Ci, którzy ją odwiedzili i odkryli jej urok i piękno, wiedzą, że to prawda. A mnogość ciekawych fortyfikacji z pewnością może temu powrotowi sprzyjać...

ZDJĘCIA: CZESŁAW KLIM, JERZY SADOWSKI.

Jerzy Sadowski
Redaktor prowadzący w „Odkrywcy" dział Fortyfikacje. Specjalista z dziedziny fortyfikacji i techniki wojskowej, kustosz Skansenu Fortyfikacji w Jastarni. Założyciel wielu stowarzyszeń, działacz Stowarzyszenia „Fortiso".

Legendarna broń biała (cz. 4)

軍刀 – Guntō

PIOTR GALIK

dusza (dwudziestowiecznego) wojownika

Mityczne początki: bóstwo burzy Susanoo walczy mieczem ze smokiem…

W japońskiej tradycji narodowej broń biała odgrywa doniosłą rolę. Jednym z trzech zachowanych do naszych czasów insygniów władzy cesarskiej – „trzech świętych skarbów" – jest starożytny miecz Ame-no-Murakumo-no-Tsurugi (miecz korny wobec nieba i przenikający serce), wg odwiecznej legendy znaleziony w ogonie demonicznej bestii, zabitej przez Susanoo (bóstwo burzy) i podarowany bogini słońca Amaterasu, patronce i założycielce japońskiej dynastii cesarskiej. Ukształtowane w ciągu wielu wieków feudalne zwyczaje i prawa, ściśle wiązały prawo posiadania i użytkowania miecza z przynależnością do elity społecznej – stanu samurajskiego. Osobista broń biała wyróżniać miała zatem samurajów – zawodowych wojowników, panów życia i śmierci swoich poddanych, zobowiązanych w zamian za nadaną w posiadanie ziemię i ludzi do służby zbrojnej na rozkaz władcy. W ciągu stuleci formy i nazwy broni samurajów zmieniały się, pozostawało jednak niezłomne przekonanie, że „miecz jest duszą wojownika".

Przemiany „duszy wojownika"

Według badaczy dziejów japońskiego oręża, pierwowzorem najstarszych mieczy Krainy Wschodzącego Słońca były proste, obosieczne miecze chińskie chien, w Japonii znane pod nazwą „ken", oraz jednosieczne, o lekko zakrzywionej głowni szable dao (jap. to). W ciągu wielu stuleci te obydwie klasy broni ewoluowały, z czasem przechodząc w najbardziej znany na świecie rodzaj japońskiej broni bocznej – katanę. Zgodnie z przyjętą periodyzacją dziejów Japonii, samurajskie miecze dzieli się na następujące kategorie:

» Jokoto – miecze antyczne, wykonywane przed końcem IX wieku;
» Koto – miecze średniowieczne, pochodzące z lat 900-1596;
» Shinto – miecze nowe, powstałe w okresie 1596-1780;
» Shinshinto – miecze nowsze, 1781-1876;
» Gunto – miecze nowoczesne, 1876-1945; do tej klasy zaliczane są regulaminowe miecze japońskich sił zbrojnych, używane w konfliktach XX wieku;
» Shinsakuto – miecze współczesne, wykonywane od roku 1953, kiedy po okresie okupacyjnym zezwolono Japończykom na posiadanie i wykonywanie broni białej tradycyjną techniką.

Poza klasyfikacją, ze względu na okres powstania japońskie miecze dzielą się na szereg rodzajów zależnie od długości, geometrii ostrza oraz sposobu noszenia broni i jej przeznaczenia. Tak więc – dla przykładu – terminem „jintachi" bronioznawcy określają ciężki i długi miecz bojowy, noszony i podawany samurajowi przez specjalnego sługę.

Krótszy i lżejszy miecz bojowy tachi przenoszony był osobiście przez właściciela, i w tym celu pochwa tego typu broni opatrzona była pierścieniami (koluszkami), pozwalającymi na zaczepienie na jedwabnych, plecionych rapciach u pasa, na sposób „zachodni" ostrzem do dołu.

„Uniwersalny" (w tym przede wszystkim „kostiumowy", noszony na co dzień) miecz katana (termin ten przyjął się w XII-XIII w.) przenoszony był natomiast zatknięty za pas ostrzem do góry. Bojowa odmiana katany, znana jako daikatana, z racji znacznej długości przenoszona była na plecach, przewieszana przez ramię właściciela ostrzem ku lewej stronie. Klasyczna katana stanowiła najważniejszą część daisho – „garnituru mieczowego", złożonego ponadto z krótkiego miecza wakizashi oraz – niekiedy – małego nożyka tanto. Ozdobne, kosztowne komplety daisho, często dziedziczone przez szereg pokoleń, pozostają bezcennym świadectwem starożytności rodu rycerskiego nawet we współczesnej, postnowoczesnej Japonii. Szczególnie cenionym

Tsurugi, pierwotny miecz japoński wywodzący się od ówczesnej broni chińskiej.

z powodów estetycznych elementem miecza japońskiego, jest tsuba – tarczowy, niekiedy niezwykle wysmakowany artystycznie odpowiednik europejskiego jelca. W tradycji i obyczaju samurajskim utrwalił się natomiast zwyczaj milczącej kontemplacji surowej urody broni, a szczególnie niepowtarzalnej przy tradycyjnym, ręcznym wykonaniu linii hamon dzielącej zahartowane ostrze od reszty głowni. Niespieszny rytuał oględzin miecza, podawanego przez właściciela czcigodnym gościom w geście najwyższego uznania i zaufania, stał się obok ceremonii herbacianej przejawem (i probierzem) dwornego, rycerskiego wychowania.

Przerażający obraz współczesnego, okrutnego samuraja nacierającego z lśniącym mieczem w dłoni, bezlitośnie ścinającego głowy jeńcom i odrąbującego kończyny rannym żołnierzom przeciwnika, skutecznie osłabiał morale oddziałów, nawet tych uważanych za wyborowe. Zginąć od pocisku czy odłamka – żołnierska rzecz, ale zostać zaszlachtowanym mieczem – zgroza!

Długotrwały, żmudny i kosztowny proces tworzenia miecza japońskiego otoczony był także szeregiem zwyczajów i przesądów. Poszczególnym fazom obróbki broni towarzyszyć musiały odpowiednie ryty, posty i modlitwy, a najlepszych płatnerzy uważano za swoistych kapłanów miecza i otaczano wielkim szacunkiem. Tradycja głosi, że cesarz Go-Toba (1183-1198) osobiście wykuł dla siebie głownię miecza, pracując pod nadzorem mistrza Ichimonji Norimune. Co ciekawe, powszechnie uważano, że płatnerz pozostawia w wykonywanym mieczu cząstkę swojej duszy, dlatego obawiano się nieco dzieł słynnego mistrza Muramasy, znanego z niezwykle porywczego – nawet jak na

Sztuka wyrobu mieczy cieszyła się w Japonii wielkim prestiżem, a kucie głowni miało charakter zbliżony do obrzędu religijnego.

japońskie zwyczaje – charakteru. Miecze z jego kuźni, choć bliskie perfekcji, uważano za „złośliwe", przynoszące pecha tak właścicielowi, jak i jego wrogom. Z kolei głownie stworzone przez najbardziej świątobliwych płatnerzy, znane jako hinken (szczęśliwe), miały zapewniać posiadaczom zdrowie, siłę i zwycięstwa. Miecz towarzyszył samurajowi przez całe dorosłe życie, a śmierć z bronią w ręku uważana była na najwznioślejszy sposób zakończenia życia mężczyzny.

„Dusza" w epoce węgla i stali

W drugiej połowie XIX wieku Japonia, „odkryta" na nowo przez świat zachodni po wiekach izolacji, wkroczyła w okres pośpiesznej modernizacji państwa, gospodarki i społeczeństwa. W ciągu życia jednego pokolenia runął świat feudalny, a nowy, industrialny model organizacji społecznej, przyniósł rewolucyjne zmiany także w zakresie uzbrojenia.

Powołanie Cesarskiej Armii Japonii opartej na zasadzie powszechnej służby poddanych, niezależnie od ich stanowej przynależności, zachwiało odwieczną pozycją samurajów – zawodowych wojowników.

Od roku 1873 każdy Japończyk otrzymywał (na 3 lata służby) broń, co było dotąd przywilejem jedynie stanu szlacheckiego. Europejskie regulaminy, system szkolenia sił zbrojnych i taktyka ich użycia, wykluczały kontynuację tradycyjnego sposobu prowadzenia wojny. Co więcej, podoficerowie i młodsi oficerowie wywodzili się zwykle z warstw plebejskich (chłopi, rzemieślnicy, kupcy), co dodatkowo oburzało przedstawicieli „starych rodów". Nieunikniony w tych warunkach bunt samurajów zo-

Szabla kawaleryjska japońskiej armii zaprojektowana została z myślą o zastosowaniu bojowym, co zaowocowało skromnym, wręcz surowym wyglądem tej broni, nawet w wersji oficerskiej.

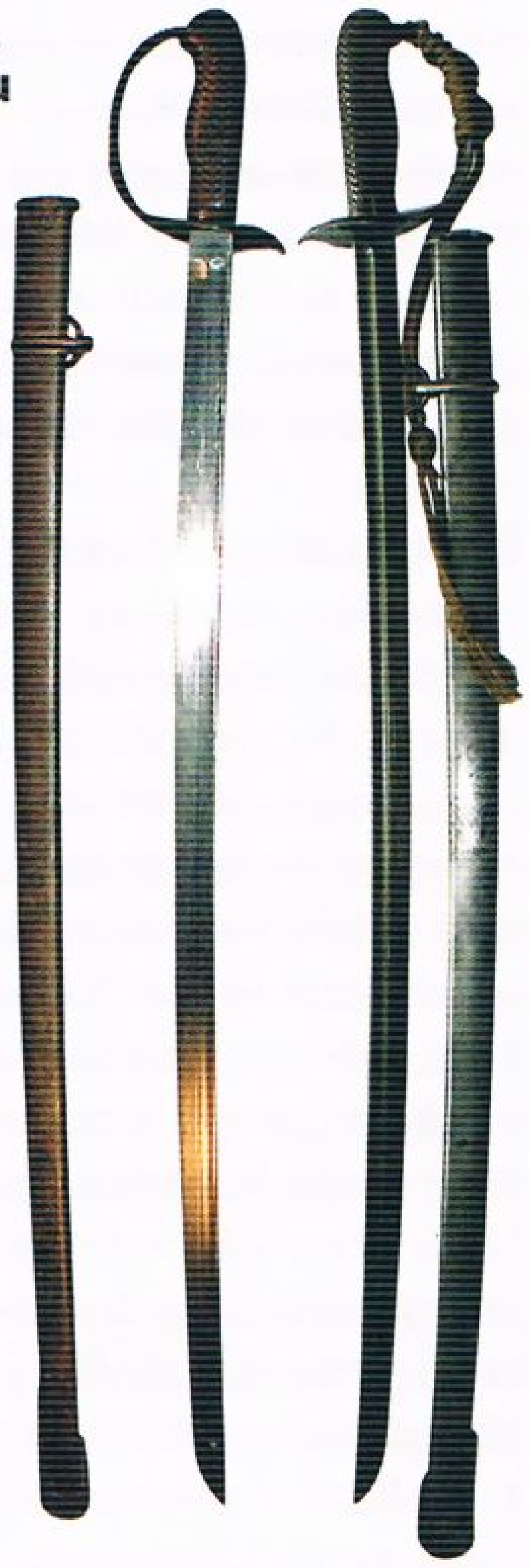

Kyu guntō, broń wzorowana na zachodnich szablach, odbiegała wyglądem od rodzimej tradycji.

Zdobiona rękojeść kyu guntō pomimo obcej kulturowo stylistyki opatrzna została emblematem kwiatowym – symbolem cesarskiej armii.

stał bezwzględnie stłumiony, a starcia nowoczesnej armii cesarskiej z tradycyjnymi oddziałkami samurajskimi, wykazały archaizm i bezwartościowość tych ostatnich w konfrontacji z szybkostrzelną bronią palną i artylerią.

Wydawać by się mogło, że podobnie jak w Europie, także i w Japonii sztuka szermierki zamieni się rychło w sport, a miecze odejdą w zapomnienie. Stało się jednak inaczej.

Symboliczne znaczenie broni białej w mentalności japońskiej było zbyt silne, zbyt trwałe, by zanikło w tak krótkim czasie. Regulaminy cesarskich sił zbrojnych uznały miecz za oznakę władzy i uprawnień dowódców, nie tylko oficerów, ale także podoficerów. Dozwolone było wprawdzie posiadanie i używanie broni prywatnej, dziedziczonej po samurajskich przodkach, lecz z racji rzadkości i ceny takich mieczy, służyły one najczęściej generalicji i starszym oficerom, pochodzącym z arystokratycznych rodów. Co więcej, w kawalerii szabla należała do wyposażenia szeregowych żołnierzy. Z konieczności niezbędna stała się zatem przemysłowa produkcja standaryzowanej broni dla potrzeb armii. Tak narodził się guntō – miecz nowoczesny.

Starszą formą guntō był wzorowany na europejskich szablach służbowych kyū guntō, wytwarzany od roku 1875 za sprawą generała Muraty Tsuneyoshiego, stąd w jednej z odmian nazywany niekiedy Murata–to (szabla Muraty). Broń tego typu wyróżnia się już na pierwszy rzut oka nietypowym elementem rękojeści – kabłąkiem jelca, obcym rodzimej tradycji płatnerskiej. Novum stanowiła także metalowa pochwa opatrzona trzewikiem, w starszych modelach chromowana, od roku 1900 na ogół jedynie polerowana. Broń kyū guntō służyła japońskim dowódcom do roku 1935, kiedy wprowadzono, oparty na rodzimej tradycji, model shin guntō – celowo upodobniony do klasycznej broni dawnej. Narastające wówczas w społeczeństwie japońskim nastroje szowinistyczne sprzyjały bowiem odrzuceniu obcych, pogardzanych wpływów zachodnich w dziedzinie tak

Shin guntō, miecz wzorowany na tachi, świadomie powracał do odwiecznej stylistyki po okresie fascynacji wzorcami europejskimi.

prestiżowej jak broń – „duch wojownika" cesarskiej armii…

Miecze nowego typu, wzorowane na tradycyjnym, bojowym tachi, produkowane były w latach 1935-1945 początkowo w różnych wytwórniach, a od 1939 r. w nowo wzniesionej fabryce Toyokawa Kaigun Koshō (Arsenał Marynarki Wojennej w Toyokawa). Powstało wówczas szereg odmian tej broni przeznaczonych dla wojsk lądowych, marynarki wojennej, a także służb policyjnych. Bronioznawcy wyodrębniają kolejne wzory, różniące się drobnymi szczegółami. Model 94 przeznaczony dla oficerów wojsk lądowych, zdobiony był dyskretnym motywem kwiatu wiśni, emblematem cesarskiej armii. Model 95 produkowany dla podoficerów wojsk lądowych, pozbawiony był zdobień, a w wersji oszczędnościowej M. 98 (końcowy okres wojny) mosiężne okucia zastąpione zostały żelaznymi. Broń dla kadry Cesarskiej Marynarki Wojennej, określana osobnym terminem kai guntō (miecz floty), wyróżniała się nieco innym wzornictwem, a z powodów praktycznych (kontakt z silnie korozyjną wodą morską) głownie tej odmiany wykonywane bywały ze stali nierdzewnej. Oznaką stopnia w hierarchii wojskowej posiadacza miecza był barwny temblak, mocowany na metalowej głowicy rękojeści. Splot i chwast sznurków czerwonych i złotych wyróżniał generałów, czerwonych i brązowych – oficerów starszych, niebieskich i brązowych – oficerów młodszych i chorążych, a temblaki podoficerskie wykonywano z brązowej skóry.

Chociaż miecze guntō nadawały się do praktycznego użytku (poza-bojowo wykorzystywane były także do wykonywania egzekucji…), jakość głowni zdecydowanie odbiegała od rękodzielniczych, wręcz artystycznych osiągnięć tradycyjnego płatnerstwa japońskiego. Technologia przemysłowa

Kyu guntō modelu nawiązującego wyglądem do narodowych tradycji; zachodnim dodatkiem pozostaje kabłąk jelca i trzewik pochwy.

W szable uzbrojona była także cesarska żandarmeria kempeitai.

Ewolucja wzorów shin guntō w odmianie podoficerskiej, od „bogatego" wariantu początkowego (rękojeść odlewana z brązu, ozdobny jelec tsuba – u góry) do odmiany oszczędnościowej z końcowego okresu II wojny światowej (drewniana rękojeść, żelazne okucia – u dołu).

Shin guntō z dawną, kutą rzemieślniczo głownią – klasyczna „hybryda" godząca samurajskie tradycje rodu posiadacza z wymogami regulaminu.

sem mające kilkaset lat głownie, odziedziczone po przodkach, oprawione w regulaminowe, standardowe rękojeści i okucia. Na pierwszy rzut oka, ukryte w skromnej, obszytej brązową skórą pochwie, nie wyróżniały się niczym od swoich „ubogich krewnych". Swoim posiadaczom dodawały jednak ducha, przypominając o bohaterskich zasługach pradziadów i skłaniając do najwyższego poświęcenia w cesarskiej służbie…

Ulubione trofeum

Miecze klasy guntō towarzyszyły japońskim żołnierzom podczas wszystkich dwudziestowiecznych kampanii, od wojny z Rosją (1904-1905) do kapitulacji cesarskich sił zbrojnych w 1945 roku. Utrzymanie broni białej w wyposażeniu oddziałów japońskiej kawalerii raczej nie zaskakuje, również sowiecka jazda ocaliła swoje szaszki przed modernizacją i racjonalizacją uzbrojenia. Żadna jednak inna armia okresu II wojny światowej nie zachowała długiej broni białej jako oznaki przynależności do kadry dowódczej, i to na każdym szczeblu hierarchii – od podoficera do generała.

Archaiczny w dobie czołgów i samolotów oręż sprawdził się jednak rewela-

Miecz, jako oznaka dowódcy i budząca grozę broń, towarzyszył japońskim oddziałom na wielu frontach…

zapewniała wprawdzie doskonałą powtarzalność seryjnie wykonywanych elementów mieczy, a także wymaganą specyfikacjami twardość i wytrzymałość ich ostrzy, lecz walory estetyczne i emocjonalne (swoisty mistycyzm duchowej więzi pomiędzy mistrzem a jego dziełem) musiały ustąpić efektom masowego wyrobu: taniości i szybkości produkcji. W efekcie guntō spełniały więc swoją podstawową rolę broni – symbolu władzy wojskowej, lecz nie cieszyły się, zwłaszcza w kręgach potomków rodów samurajskich, uznaniem jako dzieła wielowiekowej tradycji płatnerskiej. Dlatego też powstały wyjątkowe, „hybrydowe" miecze: dawne, cza-

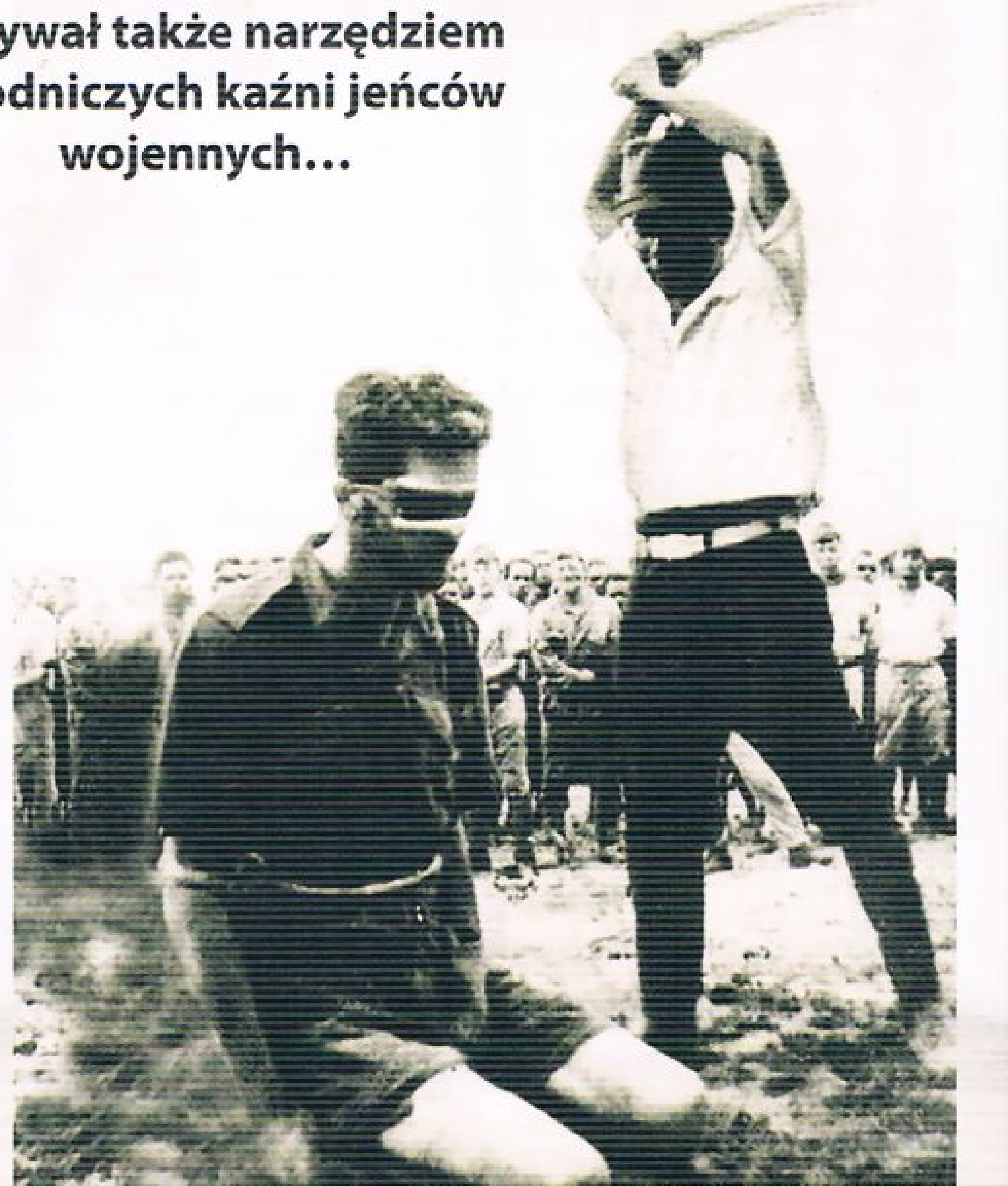

… bywał także narzędziem zbrodniczych kaźni jeńców wojennych…

cyjnie w walkach z Aliantami. Do głosu doszedł bowiem pierwiastek psychologiczny – przerażający obraz współczesnego, okrutnego samuraja nacierającego z lśniącym mieczem w dłoni, bezlitośnie ścinającego głowy jeńcom i odrąbującego kończyny rannym żołnierzom przeciwnika, skutecznie osłabiał morale oddziałów, nawet tych uważanych za wyborowe. Zginąć od pocisku czy odłamka – żołnierska rzecz, ale zostać zaszlachtowanym mieczem – zgroza!

Zapewne także dlatego wojskowe miecze japońskie stały się najbardziej cenionym trofeum wojennym, skrzętnie odbieranym jeńcom i usilnie poszukiwanym na pobojowiskach przez żołnierzy armii alianckich na wszelkich frontach Azji i Pacyfiku. Szczęśliwi znalazcy (albo nabywcy – za „szablę samurajską" chętnie płacono nie tylko gotówką, ale także deficytowymi na pierwszej linii dobrami, jak alkohol czy papierosy), chwalili się nieodmiennie „własnoręcznie zdobytym w bohaterskim boju" orężem wroga. Czasami nowi posiadacze nawet nie zdawali sobie sprawy z historycznej i kolekcjonerskiej wartości pozyskanego miecza. Niewtajemniczony, „długonosy barbarzyńca" nie potrafił bowiem odróżnić XVI czy XVII-wiecznej głowni w standardowej, regulaminowej oprawie od miecza produkowanego masowo w XX wieku.

... a dla żołnierzy alianckich stanowił cenne trofeum.

Tradycja przetrwała! Współczesny miecz marynarski kai shinsakuto towarzyszy uroczystościom Japońskich Morskich Sił Samoobrony.

Po kapitulacji Japonii, kiedy na rdzenne terytorium tego kraju wkroczyły alianckie wojska okupacyjne, skonfiskowano setki tysięcy mieczy, jako że pokonanych obowiązywał bezwzględny zakaz posiadania jakiejkolwiek broni – także białej. W tym czasie do USA, a w mniejszym stopniu do Europy, trafiły tysiące atrakcyjnych i jednoznacznie kojarzonych z Japonią „suwenirów", przywożonych przez powracających z wojny żołnierzy. Po latach pewna część tych trofeów znalazła się na rynku antykwarycznym. Pomimo niewielkiej, z bronioznawczego i estetycznego punktu widzenia, wartości mieczy guntō, popyt na nie wciąż się utrzymuje. Z tego powodu wyprodukowano trudną do oszacowania ilość doskonałych replik (niekiedy wykorzystujących autentyczne elementy z zasobów magazynowych), mniej lub bardziej udanych „podróbek" i zupełnie fantastycznych „wyrobów gunto-podobnych". Wiele z nich posiada ahistoryczne, lecz efektowne zdobienia, a zwłaszcza grawerunki i trawienia na głowniach. Trzeba wiedzieć, że XX-wieczne japońskie miecze wojskowe z reguły nie posiadały dekoracji tego typu. Niektóre egzemplarze opatrzone są naśladownictwem tradycyjnej linii hartowania, powstającej w trakcie rzemieślniczej obróbki ostrza skuwanego, a nieobecnej na przemysłowo kutych głowniach. Zakup miecza guntō wymaga zatem nie tylko pewnych zasobów materialnych, ale także wiedzy, koniecznej, by uniknąć nietrafnej inwestycji. Przydaje się także – jak zawsze w życiu – łut szczęścia. Ale na tym, między innymi, polega nieodparty urok kolekcjonerstwa...

Literatura, ilustracje:
1. E. J. Drea, „Japan's Imperial Army: Its Rise and Fall, 1853-1945". Lawrence 2009
2. R. H. Robinson, „Japanese Arms and Armor", New York1969
3. P. Jowett, „The Japanese Army 1931-45", Tom 1, Oxford 2002
4. Z. Żygulski Jr., „Broń wschodnia. Turcja, Persja, Indie, Japonia", Warszawa 1983
5. „Military Illustrated", 1995-2005

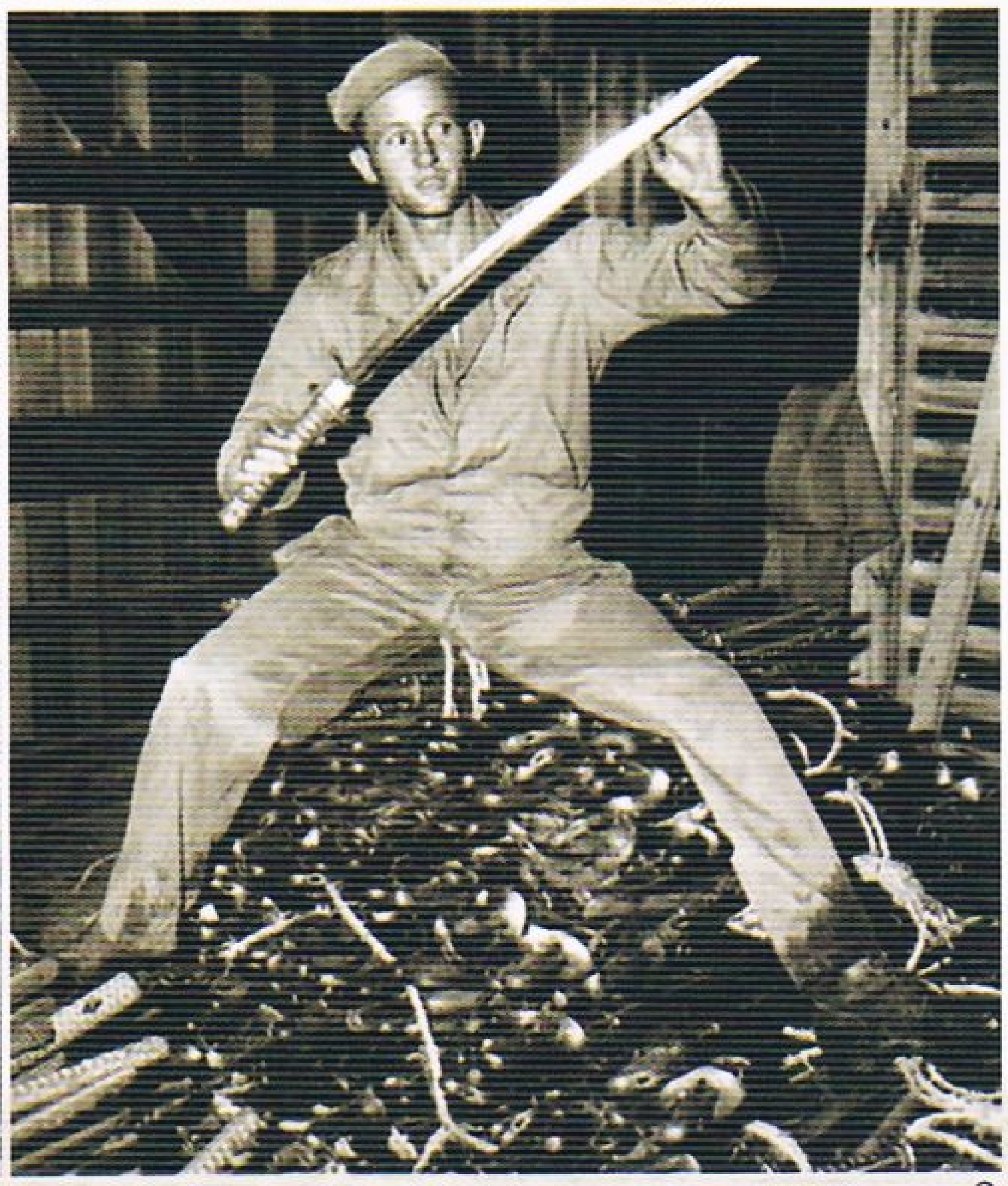

Z publikowanego w „Odkrywcy" cyklu „Legendarna broń biała" ukazały się:

» cz. 1 „:खुकुरी – Kukri ", nr 4/2015,
» cz. 2 „Nóż bojowy Fairbairn–Sykes", nr 5/2015.
» cz. 3 „Nóż bojowy Ka-Bar", nr 7/2015

Wojna od kuchni cz. 6

Niezbędniki US Army

TOMASZ BIENEK

W poprzednich odcinkach naszego cyklu prezentowaliśmy niezbędniki i sztućce, jakimi posługiwali się żołnierze niemieccy, armii brytyjskiej oraz pozostałych państw Osi. Kolejny artykuł dotyczący tematyki żołnierskich niezbędników z ostatniej wojny, poświęcimy sztućcom, których używali żołnierze amerykańscy.

Pierwsze niezbędniki w armii amerykańskiej pojawiły się po wybuchu wojny secesyjnej w 1861 roku. Wtedy właśnie Amerykanin W. H. Richards z Bostonu opatentował dwuelementowy niezbędnik ze stali. Pierwsza część miała zakończenia w formie łyżki i widelca, ale nie składała się, stanowiła jedynie rodzaj pochwy dla noża, który tworzył drugi element. Rękojeść noża była z kolei tak wyprofilowana, iż po złożeniu niezbędnika wchodziły w nią zęby widelca. Całość po złożeniu miała długość niecałych 9 cali (ok. 22 cm). Niezbędnik ten nie zrobił jednak w armii zbyt dużej kariery i używany był w bardzo ograniczonym zakresie. Podczas wojny secesyjnej zdecydowana większość żołnierzy obu stron konfliktu stosowała po prostu zwykłe domowe sztućce stołowe. O tym, że „cywilne" łyżki, noże i widelce były w powszechnym użyciu w wojsku, świadczą znaleziska na polach bitew wojny secesyjnej, eksplorowane masowo przez amerykańskich poszukiwaczy.

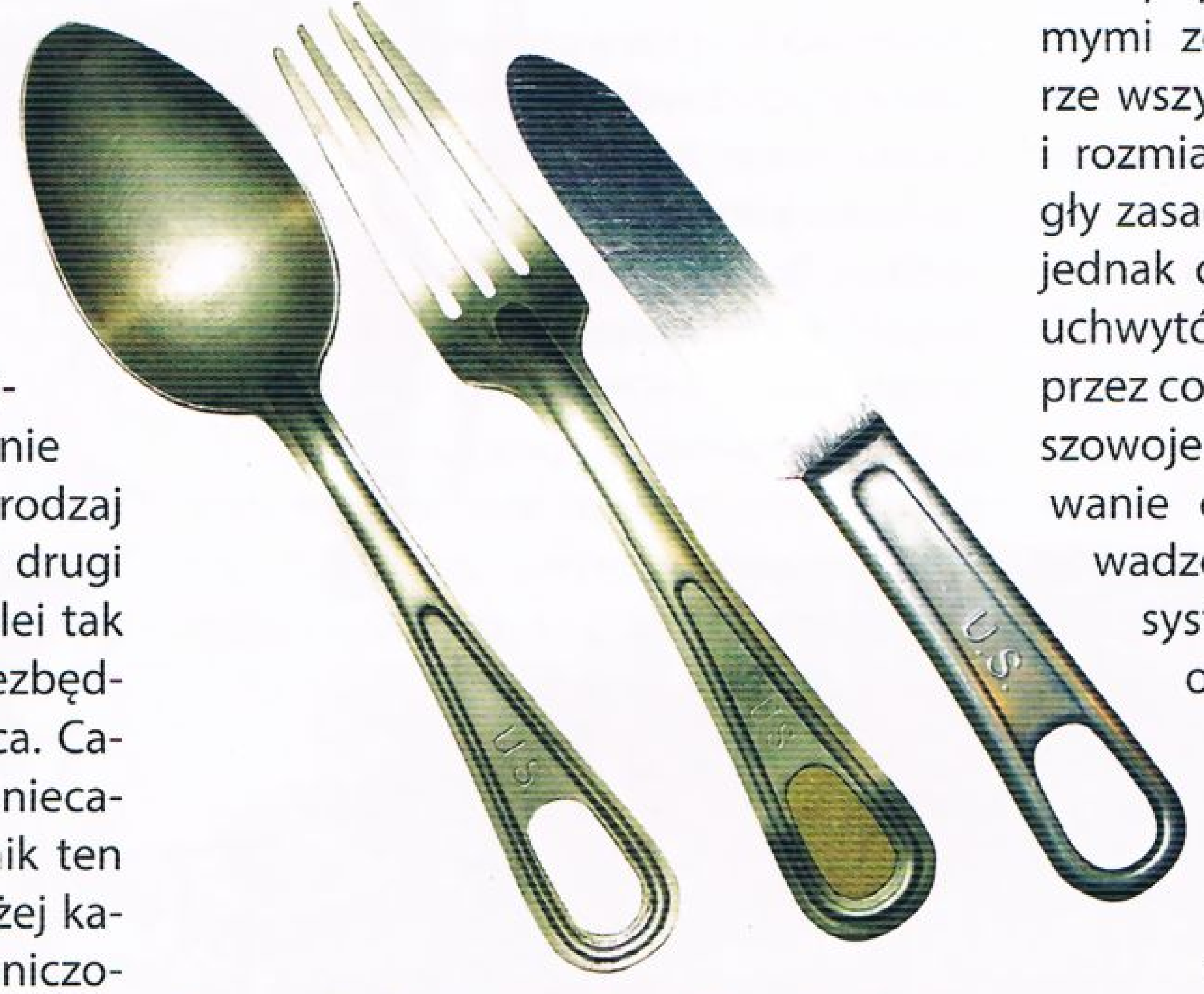

Amerykańskie sztućce z II wojny światowej mają charakterystyczny otwór umożliwiający ich mycie po spożyciu posiłku.

Standardowy zestaw sztućców US Army z czasów I wojny światowej.

Charakterystyczną cechą amerykańskich widelców z tamtego okresu jest to, iż mają one trzy zęby. Dotyczy to zarówno widelców produkowanych na rynek cywilny, jak i niezbędnika opracowanego przez Richards'a. Model ten był w zasadzie jedynym niezbędnikiem, w naszym rozumieniu tego słowa, jaki służył amerykańskim żołnierzom.

W momencie przystąpienia Stanów Zjednoczonych do I wojny światowej, żołnierzom wszystkich rodzajów sił zbrojnych wydawano standardowy zestaw, składający się oczywiście z łyżki, noża i widelca. Sztućce te miały solidne, szerokie uchwyty, na których umieszczano litery „US", świadczące o ich wojskowym przeznaczeniu. Wzdłuż brzegów uchwytów łyżki i widelca biegły charakterystyczne perforacje. Widelec był już bardziej podobny do europejskich modeli, gdyż posiadał cztery zęby. Na sztućcach umieszczano daty produkcji. Po zakończeniu I wojny światowej bardzo wiele takich zestawów, wraz z innymi elementami amerykańskiego ekwipunku polowego, trafiło do II Rzeczpospolitej, i w latach 20. sztućce te powszechnie stosowano w Wojsku Polskim. W niewielkim zakresie część z nich dotrwała w naszej armii do 1939 roku, podobnie jak niektóre amerykańskie manierki i menażki.

Niemalże identyczny zestaw otrzymywał amerykański żołnierz w czasie II wojny światowej. Podobnie jak podczas poprzedniego konfliktu takimi samymi zestawami dysponowali żołnierze wszystkich rodzajów broni. Kształty i rozmiary łyżki oraz widelca nie uległy zasadniczym zmianom, pojawiły się jednak owalne otwory na końcach ich uchwytów. To samo dotyczyło noża, przez co jego uchwyt różni się od pierwszowojennego poprzednika. Zastosowanie otworów wiązało się z wprowadzeniem w amerykańskiej armii systemu mycia menażek, kubków oraz sztućców po konsumpcji. Warto w tym miejscu poświęcić nieco uwagi temu nowatorskiemu rozwiązaniu, gdyż nie miało ono odpowiednika w żadnej armii tamtego okresu.

Już podczas I wojny światowej we wszystkich zaangażowanych w ten konflikt armiach, zwrócono uwagę, iż resztki jedzenia pozostawione we wnętrzu nie umytej menażki, psują się, w wyniku czego przy kolejnym posiłku mogą łatwo spowodować u żołnierza zatrucie żołądkowe. Wojacy po obu stronach frontu starali się czyścić swoje menażki i kubki na własną rękę – stosując przeróżne metody. W przypadku braku dostępu do wody wycierali je tym, co było pod ręką – papierem, szmatami, sianem. W trakcie II wojny światowej niewiele się pod tym względem zmieniło w Europie, jednakże nowatorscy Amerykanie rozwiązali ten istotny problem wojskowej aprowizacji, z właściwym sobie rozmachem.

Zarówno na froncie, jak i na manewrach amerykańskim kuchniom polowym (które wyglądem oraz zasadą działania przypominały raczej mobilne punkty z jedzeniem typu fast-food niż europejskie garkuchnie ciągnięte przez konie lub samochody) towarzyszyły specjal-

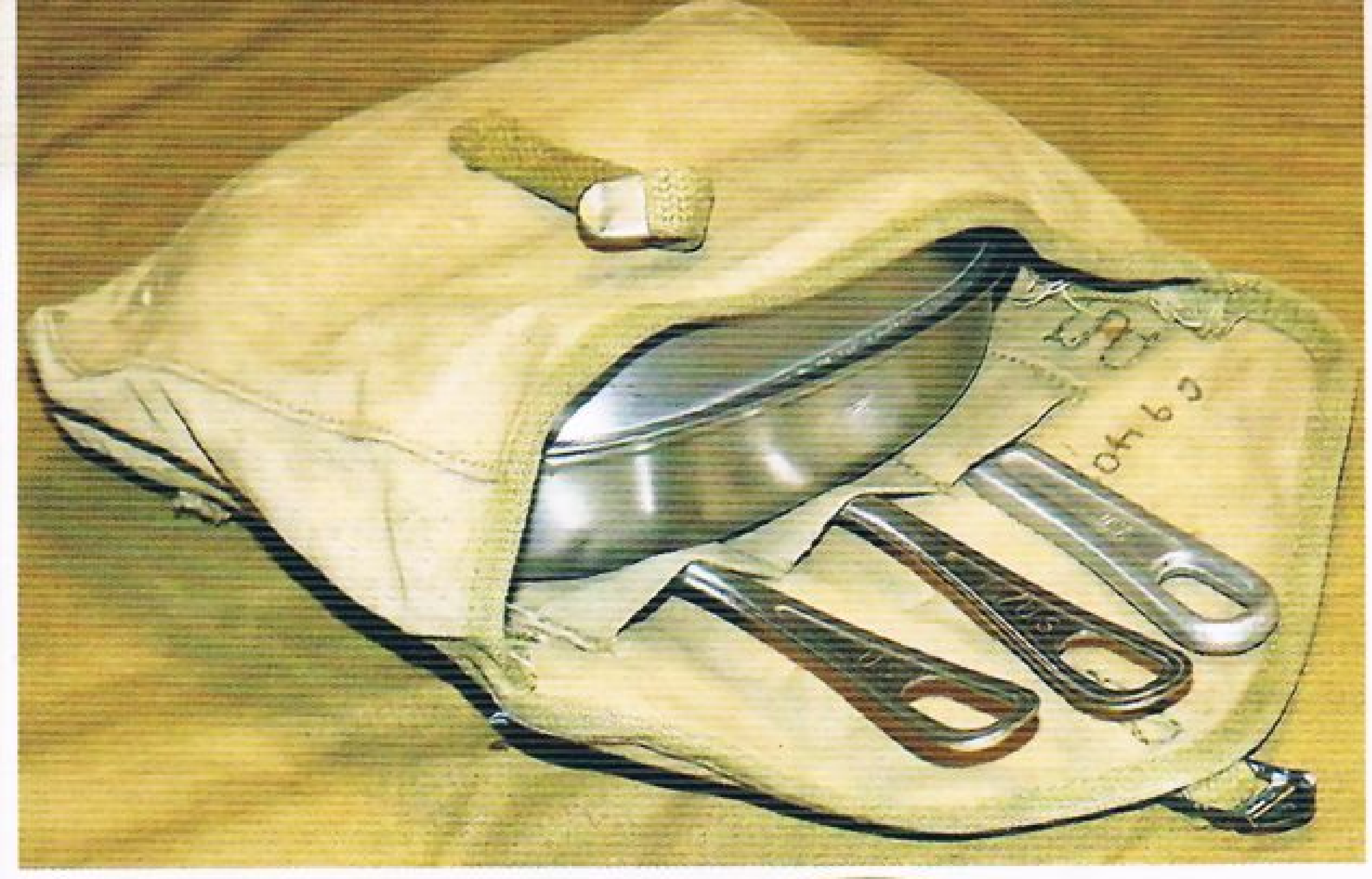

Sposób przenoszenia sztućców w pokrowcu na menażkę.

ne instalacje do mycia wszystkich elementów ekwipunku, związanego z wyżywieniem żołnierza. W skład tych systemów wchodziły kotły z ciepłą i zimną wodą oraz z dodatkiem detergentu. Na wąskim uchwycie dolnej części menażki zawieszano jej pokrywkę (dzięki pierścieniowi pomiędzy jej komorami) oraz nakładano każdy ze sztućców, co umożliwiały otwory przy uchwytach. Żołnierze kolejno przechodzili wzdłuż pojemników z wodą, zanurzając w nich swój kuchenny ekwipunek, trzymając całość za koniec długiego uchwytu menażki. Dzięki takiej „kąpieli" pozbywano się zanieczyszczeń w postaci resztek posiłku.

Drugowojenne sztućce US Army produkowano głównie z nierdzewnej stali. Uchwyty noży były natomiast aluminiowe, choć istniała rzadka, obecnie bardzo poszukiwana przez kolekcjonerów, wersja noża, w której rękojeść wykonana była z brązowego plastiku. Żołnierze nosili swoje sztućce wewnątrz menażki lub w oddzielnych kieszeniach po wewnętrznej stronie pokrowca na menażkę.

O „fast-foodowym" charakterze aprowizacji amerykańskiej armii podczas ostatniej wojny świadczą też jednorazowe sztućce wchodzące w skład racji K. Oprócz konserw, kawy, batoników, czekolady, a nawet porcji papieru toaletowego, racje te zawierały drewniane łyżki i widelce o długości ok. 10 cm. Służyły do jednorazowego użytku przy spożywaniu zawartości owego pakietu. Po konsumpcji wraz z pustymi opakowaniami były wyrzucane, aby żołnierz w warunkach polowych nie zaprzątał sobie głowy brudnym widelcem czy łyżką. Udogodnienia tego typu z pewnością wyróżniały amerykańskich żołnierzy na tle pozostałych armii. Amerykańscy sztabowcy dość wcześniej odkryli, że aprowizacja i jakość racji żywnościowych ma pierwszorzędne znaczenie, bowiem pozytywnie wpływa na morale wojska i jego wolę walki.

Uzupełnienie sztućców stanowiły otwieracze do konserw, przy czym należy wspomnieć, iż znaczna większość konserw dostarczanych amerykańskim żołnierzom była tak zaprojektowana, iż nie wymagała osobnego otwieracza. Puszki miały przylutowane kluczyki, na który nawijano pasek blachy będący fragmentem opakowania, otwierając w ten sposób puszkę. W przypadku konserw innego typu żołnierze posługiwali się kieszonkowymi otwieraczami, które dla wojska opracowała firma Bloomfield's z Chicago. Model ten podczas wojny produkowało jeszcze kilku innych wykonawców, m.in.: J.W. Speaker Corporation, Washburn Corporation, Mallin Hardware Shelby, Ohio. Na wyposażenie armii amerykańskiej przyjęto go w 1942 roku pod symbolem „otwieracz puszek P-38" (US Army P-38 pocket can opener). Otwieracz miał zaledwie 38 mm długości i to właśnie było powodem jego oficjalnej, wojskowej nazwy, jednak żołnierze szybko zaczęli kojarzyć to oznaczenie z typem myśliwca dalekiego zasięgu Lockheed P-38 Lightning, co skutkowało szeregiem nieformalnych określeń otwieracza.

Z kolei w piechocie morskiej otwieracz ten nazywano „John Wayne", zapewne ze względu na wytrzymałość i niezawodność – czyli cechy postaci odgrywanych przez aktora. Istnieje też legenda, według której ta slangowa nazwa miała swój początek w instruktażowym filmie, w którym właśnie John Wayne miał rzekomo pokazywać, jak prawidłowo posługiwać się otwieraczem. Nie ma jednak żadnych dowodów na to, że taki film powstał.

Otwieracze wchodziły w skład racji K oraz racji C. Umieszczano je w papierowych torebkach, na których widniała instrukcja obsługi.

Amerykański otwieracz P-38 szybko skopiowali Australijczycy i Nowozelandczycy, wkrótce w ich ślady poszli Brytyjczycy, także doceniając pomysłowość amerykańskiego patentu. Australijska wersja otwieracza była dłuższa od amerykańskiej. Koniec uchwytu był wyprofilowany w kształcie łyżeczki. Żołnierze australijscy nazywali swoją wersję P-38 mianem „Fred", co było skrótem od frontowego miana „Fucking Ridiculous Eating Device" (k…wsko śmieszny przyrząd do jedzenia). W latach wojny bardzo podobny do P-38 otwieracz, z całą pew-

Kantynowa łyżka amerykańska, sygnowana „US". Producent: Wallace N.S.

Widelec marynarki, oznaczony „U.S.N.", producent: Reed&Burton.

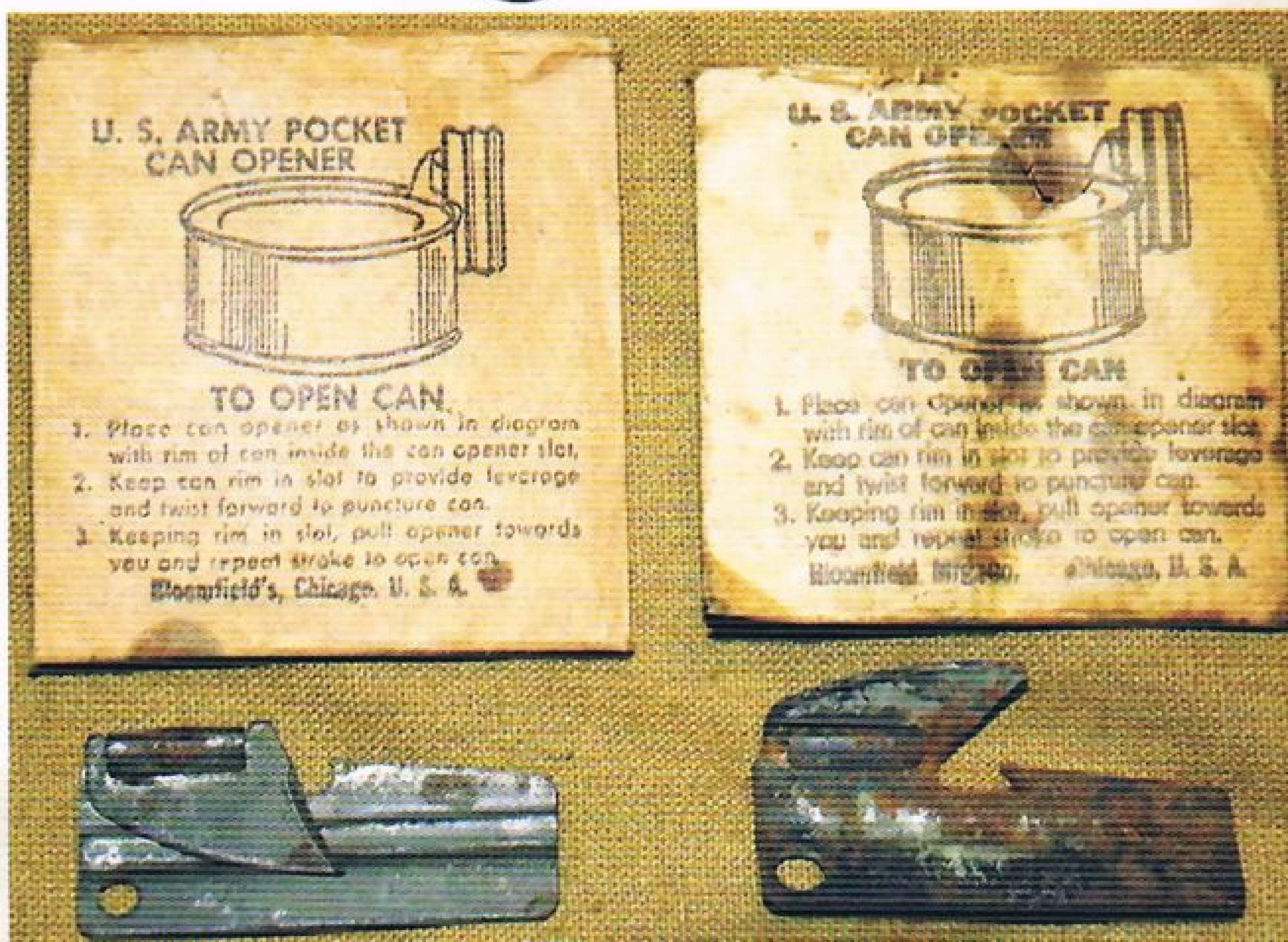

Dwa wojenne otwieracze „John Wayne", produkcji firmy Bloomfield's z Chicago.

Widelec starego typu dla służb medycznych; sygnowany na uchwycie „USAMD". Producent: Reed&Burton.

Widelec i łyżeczka z zastawy nowego typu dla służb medycznych. Na widelcu tajemnicza sygnatura „B13P", nabita wtórnie, być może w Polsce.

nością skopiowany od Amerykanów, produkowali też Niemcy.

W armii amerykańskiej otwieracz P-38 przetrwał do lat 80., co świadczy o jego zaletach, chociaż po wojnie w armii pojawił się bardzo podobny, nieco jednak większy, otwieracz P-51. Otwieracz „John Wayne" trafił też na rynek cywilny i doczekał się swoich klonów w wielu krajach (m.in. w PRL). Na całym świecie produkowany jest do dzisiaj. Trzeba dodać, iż w trakcie II wojny wśród żołnierzy amerykańskich zdarzały się oczywiście także rozmaite „cywilne" otwieracze lub scyzoryki zabierane z domów.

Wśród amerykańskich sztućców, oprócz opisanych wyżej polowych zestawów, istniały też sztućce kantynowe. Na froncie używane były jednak w bardzo ograniczonym zakresie (w przeciwieństwie do Niemców, którzy z braku niezbędników bardzo często, na pierwszej linii, posługiwali się sztućcami kantynowymi). W armii amerykańskiej wykorzystywano je raczej na lotniskach, w stołówkach i kantynach przy bazach wojskowych itd. Miały wygląd zwykłych elementów stołowej zastawy, produkowano je jednak z wysokiej jakości metali i sygnowano literami „US" – potwierdzającymi wojskowe przeznaczenie. Na podobnych sztućcach stosowanych na pokładach okrętów, umieszczano z kolei litery „U.S.N." (United States Navy).

Osobną grupę tworzą sztućce używane w szpitalach, wykorzystywane przez służby medyczne. Oznaczano je zawsze skrótami: „USAMD" lub „Med. Dept. USA" – od USA Medical Department. Najwięcej tego typu sztućców trafiło zaraz po wojnie do Polski oraz innych krajów europejskich wraz z dostawami z UNRRA, czyli United Nations Relief and Rehabilitation Administration. Organizacja ta została utworzona przez Narody Zjednoczone w 1943 roku, a jej zadaniem było dostarczanie pomocy obszarom wyzwolonym w Europie oraz Azji po zakończeniu II wojny światowej. Z kolei spora część polowych sztućców amerykańskich dotarła na nasze ziemie wraz z Armią Czerwoną, gdyż w ramach szeroko zakrojonej pomocy ze strony Stanów Zjednoczonych do ZSRR dostarczano nie tylko czołgi czy samoloty, lecz także manierki, menażki oraz inny sprzęt tego typu. To jednak już zupełnie inne zagadnienie.

Żołnierze amerykańscy jadąc na wojnę zabierali z domu różne otwieracze cywilne. Widoczny na zdjęciu otwieracz, noszący zabawne hasło: „nie wyrzucaj mnie, jestem najszybszym i najlepszym otwieraczem" odnalazł na pobojowisku na Linii Gotów w północnych Włoszech kolekcjoner Roberto Licciardello, za sprawą którego przedmiot ten trafił do mojej kolekcji, za co oczywiście jestem znalazcy dozgonnie wdzięczny.

zdarzyło się...

12 VIII 1877 r.

137 lat temu amerykański wynalazca Thomas Edison skonstruował urządzenie nazwane „mówiącą maszyną", zdolne do rejestrowania i odtwarzania dźwięku. Pierwszym nagranym w ten sposób utworem była popularna piosenka dla dzieci „Mary Had a Little Lamb". W owym „fonografie" dźwięk zapisywano przy pomocy diamentowej igły na cynowej folii nawiniętej na stalowy walec. Wynalazek Edisona był dalekim przodkiem współczesnych gramofonów i magnetofonów.

ZDJĘCIA: PREZENTOWANE EKSPONATY POCHODZĄ Z KOLEKCJI TOMASZA BIENKA I DANIELA BIENKA.

Literatura:
1. G. Rottman, R. Volstad, „U.S. Army Combat Equipments 1910-1988", Osprey Publishing Ltd. 1989
2. H.-P. Enjames, „GI Collector's Guide", Vol. I: „U.S. Army European Theater of Operations Army Service Forces Catalog", HISTOIRE & COLLECTIONS 2009
3. H.-P. Enjames, „GI Collector's Guide", Vol. II: „U.S. Army European Theater of Operations Army Service Forces Catalog", HISTOIRE & COLLECTIONS 2008
4. R. Fisch „Field equipment of the Infantry 1914-1945", A Greenberg Publication 1989

Z publikowanego w „Odkrywcy" cyklu „Wojna od kuchni" ukazały się:

» cz. 1 „Pili sake, jedli ryż… czyli japońska wojna od kuchni", nr 3/2015,
» cz. 2 „Kultowe napoje gazowane po obu stronach frontu czyli Coca-Cola kontra Afri-Cola", nr 4/2015.
» cz. 3 „Niezbędniki Wehrmachtu 1939-1945 (cz. 1)", nr 5/2015
» cz. 4 „Niezbędniki Wehrmachtu 1939-1945 (cz. 2)", nr 6/2015
» cz. 5 „Niezbędniki brytyjskie 1939-1945", nr 7/2015

Tomasz Piotr Bienek

Entuzjasta historii obu wojen światowych, kolekcjoner żołnierskiego ekwipunku z lat 1914-1945, miłośnik fantastyki i fan rockowej muzy, polskich gór i polskiego morza. Z wykształcenia humanista, z doświadczenia zawodowego – reporter w prasie codziennej. Autor rubryki „Wojna od kuchni" w „Odkrywcy". Wyznawca maksymy stworzonej i wyśpiewanej przez Marka Grechutę: „ważne są dni, których jeszcze nie znamy".

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

Wiesław Gogan, „2 Pułk Szwoleżerów Rokitniańskich", opr. twarda, str. 542, wyd. Bernardinum. Cena: 99 zł

Niniejsza monografia jest bezcennym źródłem wiedzy o jednym z trzech szwoleżerskich pułków okresu międzywojennego, który w latach 1926-1939 stacjonował w Starogardzie. Autor kompleksowo przedstawił rodowód pułku i jego dzieje oraz ukazał go na tle życia niewielkiego wówczas miasteczka na pograniczu z Wolnym Miastem Gdańsk. To opowieść o ludziach, którym należy się cześć i pamięć. Wielu z nich opuszczając we wrześniu 1939 r. Starogard nigdy do niego nie powróciło; spoczywają z dala od bliskich, często w nieznanych mogiłach. Nie było w Europie frontu II wojny światowej, na którym nie walczyli – i nie ginęliby Szwoleżerowie Rokitniańscy.

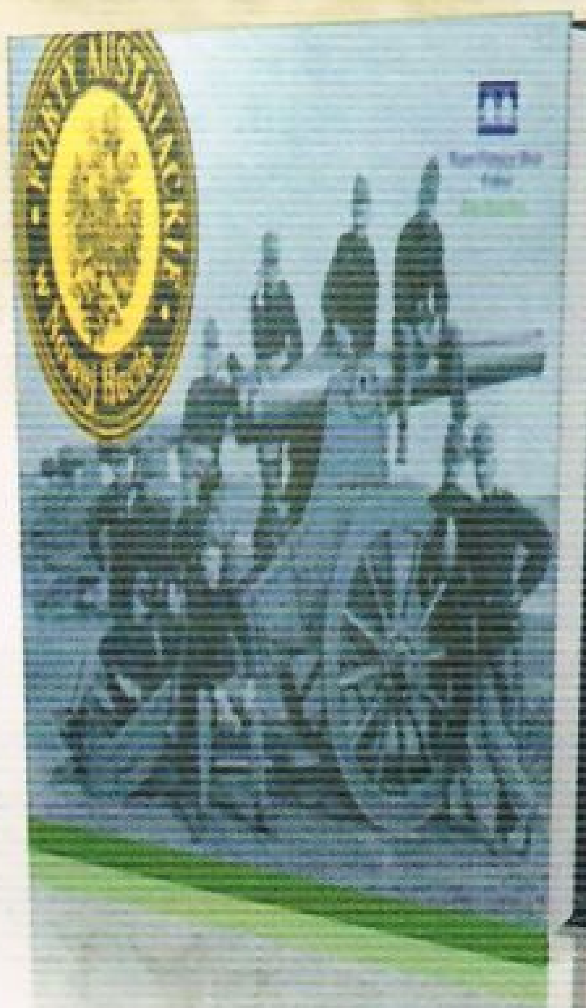

Marcin Baran, „Forty austriackie w Nowej Hucie", opr. miękka, str. 132, wyd. Muzeum Historyczne Miasta Krakowa. Cena: 45 zł

Muzeum Historyczne Miasta Krakowa w swym nowohuckim oddziale przygotowało wystawę poświęconą Nowej Hucie. Przedmiotem ekspozycji zostały austriackie fortyfikacje zbudowane od 1864 do 1914 r. na terenach położonych na wschód od Krakowa, które od 1949 włączane były do Nowej Huty. Na wystawie zaprezentowano wszystkie forty z pięciu dzielnic Krakowa, które składają się na Nową Hutę: XIV Czyżyny, XV Mistrzejowice, XVI Bieńczyce, XVII Wzgórza Krzesławickie. Niniejsza publikacja jest próbą uzupełnienia i poszerzenia zakresu tematycznego wspomnianej wystawy. Katalog obszerniej niż ekspozycja przedstawia niektóre jej części. Osobną częścią publikacji są wspomnienia praktyków, dzięki którym odrestaurowano i przywrócono lokalnym społecznościom forty. Trzecią część katalogu stanowi zestawienie archiwalnych planów architektonicznych, fotografii sprzed ponad stu lat oraz fotografii współczesnych towarzyszących krótkim opisom każdego z fortów.

Michał Młotek, „Noc Patagonów", opr. miękka, str. 142, wyd. Księgarnia Poszukiwacza Szekla Bis. Cena: 29,90 zł

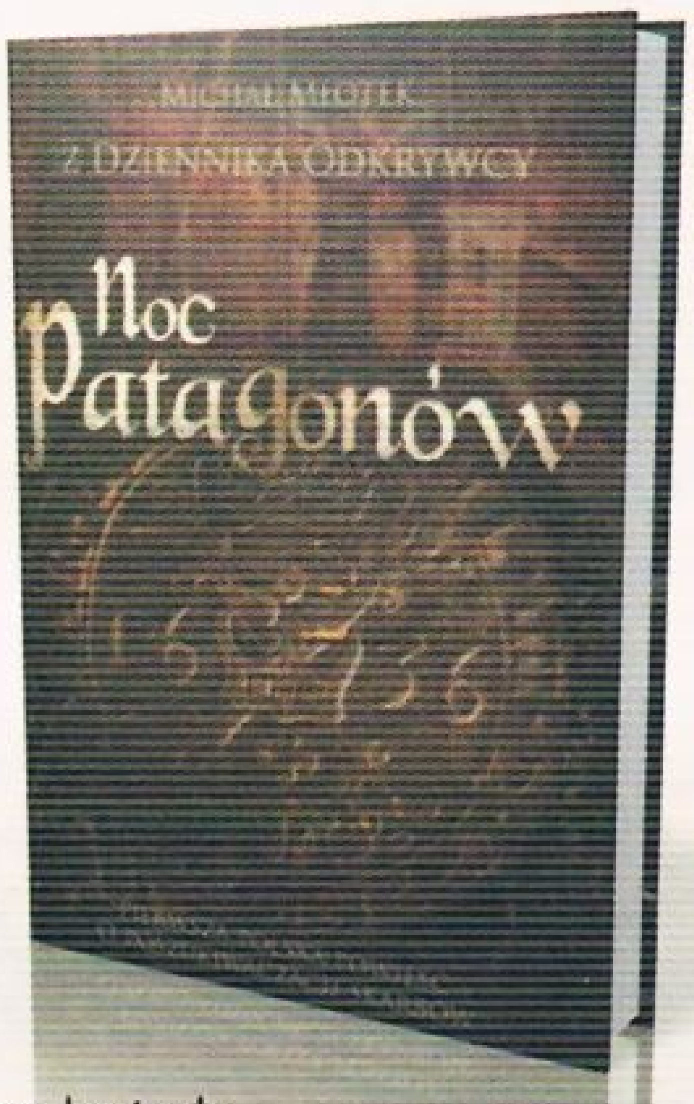

Pierwsza polska powieść o poszukiwaczach skarbów. Każdego dnia setki odkrywców z wykrywaczami metalu kluczą śladami bezimiennych kupców, rycerzy, rzemieślników, kurierów, awanturników i żołnierzy. W pogoni za historią przemierzają rozległe pola i gęste lasy. Eksplorują miejsca bitew i stare trakty. W skupieniu penetrują zapomniane ruiny, resztki okopów i rozstaje dróg. Odnajdując zagubione, porzucone bądź ukryte przedmioty, zapełniają białe plamy na kartach historii. Poszukiwanie skarbów to dla nich więcej niż pasja. To misja i obowiązek. Szlachetna służba na rzecz historii. W Polsce – w większości ignorowani, lekceważeni i niedoceniani – działają na peryferiach nauki i granicy prawa, w nierównej konfrontacji z rutyną biurokracji. Ta książka to opowieść o kilku z nich..

Andrzej Drzewiecki, Łukasz Różycki „Militaria Pomorskie (XIX-XX wiek)", opr. twarda, str. 892, wyd. NapoleonV. Cena: 220 zł

„Militaria Pomorskie (XIX-XX wiek)" – to najnowsza publikacja, poświęcona fortyfikacjom na Pomorzu. Autorzy, Andrzej Drzewiecki i Łukasz Różycki, na niemal 900 stronach omawiają i pokazują dzieła inżynieryjne i ich zmiany na przestrzeni stuleci. To pierwsze tak monumentalne dzieło poświęcone temu tematowi. Ogromną część książki (ok. 610 stron), zajmują fotografie pomorskich militariów, wykonane współcześnie i (jak zaznaczają autorzy), bez retuszu. Uwagę przykuwają ciekawe aneksy, mapy i rekonstrukcje graficzne wybranych obiektów militarnych.

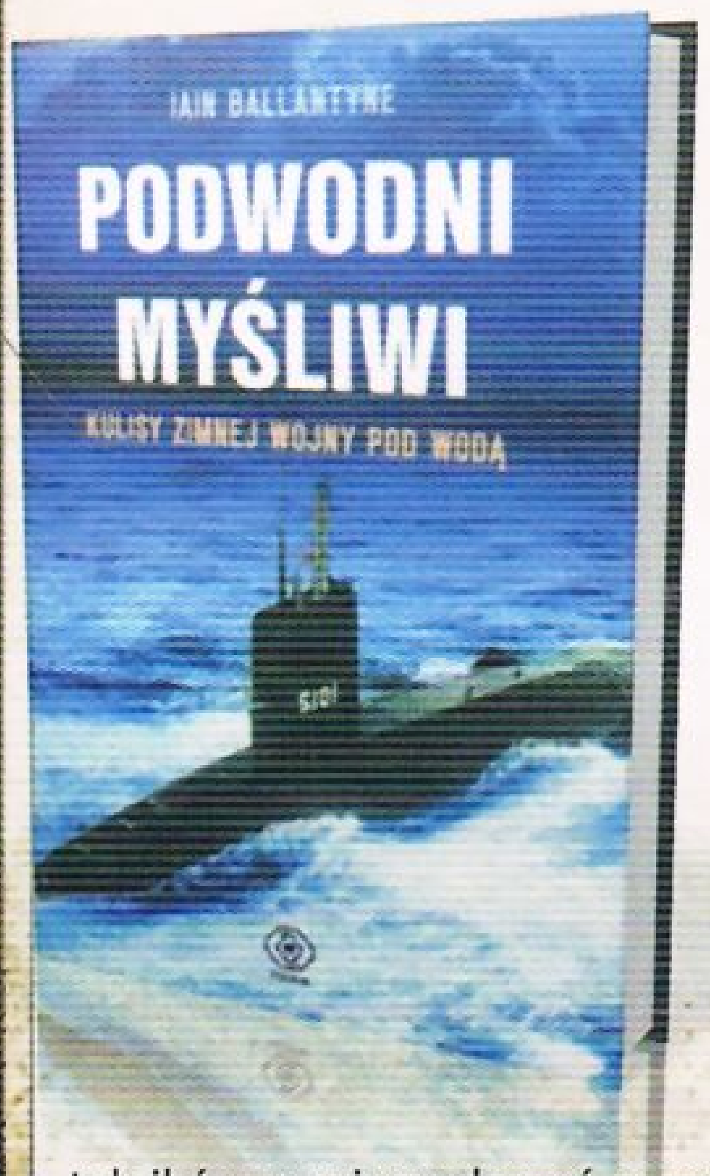

Iain Ballantyne, „Podwodni myśliwi. Kulisy zimnej wojny pod wodą", opr. twarda, str. 576, wyd. Rebis. Cena: 52,50 zł

Po raz pierwszy opowiedziana sensacyjna historia tajnej wojny podwodnej Royal Navy z sowieckimi okrętami. Kiedy po zakończeniu II wojny światowej stosunki między Zachodem i Wschodem przypominały wzbierającą burzę, głęboko pod powierzchnią Atlantyku i Morza Barentsa na ogromna skalę toczyły się zimnowojenne gry. Niebezpieczne wyprawy pod lodem i przemykanie przez płytkie kotwicowiska, z pociskami zdolnymi zgładzić ludzkość –ta porywająca opowieść z okresu zimnej wojny między ZSRR a NATO rzuca czytelników w wir wydarzeń rozgrywających się od kanału La Manche do Arktyki.

Józef Beck, „Wspomnienia o polskiej polityce zagranicznej 1926-1939", opr. miękka, str. 478, wyd. Historyczna. Cena: 44 zł

Wspomnienia ministra spraw zagranicznych Józefa Becka składające się z trzech szkiców: Preliminaria do wojny 1939 r., Komentarze do dyplomatycznej historii wojny 1939, oraz najkrótszy, niedokończony – 20 lat polityki międzynarodowej. Fragmenty studium… Zostały one podyktowane przez Józefa Becka w czasie internowania Rumunii na przełomie 1939/40 oraz w ostatni, w marcu 1943 roku. Obecna edycja, oparta na wydaniu paryskim z 1990 r., w benedyktyńskim opracowaniu prof. Anny Marii Cienciały, została gruntownie przejrzana, poprawiona i uzupełniona, jak również wzbogacona obszernym materiałem ikonograficznym dokumentującym koleje życia i kariery politycznej autora szkiców. Ponadto zawiera ona krótkie omówienie dorobku naukowego prof. Cienciały, pióra prof. Marka Kornata oraz posłowie do wydania krajowego. Całość dopełnia obszerny aneks zwierający 36 dokumentów źródłowych, o fundamentalnym znaczeniu dla polskiej polityki zagranicznej w latach 1918-1939, od artykułów Traktatu Wersalskiego po korespondencję Józefa Becka z okresu internowania w Rumunii.

Znajdź nas na
www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

odk księgarnia odkrywcy

„Cztery historie nr 1(2) 2015. Dziedzictwo historyczne w Polsce", opr. miękka, str. 130, wyd. Studio Projektowe – Arkadiusz Woźniakowski. Cena: 24,90 zł

Drugi numer czasopisma „4 Historie" ukazuje się niemal 4 lata po pierwszym. W numerze znalazły się artykuły dotyczące przede wszystkim fortyfikacji i militariów. Spis treści: Wrocławskie schrony doby PRL, Fortyfikacje odcinka Bystra-Chabówka z 1939 w świetle dokumentów i badań terenowych, Twierdza Przemyśl – fort IV „Optyń", Zastosowanie niemieckiej płyty 4 cm w fortyfikacji niemieckiej w latach 1932-1936, Pozycja Pomorska w latach 1931-1933, Schron dowodzenia w Wałczu, Forteczna prowokacja gliwicka, Niemieckie umocnienia na Wschodzie 1944-1945. Rozkaz rozbudowy z 27 lipca 1944 r., Stellungsbau. Uwagi o budowie pozycji z 1930 r., Czołgi w boju. Działania 42. Brygady Pancernej Gwardii pod Trzcianą i Dobrzycami 20-21 stycznia 1945 r., Pancerze okresu międzywojennego. Kopuła obserwacyjno-bojowa GFM Model 1929 typu A.

Adam Czabański, „Wspomnienia mieszkańców Junikowa z wydarzeń ze stycznia i lutego 1945 roku", opr. miękka, str. 252, wyd. Pomost. Cena: 37,40 zł

Prezentowana publikacja należy do serii „Festung Posen 1945". Praca zawiera 40 relacji mieszkańców Junikowa, którzy doświadczyli okropności przejścia frontu i wkroczenia do Junikowa wojsk sowieckich. Autorami wspomnień byli ludzie wówczas bardzo młodzi. Przeważa tu zatem perspektywa patrzenia na minione wydarzenia oczami ówczesnych nastolatków. Zebrane relacje poddane zostały analizie socjologicznej z zastosowaniem metody biograficznej. Mieszkańcy Junikowa w trakcie walk frontowych zetknęli się z licznymi sytuacjami traumatycznymi. Byli świadkami śmierci współmieszkańców lub żołnierzy walczących stron. W umysłach dzieci i młodych pozostawiło to niezatarte piętno.

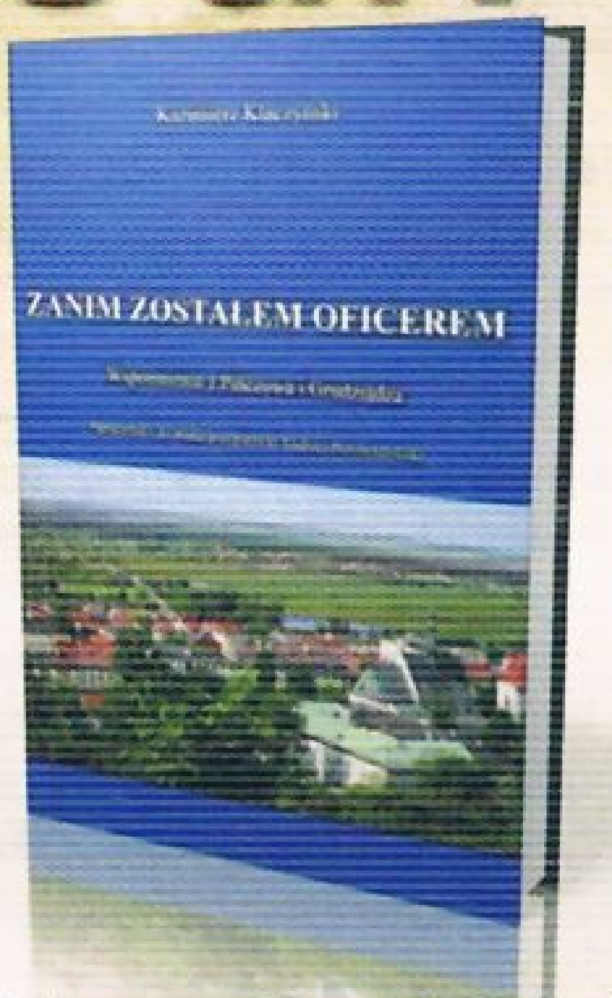

Kazimierz Klaczyński, „Zanim zostałem oficerem. Wspomnienia z Pińczowa i Grudziądza", opr. miękka, str. 208, wyd. historyczna.pl. Cena: 21 zł

Jest to pierwsza część wspomnień Kazimierza Klaczyńskiego, pt. „Zanim zostałem oficerem. Wspomnienia z Pińczowa i Grudziądza" (Radomyśl Wielki, 2015). Wspomnienia opracował i do druku przygotował radomyski historyk dr Andrzej Przybyszewski. Dwa lata wcześniej wydał on wspomnienia Klaczyńskiego obejmujące okres jego służby w 9. Pułku Ułanów w kresowej Trembowli („Służyłem w najlepszym Pułku. Wspomnienia oficera 9. Pułku Ułanów Małopolskich"). Tym razem Autor wspomnień cofa się w czasie do lat dzieciństwa i młodości. Swoim barwnym językiem opisuje przeżycia z czasów I wojny światowej w Pińczowie, następnie pobyt rodziny w Szczucinie, okres nauki w pińczowskim Gimnazjum, wreszcie okres nauki w grudziądzkiej Szkole Podchorążych Kawalerii. Wspomnienia kończą się opisem promocji oficerskiej w 1934 roku.

Julian Bartosz, „Od mitu do zbrodni. Jak powstała nacjonalistyczna ideologia Adolfa Hitlera?", opr. miękka, str. 138, wyd. Agencja Wydawnicza CB. Cena: 23,50 zł

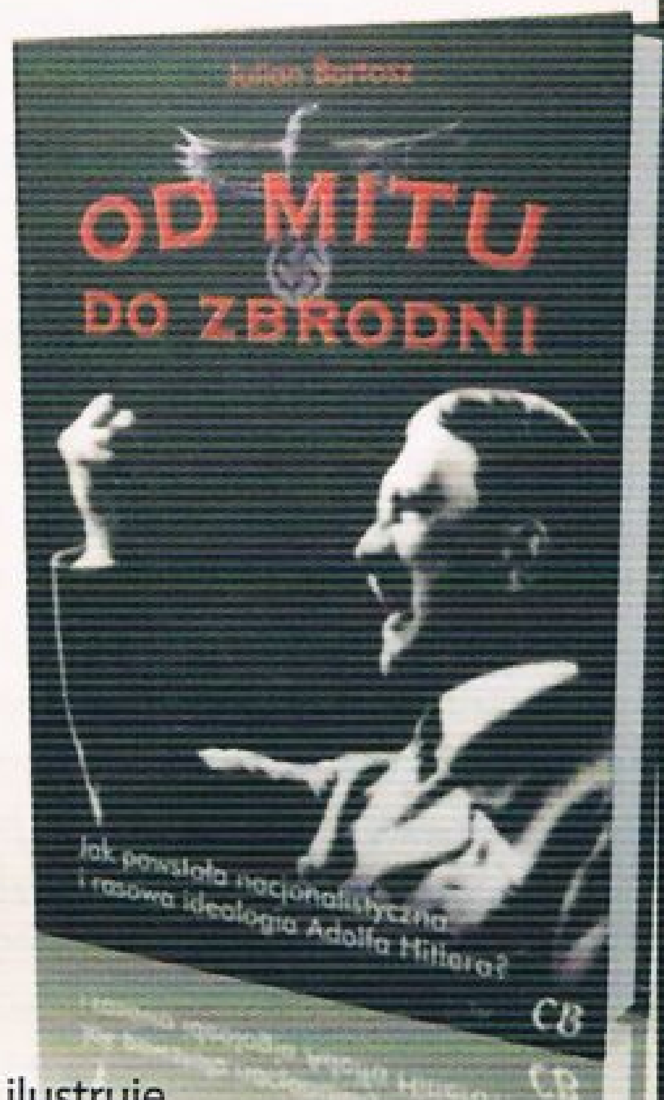

Książka ta jest opowieścią o tym, jak z napisanego w I wieku n.e. moralitetu „Germania" Publiusza Korneliusza Tacyta napisanego w I wieku n.e., zachwalającego gnuśnym Rzymianom cnoty bitnych i groźnych Germanów z północy, rozwinął się mit wywodzący pochodzenie Niemców od czasów prehistorycznych. Autor opisuje, jak bajanie o dziejowej misji Niemców doprowadziło do powstania nacjonalistycznych i rasistowskich teorii, a następnie do zbrodni III Rzeszy. Autor książki, ludobójczy nacjonalizm i rasizm ilustruje postaciami Heinricha Himmlera i intelektualistów niemieckich, którzy wspomagali, a następnie w wielu przypadkach realizowali jego politykę jako wysocy rangą funkcjonariusze SS. Doszczętnie skompromitowany mit został odrzucony po klęsce tzw. tysiącletniej Rzeszy przez nowe pokolenie Niemców. Czy jego korzenie zostały jednak całkowicie wyrwane?

Roman Kochnowski, „Niemieckie działania krążownicze w latach 1939-1942", opr. miękka, str. 392, wyd. Inforteditions. Cena: 44,50 zł

Niemieckie działania krążownicze w pierwszych latach II wojny światowej opierały się w znacznej mierze na sukcesach cesarskiej marynarki z czasów pierwszego globalnego konfliktu. Wyczyny takich okrętów jak SMS „Emden" czy SMS „Wolf" były przedmiotem zainteresowań sztabowców wielu flot świata i zostały szczegółowo opisane w monumentalnym dziele autorstwa admirała Ericha M. Raedera. Jest zatem rzeczą zdumiewającą, że działania krążownicze prowadzone przez Kriegsmarine w czasie II wojny światowej nie zostały opisane w jednej monografii. O ile nie brakuje opracowań dotyczących akcji pojedynczych okrętów, o tyle ujęcia syntetyczne powstały wyłącznie w odniesieniu do akcji okrętów pancernych i zamaskowanych krążowników pomocniczych. Prezentowana publikacja w pewnym stopniu uzupełnia te braki w literaturze.

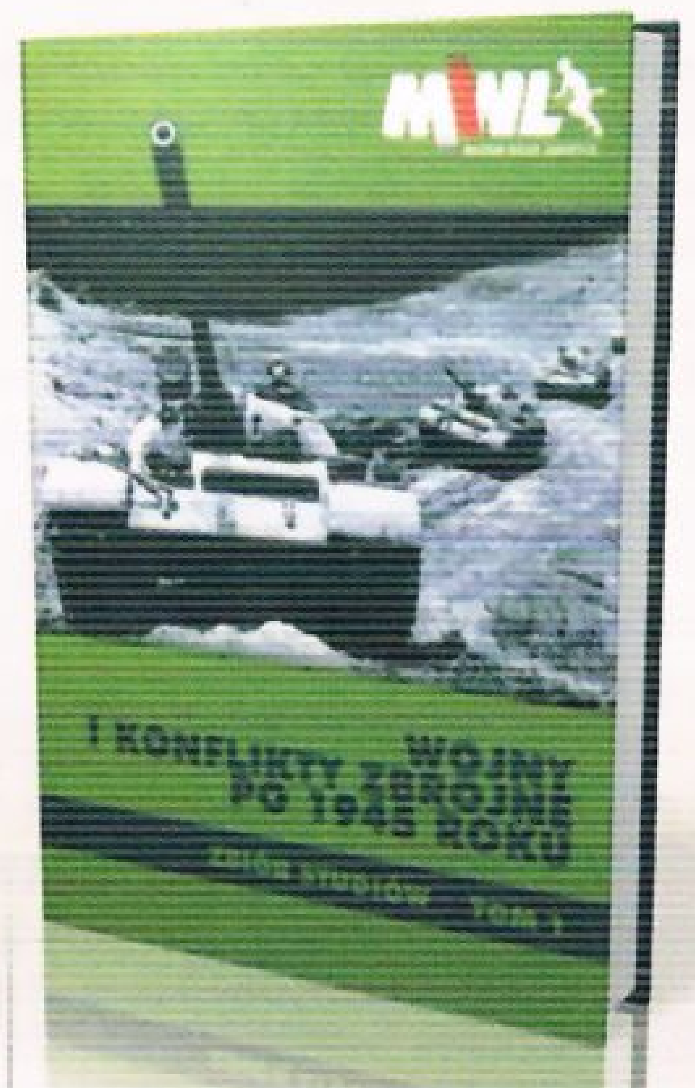

„Wojny i konflikty zbrojne po 1945 roku. Zbiór studiów tom 1", opr. miękka, str. 286, wyd. Muzeum Wojsk Lądowych. Cena: 21 zł

W wydanej przez Muzeum Wojsk Lądowych pracy znalazły się następujące studia i artykuły: „Wietnam" Gamala Nasera. Egipska inwazja w Jemenie Północnym 1962-1967; Bitwa pod Ap Bac 1963; Wojsko Polskie w operacji „Dunaj"; Pierwsze 48 godzin operacji „Desert storm"; Udział Wojska Polskiego w operacjach pokojowych na Bliskim Wschodzie po zakończeniu zimnej wojny; Znaczenie misji pokojowych i stabilizacyjnych dla budowania ładu politycznego i społeczno-gospodarczego w Demokratycznej Republice „Konga"; Operation Unified Protector (OUP) – wnioski i doświadczenia; Kamil Matuszewski – wspomnienia z VI zmiany PKW Afganistan; Potencjał wojskowy Republiki Białoruś na początku drugiej dekady XXI wieku; Operacja krymska – rosyjska koncepcja wojny hybrydowej.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub 42 634 89 93 (24 h – automat) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

ODK

kolekcja ODKRYWCY

WOJCIECH STOJAK „OSTATNI »KLUB POSZUKIWACZY SKARBÓW« I INNE OPOWIEŚCI”.
To lektura obowiązkowa dla każdego miłośnika historii. Nie wystarczy jej polecić – bo rekomendować można dobry artykuł lub film. Ją należy przeczytać. Do książki dołączona jest płyta z nagraniem jednego z odcinków „Klubu Poszukiwaczy Skarbów”.

26,-

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET”
Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Bogato ilustrowana ukazuje wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych, starych i zniszczonych wyrobów metalowych w tym, wydobytych z ziemi.

35,50

36,-

Niezwykle elegancki pendrive USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

6,-

ORYGINALNA SMYCZ „ODKRYWCY”
Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

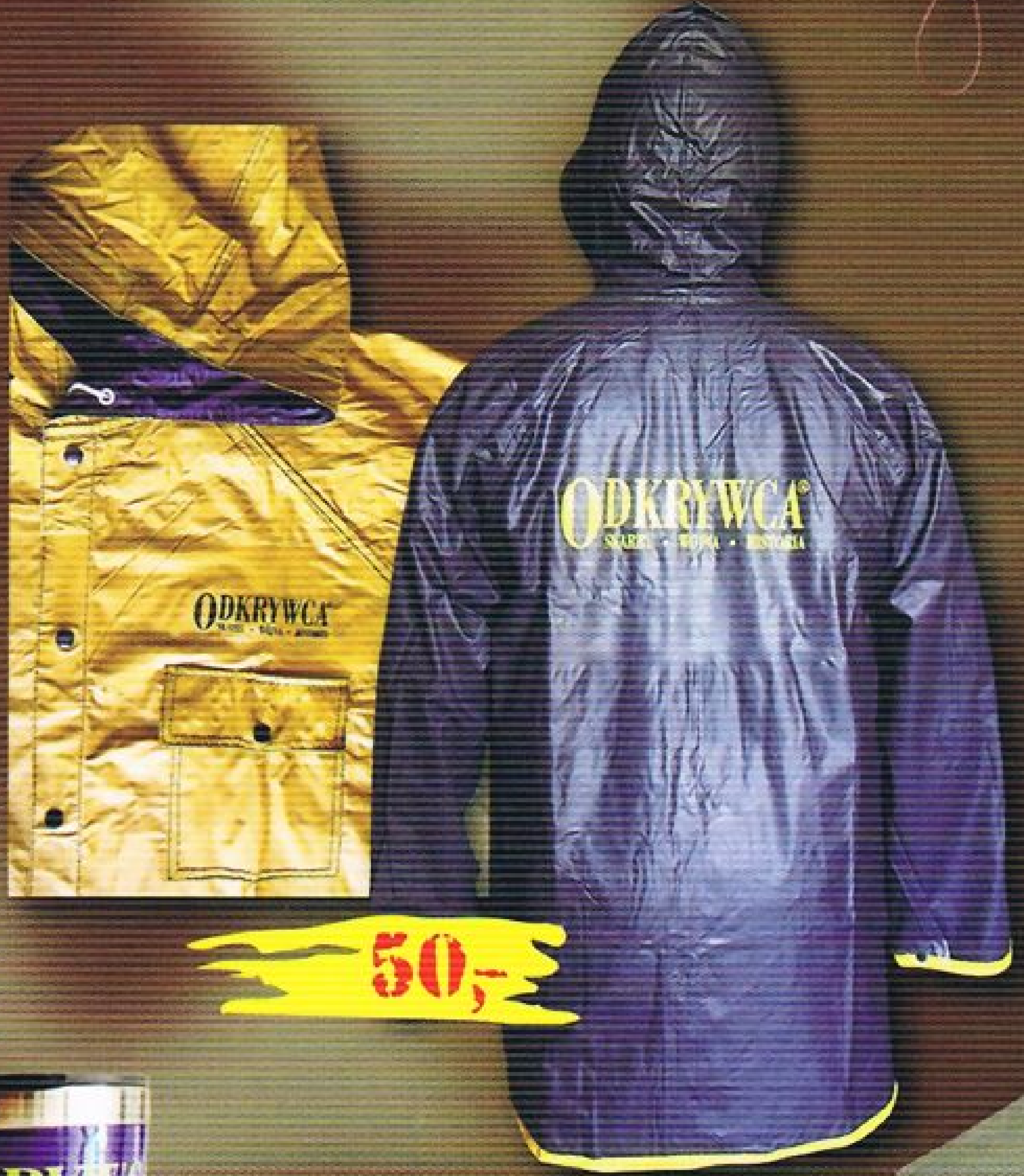

50,-

PŁASZCZ PRZECIWDZESZCZOWY
Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

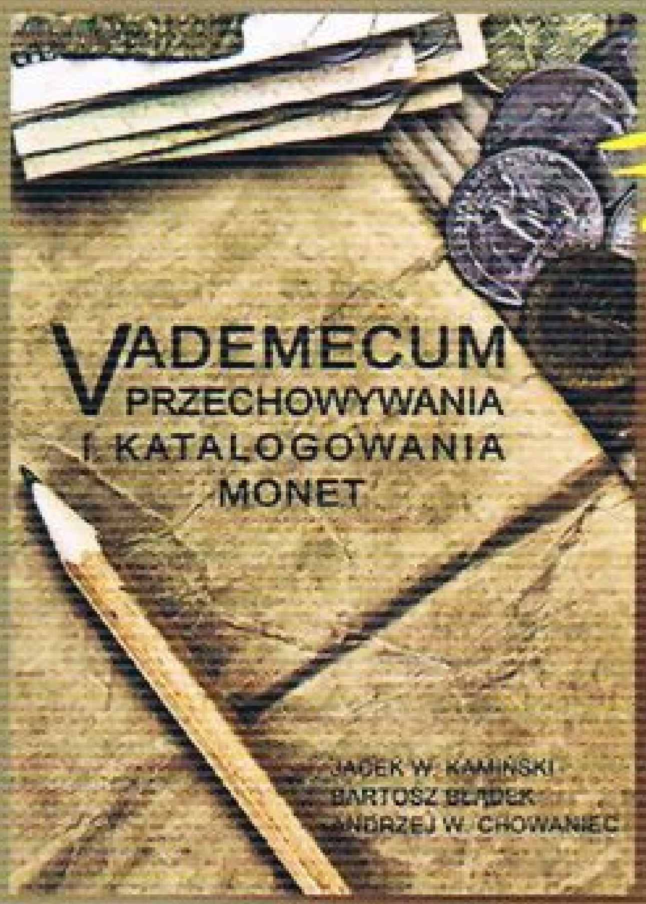

39,50

„VADEMECUM PRZECHOWYWANIA I KATALOGOWANIA MONET”
Kolejna pozycja dla kolekcjonerów monet. W przejrzysty sposób przedstawia wszelkie zalety i wady prezentowanych metod zabezpieczania i katalogowania zbiorów numizmatycznych. Zawiera także porównania dostępnych na rynku katalogów internetowych. Książka jest bogato ilustrowana.

20,-

METALOWY KUBEK
termiczny z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

Koszulki „Odkrywcy” z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny i oliwkowy w rozmiarach: S, L, XL, XXL. Koszulki idealne do wszystkich kamuflaży. Napis „Odkrywca” z przodu i z tyłu.

20,-

Oferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 8/199

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA”, ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko

kod pocztowy miejscowość

ulica nr domu

telefon

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy” zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.97

podpis zamawiającego

Wyrażam zgodę na wystawienie faktury VAT bez mojego podpisu

sponsorzy:

organizator:

wsparcie organizacyjne:

patroni medialni:

szczegółowy harmonogram (kod QR):